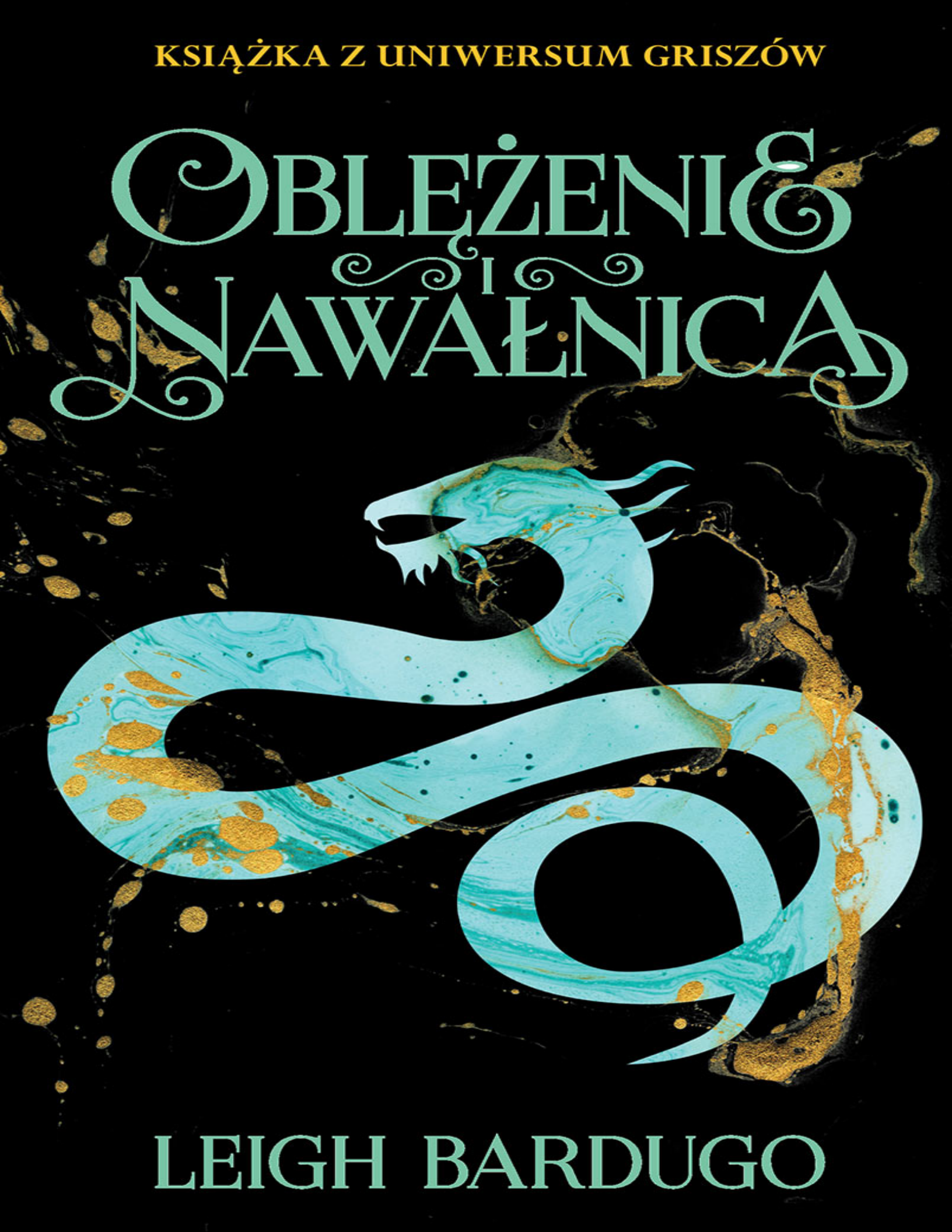
KSIĄŻKA Z UNIWERSUM GRISZÓW

Oblężeni & Nawałnica



LEIGH BARDUGO

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Griszowie

Przedtem

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Potem

Podziękowania

Leigh Bardugo opowiada o pracy nad „Oblężeniem i nawałnicą”.

Formatorka

LEIGH BARDUGO

OBLĘŻENIE I NAWAŁNICA

PRZEŁOŻYLI
MAŁGORZATA STRZELEC I WOJCIECH SZYPUŁA

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2019

Tytuł oryginału: *Siege and Storm*

Copyright © 2013 by Leigh Bardugo
Copyright for the Polish translation © 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska
Korekta: Urszula Okrzeja
Projekt okładki: Natalie C. Sousa i Ellen Duda
Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński
Mapy: Keith Thompson
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-66409-83-5

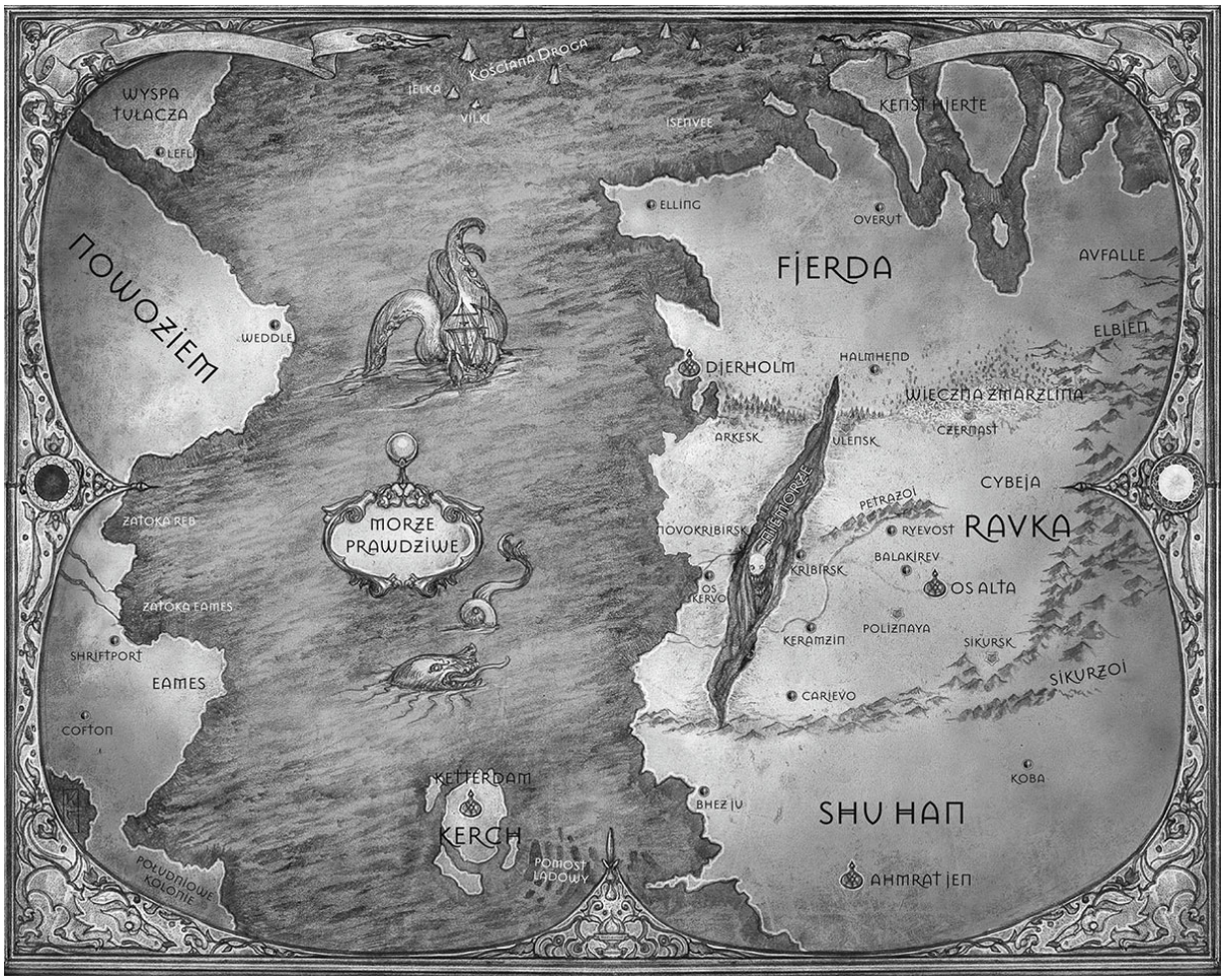
Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej:
pan@drewnianyrower.com


GRISZOWIE
ŻOŁNIERZE DRUGIEJ ARMII
MISTRZOWIE MAŁEJ NAUKI
SOMATYCY
(Zakon Żywych i Umarłych)
Ciałobójcy
Uzdrowiciele
ETERYCY
(Zakon Przywoływaczy)
Szkwalnicy
Piekielnicy
Akwatycy
MATERIALNICY
(Zakon Fabrykatorów)
Substantycy
Alchemiści


Kościana Droga
WYSPA TUŁACZA
LEFLE
IELKA
VILKI
ISENVEE
KENSI WIERTE
ELLING
OVERUT
FJERDA
AVFALLE
NOWOZIEM
WEDDLE
ELBIEN
DJERHOLM
HALMHEND
WIECZNA ZMARZLINA
ARKESK
ULENSK
CZERNAST
CYBEJA
PETRAZOI
MORZE PRAWDZIWE
ZATOKA REB
NOVOKRIBIRSK
RYEVOST
RAVKA
KRIBIRSK
BALAKIREV
OS ALTA
OS UKERVO
ZATOKA EAMES
POLIZNAYA
KERAMZIN
SIKURSK
SHRIFTPORT
EAMES
SIKURZOI
CORTON
CARIEVO
KOBA
KETTERDAM
BHEZ JU
SHU HAN
KERCH
POMOST LADOWY
AHMRAT JEN
POLUDNIOWE KOLONIE

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Publikacja jest chroniona watermarkiem jawnym i niejawnym: 4155864-1



Chłopiec i dziewczyna marzyli niegdyś o statkach, dawno temu, zanim jeszcze w ogóle ujrzeli Morze Prawdziwe. To były statki z legend, magiczne okręty o masztach wyciosanych ze słodko pachnącego drewna cedrowego i żaglach utkanych przez dziewice ze szczerozłotych nici. Ich załogi składały się z białych myszek, które śpiewały różne piosenki i szorowały pokłady różowymi ogonkami.

Verrhader nie był magicznym okrętem. To był kercheński statek handlowy z ładowniami pękającymi w szwach od prosa i melasy. Cuchnął niemytymi ciałami i surową cebulą, o której żeglarze mówili, że zapobiega szkorbutowi. Załoga pluła, klęła i grała o przydziały rumu. W chlebie, który chłopiec i dziewczyna dostawali, roiło się od wołków zbożowych, a ich

kajuta była ciasną klitką, którą byli zmuszeni dzielić z dwoma innymi pasażerami i beczką solonego dorsza.

Nie mieli nic przeciwko temu. Przywykli do dźwięku dzwonów oznajmiających godziny, wrzasku mew, niezrozumiałego kercheńskiego bełkotu. Statek był ich królestwem, a morze rozległą fosą, która oddzielała ich od wrogów.

Chłopiec wciągnął się w życie na statku z taką samą łatwością, z jaką odnajdywał się we wszystkich innych sytuacjach w swoim życiu. Nauczył się wiązać węzły i naprawiać żagle, a kiedy jego rany się zagoiły, zaczął pracować razem z załogą. Porzucił buty i bez najmniejszego lęku wspinał się boso po takielunku. Żeglarzy zdumiewała łatwość, z jaką potrafił wypatrzyć delfiny, ławice rai, tygrysie ryby o jasnych paskach, wyczuć miejsce, w którym wynurzy się wieloryb, na kilka chwil przed tym, jak jego szeroki, gruzłowaty grzbiet wyłaniał się z fal. Twierdzili, że byliby bogaci, gdyby mieli choć odrobinę jego szczęścia.

Przy dziewczynie zaś robili się nerwowi.

Po trzech dniach od wyjścia w morze kapitan poprosił ją, żeby spędzała jak najwięcej czasu pod pokładem. Uzasadniał to przesądnością załogi, twierdził, że jego ludzie wierzą, iż kobiety na pokładzie sprowadzają złe wiatry. To wszystko prawda, ale żeglarze mogliby cieplej powitać roześmianą, szczęśliwą dziewczynę, która opowiada żarty albo próbuje swoich sił na blaszanej fujarce.

Ta zaś stała milcząca i nieruchoma przy relingu, ściskając szalik wokół szyi, zamrożona jak galion wyrzeźbiony w białym drewnie. Ta dziewczyna krzyczała przez sen i budziła mężczyzn drzemiących na bocianim gnieździe.

Dlatego całymi dniami krążyła po ciemnych trzewiach statku. Liczyła beczki melasy, studiowała mapy kapitana. Nocami

skrywała się w bezpiecznym azylu ramion chłopca, kiedy stali razem na pokładzie, wypatrując różnych konstelacji wśród rozległych gwieździstych połaci nieba: Łowcy, Uczonego, Trzech Niemądrych Synów, jasnych szprych Kołowrotka, Południowego Pałacu z sześcioma przekrzywionymi iglicami.

Zatrzymywała go tak długo, jak zdołała, opowiadając historie, zadając pytania. Wiedziała bowiem, że kiedy zaśnie, będzie śniła. Czasem śniła o potrzaskanych łodziach z czarnymi żaglami i pokładach śliskich od krwi, o ludziach krzyczących w ciemności. Najgorsze jednak były sny o bladym księciu, który przyciskał usta do jej szyi, kładł dłonie na obroży zamkniętej na jej gardle i przyzywał jej moc pod postacią rozbłysku jasnego słonecznego światła.

Kiedy śniła o nim, budziła się rozdygotana, echo mocy nadal wibrowało w jej ciele, na skórze czuła ciepło światła.

Chłopiec tulił ją wtedy mocniej, wypowiadał ciche słowa, żeby ją uśpić.

– To tylko koszmary – szeptał. – W końcu przestaną powracać.

Nie rozumiał. Sny były teraz jedynym bezpiecznym miejscem, w którym mogła posługiwać się swoją mocą. Tęskniła za nimi.

* * *

W dniu, w którym *Verrhader* dobił do brzegu, chłopiec i dziewczyna stali razem przy relingu i patrzyli, jak zbliża się wybrzeże Nowoziemia.

Wpłynęli do portu przez las sfatygowanych masztów i zwiniętych żagli. Stały tam smukłe slupy i małe dżonki z kamienistych wybrzeży Shu Hanu, uzbrojone okręty i wypoczynkowe szkunery, pokaźne statki handlowe

i fjerdańskie statki wielorybnicze. Nad rozdętą galerą więzienną zmierzającą do południowych kolonii powiewała bandera z czerwonym koniuszkiem, co oznaczało, że na pokładzie przebywają mordercy. Kiedy przepływali obok, dziewczyna mogłaby przysiąc, że słyszała brzęk łańcuchów.

Verrhader znalazł sobie miejsce do zacumowania. Spuszczono trap. Pracownicy portowi i załoga wykrzykiwali słowa powitania, rozwiązywali liny, szykowali ładunek.

Chłopiec i dziewczyna rozejrzeli się po porcie, szukając w tłumie rozbłysku szkarłatu szaty ciałobójcy albo błękitu przywoływacza, słońca odbijającego się od ravkańskiej broni.

Nadszedł czas. Chłopiec wsunął rękę w jej dłoń. Skórę miał zgrubiałą i szorstką po wielu dniach pracy przy linach. Kiedy ich stopy uderzyły o deski kei, ziemia jakby zafalowała i szarpnęła się pod nimi.

Żeglarze się roześmiali.

– *Vaarwel, fentomen!* – zawołali.

Chłopiec i dziewczyna poszli przed siebie, stawiając pierwsze, chwiejne kroki w nowym świecie.

„Proszę”, modliła się w głębi ducha dziewczyna do wszystkich świętych, którzy mogli jej słuchać, „niech to miejsce okaże się dla nas bezpiecznie. Obyśmy znaleźli tu sobie dom”.



Spędziliśmy już dwa tygodnie w Coftonie, a ja nadal się gubiłam. Miasteczko znajdowało się w głębi lądu, na zachód od wybrzeża Nowoziemia, wiele mil od portu, do którego przypłynęliśmy. Niedługo ruszymy dalej, w głąb nowoziemskiej dziczy. Może wtedy wreszcie poczujemy się bezpieczni.

Sprawdziłam mapkę, którą sobie narysowałam, i odtworzyłam swoją drogę. Spotykaliśmy się z Malem codziennie po pracy, żeby razem wrócić do pensjonatu, ale dzisiaj całkiem się pogubiłam, kiedy poszłam okrężną drogą, żeby kupić nam coś na kolację. Paszteciki z cielęciną i jarmużem leżały w mojej torbie i specyficznie pachniały. Sprzedawca twierdził, że to nowoziemski smakołyk, ale ja miałam wątpliwości. Nie miało to dużego znaczenia. Ostatnimi czasy wszystko dla mnie miało smak popiołu.

Przybyliśmy z Malem do Coftonu, żeby znaleźć pracę, która sfinansowałaby naszą wyprawę na zachód. To było centrum handlu *jurdą*, otoczone przez pola małych pomarańczowych kwiatuszków, które ludzie masowo żuli. Ten środek pobudzający uważano w Ravce za towar luksusowy, ale niektórzy żeglarze na pokładzie *Verrhadera* korzystali z niego, żeby nie zasnąć podczas długich wacht. Nowoziemscy mężczyźni lubili wsuwać suszone kwiatki między wargę a dziąsło. Nawet kobiety nosiły je w haftowanych sakiewkach zawieszonych na nadgarstkach. W każdej mijanej przeze mnie witrynie reklamowano inną markę: Jasny Listek, Cień, Dhoka, Krzepka. Zobaczyłam prześlicznie ubraną dziewczynę w falbaniastej sukni, która pochyliła się i wypluła strugę rdzawego soku prosto do mosiężnej spluwaczki, jakie stały przy drzwiach każdego sklepu. Zrobiło mi się niedobrze. To był nowoziemski zwyczaj i wątpiłam, bym kiedykolwiek się do niego przyzwyczaiła.

Z westchnieniem ulgi skręciłam na główną ulicę miasteczka. Teraz przynajmniej wiedziałam, gdzie się znajduję. Cofton nadal nie wydawał mi się realnym miejscem. Wyglądał na surowy i jakby niedokończony. Większości ulic nie wybrukowano i zawsze miałam wrażenie, że budynki o płaskich dachach i cieniutkich, drewnianych ścianach w każdej chwili mogą się poprzewracać. A jednak we wszystkich oknach były szyby. Kobiety ubierały się w aksamity i koronki. Witryny sklepowe były pełne słodyczy, błyskotek i wszelkich pięknych rzeczy, a nie strzelb, noży i cynowych garnków. Tutaj nawet żebracy nosili buty. Tak właśnie wyglądał kraj, kiedy nie był oblężony.

Kiedy mijałam sklep sprzedający dżin, spostrzegłam kątem oka rozbłysk szkarłatu. Somatyk. Natychmiast się cofnęłam,

z bijącym sercem wciskając się w ocienioną szparę między dwoma budynkami. Już sięgałam po pistolet na biodrze.

Najpierw sztylet, upomniałam się w myślach, wysuwając ostrze z rękawa. Postaraj się nie zwrócić na siebie uwagi. Pistolet dopiero, kiedy to będzie konieczne. Moc tylko w ostateczności. Nie pierwszy raz zatęskniłam za rękawiczkami fabrykatorów, które zostawiłam w Ravce. Wyłożono je lusterkami, dzięki czemu z łatwością mogłam oślepić przeciwnika w walce wręcz – miła alternatywa wobec przepołowienia kogoś za pomocą Cięcia. Gdybym jednak została zauważona przez ciałobójcę, mogłabym nie mieć wyboru. To byli ulubieni żołnierze Zmrocza, którzy mogli zatrzymać moje serce albo zmiażdżyć mi płuca, nie wymierzając nawet jednego ciosu.

Czekałam z zaciśniętą na rękojeści sztyletu dłonią śliską od potu, aż wreszcie odważyłam się wyjrzeć zza węgła. Zobaczyłam wóz zawalony wysokim stosem beczek. Woźnica zatrzymał się, żeby porozmawiać z kobietą, której córka w ciemnoczerwonej spódnicy podskakiwała niecierpliwie obok i okręcała się w miejscu.

To tylko mała dziewczynka. Nigdzie nie było widać somatyka. Oparłam się o budynek i odetchnęłam głęboko, próbując się uspokoić.

Nie zawsze tak będzie, powiedziałam sobie. Im dłużej będziesz wolna, tym łatwiejsze stanie się życie.

Pewnego dnia obudzę się ze snu wolnego od koszmarów i przejdę ulicą wolna od lęków. Do tego czasu będę trzymać pod ręką marny sztylecik i żałować, że nie czuję w dłoni uspokajającego ciężaru stali griszów.

Wyszłam z powrotem na tętniącą życiem ulicę i chwyciłam za szalik na szyi, owijając się nim ciaśniej. To już zmieniło się w moim przypadku w nerwowy nawyk. Pod szalikiem skrywała

się obroża Morozova, najpotężniejszy amplifikator na świecie, a także jedyna rzecz, która zdradzała moją tożsamość. Bez niej byłabym kolejnym brudnym, niedożywionym uchodźcą z Ravki.

Nie bardzo wiedziałam, co zrobię, kiedy zmieni się pogoda. Nie mogłam chodzić w szalikach i płaszczach z podniesionym kołnierzem, kiedy nadejdzie lato. Miałam jednak nadzieję, że do tego czasu znajdziemy się już z Malem daleko od zatłoczonych miast i niepożądanych pytań. Będziemy sami po raz pierwszy od ucieczki z Ravki. Ta myśl sprawiła, że nerwowy dreszcz przebiegł mi po plecach.

Przeszłam przez ulicę, uskakując przed wozami i końmi, nadal rozglądając się po tłumie, przekonana, że lada chwilę zobaczę zbliżający się do mnie oddział griszów albo opryczników. A może to będą najemnicy z Shu Hanu, fjerdańscy zabójcy, żołnierze ravkańskiego króla albo Zmrocz we własnej osobie. Tylu ludzi mogło na nas polować. Na mnie, poprawiłam się. Gdyby nie ja, Mal nadal byłby tropicielem w Pierwszej Armii, a nie dezerterem, któremu grozi śmierć, jeśli zostanie złapany.

Niechciane wspomnienie powróciło do mnie: czarne włosy, szare oczy, rozradowana zwycięstwem twarz Zmrocza, kiedy uwolnił moc w Fałdzie. Zanim odebrałam mu to zwycięstwo.

Wiadomości z łatwością docierały do Nowoziemia, ale żadne nie były dobre. Wieść niosła, że Zmrocz przetrwał jakimś cudem bitwę w Fałdzie i że zniknął, jakby zapadł się pod ziemię, żeby zgromadzić siły przed kolejną próbą przejęcia ravkańskiego tronu. Nie chciałam wierzyć, że to możliwe, ale wiedziałam, że lepiej go nie lekceważyć. Inne opowieści były równie niepokojące: Fałda zaczęła rozlewać się poza swoje granice, uchodźcy uciekali na wschód i zachód; rozwinął się kult świętej, która potrafi przyzwać słońce. Nie chciałam o tym

myśleć. Zaczęliśmy teraz z Malem nowe życie. Zostawiliśmy Ravkę za sobą.

Przyśpieszyłam kroku i wkrótce znalazłam się na placu, gdzie co wieczór spotykałam się z Malem. Dostrzegłam go przy krawędzi fontanny. Rozmawiał z nowoziemskim przyjacielem, którego poznał, pracując w magazynie. Nie pamiętałam jego imienia... Może Jep? Albo Jef?

Fontanna z czterema kurkami była nie tyle ozdobną, ile praktyczną wielką misą, w której dziewczęta i służące prały ubrania. Jednak żadna z praczek nie uważała na swoje pranie. Wszystkie gapiły się na Mala. Nic dziwnego. Obcięte wcześniej po wojskowemu włosy odrosły mu i zaczynały skręcać się na karku. Mgiełka wodna z fontanny zmoczyła mu koszulę, która przywarła do skóry brązowej po wielu dniach spędzonych na morzu. Mal odchylił głowę i roześmiał się z powodu czegoś, co powiedział jego znajomy, najwyraźniej nie zauważając chytrych uśmieszków rzucanych mu przez dziewczęta.

Pewnie już tak do tego przywykł, że nawet ich nie zauważa, pomyślałam z rozdrażnieniem.

Kiedy mnie spostrzegł, uśmiechnął się szeroko i pomachał do mnie. Praczki odwróciły się w moją stronę i wymieniły pełne niedowierzania spojrzenia. Wiedziałam, co widzą: mizerną dziewczynę o matowych, ciemnych włosach jak strąki, ziemistych policzkach i palcach pomarańczowych od pakowanej *jurdy*. Nigdy nie byłam szczególnie ładna, a tygodnie, podczas których nie korzystałam ze swojej mocy, zrobiły swoje. Nie miałam apetytu i źle sypiałam, a koszmary nie pomagały. Twarze wszystkich kobiet mówiły to samo: „Co taki chłopak jak Mal robi z taką dziewczyną jak ona?”.

Wyprostowałam się i próbowałam nie zważać na nie, kiedy Mal objął mnie i przyciągnął do siebie.

– Gdzie byłaś? Zaczynałem się martwić.

– Zatrzymała mnie banda wściekłych niedźwiedzi – mruknęłam wtulona w jego ramię.

– Znowu się zgubiłaś?

– Nie mam pojęcia, skąd ci przychodzą do głowy takie rzeczy.

– Pamiętasz Jesa, prawda? – spytał, kiwając głową na przyjaciela.

– Jak się posiadasz? – zapytał łamaną ravkańszczyzną Jes i podał mi rękę. Miał przesadnie poważną minę.

– Bardzo dobrze, dziękuję, że pan pyta – odpowiedziałam po nowoziemsku.

Nie odwzajemnił mojego uśmiechu, ale poklepał delikatnie moją dłoń. Jes bez wątpienia był dziwny.

Gawędziliśmy jeszcze chwilę, ale wiedziałam, że Mal zauważył, że robię się niespokojna. Nie lubiłam zbyt długo przebywać na ulicy. Pożegnaliśmy się. Jes, zanim odszedł, rzucił mi jeszcze jedno ponure spojrzenie i pochylił się, żeby szepnąć coś do Mala.

– Co powiedział? – zapytałam, kiedy patrzyliśmy, jak odchodzi przez plac.

– Hmm? A, nic takiego. Wiedziałaś, że masz pyłek na brwiach?

Delikatnie wytarł go ręką.

– Może specjalnie go tam zostawiłam.

– Wybacz wobec tego.

Gdy zaczęliśmy odchodzić od fontanny, jedna z praczek pochyliła się, niemal wylewając się ze swojej sukienki.

– Jeśli kiedyś znudzisz się samą skórą i kośćmi – zawołała do Mala – to mam coś, co cię skusi.

Zamarłam. Mal obejrzał się przez ramię. Obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem od stóp do głów.

– Nie – odrzekł beznamiętnie. – Nie masz.

Dziewczyna zaczerwieniła się jak burak, a pozostałe praczki zaczęły szydzić z niej i z chichotem obryzgiwać ją wodą. Próbowałam unieść dumnie brew, ale trudno było powstrzymać durny uśmieszek, który szarpał mi kąciki ust.

– Dzięki – wymamrotałam, kiedy szliśmy przez plac w stronę naszego pensjonatu.

– Za co?

Przewróciłam oczami.

– Za obronę mojego honoru, cymbale.

Wciągnął mnie pod markizę. Na chwilę ogarnęła mnie panika, że dostrzegł jakieś kłopoty, ale wtedy znalazłam się w jego objęciach i poczułam jego wargi na moich ustach.

Kiedy w końcu się odsunął, policzki miałam rozgrzane i nogi się pode mną uginały.

– Gwoli ścisłości – powiedział – nie jestem tak naprawdę zainteresowany obroną twojego honoru.

– Rozumiem – zdołałam wykrztusić, mając nadzieję, że nie zdradziłam się z tym, jak idiotycznie zaparło mi dech w piersi.

– Poza tym – dodał – korzystam z każdej chwili przed powrotem do Nory.

Tak Mal nazywał nasz pensjonat. Był zatłoczony, obskurny i nie oferował ani odrobiny prywatności, ale mało kosztował. Mal uśmiechnął się szeroko, pewny siebie jak zawsze, i wciągnął mnie z powrotem w tłum ludzi na ulicy. Mimo wyczerpania szłam teraz zdecydowanie lżejszym krokiem. Nadal nie przywykłam do myśli, że jesteśmy razem. Znowu przeszedł mnie dreszcz podniecenia. Wśród nowoziemskiej dziczy nie będzie wścibskich współlokatorów i innych niechcianych przeszkód. Serce mi szybciej zabiło. Może z nerwów, może z podniecenia. Nie byłam pewna.

– To co właściwie powiedział Jes? – zapytałam znowu, kiedy nieco odzyskałam jasność myślenia.

– Powiedział, że powinienem o ciebie dobrze zadbać.

– Tylko tyle?

Mal odchrząknął.

– I powiedział… że będzie się modlił do Boga Pracy, żeby wyleczył cię z twojej przypadłości.

– Czego?!

– Możliwe, że wspomniałem mu, że cierpisz na wole.

Potknęłam się.

– Że co proszę?!

– No wiesz, musiałem mu wyjaśnić, dlaczego zawsze tak ściskasz szalik.

Opuściłam rękę. Ściskałam szalik nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

– Więc powiedziałeś mu, że mam wole? – szepnęłam z niedowierzaniem.

– Musiałem coś powiedzieć. To cię czyni cokolwiek tragiczną postacią. Ładna dziewczyna, przerośnięty gruczoł, sama wiesz.

Przyłożyłam mu solidnie w ramię.

– Auć! Ej, w pewnych krajach wole uważa się za modne.

– Lubią tam też eunuchów? Bo mogę ci to załatwić.

– Ależ ty jesteś żądna krwi!

– To przez wole jestem taka zrzędliwa.

Mal się roześmiał, ale zauważyłam, że nie zdejmuje ręki z pistoletu. Nora znajdowała się w jednej z bardziej nieciekawych części Coftonu, a my mieliśmy dużo pieniędzy – zarobki, które odkładaliśmy, żeby móc zacząć nowe życie. Jeszcze tylko kilka dni i będziemy mieli dość, żeby zostawić za sobą Cofton i jego zgiełk, wypełnione pyłkiem powietrze, nieustanny strach. Będziemy bezpieczni w miejscu, gdzie nikt nie przejmuje się tym, co dzieje się z Ravką, gdzie rzadko pojawiają się griszowie i nikt nigdy nie słyszał o Przywoływaczce Słońca.

I gdzie nikomu do niczego nie jestem potrzebna. Ta myśl popsuła mi nastrój, ale ostatnio nachodziła mnie coraz częściej. Jaki ze mnie pożytek w tym dziwnym kraju? Mal potrafił polować, tropić, obchodzić się z bronią palną. Jedyne, w czym ja kiedykolwiek byłam dobra, to bycie griszą. Brakowało mi przywoływania światła i z każdym dniem, kiedy nie korzystałam ze swojej mocy, stawałam się coraz słabsza i bardziej chorowita. Już idąc razem z Malem, dostawałam zadyszki i z trudem dźwigałam swoją torbę na ramię. Byłam taka krucha i niezręczna, że ledwie udawało mi się zachować pracę przy pakowaniu *jurdy* w jednej z hal przy plantacji. Dostawałam za to marne grosze, ale upierałam się przy pracy, bo chciałam pomóc. Czułam się jak wtedy, kiedy byliśmy dziećmi: sprawny Mal i bezużyteczna Alina.

Odepchnęłam tę myśl. Może nie byłam już Przywoływaczką Słońca, ale nie byłam też tamtą żałosną dziewczynką. Znajdę sposób, żeby na coś się przydać.

Widok pensjonatu nie poprawił mi samopoczucia. Był jednopiętrowy i rozpaczliwie wymagał odmalowania. Tabliczka w oknie w pięciu różnych językach obiecywała gorące kąpiele i wolne od pluskiew łóżka. Popróbowawszy kąpieli i łóżka wiedziałam, że tabliczka kłamie bez względu na to, w jakim języku na niej pisano. Mimo to, póki miałam obok siebie Mala, nie było tak źle.

Wspięliśmy się po schodach na zapadającą się werandę i weszliśmy do gospody, która zajmowała większość parteru. Było tu chłodno i cicho po zgiełku i kurzu ulicy. O tej porze zwykle siedziało tu kilku robotników przy podniszczonych stolikach i przepijało dzienne zarobki, ale dzisiaj było pusto, jeśli nie liczyć skwaszonego właściciela za barem.

Był imigrantem z Kerchu i nabrałam nieodpartego przekonania, że nie lubi Ravkańczyków. A może po prostu

uznał nas za złodziei. Pojawiliśmy się dwa tygodnie temu, obszarpani i brudni, bez bagażu i pieniędzy, żeby zapłacić za lokum, z wyjątkiem jednej złotej szpilki do włosów, którą pewnie uznał za skradzioną. To jednak nie powstrzymało go przed zabraniem jej w zamian za wąskie łóżko w pokoju, który dzieliliśmy z szóstką innych lokatorów.

Kiedy podeszliśmy do baru, rzucił klucz do pokoju na bar i pchnął go w naszym kierunku, zanim zdążyliśmy poprosić. Klucz był przywiązany do kawałka rzeźbionej kurzej kości. Kolejny uroczy szczegół.

Rwanym kercheńskim językiem, którego nauczył się nieco na *Verrhaderze*, Mal poprosił o dzban gorącej wody do mycia.

– Za dodatkową opłatą – warknął właściciel. Był krępym mężczyzną o rzednących włosach i zabarwionych na pomarańczowo od żucia *jurdy* zębach. Zauważyłam, że się poci. Chociaż nie było tego dnia szczególnie ciepło, kropelki potu perliły mu się nad górną wargą.

Kiedy ruszyliśmy do schodów na drugim końcu opustoszałej gospody, obejrzałam się na niego. Nadal za nami patrzył z rękami skrzyżowanymi na piersi, mrużąc świdrujące oczka. W jego minie było coś, co mnie zaniepokoiło.

Zawahałam się u podnóża schodów.

– Ten facet naprawdę nas nie lubi – powiedziałam.

Mal już wspinał się po schodach.

– Ale nasze pieniądze jak najbardziej. Zresztą wyniesiemy się stąd za kilka dni.

Otrząsnęłam się z niepokoju. Całe popołudnie byłam nerwowa.

– Jasne – mruknęłam, idąc za Malem. – Ale tak na wszelki wypadek, jak się mówi „jesteś dupkiem” po kercheńsku?

– *Jer ven azel*.

– Serio?

Mal się roześmiał.

– Pierwsze, czego żeglarze cię nauczą, to przeklinania.

Pierwsze piętro pensjonatu było w znacznie gorszym stanie niż ogólnie dostępne sale na dole. Dywan był wyblakły i poprzecierany, ciemny korytarz cuchnął kapustą i tytoniem. Wszystkie drzwi do pokojów były pozamykane i kiedy je mijaliśmy, nie dobiegał zza nich żaden dźwięk. Panowała wręcz upiorna cisza. Może wszyscy dzisiaj wyszli na miasto.

Jedyne światło wpadało przez pojedyncze brudne okno na końcu korytarza. Kiedy Mal mocował się po omacku z kluczem, zerknęłam przez upaćkaną szybę na wozy i powozy przejeżdżające z łoskotem ulicą. Po drugiej stronie drogi pod balkonem stał mężczyzna i zerkał w górę na pensjonat. Poprawiał kołnierz i rękawy, jakby nosił nowe ubranie, które nie do końca na niego pasuje. Nasze spojrzenia spotkały się i wtedy mężczyzna natychmiast odwrócił wzrok.

Nagle ogarnął mnie strach.

– Mal – szepnęłam, wyciągając do niego rękę.

Niestety było już za późno. Drzwi otworzyły się z impetem.

– Nie! – krzyknęłam.

Wyciągnęłam ręce przed siebie i światło zalało korytarz oślepiającą kaskadą. A potem czyjeś brutalne dłonie złapały mnie i wykręciły mi ręce na plecy. Wierzgałam nogami i miotałam się, gdy powleczono mnie do pokoju.

– Spokojnie – dobiegł chłodny głos z kąta pokoju. – Nie chciałbym tak szybko wypatroszyć twojego przyjaciela.

Czas jakby zwolnił. Widziałam obskurny niski pokój, popękaną miednicę na poobijanym stoliku, cząsteczki kurzu wirujące w smukłym promieniu słońca, jasną krawędź ostrza dociśniętą do gardła Mala. Mężczyzna, który go trzymał, miał znajomy, szyderczy uśmieszek. Ivan. Byli tam także inni ludzie, mężczyźni i kobiety. Wszyscy nosili dopasowane płaszcze

i spodnie nowoziemskich kupców i robotników, ale rozpoznałam niektóre twarze z czasu, który spędziłam w Drugiej Armii. To byli griszowie.

Za nimi, spowity w cienie Zmrocz rozsiadł się w rozchwierutanym krześle jak na tronie.

Przez chwilę w pokoju panowała całkowita cisza i bezruch. Słyszałam oddech Mala, szuranie stóp. Słyszałam, jak jakiś mężczyzna wita się z kimś na ulicy. Nie mogłam oderwać wzroku od dłoni Zmrocza – długie, białe palce opierały się jak gdyby nigdy nic na poręczach krzesła. Naszła mnie dziwna myśl, że nigdy nie widziałam go w zwykłym stroju.

A potem fakty dotarły do mnie z całą wyrazistością. Zatem w taki sposób to wszystko się zakończy? Bez walki? Bez choćby jednego wystrzału czy podniesienia głosu? Szloch czystej wściekłości i frustracji wyrwał mi się z piersi.

– Zabierz jej pistolet i przeszukaj, czy nie ma innej broni – polecił cicho Zmrocz. Poczułam, jak uspokajający ciężar broni znika z mojego biodra, jak ktoś wyciąga sztylet z pochwy na moim przedramieniu. – Powiem im, żeby cię puścili – powiedział Zmrocz, kiedy już mnie przeszukano. – Pamiętaj tylko, że jeśli choćby uniesiesz ręce, Ivan załatwi tropiciela. Daj znać, że rozumiesz.

Skinęłam sztywno głową.

Zmrocz uniósł palec i mężczyźni mnie puścili. Zatoczyłam się do przodu i stanęłam jak zamrożona pośrodku pokoju z rękami zaciśniętymi w pięści.

Mogłam rozciąć Zmrocza swoją mocą na pół. Mogłam rozłupać tę zapomnianą przez świętych ruderę. Jednak wcześniej Ivan poderżnąłby Malowi gardło.

– Jak nas znalazłeś? – wychrypiałam.

– Zostawiasz bardzo kosztowny trop – odpowiedział i leniwym gestem rzucił coś na stół. Przedmiot wylądował

z cichym brzękiem obok miednicy. Rozpoznałam jedną ze złotych szpilek, jakie Genya wpięła mi we włosy wiele tygodni temu. Wykorzystaliśmy je, żeby opłacić rejs przez Morze Prawdziwe, przeprawę do Coftonu i nasze nędzne, nie tak całkiem wolne od pluskiew łóżko.

Zmrocz wstał i dziwna nerwowość ogarnęła pokój. Jakby wszyscy griszowie wstrzymali wyczekująco oddech. Czułam bijący od nich strach, i to mnie zaniepokoiło. Ludzie Zmrocza zawsze traktowali go z szacunkiem i nabożeństwem, ale to było coś nowego. Nawet Ivan nieco pozieleniał.

Zmrocz stanął w świetle i zobaczyłam delikatną siateczkę blizn na jego twarzy. Somatyk pomógł im się zabliźnić, ale ślady pozostały widoczne. Zatem volcry zostawiły po sobie ślad. I dobrze, pomyślałam z pewną satysfakcją. Dawało mi to niewielką pociechę, ale przynajmniej nie wyglądał już tak nieskazitelnie jak kiedyś.

Zatrzymał się i przyjrzał mi się.

– Jak ci się podoba życie w ukryciu, Alino? Nie wyglądasz najlepiej.

– Ty także – odpowiedziałam.

Nie chodziło tylko o blizny. Nosił zmęczenie jak elegancki płaszcz, ale mimo wszystko rzucało się w oczy. Delikatne cienie malowały się pod jego oczami, policzki pod wyrazistymi kośćmi zapadły się nieco głębiej.

– To niewielka cena – odrzekł i na jego usta wypłynął półuśmieszek.

Zimny dreszcz przeszedł mi po kręgosłupie.

Cena za co?

Wyciągnął rękę i włożyłam całą siłę woli w to, żeby się nie wzdrygnąć. On jednak tylko dotknął jednego końca mojego szalika. Pociągnął delikatnie i szorstka wełna zsunęła się z mojej szyi, spadła ze szmerem na ziemię.

– Widzę, że znowu udajesz kogoś marniejszego, niż naprawdę jesteś. Takie zachowanie ci nie przystoi.

Ogarnął mnie niepokój. Czy nie ta sama myśl przeszła mi przez głowę chwilę temu?

– Dziękuję za troskę – mruknęłam.

Przesunął palcami po obroży.

– Należy do mnie w równym stopniu, jak do ciebie, Alino.

Odepchnęłam jego rękę, co wywołało niespokojne poruszenie wśród griszów.

– To trzeba było mi jej nie zakładać – warknęłam. – Czego chcesz?

Oczywiście sama dobrze wiedziałam. Chciał wszystkiego – Ravki, świata, potęgi Fałdy. Jego odpowiedź nie miała znaczenia. Chciałam tylko, żeby mówił. Wiedziałam, że ta chwila nadejdzie, i szykowałam się na nią. Nie pozwolę, żeby znowu mnie zabrał. Zerknęłam na Mala, mając nadzieję, że zrozumie, co zamierzam.

– Chcę ci podziękować – powiedział Zmrocz.

Nie tego się spodziewałam.

– Podziękować?

– Za dar, który mi ofiarowałaś.

Zerknęłam na blizny na jego bladych policzkach.

– Nie – powiedział z uśmieszkiem. – Nie za nie. Chociaż rzeczywiście stanowią dobre przypomnienie.

– Czego? – zapytałam wbrew sobie.

Jego spojrzenie było jak szary krzemień.

– Że z każdego mężczyzny można zrobić głupca. Nie, Alino, dar, jaki mi ofiarowałaś, jest znacznie wspanialszy.

Odwrócił się. Znowu zerknęłam na Mala.

– W przeciwieństwie do ciebie – powiedział Zmrocz – wiem, co to jest wdzięczność, i pragnę ją okazać.

Uniósł ręce. Ciemność przewaliła się przez pokój.

– Teraz! – krzyknęłam.

Mal wbił łokieć w bok Ivana. W tej samej chwili uniosłam ręce i trysnęło światło, oślepiając otaczających nas ludzi. Skupiałam moc, zamieniając ją w kosę z czystego światła. Miałam jeden cel. Nie zamierzałam zostawić Zmrocza przy życiu. Zerknęłam we wrzącą ciemność, próbując odnaleźć swój cel. Jednak coś tu nie grało.

Widziałam, jak Zmrocz posługuje się swoją mocą, mnóstwo razy. To jednak było coś innego. Cienie wirowały i śmigały wokół mojego kręgu światła, kołowały coraz szybciej – kipiąca chmura, która furkotała i brzęczała jak chmara głodnych insektów. Odpychałam ją swoją mocą, ale ona wiła się i skręcała, ciągle się zbliżając.

Mal znalazł się obok mnie. Jakimś cudem zdobył nóż Ivana.

– Trzymaj się blisko mnie – powiedziałam.

Lepiej zaryzykować i wyciąć dziurę w podłodze niż stać i nic nie robić. Skupiłam się i poczułam, jak moc Cięcia wibruje we mnie. Uniosłam rękę… i wtedy coś wyszło z ciemności.

To jakaś sztuczka, pomyślałam, kiedy to coś do nas podeszło. To musi być jakaś iluzja.

To był stwór stworzony z cienia o pustej, pozbawionej rysów twarzy. Wydawało się, że jego ciało drży i rozmazuje się, a potem ponownie formuje – ręce, nogi, długie dłonie zakończone czymś na podobieństwo szponów, szerokie plecy ze skrzydłami, które przy rozkładaniu rozlewały się i rozmywały jak czarna plama. Wyglądał niemal jak volcra, ale miał bardziej ludzkie kształty. I nie bał się światła. Nie bał się mnie.

To jakaś sztuczka, upierał się mój spanikowany umysł. To niemożliwe. To stanowiło pogwałcenie wszystkiego, co wiedziałam na temat mocy griszów. Nie mogliśmy tworzyć materii. Nie mogliśmy tworzyć życia. Jednak ten stwór zbliżał

się do nas, a griszowie Zmrocza kulili się z najprawdziwszego strachu pod ścianami. Zatem to ta istota tak ich przerażała.

Odepchnęłam zgrozę i ponownie skupiłam moc. Machnęłam ręką, kreśląc lśniący, bezlitosny łuk. Światło przecięło stwora. Przez chwilę myślałam, że to go nie zatrzyma, ale zafalował, pojaśniał jak chmura rozświetlona błyskawicą i rozpadł się w nicość. Ledwie miałam czas, żeby poczuć odrobinę ulgi, kiedy Zmrocz uniósł rękę i kolejny potwór zajął miejsce pierwszego, a po nim pojawił się drugi i trzeci.

– Oto dar jaki mi ofiarowałaś – powiedział Zmrocz. – Dar, na jaki zapracowałem w Fałdzie.

Jego twarz ożyła mocą i straszliwą radością. Dostrzegałam w niej jednak także wysiłek. Cokolwiek robił, wiele go to kosztowało.

Cofnęliśmy się z Malem w stronę drzwi, a potwory zbliżały się. Nagle jeden z nich rzucił się do przodu ze zdumiewającą szybkością. Mal ciął nożem. Stwór zatrzymał się, falując lekko, a potem złapał go i odrzucił na bok jak szmacianą lalkę. To nie była żadna iluzja.

– Mal! – krzyknęłam.

Zaatakowałam Cięciem i stwór rozpadł się w nicość, ale kilka sekund potem rzucił się na mnie następny. Złapał mnie. Zadygotałam z odrazy. Jego dotyk był jak tysiące insektów pełzających mi po rękach.

Uniósł mnie, odrywając moje stopy od ziemi, i przekonałam się, jak bardzo się myliłam. Miał jednak usta, rozwartą, wykrzywioną paszczę, która otworzyła się, ukazując liczne rzędy zębów. Poczułam je wszystkie, gdy stwór wgryzł się głęboko w moje ramię.

Ból nie przypominał niczego, czego doświadczyłam do tej pory. Rozległ się we mnie echem, pomnażając się, rozłupując mnie i aż zgrzytając o moje kości. Widziałam zacieki na suficie,

stwora z cienia stojącego wysoko nade mną, bladą twarz Mala, który klęczał obok mnie. Widziałam, jak jego usta układają się w moje imię, ale go nie słyszałam. Już traciłam przytomność.

Ostatnie, co usłyszałam, to głos Zmrocza. Rozbrzmiał tak wyraźnie, jakby leżał obok mnie, przyciskał usta do mojego ucha i szeptał, tak że tylko ja go słyszałam:

– Dziękuję.



Znowu ciemność. Coś kłębi się we mnie. Szukam światła, ale jest poza moim zasięgiem.

– Pij.

Otwieram oczy. Dostrzegam wykrzywioną twarz Ivana.

– Ty to zrób – zrzędzi do kogoś.

Wtedy Genya pochyla się nade mną, piękna jak nigdy dotąd, nawet w pogniecionej czerwonej kefcie. *Czy ja śnię?*

Przyciska mi coś do ust.

– Pij, Alino.

Próbuję odepchnąć filiżankę, ale nie mogę ruszyć rękami.

Ktoś zaciska mi nos i siłą rozwiera usta. Jakiś bulion wlewa mi się do gardła. Kaszlę i parskam.

– Gdzie jestem? – próbuję zapytać.

Rozlega się inny głos, chłodny i dźwięczny.

– Uśpij ją z powrotem.

* * *

Jestem na wozie zaprzężonym w kucyka i wracam z wioski z Aną Kuyą. Dźga mnie kościstymi łokciami pod żebra, gdy podskakujemy na drodze do domu, do Keramzinu. Mal siedzi po jej drugiej stronie, śmieje się i pokazuje palcem wszystko, co widzimy.

Grubiutki mały kucyk drepcze mozolnie, potrząsając potarganą grzywą, gdy wspinamy się na wzgórze. W połowie drogi mijamy mężczyznę i kobietę idących wzdłuż drogi. On pogwizduje, wymachując laską do taktu. Kobieta wlecze się noga za nogą, z pochyloną głową. Niesie na plecach blok solny.

– Czy oni są bardzo biedni? – pytam Anę Kuyę.

– Nie tak bardzo jak inni.

– To dlaczego on nie kupi osiołka?

– Nie potrzebuje osła – odpowiada Ana Kuya. – Ma żonę.

– Ożenię się z Aliną – oznajmia Mal.

Wóz mija parę. Mężczyzna zdejmuje czapkę i wita się z nami wesoło.

Mal odkrzykuje mu radośnie, macha ręką i się uśmiecha, prawie podskakuje na swoim siedzeniu.

Oglądam się przez ramię i wyciągam szyję, żeby zobaczyć kobietę, która wlecze się za mężem. Tak naprawdę to dopiero dziewczyna, ale oczy ma stare i zmęczone.

Ana Kuya niczego nie przegapia.

– To czeka wiejskie dziewczyny, które nie zaznały dobroci diuka. Dlatego musisz być wdzięczna i każdego wieczoru modlić się za niego.

* * *

Brzęk łańcuchów.

Zmartwiona twarz Genyi.

– To, co jej robisz, nie jest bezpieczne.

– Nie mów mi, jak mam wykonywać swoją pracę – warczy Ivan.

Zmrocz odziany w czerń stoi w cieniu. Rytm morza pode mną. Zrozumienie uderza we mnie jak cios: Jesteśmy na statku.

Modlę się, żeby to był sen.

* * *

Znowu jestem na drodze do Keramzinu, patrzę na pochylony łeb kucyka, kiedy z trudem wspina się na wzgórze. Gdy się obracam, kobieta mozoląca się z ciężarem solnego bloku ma moją twarz. Baghra siedzi obok mnie na wozie.

– Wołowi ciąży jarzmo – mówi – ale czy ptakowi ciążą skrzydła?

Oczy ma czarne jak gagat. „Bądź wdzięczna", mówią. „Bądź wdzięczna". Strzela lejcami.

* * *

– Pij.

Ponownie bulion. Tym razem nie walczę. Nie chcę się znowu zadławić. Opadam na poduszkę, powieki mi się zamykają, znów odpływam. Jestem za słaba, żeby walczyć.

Dłoń na moim policzku.

– Mal – udaje mi się wychrypieć.

Dłoń się cofa.

Nicość.

* * *

– Obudź się. – Tym razem nie rozpoznaję głosu. – Wyprowadź ją z tego stanu.

Otwieram oczy, trzepocząc powiekami. Nadal śnię? Chłopiec pochyla się nade mną: rude włosy, złamany nos. Przypomina mi lisa przecherę, kolejną historyjkę Any Kui – lisa, który był dość sprytny, żeby wydostać się z jednej pułapki, ale za głupi, żeby zrozumieć, że nie ucieknie z drugiej. Obok niego stoi drugi chłopak, ale ten jest olbrzymi. Jeden z największych ludzi, jakich widziałam w swoim życiu. Ma złote skośne oczy jak mieszkaniec Shu Hanu.

– Alino – mówi lis.

Skąd zna moje imię?

Drzwi się otwierają i pojawia się jeszcze jedna obca twarz – dziewczyny o krótkich, ciemnych włosach i takich samych złotych oczach jak olbrzym.

– Idą – mówi.

Lis przeklina.

– Uśpij ją z powrotem. – Olbrzym podchodzi. Napływa ciemność.

– Nie, proszę...

Za późno. Ciemność już mnie pochłonęła.

* * *

Jestem dziewczyną, która wspina się na wzgórze. Błoto chlupie mi pod butami i plecy bolą od ciężaru soli. Kiedy myślę, że nie zrobię już następnego kroku, czuję, jak odrywam się od ziemi. Sól ześlizguje mi się z ramion i patrzę, jak blok roztrzaskuje się na drodze. Wznoszę się coraz wyżej. Pod sobą widzę wóz z kucykiem i trójkę pasażerów patrzących na mnie z rozdziawionymi ustami. Widzę swój cień przesuwający się po nich, po drodze i po

martwych zimowych polach, czarny kształt dziewczyny, którą coraz wyżej unoszą rozkładające się skrzydła.

* * *

Pierwsza rzecz, z której realności zdałam sobie sprawę, to kołysanie statku. Skrzypienie olinowania, chlupot wody o kadłub.

Kiedy spróbowałam się obrócić, ostrze bólu przeszyło moje ramię. Złapałam gwałtownie powietrze i poderwałam się, otwierając raptownie oczy, z sercem bijącym jak szalone. Całkowicie oprzytomniałam. Fala mdłości przetoczyła się przeze mnie i musiałam zamrugać, żeby zwalczyć gwiazdy, które rozbłysły mi przed oczami. Znajdowałam się w schludnej kajucie i leżałam na wąskiej koi. Światło słoneczne wlewało się przez iluminator.

Genya siedziała obok mnie na koi. Zatem nie przyśniła mi się. A może teraz śnię? Próbowałam pozbyć się pajęczyn z umysłu i w nagrodę zalała mnie kolejna fala mdłości. Nieprzyjemny zapach nie pomagał się uspokoić mojemu żołądkowi. Zmusiłam się do wzięcia długiego, rozdygotanego wdechu.

Genya miała na sobie czerwoną *keftę* haftowaną na niebiesko. Nigdy nie widziałam takiej kombinacji na żadnym griszy. Strój był brudny i podniszczony, ale włosy miała ułożone w nieskazitelne pukle i wyglądała piękniej od wszystkich królowych. Przysunęła cynowy kubek do moich ust.

– Pij – powiedziała.

– Co to? – zapytałam zmęczonym głosem.

– Zwykła woda.

Chciałam wziąć kubek z jej ręki i zdałam sobie sprawę, że mam skute ręce. Uniosłam je niezręcznie. Woda miała nijaki,

metaliczny posmak, ale zaschło mi w gardle. Wypiłam łyk, zakaszlałam i wypiłam resztę łapczywie.

– Powoli – ostrzegła, odgarniając mi włosy z twarzy – bo się pochorujesz.

– Jak długo? – zapytałam, zerkając na Ivana, który opierał się o drzwi i mnie obserwował. – Jak długo byłam nieprzytomna?

– Nieco ponad tydzień – odpowiedziała.

– Tydzień?!

Ogarnęła mnie panika. Przez tydzień Ivan spowalniał pracę mojego serca, żebym pozostała nieprzytomna.

Wstałam i krew napłynęła mi gwałtownie do głowy. Przewróciłabym się, gdyby Genya mnie nie przytrzymała. Zwalczyłam siłą woli zawroty głowy, odtrąciłam jej ręce i podeszłam do bulaju, żeby zerknąć przez zamglony krąg szyby. Nic. Nic, tylko niebieskie morze. Żadnego portu. Żadnego wybrzeża. Nowoziemie przepadło. Zwalczyłam łzy napływające mi do oczu.

– Gdzie jest Mal? – zapytałam. Kiedy nikt nie odpowiedział, odwróciłam się. – Gdzie jest Mal? – zapytałam Ivana.

– Zmrocz chce się z tobą zobaczyć – powiedział. – Jesteś dość silna, żeby pójść, czy będę musiał cię zanieść?

– Daj jej minutę – wtrąciła się Genya. – Niech coś zje, obmyje chociaż twarz.

– Nie. Zabierz mnie do niego.

Genya zmarszczyła brwi.

– Nic mi nie jest – upierałam się.

Tak naprawdę byłam słaba, zamroczona i przerażona. Nie zamierzałam jednak kłaść się z powrotem na koi i potrzebowałam wyjaśnień, nie jedzenia.

Kiedy wyszliśmy z kajuty, zalała nas fala smrodu – nie po prostu typowe dla statku zapachy wody z zęzy, ryb i ludzkich ciał, które pamiętałam z rejsu na pokładzie *Verrhadera*, ale coś

daleko gorszego. Zrobiło mi się niedobrze i musiałam zatkać usta ręką. Nagle ucieszyłam się, że nic nie jadłam.

– Co to?

– Krew, kość i wytopiony tłuszcz – odpowiedział Ivan. Znajdowaliśmy się na statku wielorybniczym. – Przywykniesz.

– Sam do tego przywyknij – odparła Genya, marszcząc nos.

Zaprowadzili mnie do luku, przez który wyszłam na pokład. Ivan wspiął się po drabinie, a ja pośpieszyłam za nim, pragnąc jak najszybciej wydostać się z ciemnych wnętrzności statku i uwolnić od smrodu zgnilizny. Trudno było wspinać się ze skutymi rękami i Ivan szybko stracił cierpliwość. Złapał mnie za nadgarstki, żeby wciągnąć mnie kilka ostatnich stóp. Łapczywie odetchnęłam chłodnym powietrzem i zamrugałam oślepiona światłem.

Statek wielorybniczy sunął ciężko pod pełnymi żaglami napędzanymi przez trójkę szkwalników, którzy stali przy masztach z uniesionymi rękami. Ich niebieskie *kefty* łopotały im wokół nóg. Eterycy z Zakonu Przywoływaczy. Raptem parę miesięcy temu byłam jedną z nich.

Załoga statku nosiła samodział, wielu ludzi chodziło boso dla lepszej przyczepności na śliskim pokładzie. Żadnych mundurów, zauważyłam. Nie byli żołnierzami, a statek nie miał żadnej bandery, która zdołałabym wypatrzyć.

Łatwo było dostrzec pozostałych griszów Zmrocza wśród załogi, nie tylko z powodu ich barwnych *keft*, ale ponieważ stali, nic nie robiąc, przy relingach, wpatrywali się w morze albo rozmawiali, podczas gdy żeglarze pracowali. Zobaczyłam nawet fabrykatora w fioletowej *kefcie*, który stał oparty o buchtę i czytał.

Kiedy mijaliśmy dwa potężne żeliwne kotły ustawione na pokładzie, poczułam ten sam smród, który był tak silny pod pokładem.

– Kotły do wytapiania tłuszczu – powiedziała Genya. – Nie korzystano z nich podczas tego rejsu, ale smród nigdy nie słabnie.

Griszowie i członkowie załogi odwracali się, żeby popatrzeć, kiedy szliśmy przez statek. Kiedy minęliśmy bezanmaszt, podniosłam wzrok i zobaczyłam ciemnowłosego chłopca i dziewczynę z mojego snu, którzy siedzieli wysoko nad nami. Przysiedli na olinowaniu jak drapieżne ptaki i obserwowali nas takimi samymi złotymi oczami.

Zatem to wcale nie był sen. Byli w mojej kajucie.

Ivan zaprowadził mnie na dziób okrętu, gdzie czekał Zmrocz. Stał do nas tyłem i wpatrywał się w niebieski horyzont za bukszprytem. Jego czarna *kefta* wydymała się wokół niego jak atramentowa chorągiew wojenna.

Genya i Ivan ukłonili się i zostawili nas samych.

– Gdzie jest Mal? – wychrypiałam; gardło nadal miałam wysuszone.

Zmrocz nie odwrócił się, ale pokręcił głową i powiedział:

– Przynajmniej jesteś przewidywalna.

– Przykro mi, że cię nudzę. Gdzie on jest?

– Skąd wiesz, że żyje?

Żołądek mi się zacisnął.

– Bo cię znam – odpowiedziałam z większym przekonaniem, niż to czułam.

– A gdyby nie żył? Rzuciłabyś się do morza?

– Nie, chyba że zdołałabym zabrać cię ze sobą. Gdzie on jest?

– Obejrzyj się.

Obróciłam się gwałtownie. Daleko na głównym pokładzie, poprzez plątaninę lin i żagli dostrzegłam Mala. Pilnowało go dwóch strażników-somatyków, ale wpatrywał się we mnie. Patrzył, czekał, aż się obrócę. Zrobiłam krok do przodu. I wtedy Zmrocz złapał mnie za rękę.

– Ani kroku dalej.

– Pozwól mi z nim porozmawiać – błagałam.

Nienawidziłam desperacji w moim głosie.

– W żadnym razie. Macie paskudny zwyczaj zachowywać się jak idioci i nazywać to bohaterstwem.

Zmrocz uniósł rękę i strażnicy zaczęli odciągać Mala.

– Alino! – krzyknął i jęknął, gdy jeden ze strażników wymierzył mu cios w twarz.

– Mal! – zawołałam, kiedy go wlekli pod pokład. – Mal!

Wyrwałam się z uścisku Zmrocza. Gardło zaciskało mi się z wściekłości.

– Jeśli go skrzywdzisz...

– Nie zrobię mu krzywdy – odrzekł. – W każdym razie dopóki jest przydatny.

– Nie chcę, żeby stała mu się krzywda.

– Na razie nic mu nie grozi. Ale nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości. Wystarczy jeden twój niewłaściwy krok, a on odczuje skutki. Jemu powiedziałem to samo.

Zacisnęłam powieki, starając się zapanować nad gniewem i poczuciem beznadziei. Znaleźliśmy się z powrotem w punkcie wyjścia. Skinęłam raz głową.

Zmrocz znowu pokręcił głową.

– Wy dwoje tak mi to ułatwiacie. Ukłuję jego, a ty krwawisz.

– A ty nie możesz tego w ogóle ogarnąć, co?

Wyciągnął rękę i popukał w obrożę Morozova, muskając palcami skórę na moim gardle. Nawet przelotny dotyk otworzył połączenie między nami i fala mocy zawibrowała we mnie, jakby ktoś uderzył w dzwon.

– Rozumiem dostatecznie dużo – odpowiedział cicho.

– Chcę się z nim widywać – zdołałam wykrztusić. – Codziennie. Chcę wiedzieć, że jest bezpieczny.

– Oczywiście. Nie jestem okrutny, Alino. Jedynie ostrożny.

Prawie się roześmiałam.

– To dlatego kazałeś swojemu potworowi mnie ugryźć?

– Nie dlatego – odpowiedział, patrząc spokojnie. Zerknął na moje ramię. – Boli?

– Nie – skłamałam.

Ledwie cień uśmiechu musnął jego usta.

– Z czasem będzie lepiej – powiedział – ale rana nigdy do końca się nie zagoi. Nawet z pomocą griszy.

– Te stwory...

– *Niczewoje*.

„Nic". Zadygotałam, przypominając sobie owadzie odgłosy, jakie wydawały, rozwarte dziury ich paszcz. Ramię mnie zabolało.

– Czym one są?

Wykrzywił usta. Delikatna siateczka blizn na jego twarzy była ledwie widoczna, jak duch mapy. Jedna przebiegała niebezpiecznie blisko prawego oka. Omal go nie stracił. Ujął w dłoń mój policzek, a kiedy się odezwał, mówił niemal czule:

– One? To dopiero początek.

I zostawił mnie na fordeku. Skóra płonęła mi od dotyku jego palców, w głowie kręciło się od pytań.

Nim miałam szansę zacząć je choćby porządkować, pojawił się Ivan i zaczął mnie ciągnąć przez pokład.

– Wolniej – zaprotestowałam, ale on tylko szarpnął mnie znowu za rękaw.

Potknęłam się i poleciałam do przodu. Uderzyłam boleśnie kolanami o pokład i w ostatniej chwili zdążyłam się oprzeć skutymi rękami. Skrzywiłam się, kiedy drzazga wbiła mi się w ciało.

– Ruszaj się! – rozkazał Ivan.

Z trudem podniosłam się na kolana. Szturchnął mnie czubkiem buta, przez co kolano wysunęło się spode mnie

i znowu padłam na pokład z głośnym hukiem.

– Powiedziałem: ruszaj się.

I wtedy wielka dłoń złapała mnie i delikatnie podniosła. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam olbrzyma i ciemnowłosą dziewczynę.

– Nic ci nie jest? – spytała.

– To nie twoja sprawa – rozzłościł się Ivan.

– Jest więźniem Sturmhonda – odpowiedziała dziewczyna. – I w związku z tym powinna być odpowiednio traktowana.

Sturmhond. To imię brzmiało znajomo. Czyżby to był jego statek? I jego załoga? Wspominano o nim na pokładzie *Verrhadera*. Był ravkańskim korsarzem i przemytnikiem, który zasłynął z tego, że przebił się przez fjerdańską blokadę i zbił fortunę na przejętych statkach wroga. Nie pływał jednak pod banderą z dwugłowym orłem.

– Ona jest więźniem Zmrocza – poprawił ją Ivan. – I zdrajczynią.

– Może na lądzie – odparła dziewczyna.

Ivan wybełkotał w języku shu coś, czego nie zrozumiałam. Olbrzym się tylko roześmiał.

– Mówisz w shu jak turysta.

– A my nie przyjmujemy rozkazów od ciebie w żadnym języku – dodała dziewczyna.

Ivan uśmiechnął się szyderczo.

– Czyżby? – Ręka mu drgnęła i dziewczyna złapała się za pierś, opadając na jedno kolano.

Nim zdążyłam mrugnąć, olbrzym trzymał już straszliwe, zakrzywione ostrze w ręku i atakował Ivana. Grisza leniwym ruchem machnął drugą ręką i olbrzym się skrzywił. Ale się nie wycofał.

– Zostaw ich w spokoju – zaprotestowałam, bezradnie szarpiąc skutymi rękami. Mogłam przywołać światło mimo

oków, ale nie mogłam go skupić.

Ivan udał, że mnie nie słyszy. Zacisnął rękę w pięść. Olbrzym zamarł i szabla wypadła mu z ręki. Pot zlał mu czoło, gdy Ivan wyciskał życie z jego serca.

– Lepiej, żebyście się nie zapędzali za daleko, *ye zho* – zakpił Ivan.

– Zabijesz go! – panikowałam. Uderzyłam go ramieniem w bok, próbując przewrócić.

W tej samej chwili rozległ się dwukrotny szczęk.

Ivan zamarł, a jego szyderczy uśmieszek zniknął. Stał za nim wysoki chłopiec mniej więcej w moim wieku, może kilka lat starszy, rudowłosy, ze złamanym nosem. Lis przechera.

Trzymał pistolet z odciągniętym kurkiem, którego lufę przycisnął do karku Ivana.

– Jestem uprzejmym gospodarzem, rzeźniku, ale każdy dom ma swoje zasady.

Gospodarz, pomyślałam. Zatem to musiał być Sturmhond. Wyglądał na zbyt młodego, żeby być kapitanem czegokolwiek.

Ivan opuścił ręce.

Olbrzym nabrał powietrza w płuca. Dziewczyna wstała, nadal ściskając pierś. Oboje ciężko dyszeli, a ich oczy płonęły nienawiścią.

– No, grzeczny chłopak – powiedział do Ivana Sturmhond. – Teraz zabierz więźnia do jej kajuty, a potem możesz odejść i zająć się... tym, czym się zajmujesz, kiedy wszyscy inni pracują.

Ivan się skrzywił.

– Nie myślę...

– Najwyraźniej. To po co zaczynać myśleć teraz?

Ivan zaczerwienił się z gniewu.

– Nie waż się...

Sturmhond pochylił się do niego i odezwał się bez cienia dotychczasowego śmiechu w głosie. Jego swobodę zastąpiło coś ostrego jak krawędź ostrza.

– Nie obchodzi mnie, kim jesteś na lądzie. Na tym statku jesteś jedynie balastem. Dopóki nie wyrzucę cię za burtę, bo wtedy będziesz przynętą na rekiny. A ja lubię rekiny. Mięso mają twarde, ale zawsze to jakaś odmiana. Pamiętaj o tym, kiedy następnym razem przyjdzie ci do głowy grozić komuś na tym statku. – Odsunął się i powróciła jego dobroduszność. – A teraz zmykaj, przynęto na rekiny. Wracaj do swojego pana.

– Nie zapomnę ci tego, Sturmhond – warknął Ivan.

Kapitan przewrócił oczami.

– O to mi właśnie chodziło.

Ivan odwrócił się na pięcie i odszedł wściekły.

Sturmhond schował broń i uśmiechnął się przyjaźnie.

– To niesamowite, jak szybko na statku zaczyna się robić tłoczno, prawda? – Poklepał olbrzyma i dziewczynę po ramionach. – Świetnie się spisaliście – dodał cicho.

Nadal patrzyli na Ivana. Dziewczyna cały czas zaciskała pięści.

– Nie chcę żadnych kłopotów – ostrzegł ich kapitan. – Jasne?

Spojrzeli po sobie i niechętnie skinęli głowami.

– Świetnie – powiedział Sturmhond. – Wracajcie do pracy. Ja zaprowadzę ją pod pokład.

Znowu skinęli głowami. A potem, ku mojemu zaskoczeniu, oboje skłonili się przede mną, zanim odeszli.

– Spokrewnieni? – spytałam, patrząc za nimi.

– Bliźnięta. Tolya i Tamar.

– A ty jesteś Sturmhond.

– Kiedy mam dobry dzień – odpowiedział.

Nosił skórzane spodnie, pas z pistoletami na biodrach, turkusowy surdut z wielkimi mankietami i jarmarcznymi

złotymi guzikami. Pasował do sali balowej albo sceny operowej, a nie do pokładu statku.

– Co pirat robi na statku wielorybniczym? – zapytałam.

– Korsarz – poprawił mnie. – Mam kilka statków. Zmrocz chciał wielorybniczy, to taki mu załatwiłem.

– To znaczy ukradłeś.

– Nabyłem.

– Byłeś w mojej kajucie.

– Wiele kobiet o mnie śni – odpowiedział beztrosko, prowadząc mnie pod pokład.

– Widziałam cię, kiedy się obudziłam – upierałam się. – Muszę...

Uniósł rękę.

– Nie marnuj oddechu, ślicznotko.

– Ale nawet nie wiesz, co chcę powiedzieć.

– Zaraz zaczniesz mi przedstawiać swoje trudne położenie, powiesz, że potrzebujesz mojej pomocy, że nie możesz mi zapłacić, ale masz szczere serce i tak dalej, stara śpiewka.

Zaskoczona wytrzeszczyłam oczy. Właśnie to zamierzałam zrobić.

– Ale...

– Strata czasu, marnowanie oddechu i pięknego popołudnia. Nie lubię, kiedy źle się traktuje więźniów, ale bardziej nie zamierzam się angażować.

– Ty...

Pokręcił głową.

– Jestem całkowicie odporny na opowieści o niedoli, zatem jeśli w twojej historii nie ma gadającego psa, to nie chcę jej słyszeć. Nie ma?

– Czego?

– Gadającego psa.

– Nie – warknęłam. – Dotyczy przyszłości królestwa i wszystkich jego mieszkańców.

– Szkoda – odrzekł i wziął mnie za rękę, prowadząc do luku.

– Myślałam, że pracujesz dla Ravki – dodałam gniewnie.

– Pracuję dla najcięższej sakiewki.

– Zatem sprzedałbyś swój kraj Zmroczowi za trochę złota?

– Nie, za mnóstwo złota. Zapewniam cię, nie jestem tani. – Wskazał luk. – Pani przodem.

Z pomocą Sturmhonda wróciłam do kajuty, gdzie dwóch strażników-griszów czekało, żeby mnie zamknąć. Kapitan ukłonił się i wyszedł bez słowa.

Usiadłam na koi, opierając głowę na rękach. Sturmhond mógł udawać głupca, ale wiedziałam, że był w mojej kajucie i musiał mieć ku temu powód. A może czepiałam się każdej drobinki nadziei.

Kiedy Genya przyniosła tacę z kolacją, leżałam zwinięta na koi twarzą do ściany.

– Powinnaś coś zjeść – powiedziała.

– Zostaw mnie w spokoju.

– Od fochów robią się zmarszczki.

– A od kłamania brodawki – odparłam kwaśno.

Roześmiała się, a potem weszła do kajuty i postawiła tacę. Podeszła do iluminatora i zerknęła na swoje odbicie w szybie.

– Może powinnam zrobić się na blond. Czerwień somatyka potwornie gryzie się z kolorem moich włosów.

Zerknęłam przez ramię.

– Wiesz, że mogłabyś oblepić włosy wysuszonym błotem, a i tak przyćmiłabyś urodą wszystkie dziewczyny na obu kontynentach.

– Fakt – odpowiedziała, szczerząc zęby w uśmiechu.

Nie odwzajemniłam uśmiechu. Westchnęła i spuściła wzrok na czubki butów.

– Brakowało mi ciebie – powiedziała.

Zdziwiło mnie, jak bardzo te słowa zabolały. Ja również za nią tęskniłam. I czułam się jak idiotka z tego powodu.

– Czy kiedykolwiek byłaś moją przyjaciółką? – zapytałam.

Usiadła na brzegu mojej koi.

– A to ma jakieś znaczenie?

– Chcę wiedzieć, jak bardzo byłam głupia.

– Uwielbiałam być twoją przyjaciółką. I przykro mi z powodu tego, co zrobiłam.

– A z powodu tego, co zrobił Zmrocz? Też jest ci przykro?

– Wiem, że uważasz go za potwora, ale on stara się robić to, co dobre dla Ravki, dla nas wszystkich.

Uniosłam się na łokciach. Żyłam ze świadomością kłamstw Zmrocza tak długo, że łatwo zapominałam, jak niewielu ludzi naprawdę go zna.

– Genyu, to on stworzył Fałdę.

– To Czarny Heretyk...

– Nie ma żadnego Czarnego Heretyka – przerwałam jej i powiedziałam prawdę, jaką wyjawiła mi Baghra wiele miesięcy temu w Małym Pałacu. – Zrzucił winę za Fałdę na swojego przodka, ale istniał tylko jeden Zmrocz. Jemu chodzi wyłącznie o władzę.

– To niemożliwe. Zmrocz całe życie próbował uwolnić Ravkę od Fałdy.

– Jak możesz to mówić po tym, co zrobił z Novokribirskiem? Posłużył się mocą Niemorza, żeby zniszczyć całe miasto. Był to pokaz siły, który miał przerazić jego wrogów i zapoczątkować jego rządy. To stało się możliwe dzięki mnie.

– Wiem, że doszło... do incydentu.

– Incydentu? Zabił setki ludzi, może tysiące.

– A co z ludźmi na piaskołodzi? – zapytała cicho.

Odetchnęłam gwałtownie i opadłam na łóżko. Przez długą chwilę wpatrywałam się w deski nade mną. Nie chciałam pytać, ale wiedziałam, że to zrobię. To pytanie prześladowało mnie przez długie tygodnie i wiele mil morza.

– Czy ktoś... Czy ktoś jeszcze ocalał?

– Poza Ivanem i Zmroczem?

Skinęłam głową, czekając na odpowiedź.

– Dwóch piekielników, którzy pomogli im uciec. Wróciło też paru żołnierzy z Pierwszej Armii. Szkwalniczka imieniem Natalia też się wydostała, ale zmarła kilka dni później z powodu odniesionych ran.

Zamknęłam oczy. Ilu ludzi było na pokładzie piaskołodzi? Trzydziestu? Czterdziestu? Zrobiło mi się niedobrze. Słyszałam ich krzyki, wycie volcr. Czułam zapach prochu i krwi. Poświęciłam tych ludzi, żeby ocalić życie Malowi, żeby odzyskać wolność, i ostatecznie okazało się, że zginęli na darmo. Znowu znajdowaliśmy się w rękach Zmrocza, który był potężniejszy niż dotąd.

Genya położyła rękę na mojej dłoni.

– Zrobiłaś to, co musiałaś.

Zaśmiałam się chrapliwie i zabrałam rękę.

– To ci właśnie powtarza Zmrocz? Dzięki temu jest ci łatwiej?

– Nie, nie całkiem. – Spuściła wzrok na kolana. Bawiła się fałdami *kefty*. – On mnie uwolnił, Alino. Co mam zrobić? Uciec z powrotem do pałacu? Do króla? – Pokręciła stanowczo głową. – Nie. Podjęłam decyzję.

– A co z pozostałymi griszami? Nie mogą wszyscy stać po stronie Zmrocza. Ilu zostało w Ravce?

Genya zesztywniała.

– Raczej nie powinnam rozmawiać z tobą na ten temat.

– Genyu...

– Jedz. Spróbuj odpocząć. Niedługo znajdziemy się na lodzie.

Lód. Nie płynęliśmy z powrotem do Ravki. Musieliśmy kierować się na północ.

Wstała i strzepnęła kurz z *kefty*. Mogła żartować na temat koloru, ale wiedziałam, ile ta szata dla niej znaczy. Dowodziła, że naprawdę jest griszą, kimś chronionym i faworyzowanym, a nie służącą. Przypomniałam sobie o tajemniczej chorobie, która osłabiła króla tuż przed zamachem stanu Zmrocza. Genya była jednym z nielicznych griszów mających dostęp do rodziny królewskiej. Wykorzystała ten dostęp, żeby zasłużyć na prawo noszenia czerwieni.

– Genyu – powiedziałam, kiedy doszła do drzwi. – Jeszcze jedno pytanie.

Zatrzymała się z ręką na klamce.

Pytanie sprawiało wrażenie mało ważnego, tak niemądrego po czasie, jaki upłynął. Jednak ta sprawa dręczyła mnie dość długo.

– Listy, które pisałam do Mala w Małym Pałacu... Powiedział, że nigdy żadnego nie dostał.

Nie odwróciła się do mnie, ale zauważyłam, że się przygarbiła.

– Nigdy ich nie wysłano – szepnęła. – Zmrocz powiedział, że musisz zostawić za sobą dawne życie.

Zamknęła drzwi, a ja usłyszałam przesuwaną zasuwę.

Tyle godzin spędziłam na rozmowach i żartach z Genyą, pijąc z nią herbatę i przymierzając sukienki. A ona cały czas mnie okłamywała. Najgorsze w tym było to, że Zmrocz miał rację. Gdybym trzymała się Mala i wspomnienia mojej miłości do niego, nigdy nie opanowałabym swojej mocy. Tyle że Genya tego nie wiedziała. Wykonywała rozkazy i pozwoliła, żeby złamano mi serce. Nie wiedziałam, jak to nazwać, ale z pewnością nie była to przyjaźń.

Obróciłam się na bok. Czułam delikatne kołysanie statku. To tak właśnie czuje się dziecko, kiedy matka kołysze je do snu? Nie pamiętałam. Ana Kuya nuciła czasem pod nosem, kiedy przychodziła wieczorem gasić lampy w dormitoriach w Keramzinie. To był najbliższy odpowiednik kołysanki, jaki poznaliśmy z Malem.

Gdzieś na górze żeglarz zawołał, przekrzykując wiatr. Rozległ się dźwięk dzwonu, sygnalizujący zmianę wachty. Żyjemy, powiedziałam sobie. Już raz mu uciekliśmy. Uciekniemy po raz drugi. Jednak to nie wystarczyło i w końcu uległam łzom. Sturmhonda można było kupić. Genya wybrała Zmrocza. Byliśmy z Malem sami, jak zawsze, bez przyjaciół czy sojuszników, otoczeni tylko przez bezlitosne morze. Tym razem, nawet gdybyśmy uciekli, nie mielibyśmy dokąd się udać.



Niecały tydzień później dostrzegłam pierwszą krę lodową. Znajdowaliśmy się daleko na północy, gdzie morze pociemniało i lód rozkwitał w jego głębinach, tworząc niebezpieczne szpikulce. Chociaż był początek lata, wiatr ziębił nam skórę. Rankami liny sztywniały od szronu.

Godzinami krążyłam po kajucie i wpatrywałam się w nieskończone morze. Każdego ranka wyprowadzano mnie na pokład, gdzie mogłam rozprostować nogi i zobaczyć z daleka Mala. Zmrocz zawsze stał przy relingu i wpatrywał się w horyzont, szukając czegoś. Sturmhond i jego załoga trzymali się z dala od niego.

Siódmego dnia przepłynęliśmy między dwiema skalistymi wyspami, które – jako dawny kartograf – rozpoznałam: Jelka i Vilki, Widelec i Nóż. Wkroczyliśmy na Kościaną Drogę, długie pasmo czarnych wód, gdzie niezliczone statki rozbijały się

o rozmaite bezimienne wyspy, które wyłaniały się z mgły i w niej znikały. Na mapach miejsce to oznaczano czaszkami żeglarzy, potworami o szeroko rozwartych paszczach, syrenami o lodowobiałych włosach i czarnych, bezdennych foczych oczach. Tylko najbardziej doświadczeni fjerdańscy myśliwi zapuszczali się tutaj w poszukiwaniu skór i futer, narażając się na śmierć dla potencjalnych bogactw. Jakiej zdobyczy my szukaliśmy?

Sturmhond rozkazał zrefować żagle i zwolniliśmy, dryfując wśród mgły. Niespokojna cisza zaległa na statku. Przyglądałam się szalupom wielorybnika, stojakom z harpunami ze stali griszów. Łatwo było zgadnąć, czego szukają. Zmrocz polował na jakiś amplifikator. Przyjrzałam się szeregom griszów i zastanawiałam się, kto otrzyma kolejny „podarunek" od Zmrocza. Przy tym wszystkim dręczyło mnie straszliwe podejrzenie.

To szaleństwo, powiedziałam sobie. Nie ośmieliłby się. Jednak te myśli nieszczególnie mnie pocieszały. Śmiałości nigdy mu nie brakowało.

* * *

Następnego dnia Zmrocz rozkazał, by przyprowadzono mnie do niego.

– Dla kogo to będzie? – spytałam, kiedy Ivan odstawił mnie pod reling na sterburcie.

Zmrocz wpatrywał się tylko w fale. Zastanawiałam się, czy nie wypchnąć go za burtę. Pewnie, że miał setki lat, ale czy potrafił pływać?

– Powiedz, że nie rozważasz tego, o czym, jak podejrzewam, myślisz – dodałam. – Powiedz mi, że amplifikator będzie dla jakieś innej głupiej, łatwowiernej dziewczyny.

– Mniej upartej? Mniej samolubnej? Która mniej pragnie życia szarej myszki? Uwierz mi, sam chciałbym tego.

Zrobiło mi się niedobrze.

– Ale grisza może mieć tylko jeden amplifikator. Sam mi to powiedziałeś.

– Amplifikatory Morozova to co innego.

Wytrzeszczyłam oczy.

– Jest jeszcze jeden? Taki jak jeleń?

– Pomyślano je tak, żeby posługiwać się nimi jednocześnie. Są jedyne w swoim rodzaju, tak jak my dwoje.

Pomyślałam o książkach, jakie czytałam na temat teorii griszów. W każdej napisano to samo: moc griszów nie może być mocą nieograniczoną. Trzeba ją kontrolować.

– Nie. Nie chcę tego. Chcę...

– Ty chcesz – zakpił Zmrocz. – A ja chcę, żebyś patrzyła, jak twój tropiciel umiera powoli z moim nożem w sercu. Chcę, żeby morze pochłonęło was oboje. Niestety nasze losy są ze sobą splecione, Alino, i żadne z nas nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia.

– Oszalałeś.

– Wiem, że lubisz tak myśleć, ale amplifikatory trzeba połączyć. Jeżeli chcemy mieć nadzieję na kontrolę nad Fałdą...

– Nie da się zapanować nad Fałdą. Trzeba ją zniszczyć.

– Uważaj, Alino – powiedział z uśmieszkiem – to samo myślałem na twój temat. – Machnął na Ivana, który czekał, zachowując pełen szacunku dystans. – Przyprowadź mi chłopaka.

Serce podeszło mi do gardła.

– Czekaj! Powiedziałeś mi, że go nie skrzywdzisz.

Udał, że mnie nie słyszy. Jak ostatnia idiotka rozejrzałam się. Zupełnie jakby ktoś na tym zapomnianym przez świętych

statku mógł zareagować na moje błagania. Sturmhond stał za kołem sterowym i obserwował nas z beznamiętną twarzą.

Złapałam Zmrocza za rękaw.

– Zawarliśmy umowę. Niczego nie zrobiłam. Powiedziałeś...

Zmrocz spojrzał na mnie oczami zimnymi jak kwarc i słowa zamarły mi na wargach.

Chwilę potem Ivan zjawił się z Malem, którego odstawił pod reling. Mal stał przed nami, mrużąc oczy od słońca. Miał związane ręce. Od tygodni nie znajdowaliśmy się tak blisko siebie. Chociaż wyglądał na zmęczonego i był blady, nie sprawiał wrażenia, jakby działa mu się jakaś krzywda. Widziałam pytanie w jego nieufnej minie, ale nie znałam odpowiedzi.

– No dobrze, tropicielu – powiedział Zmrocz. – Trop.

Mal zerknął na Zmrocza, a potem znowu na mnie.

– Co mam tropić? Jesteśmy na środku morza.

– Alina powiedziała mi kiedyś, że potrafisz znaleźć królika, choćby ten zmienił się w kamień. Osobiście przesłuchałem załogę *Verrhadera* i wiem, że uważali, że równie dobrze radzisz sobie na morzu. Ich zdaniem, dzięki swoim umiejętnościom uczyniłbyś jakiegoś fartownego kapitana bardzo bogatym człowiekiem.

Mal zmarszczył brwi.

– Chcesz, żebym tropił wieloryby?

– Nie. Chcę, żebyś wytropił morski bicz.

Spojrzeliśmy na niego zaszokowani. Prawie się roześmiałam.

– Szukasz smoka? – zapytał z niedowierzaniem Mal.

– Lodowego smoka. *Rusalie*.

Rusalie. W bajkach morski bicz to zaklęty książę, który został zmuszony przyjąć kształt morskiego węża i strzec lodowatych wód Kościanej Drogi. To miał być drugi amplifikator Morozova?

– To bajka – odpowiedział Mal, wyrażając moje własne myśli. – Historyjka dla dzieci. To stworzenie nie istnieje.

– Od lat ludzie mówią, że widywali morskiego bicza na tych wodach – odrzekł Zmrocz.

– Tak samo jak syreny i białe selkie. To mit.

Zmrocz uniósł brew.

– Tak samo jak jeleń?

Mal zerknął na mnie. Pokręcił ledwie widocznie głową. Cokolwiek Zmrocz planował, my mu w tym nie pomożemy.

Mal zerknął na fale.

– Nawet nie wiedziałbym, od czego zacząć.

– Przez wzgląd na nią mam nadzieję, że to nie jest prawda. – Zmrocz wyciągnął wąski nóż spomiędzy fałd *kefty*. – Bo każdego dnia, jeśli nie znajdziemy morskiego bicza, odkroję jej kawałek skóry, powoli. A potem Ivan ją wyleczy i następnego dnia zaczniemy od początku.

Krew odpłynęła mi z twarzy.

– Nie skrzywdzisz jej – powiedział Mal, ale słyszałam strach w jego głosie.

– Nie chcę jej skrzywdzić – powiedział Zmrocz. – Chcę, żebyś zrobił, co ci każę.

– Potrzebowałem wielu miesięcy, żeby znaleźć jelenia – rozpaczał Mal. – Nadal nie wiem, jak nam się udało.

Sturmhond podszedł do nas. Byłam tak skupiona na Malu i Zmroczu, że prawie o nim zapomniałam.

– Żadna dziewczyna nie będzie torturowana na moim statku – oznajmił.

Zmrocz rzucił mu zimne spojrzenie.

– Pracujesz dla mnie, Sturmhond. Wykonasz swoje zadanie albo otrzymanie zapłaty będzie najmniejszym z twoich zmartwień.

Paskudna fala niepokoju przebiegła przez statek. Ludzie Sturmhonda obrzucali spojrzeniami griszów, a ich miny nie były przyjazne. Genya przycisnęła dłoń do ust, ale nie odezwała się ani słowem.

– Daj tropicielowi trochę czasu – odezwał się cicho Sturmhond. – Tydzień. Przynajmniej kilka dni.

Zmrocz przesunął palcami po mojej ręce, odsuwając rękaw i odsłaniając nagą, białą skórę.

– Mam zacząć od jej ręki? – zapytał. Wypuścił rękaw i przesunął knykciami po moim policzku. – Czy od twarzy? – Skinął na Ivana. – Przytrzymaj ją.

Ivan złapał mnie za głowę. Zmrocz uniósł nóż. Dostrzegłam jego błysk kątem oka. Próbowałam się odsunąć, ale Ivan trzymał mnie mocno. Ostrze dotknęło mojego policzka. Z przerażeniem zaczerpnęłam głęboko tchu.

– Przestań! – krzyknął Mal.

Zmrocz poczekał.

– Mogę... mogę to zrobić.

– Mal, nie – zaprotestowałam z większą odwagą, niż to czułam.

Mal przełknął ślinę i powiedział:

– Popłyń, halsując na południowy zachód. Z powrotem drogą, którą przypłynęliśmy.

Stałam całkiem nieruchomo. Czyżby coś widział? Czy po prostu próbował mnie ratować?

Zmrocz przekrzywił głowę i przyjrzał się Malowi.

– Myślę, że masz dość oleju w głowie, żeby ze mną nie pogrywać.

Mal zdecydowanie pokiwał głową.

– Dam radę. Znajdę go. Tylko... tylko daj mi trochę czasu.

Zmrocz schował nóż do pochwy. Wypuściłam powoli powietrze z płuc i próbowałam powstrzymać drżenie.

– Masz tydzień – zapowiedział Zmrocz, odwracając się i znikając w luku. – Przyprowadź ją! – zawołał do Ivana.

– Mal… – zaczęłam, kiedy Ivan chwycił moją rękę.

Mal wyciągnął do mnie skrępowane ręce. Musnął mnie przelotnie palcami, ale Ivan już odciągał mnie w stronę luku.

Myślałam gorączkowo, kiedy schodziliśmy w wilgotne trzewia statku. Potykałam się za Ivanem, próbując ogarnąć to, co przed chwilą się wydarzyło.

Zmrocz powiedział, że nie skrzywdzi Mala, dopóki go potrzebuje. Zakładałam, że zamierza wykorzystywać go, żeby trzymać mnie w ryzach, ale teraz stało się jasne, że chodzi o coś więcej. Czy Mal naprawdę myślał, że zdoła znaleźć morski bicz, czy też grał na zwłokę ze względu na mnie? Nie bardzo wiedziałam, co chcę, żeby było prawdą. Nie bawiła mnie myśl o torturach, ale co będzie, jeśli znajdziemy lodowego smoka? Co może oznaczać drugi amplifikator?

Ivan wciągnął mnie do przestronnej kajuty, która wyglądała na lokum kapitana. Sturmhond musiał upchnąć się gdzieś razem z resztą załogi. Łóżko ustawiono w jednym kącie, w głęboko zakrzywionej ścianie na rufie znajdował się rząd okienek o grubych szybach. Wodniste światło wpadało przez nie na biurko, przy którym siedział sam Zmrocz.

Ivan ukłonił się i wyszedł pośpiesznie z kajuty, zamykając za sobą drzwi.

– Nie może się doczekać, żeby od ciebie uciec – zauważyłam, zatrzymując się przy drzwiach. – Boi się tego, czym się stałeś. Jak oni wszyscy.

– A ty się mnie boisz?

– Tego właśnie chcesz, co?

Zmrocz wzruszył ramionami.

– Strach to potężny sojusznik. I wierny.

Patrzył na mnie w ten chłodny, oceniający sposób, przez który zawsze czułam, że czyta we mnie, jakbym była słowami na stronicy. Jego palce przesuwały się po tekście, zbierając tajemną wiedzę, której mogłam się tylko domyślać. Starałam się nie wiercić, ale okowy na rękach wrzynały mi się w nadgarstki.

– Chciałbym cię uwolnić – powiedział cicho.

– Uwolnić mnie albo obedrzeć ze skóry, jest tyle możliwości. – Nadal czułam nacisk noża na policzku.

Westchnął.

– To była groźba. I osiągnęła swój cel.

– Czyli nie wbiłbyś noża?

– Tego nie powiedziałem. – Mówił uprzejmym, rzeczowym tonem, jak zawsze. Równie dobrze mógłby grozić, że mnie potnie, jak zamawiać kolację.

W słabym świetle ledwie dostrzegałam zarys jego blizn. Wiedziałam, że powinnam milczeć, zmusić go, żeby pierwszy się odezwał, ale moja ciekawość była zbyt duża.

– Jak przeżyłeś?

Przesunął ręką po ostrej linii żuchwy.

– Najwyraźniej volcrom nie posmakowało moje ciało – odpowiedział niemal od niechcenia. – Zauważyłaś, że nie żerują na sobie nawzajem?

Zadygotałam. Były jego tworem, tak samo jak stwór, który zatopił zęby w moim ramieniu. Skóra nadal mi tam pulsowała.

– Podobieństwa się przyciągają.

– Nie jest to doświadczenie, które pragnąłbym powtórzyć. Dość już zaznałem litości volcr. I twojej.

Przeszłam przez pokój i stanęłam przed biurkiem.

– To czemu chcesz mi dać drugi amplifikator? – dopytywałam się desperacko, szukając jakiegokolwiek argumentu, który przemówi mu do rozsądku. – Na wypadek gdybyś zapomniał, próbowałam cię zabić.

– I nie udało ci się.

– Zawsze może być druga szansa. Czemu chcesz mnie wzmocnić?

Znowu wzruszył ramionami.

– Bez amplifikatorów Morozova Ravka zginie. Tobie pisane było je dostać, a mnie pisane było władać. Inaczej być nie może.

– Bardzo to dla ciebie dogodne.

Odchylił się i skrzyżował ręce.

– Mogę o tobie powiedzieć wszystko, ale nie to, że byłaś dla mnie dogodna.

– Nie można łączyć amplifikatorów. Wszystkie książki mówią to samo...

– Nie wszystkie.

Chciało mi się krzyczeć z frustracji.

– Baghra mnie ostrzegała. Powiedziała, że jesteś arogancki, zaślepiony przez ambicję.

– Doprawdy? – Głos miał jak lód. – Jakie jeszcze zdradzieckie słowa wyszeptała ci do ucha?

– Że cię kochała – odpowiedziałam gniewnie. – Że wierzyła, że można cię uratować.

Wtedy odwrócił wzrok, ale zdążyłam dostrzec rozbłysk bólu na jego twarzy. Co jej zrobił? Ile to go kosztowało?

– Odkupienie – mruknął. – Zbawienie. Pokuta. Staroświeckie pomysły mojej matki. Może powinienem był uważniej jej słuchać. – Sięgnął do biurka i wyjął cienki czerwony tomik. Podniósł go i światło zalśniło w złotych literach na okładce: *Istorii Sanktia*. – Wiesz, co to jest?

Zmarszczyłam brwi. „Żywoty Świętych”. Powróciło do mnie mgliste wspomnienie. Apparat podarował mi egzemplarz tej księgi wiele miesięcy temu w Małym Pałacu. Wrzuciłam go do szuflady toaletki i nigdy więcej nawet o nim nie pomyślałam.

– Książka dla dzieci.

– Czytałaś ją?

– Nie – przyznałam się, żałując, że jej nie przeczytałam.

Zmrocz przyglądał mi się uważnie. Co mogło być tak ważnego w starym zbiorze religijnych rysunków?

– Przesądy – powiedział, zerkając na okładkę. – Chłopska propaganda. A przynajmniej tak myślałem. Morozov był dziwnym człowiekiem. Trochę podobnym do ciebie. Pociągali go zwykli i słabi ludzie.

– Mal nie jest słaby.

– Ma talent, to pewne, ale nie jest griszą. Nigdy nie będzie ci równy.

– Jest mi równy, a nawet więcej – warknęłam.

Zmrocz pokręcił głową. Gdybym nie znała go lepiej, mogłabym omyłkowo wziąć to za wyraz litości.

– Myślisz, że znalazłaś w nim rodzinę. Myślisz, że znalazłaś w nim przyszłość. Ale ty będziesz coraz potężniejsza, a on coraz starszy. On przeżyje krótkie życie *otkazat´sia*, a ty będziesz patrzeć, jak umiera.

– Zamknij się.

Uśmiechnął się.

– No śmiało, tupnij, walcz ze swoją prawdziwą naturą, a tymczasem twój kraj cierpi.

– Przez ciebie!

– Ponieważ zaufałem dziewczynie, która nie może znieść myśli o własnym potencjale. – Wstał i obszedł biurko. Mimo gniewu cofnęłam się i wpadłam na stojące za mną krzesło. – Wiem, co czujesz, kiedy jesteś ze swoim tropicielem.

– Wątpię.

Machnął lekceważąco ręką.

– Nie, nie mówię o tym absurdalnym zadurzeniu, z którego w końcu wyrośniesz. Znam prawdę, którą skrywasz w głębi

serca. Samotność. Rosnąca świadomość swojej inności. – Pochylił się bliżej. – Ból, jaki to rodzi.

Próbowałam ukryć szok, jaki mnie ogarnął, gdy rozpoznałam te uczucia.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – wybąkałam, ale słowa zabrzmiały fałszywie nawet w moich własnych uszach.

– To nigdy nie minie. Będzie tylko się pogłębiać, bez względu na to, za iloma szalikami się schowasz, jakie będziesz rozpowiadać kłamstwa, bez względu na to, jak daleko i szybko będziesz uciekać.

Próbowałam się odwrócić, ale złapał mnie za podbródek i zmusił, żebym na niego spojrzała.

– Nie ma nikogo takiego jak my, Alino – szepnął. – I nigdy nie będzie.

Wyszarpnęłam się gwałtownie, przewracając krzesło, i prawie straciłam równowagę. Zaczęłam dobijać się do drzwi skutymi rękami, wołając Ivana, a Zmrocz patrzył. Ivan nie zareagował, dopóki Zmrocz nie wydał mu rozkazu.

Jak przez mgłę zarejestrowałam rękę Ivana na plecach, smród korytarza, przepuszczającego nas żeglarza, a potem ciszę własnej ciasnej kajuty, zamykające się za mną drzwi, koję, szorstki materiał, kiedy przycisnęłam twarz do przykrycia. Drżałam, próbując pozbyć się z głowy słów Zmrocza. Śmierć Mala. Długie życie przede mną. Ból inności, który nigdy nie minie. Każdy lęk zatopił głęboko w moim sercu szpon z zadziorami.

Wiedziałam, że Zmrocz jest zręcznym kłamcą. Potrafił odegrać każdą emocję, wykorzystać ludzkie słabości. Nie mogłam jednak zaprzeczyć temu, co czułam w Nowoziemiu, ani prawdziwości tego, co ukazał mi Zmrocz: własnemu smutkowi i tęsknocie, których odbicie widziałam w jego ponurych szarych oczach.

* * *

Atmosfera na statku wielorybniczym się zmieniła. Załoga była coraz bardziej niespokojna i czujna; znieważenie kapitana nadal było świeże w pamięci żeglarzy. Griszowie szemrali między sobą, wycieńczeni nerwowo powolnym rejsem przez wody Kościanej Drogi.

Każdego dnia Zmrocz kazał wyprowadzać mnie na pokład, żebym stała obok niego na dziobie. Mala pilnie strzeżono na drugim końcu statku. Czasem słyszałam, jak wykrzykuje kurs do Sturmhonda albo wskazuje coś, co wyglądało jak głębokie rysy poniżej linii wodnej na lodowym szelfie, który mijaliśmy.

Przyglądałam się badawczo tym nierównym wyżłobieniom. Mogły być śladami pazurów. I mogły być niczym. Mimo wszystko widziałam na Cybei, co Mal potrafi. Kiedy tropiliśmy jelenia, pokazywał mi połamane gałązki, podeptaną trawę, znaki, które wydawały się oczywiste, gdy już mi je wskazał, ale które chwilę wcześniej były niewidzialne. Załoga była sceptyczna, a griszowie nie kryli pogardy.

O zmierzchu, kiedy mijał kolejny dzień, Zmrocz kazał przeprowadzić mnie przez pokład do luku przed nosem Mala. Nie wolno nam było rozmawiać. Próbowałam pochwycić jego spojrzenie, powiedzieć mu bez słów, że nic mi nie jest, ale widziałam, jak rosną jego gniew i desperacja. Nie mogłam w żaden sposób podnieść go na duchu.

Raz, kiedy potknęłam się przy luku, Zmrocz złapał mnie i przytrzymał. Mógł mnie puścić, ale nie zrobił tego od razu, dopóki się nie odsunęłam. Musnął mnie dłonią po krzyżu.

Mal rzucił się do przodu i tylko pilnujący go griszowie powstrzymali go przed zaatakowaniem Zmrocza.

– Jeszcze trzy dni, tropicielu.

– Zostaw ją w spokoju – warknął Mal.

– Dotrzymałem swojej części umowy. Nadal nic jej nie jest. Ale może nie tego się obawiasz?

Mal wyglądał, jakby nerwy mogły mu puścić w każdej chwili. Twarz miał bladą, usta zaciśnięte, mięśnie w rękach napięte, kiedy szarpał się w więzach. Nie mogłam tego znieść.

– Nic mi nie jest – szepnęłam cicho, ryzykując karę w postaci ciosu nożem. – Nie może mnie zranić.

Kłamałam, ale miło było wypowiedzieć te słowa.

Zmrocz patrzył to na mnie, to na Mala, a ja dostrzegłam w nim ponurą, rozwartą otchłań.

– Nie martw się, tropicielu. Dowiesz się, kiedy umowa zostanie zerwana. – Pchnął mnie pod pokład, ale wcześniej usłyszałam jego pożegnalne słowa skierowane do Mala: – Dopilnuję, żebyś usłyszał, kiedy doprowadzę ją do krzyku.

* * *

Tydzień mijał. Szóstego dnia Genya obudziła mnie wcześnie. Kiedy zbierałam myśli, zdałam sobie sprawę, że dopiero nastał świt. Przeszył mnie strach. Może Zmrocz postanowił przyśpieszyć egzekucję i wypełnić swoje groźby.

Jednakże Genya promieniała.

– Znalazł coś! – piała z zachwytu, podskakując i prawie tańcząc, kiedy pomagała mi wstać z koi. – Tropiciel mówi, że jesteśmy blisko!

– On ma na imię Mal – mruknęłam, odsuwając się od niej.

Zignorowałam jej zbolałe spojrzenie.

Czy to możliwe? – zastanawiałam się, kiedy Genya prowadziła mnie na pokład. Czy też Mal miał nadzieję, że zapewni mi trochę więcej czasu?

Wyszłyśmy na słabe szare światło wczesnego poranka. Na pokładzie tłoczyli się wpatrujący się w wodę griszowie, podczas

gdy szkwalnicy pracowali nad wiatrem, a załoga Sturmhonda zajmowała się żaglami.

Mgła była gęstsza niż poprzedniego dnia. Leżała grubą warstwą na wodzie i wspinała się wilgotnymi mackami na kadłub statku. Ciszę przerywały jedynie polecenia Mala i komendy wydawane przez Sturmhonda.

Kiedy wypłynęliśmy na szeroki, otwarty obszar morza, Mal odwrócił się do Zmrocza i powiedział:

– Myślę, że jesteśmy blisko.

– Myślisz?!

Mal skinął głową.

Zmrocz rozważył jego słowa. Jeśli Mal grał na zwłokę, to jego wysiłki na niewiele się zdadzą, a cena będzie wysoka.

Wydawało się, że upłynęła wieczność, zanim Zmrocz w końcu skinął do Sturmhonda.

– Trymować żagle – rozkazał korsarz i jego ludzie natychmiast rzucili się do pracy.

Ivan popukał Zmrocza w ramię i wskazał południowy horyzont.

– Statek, *moi soverenyi*.

Zmrużyłam oczy, widząc maleńką smużkę.

– Płyną pod banderą? – zapytał Sturmhonda Zmrocz.

– Pewnie rybacy – odpowiedział kapitan – ale na wszelki wypadek będziemy mieli ich na oku.

Dał znak jednemu ze swoich ludzi, który wspiął się na grotbombramreję z lunetą w ręce.

Przygotowano szalupy i po paru minutach wszystkie pełne ludzi Sturmhonda i najeżone harpunami spuszczono ze sterburty. Griszowie tłoczyli się przy relingu, żeby lepiej je widzieć. Mgła sprawiła, że równy plusk wioseł o fale wydawał się głośniejszy.

Zrobiłam krok w stronę Mala. Wszyscy skupili się na ludziach na wodzie. Tylko Genya mnie obserwowała. Zawahała się, a potem celowo odwróciła się i dołączyła do pozostałych przy relingu.

Mal i ja patrzyliśmy przed siebie, ale staliśmy tak blisko, że nasze ramiona się stykały.

– Powiedz mi, że nic ci nie jest – mruknął ochryple.

Skinęłam głową, przełykając gulę w gardle.

– Nic mi nie jest – odpowiedziałam cicho. – On tam jest?

– Nie wiem. Może. Były chwile, kiedy tropiłem jelenia i myślałem, że jesteśmy blisko... Alino, jeśli się mylę...

Odwróciłam się wtedy, nie przejmując się tym, kto to widzi i jaka kara mnie za to spotka. Mgła podnosiła się teraz z wody i wspinała na pokład. Spojrzałam na Mala, zauważając wszystkie szczegóły jego twarzy: żywy błękit tęczówek, łuk warg, bliznę wzdłuż szczęki. Za nim dostrzegłam Tamar wspinającą się po olinowaniu z lampą w ręce.

– To nie twoja wina, Mal. W niczym nie zawiniłeś.

Spuścił głowę, opierając czoło o moje.

– Nie pozwolę, żeby cię skrzywdził.

Oboje wiedzieliśmy, że nie zdoła go powstrzymać, ale prawda była zbyt bolesna, więc odpowiedziałam tylko:

– Wiem.

– Mówisz tak, żeby mi poprawić humor – powiedział prawie z uśmiechem.

– Zawsze trzeba było cię rozpieszczać.

Przycisnął usta do czubka mojej głowy.

– Znajdziemy wyjście z tej sytuacji, Alino. Jak zawsze.

Oparłam skute ręce na jego piersi i zamknęłam oczy. Byliśmy sami na lodowym morzu, więzieni przez człowieka, który dosłownie potrafił tworzyć potwory, a mimo to uwierzyłam

Malowi. Oparłam się o niego i po raz pierwszy od wielu dni pozwoliłam sobie na odrobinę nadziei.

Rozległ się okrzyk:

– Dwa rumby na prawo od dziobu!

Wszyscy jak jeden mąż obrócili głowy, a ja zamarłam. Coś poruszało się wśród mgły – połyskujący, falujący, biały kształt.

– Na wszystkich świętych – szepnął Mal.

W tej samej chwili grzbiet stworzenia wynurzył się z fal, wijące się cielsko przecięło wodę, tęcza roziskrzyła się na opalizujących łuskach.

Rusalie.



Rusalie był bajką, ludowym podaniem, stworzeniem ze snów, które żyło na obrzeżach map. Ale teraz nie można było mieć wątpliwości. Lodowy smok istniał naprawdę i Mal go znalazł, tak samo jak znalazł jelenia Morozova. Nie podobała mi się ta sytuacja, wydarzenia rozegrały się za szybko, jakbyśmy pędzili ku czemuś, czego nie rozumiemy.

Krzyk z szalup przyciągnął moją uwagę. Mężczyzna na łodzi najbliżej morskiego bicza wstał z harpunem w ręce i wycelował. Smok jednak machnął białym ogonem, przecinając odmęty i uderzając w wodę tak, że potężna fala chlusnęła w kadłub łódki. Mężczyzna z harpunem klapnął na tyłek, kiedy szalupa zachybotała się niebezpiecznie i w ostatniej chwili wyprostowała.

Dobrze, pomyślałam. Walcz z nimi.

Z drugiej łodzi rzucono harpunami. Pierwszy zdecydowanie chybił celu i uderzył w wodę. Drugi wbił się w skórę morskiego bicza.

Zwierzę szarpnęło się, wymachiwało ogonem w tę i z powrotem, a potem uniosło się jak wąż, wynurzając cielsko z wody. Przez chwilę wisiało w powietrzu. Przezroczyste, podobne do skrzydeł płetwy, lśniące łuski, gniewne czerwone oczy. Kropelki wody sypnęły się z grzywy. Smok otworzył paszczę, odsłaniając różowy język i rzędy lśniących zębów. Padł na najbliższą łódź i rozległ się głośny trzask pękającego drewna. Szalupa pękła na pół, ludzie powpadali do wody. Smok zacisnął szczęki na nogach żeglarza i mężczyzna z krzykiem zniknął pod wodą. Pozostali żeglarze rozpaczliwie płynęli przez splamione krwią wody do drugiej szalupy, do której wciągnęli ich towarzysze.

Zerknęłam na olinowanie statku. Końce masztów ginęły teraz we mgle, ale nadal widziałam światło lampy Tamar płonące spokojnie pod topem grotmasztu.

Kolejny harpun trafił w cel i morski bicz zaczął śpiewać. Nigdy w życiu nie słyszałam piękniejszego dźwięku – chór głosów uniesionych w tęsknej, pozbawionej słów pieśni. Nie, zdałam sobie sprawę, to nie pieśń. Morski bicz płakał, wijąc się i kotłując w wodzie, kiedy szalupy go ścigały, i próbował zrzucić z siebie zakrzywione harpuny.

Walcz, błagałam go w myślach. Jak cię dopadnie, już cię nie puści.

Widziałam jednak, że smok zwalnia, jego ruchy stają się ospałe, krzyk słabnie i brzmi coraz bardziej żałośnie, muzyka robi się ponura i cichnie.

Po części pragnęłam, żeby Zmrocz już to skończył. Dlaczego nie? Dlaczego nie dobije go Cięciem i nie zwiąże mnie ze sobą bardziej, tak jak to zrobił, zabijając jelenia?

– Sieci! – krzyknął Sturmhond.

Jednakże mgła tak zgęstniała, że nie wiedziałam, skąd dobiega jego głos. Usłyszałam serię głuchych uderzeń gdzieś w pobliżu relingu na sterburcie.

– Usuńcie mgłę – rozkazał Zmrocz. – Tracimy z oczu szalupę.

Usłyszałam, jak jeden grisza woła do drugiego, a potem poczułam, jak wiatry szkwalników szarpią rąbkiem mojego płaszcza.

Mgła się uniosła, a ja rozdziawiłam usta. Zmrocz i jego griszowie stali przy prawej burcie, wpatrując się w szalupę, która teraz oddalała się od statku. Jednak za lewą burtą pojawił się nie wiadomo skąd statek, smukły szkuner o lśniących masztach. Płynął pod banderą: czerwony pies na turkusowym polu, a pod nim, na bladoniebieskim i złotym polu, dwugłowy orzeł Ravki.

Usłyszałam kolejną serię uderzeń i zobaczyłam stalowe szpony zaczepione o reling na bakburcie. Haki abordażowe, zrozumiałam.

A potem wszystko zaczęło się dziać jednocześnie. Gdzieś rozległo się wycie, jakby wilk skowyczał do księżyca. Mężczyźni wpadli na pokład statku wielorybniczego. Mieli bandolety z pistoletami przepasujące im piersi, w rękach trzymali kordelasy. Skowyczeli i szczekali jak stado dzikich psów. Zobaczyłam, że Zmrocz odwraca się, a na jego twarzy maluje się konsternacja i wściekłość.

– Co tu się dzieje, u licha? – zdumiał się Mal, stając przede mną, kiedy cofaliśmy się, by znaleźć wątłą osłonę za bezanmasztem.

– Nie wiem. Coś bardzo dobrego albo coś bardzo, bardzo złego.

Staliśmy plecami do siebie, ja ze skutymi rękami, on ze związanymi, nie mogąc się bronić, a na pokładzie rozpętała się

walka. Rozległy się strzały z pistoletów. Powietrze ożyło ogniem piekielników.

– Do mnie, ogary! – zawołał Sturmhond i rzucił się do walki z szablą w ręce.

Szczękający, skowyczący i warczący mężczyźni rzucili się na griszów Zmrocza ze wszystkich stron – nie tylko od strony szkunera i relingu, ale także z olinowania wielorybnika. Ludzie Sturmhonda. Sturmhond zwrócił się przeciwko Zmroczowi.

Korsarz najwyraźniej zwariował. Tak, jego ludzie mieli przewagę liczebną, ale to nie miało znaczenia w walce ze Zmroczem.

– Patrz! – krzyknął Mal.

Ludzie w szalupie na wodzie holowali teraz morskiego bicza. Podnieśli żagiel i pchał ich silny wiatr, ale nie w stronę statku wielorybniczego, tylko szkunera. Wiatr, który napełniał im żagiel, wiał znikąd. Przyjrzałam się uważniej. Jeden z żeglarzy stał w szalupie z uniesionymi rękami. Nie było co do tego wątpliwości – dla Sturmhonda pracował szkwalnik.

Nagle ktoś złapał mnie w pasie i uniósł. Świat obrócił się do góry nogami. Wrzasnęłam, gdy zostałam przerzucona przez szerokie ramię.

Uniosłam głowę, szamocząc się w uścisku jak imadło, i zobaczyłam Tamar biegnącą do Mala z błyszczącym nożem w rękach.

– Nie! – wrzasnęłam. – Mal!

Uniósł ręce, żeby się bronić, ale ona tylko rozcięła mu więzy.

– Biegiem! – krzyknęła, rzucając mu nóż i wyciągając szablę z pochwy u pasa.

Tolya złapał mnie mocniej i popędził przez pokład. Tamar i Mal biegli tuż za nim.

– Co robisz? – pisnęłam. Głowa mi podskakiwała, uderzając o plecy olbrzyma.

– Po prostu biegnij! – odpowiedziała Tamar, tnąc somatyka, który stanął jej na drodze.

– Nie mogę! – odkrzyknęłam. – Twój brat idiota przerzucił mnie sobie przez ramię jak kawał mięcha.

– Chcesz, żeby cię uratować, czy nie?

Nie miałam czasu na odpowiedź.

– Trzymaj się mocno – ostrzegł mnie Tolya. – Będziemy skakać.

Zacisnęłam powieki, przygotowując się na upadek w lodową toń, ale Tolya zrobił raptem parę kroków, a potem nagle stęknął i opadł na jedno kolano, wypuszczając mnie przy okazji. Spadłam na pokład i przeturlałam się niezręcznie na bok. Kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam Ivana i piekielnika w niebieskich szatach, którzy stali nad nami.

Ivan wyciągał rękę. Miażdżył serce Tolyi i tym razem zabrakło Sturmhonda, żeby go powstrzymać.

Piekielnik ruszył do Tamar i Mala z krzesiwem w dłoni, unosząc już rękę, żeby wykreślić ognisty łuk. To skończy się szybciej, niż się zaczęło, pomyślałam żałośnie. Jednakże w następnej chwili piekielnik stanął. Zaparło mu dech w piersi. Jego płomienie zgasły w powietrzu.

– Na co czekasz? – warknął Ivan.

Jedyną odpowiedzą piekielnika był zduszony syk. Oczy wyszły mu na wierzch. Zaczął szarpać sobie gardło.

Tamar trzymała szablę w prawej ręce, a lewą zaciskała.

– Niezła sztuczka – powiedziała, zbijając na bok krzesiwo sparaliżowanego piekielnika. – Ja też znam fajną sztuczkę.

Uniosła ostrze. Piekielnik stał bezradnie, desperacko walcząc o powietrze, a Tamar przeszyła go jednym straszliwym pchnięciem. Piekielnik padł na pokład.

Ivan spojrzał zdumiony na Tamar stojącą nad ciałem z szablą ociekającą krwią. Jego koncentracja musiała osłabnąć, bo w tej

samej chwili Tolya podniósł się z kolan ze straszliwym rykiem.

Ivan zacisnął pięść, ponawiając wysiłek. Tolya skrzywił się, ale nie upadł. A potem wyciągnął błyskawicznie rękę i twarz Ivana wykrzywiła się z bólu i zdumienia.

Patrzyłam to na Tolyę, to na Tamar, aż zdałam sobie z czegoś sprawę. Byli griszami. Ciałobójcami.

– I jak ci się to podoba, karzełku? – zapytał Tolya, podchodząc do Ivana.

Ivan desperacko wyciągnął drugą rękę. Trząsł się i widziałam, że walczy o oddech.

Tolya zachwiał się lekko, ale nadal szedł.

– A teraz dowiemy się, kto ma silniejsze serce – warknął.

Podchodził powoli, jakby szedł pod porywisty wiatr, szczerzył zęby w dzikim uśmiechu, pot zalewał mu twarz. Zastanawiałam się, czy zaraz obaj padną martwi.

I wtedy palce wyciągniętej ręki Tolyi zacisnęły się w pięść. Ivan zadygotał konwulsyjnie. Oczy uciekły mu w głąb czaszki i krwawa piana wypłynęła na usta. Padł na pokład.

Jak przez mgłę docierał do mnie panujący wokół chaos. Tamar walczyła ze szkwalnikiem. Dwóch innych griszów skoczyło do Tolyi. Usłyszałam strzał i zdałam sobie sprawę, że Mal zdobył gdzieś pistolet. Ja jednak widziałam tylko pozbawione życia ciało Ivana. Nie żył. Prawa ręka Zmrocza. Jeden z najpotężniejszych ciałobójców w Drugiej Armii. Przeżył Fałdę i volcry, a teraz leżał martwy.

Cichy szloch wyrwał mnie z zamyślenia. Genya stała i patrzyła na Ivana z rękami na ustach.

– Genya…

– Zatrzymać ich! – rozległ się okrzyk na pokładzie.

Odwróciłam się i zobaczyłam Zmrocza siłującego się z uzbrojonym żeglarzem.

Genya drżała. Sięgnęła do kieszeni *kefty* i wyciągnęła pistolet. Tolya rzucił się do niej.

– Nie! – krzyknęłam i stanęłam między nimi.

Nie zamierzałam patrzeć, jak zabija Genyę.

Ciężki pistolet drżał w jej ręce.

– Genyu – odezwałam się cicho – naprawdę zamierzasz mnie zastrzelić?

Rozejrzała się dziko, nie bardzo wiedząc, w co celować. Położyłam dłoń na jej rękawie. Wzdrygnęła się i skierowała lufę w moją stronę.

Trzask grzmotu rozdarł powietrze i wiedziałam, że Zmrocz się uwolnił. Obejrzałam się i zobaczyłam zbliżającą się falę ciemności. To koniec, pomyślałam. Już po nas. Jednak w następnej chwili dostrzegłam jasny rozbłysk i rozległ się krzyk. Fala ciemności rozwiała się, a ja zobaczyłam Zmrocza, który ściskał rękę z twarzą wykrzywioną z bólu i wściekłości. Z niedowierzaniem zrozumiałam, że go postrzelono.

Sturmhond pędził do nas z pistoletami w rękach.

– Biegiem! – krzyknął.

– Alino, chodź! – zawołał Mal, sięgając po moją rękę.

– Genya – poprosiłam rozpaczliwie – chodź z nami.

Jej ręka trzęsła się tak straszliwie, że myślałam, że pistolet zaraz wyleci z jej palców. Łzy płynęły jej po policzkach.

– Nie mogę – wyszlochała łamiącym się głosem. Opuściła broń. – Uciekaj, Alino. Po prostu uciekaj.

W następnej chwili Tolya znowu przerzucił mnie sobie przez ramię. Daremnie okładałam go po szerokich plecach.

– Nie! – krzyczałam. – Czekaj!

Nikt jednak nie zwracał na mnie uwagi. Tolya rozpędził się i skoczył nad relingiem. Wrzasnęłam, kiedy spadaliśmy ku lodowatej wodzie, szykując się na uderzenie. Jednak porwało nas coś, co mogło być wiatrem szkwalnika, i posadziło na

pokładzie szkunera z hukiem, od którego zazgrzytały mi kości. Tamar i Mal pojawili się tuż za nami, a na końcu dołączył Sturmhond.

– Dajcie znak! – krzyknął Sturmhond, zrywając się na nogi.

Rozległ się przenikliwy gwizd.

– Privyet! – zawołał do członka załogi, którego nie rozpoznałam. – Jak stoimy?

– Straciliśmy ośmiu ludzi. Czterech jest nadal na wielorybniku. Ładunek już wciągamy.

– Na wszystkich świętych! – zaklął Sturmhond. Spojrzał na statek wielorybniczy, walcząc ze sobą. – Muszkieterzy! – krzyknął na ludzi na grotmarsie szkunera. – Dajcie im osłonę!

Muszkieterzy zaczęli ostrzeliwać pokład wielorybnika. Tolya rzucił Malowi karabin, a drugi przewiesił sobie przez plecy. Skoczył na olinowanie i zaczął się wspinać. Tamar wyciągnęła pistolet z kabury na biodrze. Ja nadal leżałam na pokładzie, w dość upokarzającej pozycji, wciąż ze skutymi rękami.

– Mamy morskiego bicza, kapitanie! – krzyknął Privyet.

Dwóch kolejnych ludzi Sturmhonda przeskoczyło nad relingiem wielorybnika i wzleciało w powietrze, wymachując rozpaczliwie rękami, po czym zwaliło się na pokład szkunera. Jeden mocno krwawił z rany na ręce.

I znowu rozległ się grzmot.

– Doszedł do siebie! – zawołała Tamar.

Czerń runęła w naszą stronę, pochłaniając szkuner i przesłaniając wszystko po drodze.

– Uwolnijcie mnie! – prosiłam. – Dajcie mi pomóc!

Sturmhond rzucił Tamar klucze i krzyknął.

– Uwolnij ją!

Tamar sięgnęła po moje nadgarstki, grzebiąc przy kluczach, gdy ciemność nas zalała.

Byliśmy oślepieni. Usłyszałam czyjś krzyk. I nagle zamek szczęknął. Okowy spadły mi z nadgarstków i uderzyły o pokład ze stłumionym brzękiem.

Uniosłam ręce i światło przeszyło ciemność, odpychając ją z powrotem na statek wielorybniczy. Załoga Sturmhonda zaczęła wiwatować, ale okrzyki zamarły im na ustach, kiedy inny dźwięk wypełnił powietrze – zgrzytliwy wrzask, przenikliwy i nienaturalny, skrzypienie otwierających się drzwi, które powinny na zawsze pozostać zamknięte. Rana na moim ramieniu zapulsowała boleśnie. *Niczewoje*.

Odwróciłam się do Sturmhonda.

– Musimy się stąd wynieść. Natychmiast!

Zawahał się, walcząc ze sobą. Dwóch jego ludzi nadal było na statku wielorybniczym. W końcu jego twarz przybrała twardy wyraz.

– Do żagli! – krzyknął. – Szkwalnicy, kurs na wschód!

Zobaczyłam rząd żeglarzy, którzy stanęli przy masztach z uniesionymi rękami, i usłyszałam trzask, gdy żagle napełniły się porywistym wiatrem. Ilu griszów miał ten korsarz w załodze?

Niestety szkwalnicy Zmrocza ustawili się na pokładzie wielorybnika i posyłali przeciwne nam wiatry. Szkuner zakołysał się niebezpiecznie.

– Działa na bakburcie! – ryknął Sturmhond. – Salwa całą burtą na mój sygnał!

Usłyszałam dwa przenikliwe gwizdy. Ogłuszający huk zatrząsł statkiem, potem następny i kolejny. Działa szkunera otworzyły ziejącą dziurę w kadłubie wielorybnika. Rozległy się spanikowane krzyki. Szkwalnicy Sturmhonda wykorzystali okazję i szkuner dosłownie skoczył przed siebie.

Kiedy dym z dział się rozwiał, zobaczyłam postać w czerni, która podeszła do relingu uszkodzonego statku. Kolejna fala

ciemności rzuciła się ku nam, ale ta była inna. Wiła się nad wodą, jakby szponami torowała sobie drogę, a wraz nią płynęło upiorne cykanie tysięcy wściekłych owadów.

Ciemność pieniła się i burzyła jak fala załamująca się nad głazem i zaczęła dzielić się na kształty. Mal obok mnie wymamrotał krótką modlitwę i uniósł karabin do ramienia. Skupiłam swoją moc i uderzyłam Cięciem, przepalając się przez czarną chmurę, próbując zniszczyć *niczewoje*, nim nabiorą pełnego kształtu. Nie mogłam jednak powstrzymać wszystkich. Zbliżali się jękliwą hordą czarnych zębisk i pazurów.

Załoga Sturmhonda zaczęła strzelać.

Niczewoje dotarli do masztów szkunera, wili się wokół żagli, zrywali żeglarzy z olinowania jak owoce. A potem wśliznęli się na pokład. Mal strzelał raz za razem, podczas gdy żeglarze dobyli szabel, ale kule i ostrza jedynie spowalniały potwory. Ich ciała z cienia falowały i ponownie się kształtowały, stwory wciąż nacierały.

Szkuner nadal płynął przed siebie, powiększając dystans dzielący go od statku wielorybniczego. Jednakże nie płynął dostatecznie szybko. Usłyszałam skrzypliwy jęk i kolejna fala ruchliwej, pełzającej ciemności ruszyła ku nam, już dzieląc się na skrzydlate ciała. Posiłki dla żołnierzy z cienia.

Sturmhond też to zauważył. Wskazał na jednego ze szkwalników, którzy nadal przywoływali wiatr do żagli.

– Błyskawica! – krzyknął.

Wzdrygnęłam się. Nie mógł mieć tego na myśli. Szkwalnikom nie wolno było przywoływać błyskawic. Były zbyt nieprzewidywalne, zbyt niebezpieczne. A jeszcze na otwartym morzu? Jednak griszowie Sturmhonda nie zawahali się. Klasnęli w ręce i roztarli dłonie. W uszach mi strzeliło, kiedy ciśnienie gwałtownie spadło. Powietrze skrzyło się od prądu.

Mieliśmy ledwie dość czasu, żeby paść na pokład, kiedy zygzaki błyskawic strzeliły z nieba. Nowa fala *niczewojów* rozpierzchła się w zamęcie.

– Teraz! – ryknął Sturmhond. – Szkwalnicy, pełną parą!

Mal i ja uderzyliśmy o reling, kiedy szkuner skoczył do przodu. Smukły statek niemal leciał nad falami.

Zobaczyłam, że kolejna czarna fala wzbiera nad statkiem wielorybniczym. Poderwałam się i przygotowałam na atak, zbierając całą siłę.

Jednakże do ataku nie doszło. Najwyraźniej moc Zmrocza miała swoje ograniczenia. Znaleźliśmy się poza jego zasięgiem.

Oparłam się o reling. Wiatr i pył wodny smagały moją skórę. Statek Zmrocza i jego potwory znikały mi z oczu. Coś pomiędzy śmiechem a szlochem szarpało mi pierś.

Mal objął mnie i mocno przytulił. Poczułam na policzku jego mokrą koszulę, słuchałam bicia jego serca i czepiałam się niepojętego faktu – że nadal żyjemy.

A potem, mimo przelanej krwi i utraconych przyjaciół, załoga szkunera zaczęła wiwatować. Wyli, warczeli i szczekali. Tolya zawieszony wśród takielunku uniósł w jednej ręce karabin i odchylił głowę, wydając z siebie triumfalny skowyt, od którego dostałam gęsiej skórki.

Odsunęliśmy się od siebie z Malem, spoglądając na ujadającą i śmiejącą się załogę. Wiedziałam, że oboje zadajemy sobie to samo pytanie: w co myśmy się wpakowali?



Osunęliśmy się przy burcie na pokład wyczerpani i oszołomieni. Uciekliśmy Zmroczowi, ale znajdowaliśmy się na dziwnym statku otoczeni przez szalonych griszów przebranych za żeglarzy i wyjących jak wściekłe psy.

– Nic ci nie jest? – zapytał Mal.

Pokręciłam głową. Rana na ramieniu paliła mnie żywym ogniem, ale nie odniosłam żadnych obrażeń i całe ciało mi wibrowało, bo znowu posługiwałam się mocą.

– A ty? – spytałam.

– Ani zadrapania – odpowiedział z niedowierzaniem Mal.

Statek mknął po falach z niewyobrażalną prędkością, napędzany przez szkwalników i griszów, którzy byli – jak właśnie zdałam sobie sprawę – akwatykami. Kiedy zgroza i chaos walki osłabły, zauważyłam, że jestem przemoczona.

Zęby zaczęły mi dzwonić. Mal objął mnie, a w pewnej chwili ktoś z załogi narzucił na nas koc.

Wreszcie Sturmhond rozkazał griszom przestać i polecił zrzucić żagle. Szkwalnicy i akwatycy opuścili ręce i padli na pokład całkowicie wyczerpani. Moc rozświetliła im twarze, rozpaliła oczy.

Szkuner zwolnił, aż w końcu kołysał się tylko delikatnie w ciszy, która nagle stała się przygniatająca.

– Obserwować morze – rozkazał Sturmhond i Privyet wysłał na liny żeglarza z lunetą.

Oboje z Malem wstaliśmy powoli.

Sturmhond przeszedł wzdłuż rzędu wycieńczonych eteryków, poklepując ich po plecach, niektórym rzucił kilka cichych słów. Widziałam, jak kieruje rannych żeglarzy pod pokład, gdzie – jak się domyślałam – zajmie się nimi lekarz okrętowy albo somatyk-uzdrowiciel. Korsarz miał najwyraźniej na swoich usługach griszów wszelkiego rodzaju.

A potem podszedł do mnie, wyciągając nóż zza pasa. Uniosłam ręce, a Mal stanął przede mną, celując z karabinu w jego pierś. Natychmiast usłyszałam, jak ludzie wokół nas wyciągają szable i odciągają kurki pistoletów.

– Spokojnie, Orecev – powiedział Sturmhond, zwalniając kroku. – Właśnie zadałem sobie sporo trudu, żeby umieścić cię na swoim statku. Szkoda byłoby teraz przerobić cię na sito. – Obrócił nóż i podał mi go rękojeścią do przodu. – To na bestię.

Morski bicz. W ogniu walki prawie o nim zapomniałam.

Mal się zawahał, a potem ostrożnie opuścił karabin.

– Opuścić broń – polecił swojej załodze kapitan.

Ludzie schowali pistolety do kabur i szable do pochew.

Sturmhond skinął na Tamar.

– Wciągnijcie go.

Na rozkaz Tamar grupa żeglarzy wychyliła się przez sterburtę i odwiązała skomplikowaną sieć lin. Dźwignęli ciężar i powoli wciągnęli ciało morskiego bicza wzdłuż burty szkunera. Uderzył o pokład, nadal miotając się słabo w srebrzystej sieci. Nagle szarpnął się mocno, kłapiąc ogromnymi zębiskami. Wszyscy odskoczyliśmy.

– Jak rozumiem, to ty musisz to zrobić – powiedział Sturmhond, znowu podsuwając mi nóż.

Zerknęłam na korsarza, zastanawiając się, ile może wiedzieć na temat amplifikatorów, a w szczególności na temat tego konkretnego egzemplarza.

– Śmiało. Musimy zaraz ruszać. Statek Zmrocza na razie jest unieszkodliwiony, ale nie pozostanie w tym stanie zbyt długo.

Ostrze w dłoni Sturmhonda zalśniło słabo w świetle słońca. Stal griszów. Jakoś mnie to nie zdziwiło.

Mimo to wahałam się.

– Właśnie straciłem trzynastu dobrych ludzi – dodał cicho Sturmhond. – Nie mów mi, że zginęli na darmo.

Spojrzałam na morskiego bicza. Szarpał się na pokładzie, powietrze wylatywało przez jego trzepoczące skrzela, czerwone oczy się zamgliły, ale nadal wypełniał go gniew. Przypomniałam sobie ciemne, spokojne spojrzenie jelenia i cichą panikę jego ostatnich chwil.

Jeleń żył w mojej wyobraźni tak długo, że kiedy w końcu wyszedł spomiędzy drzew na śnieżną polanę, czułam się prawie tak, jakbym go znała. Morski bicz był nieznajomym, bardziej mitem niż rzeczywistością, mimo smutnej i namacalnej prawdy jego poranionego ciała.

– Tak czy inaczej, on już długo nie pożyje – powiedział korsarz.

Złapałam rękojeść noża. Ciążył mi w dłoni. Czy to miłosierdzie? Z pewnością nie takie miłosierdzie okazałam

jeleniowi Morozova.

Rusalie. Zaklęty książę, strażnik Kościanej Drogi. W legendach wabił samotne dziewice, by dosiadły go, i zabierał je ze śmiechem na morze, aż znajdowały się za daleko, żeby wezwać pomoc. A wtedy nurkował, zabierając je w odmęty do swojego podwodnego pałacu. Dziewczyny umierały, bo nie było tam niczego do jedzenia, same korale i perły. *Rusalie* płakał i śpiewał żałobną pieśń nad ich ciałami, a potem powracał na powierzchnię, żeby znaleźć nową królową.

To tylko bajki, powiedziałam sobie. To nie jest książę, tylko cierpiące zwierzę.

Boki morskiego bicza dygotały. Kłapał paszczą, co nic mu nie dawało na powietrzu. Dwa harpuny wystawały mu z grzbietu, wodnista krew ciurkała z ran. Uniosłam nóż, nie bardzo wiedząc, co robić, gdzie go wbić. Ręce mi się trzęsły. Morski bicz zarzęził z bólem. Nędzne echo jego magicznego chóru.

Mal podszedł.

– Dobij go – powiedział chrapliwie. – Na wszystkich świętych.

Wyjął nóż z moich rąk i upuścił na pokład. Złapał mnie za ręce i zamknął je na drzewcu jednego z harpunów. Jednym czystym pchnięciem wbiliśmy go do końca.

Morski bicz zadygotał i znieruchomiał. Krew rozlała się kałużą na pokładzie.

Mal spojrzał na swoje ręce, a potem otarł je o rozdartą koszulę i się odwrócił.

Tolya i Tamar wystąpili naprzód. Żołądek mi się burzył. Wiedziałam, co musi się teraz wydarzyć. To nie dzieje się naprawdę, odezwał się głos w mojej głowie. Możesz odejść. Zostaw to za sobą. Jednak znowu czułam, że wydarzenia rozgrywają się za szybko. Nie mogłam wyrzucić takiego amplifikatora do morza. Smok oddał już życie. A wzięcie amplifikatora nie musiało znaczyć, że się nim posłużę.

Łuski morskiego bicza były białe i opalizujące, rozbłyskiwały delikatnymi tęczami z wyjątkiem jednego pasa, który zaczynał się między jego wielkimi oczami i biegł przez czaszkę do delikatnej grzywy. Te bowiem były obrębione złotem.

Tamar wyjęła sztylet zza pasa i z pomocą Tolyi zaczęła odcinać łuski. Nie pozwoliłam sobie na odwrócenie wzroku. Kiedy skończyli, wręczyli mi siedem idealnych łusek nadal mokrych od krwi.

– Pochylmy głowy, by upamiętnić ludzi, których dzisiaj straciliśmy – powiedział Sturmhond. – To byli dobrzy żeglarze. Dobrzy żołnierze. Niech morze zabierze ich do bezpiecznej przystani i niech święci powitają ich na jaśniejszym brzegu.

Powtórzył Modlitwę Żeglarza po kercheńsku, a potem Tamar wymamrotała kilka słów w języku shu. Przez chwilę staliśmy na kołyszącym się statku z pochylonymi głowami. Gula podeszła mi do gardła.

Kolejni ludzi zginęli i jeszcze jedno magiczne, pradawne stworzenie przepadło, a jego ciało zostało zbezczeszczone przez stal griszów. Położyłam dłoń na lśniącej skórze morskiego bicza. Była zimna i śliska. Czerwone oczy smoka były mętne i puste. Ścisnęłam złote łuski w dłoni, czując, jak ich brzegi wcinają mi się w skórę. Jacy święci czekają na takie stworzenie?

Minęła długa minuta, a potem Sturmhond mruknął:

– Niech święci ich przyjmą.

– Niech święci ich przyjmą – odpowiedziała załoga.

– Musimy ruszać – powiedział cicho Sturmhond. – Kadłub wielorybnika jest dziurawy, ale Zmrocz ma szkwalników i fabrykatora albo dwóch, a kto wie, może nawet nauczył te swoje potwory, jak posługiwać się młotkiem i gwoździami. Nie możemy ryzykować. – Odwrócił się do Privyeta. – Daj szkwalnikom kilka minut na odpoczynek i przygotuj dla mnie raport na temat uszkodzeń, a potem płyniemy.

– *Da*, kapitanie – odpowiedział lakonicznie Privyet. – Kapitanie... Możliwe, że ludzie zapłacą sporą sumkę za smocze łuski bez względu na ich kolor.

Sturmhond zmarszczył brwi, ale potem tylko skinął głową.

– Bierzcie, co chcecie, ale potem sprzątnijcie pokład i ruszajmy. Znasz współrzędne.

Kilku ludzi z załogi rzuciło się na ciało morskiego bicza, żeby odciąć mu łuski. Nie mogłam na to patrzeć. Odwróciłam się od nich z zaciskającym się żołądkiem. Sturmhond stanął obok mnie.

– Nie oceniaj ich zbyt surowo – powiedział, oglądając się przez ramię.

– Nie ich oceniam. To ty jesteś kapitanem.

– A oni mają sakiewki do napełnienia, rodziców i rodzeństwo do wykarmienia. Właśnie straciliśmy połowę załogi i nie zdobyliśmy bogactw, które osłodziłyby nieco tę stratę. Chociaż ty na pewno jesteś prawdziwym skarbem.

– Co ja tu robię? – zapytałam. – Dlaczego nam pomogłeś?

– Jesteś pewna, że pomogłem?

– Odpowiedz na to pytanie – wtrącił się Mal, podchodząc do nas. – Dlaczego polowałeś na morskiego bicza, skoro zamierzałeś oddać go Alinie?

– Nie polowałem na morskiego bicza. Polowałem na was.

– To dlatego zorganizowałeś bunt przeciwko Zmroczowi? Żeby mnie zdobyć?

– Nie można zorganizować buntu na własnym statku.

– Nazwij to, jak chcesz – odparłam, tracąc cierpliwość. – Bylebyś się wytłumaczył.

Sturmhond oparł łokcie o reling, rozglądając się po pokładzie.

– Jak wyjaśniłbym Zmroczowi, gdyby zechciał zapytać, czego na szczęście nie zrobił, kłopot w wynajmowaniu człowieka

gotowego się zaprzedać polega na tym, że zawsze ktoś może przebić twoją ofertę.

Spojrzałam na niego.

– Zdradziłeś Zmrocza dla pieniędzy?!

– „Zdradziłem” to takie mocne słowo. Prawie gościa nie znam.

– Zwariowałeś – powiedziałam. – Wiesz, co on potrafi. Żadna nagroda nie jest tego warta.

Sturmhond uśmiechnął się szeroko.

– To się jeszcze okaże.

– Zmrocz będzie polował na ciebie przez resztę życia.

– Więc teraz nas dwoje będzie coś łączyło, prawda? Poza tym lubię mieć potężnych wrogów. Czuję się wtedy ważniejszy.

Mal skrzyżował ręce i przyjrzał się korsarzowi.

– Nie mogę zdecydować, czy jesteś szalony, czy głupi.

– Mam tyle zalet, że trudno wybrać jedną.

Pokręciłam głową. Temu korsarzowi całkiem odbiło.

– Skoro ktoś przebił ofertę Zmrocza, to kto taki? Dokąd nas zabierasz?

– Najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie – rzekł Sturmhond, sięgając do kieszeni surduta. Wyjął mały czerwony tomik i rzucił go mnie. – Dlaczego Zmrocz nosi to przy sobie? Nie robi wrażenia religijnego typa.

Złapałam tomik i obróciłam, ale już wiedziałam, co to za książka. Złote litery zabłysły w słońcu.

– Ukradłeś to?

– To i parę innych dokumentów z jego kajuty. Chociaż, ponieważ, ściśle rzecz biorąc, to była moja kajuta, nie jestem pewien, czy można to nazwać kradzieżą.

– Ściśle rzecz biorąc – zauważyłam z irytacją – kajuta należy do kapitana, któremu ukradłeś tamten statek.

– W porządku – zgodził się Sturmhond. – Jeśli bycie Przywoływaczką Słońca nie wypali, to możesz rozważyć karierę w roli adwokata. Najwyraźniej masz skłonności do małostkowego czepialstwa. Powinienem jednak zauważyć, że książka należy do ciebie.

Wyciągnął rękę i otworzył tomik. Po wewnętrznej stronie okładki wypisano moje imię i nazwisko: Alina Starkov.

Próbowałam zachować kamienną twarz, ale zaczęłam się gorączkowo zastanawiać. To były moje „Żywoty świętych”, ten sam egzemplarz, który dał mi wiele miesięcy temu Apparat w bibliotece Małego Pałacu. Zmrocz na pewno kazał przeszukać mój pokój po mojej ucieczce z Os Alty, ale dlaczego zabrał tę książkę? I dlaczego tak bardzo się martwił, że mogłam ją przeczytać?

Przekartkowałam strony. Książkę przepięknie zilustrowano, chociaż, zważywszy na fakt, że była dla dzieci, rysunki były potwornie makabryczne. Niektórych świętych przedstawiono, jak dokonywali cudów lub aktów miłosierdzia: Sankt Feliks wśród konarów jabłoni. Sankta Anastasia wypędzająca chorobę z Arkesku. Jednak większość ilustracji przedstawiała męczeństwo świętych. Sankta Lizabeta wypatroszona i poćwiartowana. Ścięcie Sankta Lubova. Sankt Ilia w Okowach. Zamarłam. Tym razem nie zdołałam ukryć swojej reakcji.

– Ciekawe, prawda? – powiedział Sturmhond. Popukał w stronę długim palcem. – O ile się nie mylę, to właśnie stworzenie, które złapaliśmy.

Nie dało się tego ukryć. Za Sankt Ilią wśród fal jeziora lub morza widniał charakterystyczny grzbiet morskiego bicza. Ale to nie wszystko. Jakimś cudem powstrzymałam się przed sięgnięciem ręką do obroży na szyi.

Zatrzasnęłam książkę i wzruszyłam ramionami.

– Jeszcze jedna historyjka.

Mal rzucił mi zdumione spojrzenie. Nie wiedziałam, czy zauważył, co przedstawiał rysunek.

Nie chciałam zwracać *Istorii Sanktia* Sturmhondowi, ale on już nabrał podejrzeń. Zmusiłam się, żeby oddać mu książkę, mając nadzieję, że nie zauważy drżenia mojej ręki.

Sturmhond przyjrzał mi się, a potem się wyprostował i poprawił mankiety.

– Zatrzymaj ją, w końcu należy do ciebie. Jak zapewne zauważyłaś, żywię głęboki szacunek do własności prywatnej. Poza tym będziesz potrzebowała zajęcia, dopóki nie dopłyniemy do Os Kervo.

Oboje z Malem prawie podskoczyliśmy.

– Zabierasz nas do Ravki Zachodniej? – spytałam.

– Zabieram cię na spotkanie z moim klientem i tylko tyle ci powiem.

– Kim on jest? Czego ode mnie chce?

– Taka jesteś pewna, że to mężczyzna? Może dostarczę cię fjerdańskiej królowej.

– Tak?

– Nie. Ale zawsze warto zachować otwarty umysł.

Sapnęłam poirytowana.

– Czy ty kiedykolwiek odpowiadasz wprost na pytanie?

– Trudno powiedzieć. O, znowu to zrobiłem.

Odwróciłam się do Mala z zaciśniętymi pięściami.

– Zabiję go.

– Odpowiedz jej, Sturmhond – warknął Mal.

Kapitan uniósł brew.

– Powinniście wiedzieć dwie rzeczy – odrzekł i tym razem w jego głosie zabrzmiała nuta twarda jak stal. – Po pierwsze, kapitanowie nie przyjmują rozkazów na własnym statku. Po drugie, chciałbym wam coś zaproponować.

Mal parsknął.

– Dlaczego mielibyśmy ci zaufać?

– Nie macie dużego wyboru – odpowiedział uprzejmie Sturmhond. – Mam świadomość, że moglibyście zatopić ten statek i wszystkich nas powierzyć morskim głębinom, ale mam nadzieję, że zaryzykujecie spotkanie z moim klientem. Posłuchajcie, co ma wam do powiedzenia. Jeśli jego propozycja wam się nie spodoba, przysięgam, że pomogę wam uciec. Zabiorę was do dowolnego miejsca na świecie.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

– Zatem zdradziłeś Zmrocza, a teraz zamierzasz zdradzić też swojego nowego klienta?

– W żadnym razie – odpowiedział szczerze urażony Sturmhond. – Mój klient płaci mi za dostarczenie was do Ravki, a nie za zatrzymanie was na miejscu. Za to musiałby dopłacić.

Spojrzałam na Mala. Wzruszył ramionami i powiedział:

– To kłamca i pewnie wariat, ale ma rację. Nie mamy dużego wyboru.

Potarłam skronie. Czułam nadciągającą migrenę. Byłam zmęczona i skonsternowana, a sposób mówienia Sturmhonda sprawiał, że miałam ochotę kogoś zastrzelić. Najlepiej właśnie jego. Jednakże uwolnił nas od Zmrocza, a kiedy opuścimy z Malem jego statek, może sami znajdziemy drogę ucieczki. Na razie nic więcej nie przychodziło mi do głowy.

– W porządku – zgodziłam się.

Sturmhond się uśmiechnął.

– Jak dobrze wiedzieć, że jednak nas nie zatopisz.

Przywołał majtka pracującego w pobliżu.

– Przyprowadź Tamar i powiedz jej, że będzie dzielić kajutę z Przywoływaczką – powiedział. A potem wskazał Mala. – On może zamieszkać z Tolyą.

Zanim Mal otworzył usta, żeby zaprotestować, Sturmhond go uprzedził:

– Tak to działa na tym statku. Macie pełną swobodę ruchów na *Wołku Wołny*, dopóki nie dotrzemy do Ravki, ale proszę, żebyście nie nadużywali mojej szczodrości. Na tym statku panują zasady, a ja mam swoje ograniczenia.

– Ja także – odrzekł Mal przez zaciśnięte zęby.

Położyłam rękę na jego ramieniu. Czułabym się bezpieczniej, gdybyśmy mieszkali razem, ale to nie był moment na sprzeczkę z korsarzem.

– Przestań. Nic mi nie będzie.

Mal się skrzywił, a potem odwrócił na pięcie i odszedł, znikając za plątaniną lin i żagli. Zrobiłam krok jego śladem.

– Lepiej zostaw go samego – powiedział Sturmhond. – Ten typ potrzebuje mnóstwa czasu na ponure myśli i samooskarżenia. W przeciwnym razi robi się zrzędliwy.

– Czy ty cokolwiek traktujesz poważnie?

– Nie, jeśli tylko mam wybór. Poważne życie jest bardzo nużące.

Pokręciłam głową.

– Ten klient...

– Nie strzęp języka. Nie muszę mówić, że mam mnóstwo chętnych. Odkąd zniknęłaś w Fałdzie, jesteś poszukiwanym towarem. Oczywiście większość ludzi myśli, że nie żyjesz. To nieco obniża cenę. Staraj się nie brać tego do siebie.

Spojrzałam przez pokład, gdzie członkowie załogi dźwigali ciało morskiego bicza, żeby wyrzucić je za burtę. Z trudem im się udało. Ciało uderzyło o wodę z głośnym pluskiem. I zaraz *Rusalie* przepadł połknięty przez morze.

Rozległ się przeciągły gwizd. Załoga rozbiegła się na stanowiska, szkwalnicy zajęli swoje pozycje. Kilka sekund później żagle rozkwitły jak wielkie białe kwiaty i szkuner znowu płynął. Kierował się na południowy wschód, do Ravki, do domu.

– Co zrobisz z tym łuskami? – spytał Sturmhond.

– Nie wiem.

– Nie? Mimo mojej olśniewającej prezencji nie jestem takim głupcem, na jakiego wyglądam. Zmrocz chciał, żebyś je nosiła.

To dlaczego go nie zabił? Kiedy Zmrocz zamordował jelenia i umieścił obrożę Morozova na mojej szyi, związał nas na zawsze. Zadrżałam, przypominając sobie sposób, w jaki korzystał z tego połączenia, jak panował nad moją mocą, podczas gdy ja stałam obok bezradna. Czy łuski smoka dałyby mu taką samą kontrolę? Jeśli tak, to czemu po nią nie sięgnął?

– Już mam amplifikator – powiedziałam.

– I to potężny, jeśli historie mówią prawdę.

Najpotężniejszy amplifikator znany na świecie. A przynajmniej tak powiedział mi Zmrocz, a ja mu uwierzyłam. A jeśli chodziło o coś więcej? A jeśli dopiero musnęłam moc jelenia?

Pokręciłam głową. To było szaleństwo.

– Amplifikatorów nie można łączyć.

– Widziałem książkę. Wygląda na to, że jak najbardziej można.

Poczułam ciężar *Istorii Sanktia* w kieszeni. Czy Zmrocz obawiał się, że mogę poznać sekrety Morozova ze stron książeczki dla dzieci?

– Nie rozumiesz tego, o czym mówisz – odpowiedziałam Sturmhondowi. – Żaden grisza nigdy nie przyjął drugiego amplifikatora. Ryzyko…

– O, lepiej nie wypowiadać tego słowa w moim towarzystwie. Lubię ryzyko aż do przesady.

– Nie tego rodzaju – powiedziałam ponuro.

– Szkoda – mruknął. – Jeśli Zmrocz nas dogoni, wątpię, czy ten statek i jego załoga zniosą drugą bitwę. Drugi amplifikator

mógłby wyrównać nasze szanse. Albo jeszcze lepiej: dać nam małą przewagę. Szczerze nie cierpię uczciwej walki.

– Albo mógłby mnie zabić, zatopić statek, stworzyć kolejną Fałdę Cienia lub coś gorszego.

– Lubisz tragizować.

Wsunęłam palce do kieszeni, szukając wilgotnych krawędzi łusek. Miałam tak niewiele informacji, a moja znajomość teorii griszów była w najlepszym razie wyrywkowa. Jednak ta jedna zasada sprawiała wrażenie zupełnie jasnej: jeden grisza, jeden amplifikator. Przypomniałam sobie słowa z pewnego zawiłego tekstu filozoficznego, który musiałam przeczytać: „Dlaczego grisza posiada tylko jeden amplifikator? Odpowiem ci pytaniem: co jest nieskończone? Wszechświat i ludzka zachłanność". Potrzebowałam czasu do namysłu.

– Dotrzymasz słowa? – zapytałam w końcu. – Pomożesz nam uciec?

Nie wiedziałam, czemu zawracam sobie głowę tym pytaniem. Jeśli zamierzał nas zdradzić, to z pewnością teraz się do tego nie przyzna.

Spodziewałam się, że odpowie kolejnym żartem, więc zdziwiłam się, gdy zapytał:

– Tak ci śpieszno ponownie opuścić swój kraj?

Zamarłam. „A tymczasem twój kraj cierpi". Zmrocz oskarżył mnie o porzucenie Ravki. Mylił się w wielu sprawach, ale nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że w tej kwestii ma rację. Zostawiłam swój kraj na łasce Fałdy, słabego króla i żądnych władzy tyranów takich jak Zmrocz i Apparat. Jeśli wierzyć plotkom, Fałda się rozrastała, a Ravka się rozpadała. Przez Zmrocza. Przez obrożę. Przeze mnie.

Uniosłam twarz do słońca, poczułam morskie powietrze na skórze.

– Śpieszno mi do wolności.

– Dopóki Zmrocz żyje, nigdy nie będziesz wolna. Ani też twój kraj. Sama dobrze to wiesz.

Przeszło mi przez myśl, że Sturmhond jest chciwy lub głupi, ale nie pomyślałam, że może być patriotą. Był w końcu Ravkańczykiem i nawet jeśli swoimi wyczynami napychał sobie kieszenie, to pewnie pomógł ojczyźnie bardziej niż ktokolwiek ze słabej ravkańskiej marynarki.

– Chcę mieć wybór.

– I będziesz go miała. Daję słowo kłamcy i rzezimieszka. – Ruszył przez pokład, ale odwrócił się jeszcze, żeby dodać: – Masz rację co do jednego: Zmrocz to potężny wróg. Możesz się zastanowić, czy nie warto by było pozyskać potężnych przyjaciół.

* * *

Niczego tak nie pragnęłam, jak wyjąć „Żywoty Świętych” z kieszeni i przez godzinę studiować ilustrację z Sankt Ilią, ale Tamar już czekała, żeby odprowadzić mnie do swojej kajuty.

Szkuner Sturmhonda w niczym nie przypominał solidnego statku kupieckiego, który zabrał mnie i Mala do Nowoziemia, ani niezdarnego wielorybnika, który dopiero co zostawiliśmy za sobą. Tamar twierdziła, że Sturmhond odebrał szkuner nowoziemskiemu piratowi, który napadał na ravkańskie statki w pobliżu portów na południowym wybrzeżu. Szkuner tak mu się spodobał, że wybrał go na sobie na okręt flagowy i przemianował na *Wołk Wołny*. Wilk Fal.

Wilki. Sturmhond. Czerwony pies na banderze. Przynajmniej wiedziałam już, czemu załoga wyje i ujada.

Każdy cal szkunera wykorzystano. Załoga spała na pokładzie działowym. Gdyby doszło do walki, hamaki można było szybko złożyć i wysunąć działa przez ambrazury. Słusznie domyślałam

się, że mając somatyków na pokładzie, nie potrzebowali zwykłego lekarza. Kwaterę doktora i magazyn leków przerobiono na kajutę Tamar. Pokój był maleńki, ledwie mieściły się tam dwa hamaki i skrzynia. Na ścianach wisiały szafki pełne nieużywanych maści i balsamów, sproszkowanego arszeniku, tynktur z ołowiu i antymonu.

Usiadłam ostrożnie, balansując na jednym z hamaków, i oparłam stopy na podłodze, boleśnie świadoma czerwonej książki w kieszeni. Patrzyłam, jak Tamar otwiera skrzynię i zaczyna zdejmować z siebie broń: bandolet z pistoletami, sztylet wyjęty z buta, drugi z pochwy na udzie. Była chodzącą zbrojownią.

– Współczuję twojemu przyjacielowi – powiedziała, kiedy z jednej z kieszeni wyciągnęła coś, co wyglądało jak skarpetka wypełniona kulkami z łożyska. Skarpetka uderzyła z głośnym hukiem o dno skrzyni.

– Dlaczego? – spytałam, czubkiem buta rysując kółko na deskach.

– Mój brat chrapie jak pijany niedźwiedź.

Roześmiałam się.

– Mal też chrapie.

– To mogą stworzyć duet. – Zniknęła i pojawiła się chwilę potem z wiadrem. – Akwatycy napełnili beczki deszczówką. Możesz się umyć, jeśli chcesz.

Słodka woda była zwykle luksusem na statku, ale podejrzewałam, że mając griszów w załodze, nie musiano jej racjonować.

Zanurzyła głowę w wiadrze i zmierzwiła krótkie, ciemne włosy.

– Przystojny jest ten twój tropiciel.

Przewróciłam oczami.

– Nie mów.

– Nie w moim typie, ale przystojny.

Uniosłam brwi. Z mojego doświadczenia wynikało, że Mal jest w typie prawie każdej dziewczyny. Nie zamierzałam jednak zadawać Tamar osobistych pytań. Jeśli Sturmhondowi nie można było ufać, to i jego załodze także. Nie chciałam tu się do nikogo przywiązywać. Przyswoiłam sobie tę lekcję przy Genyi i wystarczy mi jedna zniszczona przyjaźń. Zamiast tego zapytałam więc:

– W załodze Sturmhonda są Kercheni. Nie mają zastrzeżeń do obecności dziewczyny na pokładzie?

– Sturmhond kieruje się własnymi zasadami.

– I tamci... nie naprzykrzają ci się?

Tamar uśmiechnęła się szeroko. Białe zęby rozbłysły na tle brązowej skóry. Popukała w naszyjnik z lśniących rekinich zębów. Zrozumiałam, że to amplifikator.

– Nie – odpowiedziała zwyczajnie.

– Aha.

W okamgnieniu wyciągnęła kolejny nóż z rękawa.

– To też się przydaje.

– Jak dokonujesz wyboru? – zapytałam słabo.

– Zależnie od nastroju. – Obróciła nóż w ręce i podała go mnie. – Sturmhond wydał rozkaz, żeby zostawić cię w spokoju, ale na wypadek gdyby ktoś się upił i zapomniał... Wiesz, jak zadbać o siebie?

Skinęłam głową. Nie chodziłam obwieszona trzydziestoma ukrytymi nożami, ale swoje potrafiłam.

Tamar znowu zanurzyła głowę w wiadrze, wyjęła ją i powiedziała:

– Na pokładzie grają w kości, a ja jestem gotowa na wypicie swojego przydziału. Możesz ze mną pójść, jeśli chcesz.

Niespecjalnie interesowały mnie kości czy rum, ale mimo to kusiło mnie, żeby z nią pójść. Całe moje ciało skrzyło się po tym,

jak posłużyłam się mocą w walce z *niczewojami*. Byłam niespokojna i pierwszy raz od tygodni umierałam z głodu. Mimo to pokręciłam głową.

– Nie, dzięki.

– Jak chcesz. Muszę odebrać długi. Privyet założył się, że nie wrócimy. Przysięgam, że miał minę jak żałobnik na pogrzebie, kiedy przelecieliśmy nad relingiem.

– Założył się, że zostaniecie zabici? – zdumiałam się.

Tamar się roześmiała.

– Nie mam pretensji. Stanąć przeciwko Zmroczowi i jego griszom? Każdy wiedział, że to samobójstwo. Ostatecznie załoga ciągnęła słomki, żeby przekonać się, komu przypadnie ten zaszczyt.

– I ty z bratem miałaś po prostu pecha?

– Ja z bratem? – Tamar zatrzymała się w progu. Włosy miała mokre, światło odbijało się od niej, kiedy uśmiechnęła się szeroko. – My nie ciągnęliśmy słomek – odpowiedziała, wychodząc. – Zgłosiliśmy się na ochotnika.

* * *

Nie miałam okazji porozmawiać z Malem na osobności aż do późnego wieczoru tego samego dnia. Zaproszono nas na kolację w kajucie Sturmhonda i był to dziwny posiłek. Kolację podawał steward, służący o nienagannych manierach, który był kilka lat starszy od wszystkich innych na statku. Od tygodni nie jedliśmy równie dobrze: świeży chleb, pieczony łupacz, marynowane rzodkiewki i słodkie wino lodowe, od którego już po kilku łykach zakręciło mi się w głowie.

Miałam wilczy apetyt, jak zawsze po używaniu mocy, ale Mal jadł niewiele i odzywał się jeszcze mniej, dopóki Sturmhond nie wspomniał o transporcie broni, który wiózł do Ravki. Wtedy

Mal ożywił się i przez resztę kolacji rozmawiali o broni, granatach i ekscytujących sposobach wysadzania różnych rzeczy w powietrze. Nie mogłam się na tym skupić. Kiedy pytlowali na temat wielostrzałowych karabinów, jakie wykorzystuje się na nowoziemskim pograniczu, ja myślałam jedynie o łuskach w kieszeni i o tym, co zamierzam z nimi zrobić.

Czy odważę się wziąć sobie drugi amplifikator? Odebrałam życie morskiemu biczowi, a to znaczyło, że jego moc należała do mnie. Jeśli jednak łuski działały podobnie jak obroża Morozova, to mogłam również przekazać komuś moc smoka. Mogłam dać łuski jednemu z ciałobójców Sturmhonda, może nawet Tolyi, i spróbować przejąć nad nim panowanie, tak jak kiedyś zapanował nade mną Zmrocz. Może zdołałabym zmusić korsarza, żeby zabrał nas z powrotem do Nowoziemia. Musiałam jednak przyznać, że nie tego chciałam.

Wypiłam kolejny łyk wina. Musiałam porozmawiać z Malem.

Dla odwrócenia uwagi zaczęłam katalogować w myślach ozdoby kajuty Sturmhonda. Wszystko wykonano z lśniącego drewna i wypolerowanego mosiądzu. Na biurku walały się mapy, kawałki rozebranego sekstansu i dziwne rysunki czegoś, co wyglądało jak skrzydło mechanicznego ptaka na zawiasach. Stół lśnił od kercheńskiej porcelany i kryształów. Na winach widniały etykietki w języku, którego nie rozpoznawałam. To wszystko łupy, zdałam sobie sprawę. Sturmhond zadbał o swoje interesy.

Jeśli chodzi o samego kapitana, wykorzystałam tę okazję, żeby po raz pierwszy dobrze mu się przyjrzeć. Był najprawdopodobniej cztery, może pięć lat starszy ode mnie, a jego twarz wyglądała nieco dziwnie. Podbródek miał zbyt spiczasty. Oczy miały błotnisty odcień zieleni, a włosy osobliwy rudawy odcień. Nos wyglądał, jakby kilka razy go złamano

i fatalnie złożono. W pewnej chwili Sturmhond zauważył, że mu się przyglądam, i przysięgłabym, że odwrócił twarz od światła.

Kiedy w końcu opuściliśmy kajutę Sturmhonda, było dobrze po północy. Zagnałam Mala na pokład, w ustronne miejsce przy dziobie. Wiedziałam, że na bocianim gnieździe nad nami ludzie pełnią wachtę, ale nie byłam pewna, czy będziemy mieli jeszcze szansę porozmawiać na osobności.

– Lubię go – powiedział Mal, trochę chwiejąc się na nogach z powodu wypitego wina. – Owszem, za dużo gada i pewnie ukradłby człowiekowi guziki przy butach, ale nie jest złym człowiekiem i najwyraźniej sporo wie...

– Zamkniesz się wreszcie? – szepnęłam. – Chcę ci coś pokazać.

Mal zerknął na mnie zaczerwienionymi oczami.

– Nie ma powodu do nieuprzejmości.

Zignorowałam go i wyjęłam czerwoną książkę z kieszeni.

– Patrz – powiedziałam, podsuwając mu stronę i oświetlając rozradowaną twarz Sankt Ilii.

Mal zamarł.

– Jeleń – powiedział. – I *Rusalie*. – Patrzyłam, jak przygląda się ilustracji, i wychwyciłam chwilę, gdy to do niego dotarło. – Na wszystkich świętych... – szepnął. – Jest i trzeci.



Sankt Ilia stał boso na brzegu ciemnego morza. Nosił strzępy fioletowej szaty, ręce miał wyciągnięte, dłonie zwrócone do góry. Jego twarz przybrała błogi, spokojny wyraz, jaki mieli święci na obrazach zwykle tuż przed tym, jak zostali zamordowani w jakiś makabryczny sposób. Na szyi nosił żelazną obrożę, która kiedyś łączyła się grubymi łańcuchami z ciężkimi kajdanami na jego nadgarstkach. Teraz łańcuchy wisiały zerwane wzdłuż jego boków.

Za Sankt Ilią biały, wijący się wąż pluskał się wśród fal.

Biały jeleń leżał u jego stóp, wpatrując się w nas ciemnymi, spokojnymi oczami.

Jednakże żadna z tych istot nie przykuła naszej uwagi. W tle za lewym ramieniem świętego wznosiły się góry i tam, ledwie widoczny z odległości, wokół strzelistego kamiennego łuku krążył ptak.

Mal przesunął palcem po jego długich piórach z ogona namalowanych bielą i bladym złotem, których użyto także do oddania aureoli Sankt Ilii.

– To niemożliwe – powiedział.

– Jeleń naprawdę istniał. Tak samo morski bicz.

– Ale... to co innego.

Miał rację. Żarptak nie pojawiał się w jednej historii, ale w tysiącu. Był sercem każdego ravkańskiego mitu, inspiracją dla niezliczonych sztuk i ballad, powieści i oper. Mówiło się, że ravkańskie granice wyrysował lot żarptaka. Rzeki Ravki były napełnione jego łzami. Jej stolicę miano wybudować w miejscu, gdzie upadło na ziemię jego pióro. Młody wojownik podniósł je i ruszył z nim do walki. Żadna armia nie była w stanie mu się oprzeć i został pierwszym królem Ravki. A przynajmniej tak głosiła legenda.

Żarptak był Ravką. Nie było jego przeznaczeniem paść od strzały tropiciela, żeby jego kości przyniosły większą chwałę jakiejś wyniesionej na wyżyny sierocie.

– Sankt Ilia – powiedział Mal.

– Ilia Morozov.

– Święty grisza?

Dotknęłam palcem strony, obroży i kajdan na rękach Morozova.

– Trzy amplifikatory. Trzy stworzenia. I mamy dwa z nich.

Mal zdecydowanie pokręcił głową, pewnie próbując otrząsnąć się z działania wina. Zamknął gwałtownie książkę. Przez sekundę myślałam, że wyrzuci ją do morza, ale wtedy oddał ją mnie.

– Co mamy z tym zrobić? – zapytał.

Sprawiał wrażenie niemal rozgniewanego.

Myślałam nad tym całe popołudnie, cały wieczór, podczas niekończącej się kolacji, co rusz sięgając do łusek morskiego

bicza, jakbym musiała wciąż ich dotykać.

– Mal, Sturmhond ma fabrykatorów w załodze. Uważa, że powinnam posłużyć się łuskami... A ja myślę, że może mieć rację.

Mal obrócił się gwałtownie.

– Co takiego?

Przełknęłam nerwowo ślinę i brnęłam dalej:

– Moc jelenia nie wystarczy. Nie do walki ze Zmroczem. Nie do zniszczenia Fałdy.

– I według ciebie odpowiedzią jest drugi amplifikator?

– Na razie.

– Na razie?! – Przeczesał dłonią włosy. – Na wszystkich świętych – zaklął. – Ty chcesz zebrać wszystkie trzy. Chcesz zapolować na żarptaka.

Poczułam się nagle jak ktoś niemądry, chciwy, wręcz śmieszny.

– Na ilustracji...

– To tylko obrazek – szepnął gniewnie. – Rysunek wykonany przez jakiegoś dawno zmarłego mnicha.

– A jeśli to coś więcej? Zmrocz powiedział, że amplifikatory Morozova są inne, że powinno się używać wszystkich trzech razem.

– Czyli teraz słuchasz rad morderców?

– Nie, ale...

– Zaplanowaliście coś jeszcze ze Zmroczem, kiedy chowaliście się razem pod pokładem?

– Nie chowaliśmy się razem – zaprotestowałam. – Próbował ci tylko dopiec.

– Cóż, to mu się udało. – Złapał się relingu tak mocno, że kostki dłoni mu pobielały. – Pewnego dnia przeszyję strzałą gardło tego drania.

Usłyszałam echo głosu Zmrocza. „Nie ma nikogo takiego jak my”. Odepchnęłam te słowa na bok i położyłam dłoń na ręce Mala.

– Znalazłeś jelenia, znalazłeś morskiego bicza. Może jest ci przeznaczone znaleźć i żarptaka.

Roześmiał się w głos i zabrzmiało to smętnie, ale z ulgą zauważyłam, że nie było w tym goryczy.

– Jestem dobrym tropicielem, ale nie aż tak dobrym. Musimy wiedzieć, gdzie zacząć. Żarptak może być w dowolnym miejscu na świecie.

– Uda ci się. Jestem pewna.

Wreszcie westchnął i położył rękę na mojej dłoni.

– Nie pamiętam niczego na temat Sankt Ilii.

To żadna niespodzianka. Istniały setki świętych, po jednym na każdą wioseczkę i zabitą dechami dziurę w Ravce. Poza tym w Keramzinie uważano, że religia to zajęcie dla chłopów. Chodziliśmy do kościoła tylko raz, dwa razy do roku. Pomyślałam o Apparacie. Podarował mi *Istorii Sanktia*, ale nie miałam pojęcia, co nim kierowało ani nawet czy wiedział, jaki sekret kryje się w książce.

– Ja też, ale ten łuk musi coś znaczyć.

– Rozpoznajesz go?

Kiedy za pierwszym razem zerknęłam na ilustrację, łuk wydawał mi się niemal znajomy. Niestety, w czasie mojej nauki na kartografa widziałam mnóstwo ksiąg z mapami. Moja pamięć była wypełniona mglistymi wspomnieniami dolin i zabytków Ravki oraz innych krain. Pokręciłam głową.

– Nie.

– Pewnie, że nie. To byłoby za proste. – Odetchnął głęboko, a potem przyciągnął mnie do siebie i przyjrzał się mojej twarzy w blasku księżyca. Dotknął obroży na mojej szyi. – Alino – powiedział – skąd możemy wiedzieć, co te rzeczy z tobą zrobią?

– Nie możemy.

– A mimo to ich pragniesz. Jelenia. Morskiego bicza. Żarptaka.

Pomyślałam o euforii, jaka ogarnęła mnie, gdy posłużyłam się mocą w walce z hordą Zmrocza, jak moje ciało buzowało i wibrowało, kiedy dzierżyłam Cięcie. Jakie to byłoby uczucie, gdyby moja moc się podwoiła? Potroiła? Aż zakręciło mi się w głowie na tę myśl.

Spojrzałam na rozgwieżdżone niebo. Noc była czarna jak aksamit i wysypana klejnotami. Nagle poczułam głód. Pragnę ich, pomyślałam. Całego tego światła, całej mocy. Chcę mieć wszystko.

Przebiegł mnie dreszcz niepokoju. Przesunęłam palcem po grzbiecie *Istorii Sanktia*. Czy to chciwość sprawiała, że widziałam to, co chciałam widzieć? Może to ta sama chciwość napędzała Zmrocza wiele lat temu. Chciwość, która zmieniła go w Czarnego Heretyka i rozerwała Ravkę na pół. Nie mogłam jednak uciec przed faktem, że bez amplifikatorów nie miałam z nim szans. Nie mieliśmy z Malem dużego wyboru.

– Potrzebujemy ich – powiedziałam. – Wszystkich trzech. Jeśli kiedykolwiek mamy przestać uciekać. Jeśli kiedykolwiek chcemy odzyskać wolność.

Mal popchnął lekko palcem moją szyję i policzek, patrząc mi w oczy. Miałam wrażenie, że szuka w nich odpowiedzi, ale kiedy w końcu się odezwał, powiedział tylko:

– W porządku.

Pocałował mnie raz, delikatnie, i chociaż próbowałam to zignorować, było coś smutnego w tym pocałunku.

* * *

Nie wiedziałam, czy byłam niecierpliwa, czy zwyczajnie bałam się, że stracę odwagę, bo mimo późnej pory od razu tej samej nocy poszliśmy do Sturmhonda. Korsarz zareagował na naszą prośbę z typową dobrodusznością, a my z Malem wróciliśmy na pokład i zaczekaliśmy pod bezanmasztem. Kilka minut później kapitan pojawił się z materialniczką. Miała włosy zaplecione w warkocz i ziewała jak zaspany dzieciak, więc nie prezentowała się imponująco, ale jeśli Sturmhond twierdził, że to jego najlepsza fabrykatorka, to musiałam uwierzyć mu na słowo. Tolya i Tamar przyszli za nimi z lampami, żeby pomóc fabrykatorce. Jeśli przeżyjemy to, co miało się wydarzyć, wszyscy na pokładzie *Wołka Wołny* dowiedzą się o drugim amplifikatorze. To mi się nie podobało, ale nic nie dało się na to poradzić.

– Dobry wieczór – powiedział Sturmhond, klaszcząc w dłonie, jakby nie dostrzegał naszego ponurego nastroju. – To idealna noc, żeby wyrwać dziurę we wszechświecie, nie uważacie?

Spojrzałam na niego gniewnie i wyjęłam łuski z kieszeni. Opłukałam je w wiadrze ze słoną wodą. Zalśniły złościcie w świetle lamp.

– Co teraz? – zapytałam fabrykatorkę.

Kazała mi się odwrócić i pokazać tył obroży. Ta część migała mi tylko czasem w lustrze, ale wiedziałam, że jej powierzchnia musi być niemal idealnie gładka. Moje palce nigdy nie wyczuły żadnego łączenia w miejscu, gdzie David złożył ze sobą dwa kawałki poroża.

Podałam łuski Malowi, który dał jedną fabrykatorce.

– To na pewno dobry pomysł? – zapytała.

Zagryzała usta tak mocno, że pomyślałam, że zaraz popłynie krew.

– Oczywiście, że nie – odezwał się Sturmhond. – Wszystko, co warte wysiłku, zaczyna się od złego pomysłu.

Fabrykatorka wzięła łuskę z palców Mala i położyła mi ją na nadgarstku, a potem wyciągnęła rękę po następną. Pochyliła się.

Najpierw poczułam ciepło promieniujące z łusek, kiedy ich krawędzie zaczęły rozpadać się i formować na nowo. Jedna po drugiej stopiły się razem, zachodząc na siebie i tworząc obręcz na moim nadgarstku. Fabrykatorka pracowała w milczeniu, przesuwając ręce powoli, ledwie zauważalnie. Tolya i Tamar trzymali nieporuszenie lampy z twarzami tak nieruchomymi i uroczystymi, że sami mogliby być ikonami. Nawet Sturmhond zamilkł.

Wreszcie dwa końce obręczy prawie się zetknęły i została już tylko jedna łuska. Mal spojrzał na nią. Leżała w jego dłoni.

– Mal? – odezwałam się.

Nie spojrzał na mnie, ale dotknął palcem mojej skóry na nadgarstku, w miejscu, gdzie bił mi puls i gdzie miała się zamknąć obręcz. Potem podał ostatnią łuskę fabrykatorce.

Po chwili dzieło zostało zakończone.

Sturmhond zerknął na błyszczącą obręcz.

– Hmm – mruknął – myślałem, że koniec świata będzie bardziej ekscytujący.

– Odsuńcie się – powiedziałam.

Wszyscy odsunęli się pod reling.

– Ty też – poleciłam Malowi.

Niechętnie wypełnił polecenie. Widziałam, że Privyet zerka na nas zza koła sterowego. W górze skrzypiały liny, kiedy ludzie na wachcie wyciągali szyje, żeby lepiej widzieć.

Odetchnęłam głęboko. Musiałam uważać. Żadnego żaru. Samo światło. Otarłam wilgotne dłonie o płaszcz i rozłożyłam ręce. Praktycznie, zanim zdążyłam dobrze sformułować wezwanie, światło popędziło ku mnie.

Biegło ze wszystkich stron, od miliona gwiazd, od słońca nadal ukrytego pod horyzontem. Nadeszło z niepohamowaną szybkością i straszliwą siłą.

– Na wszystkich świętych… – zdążyłam tylko szepnąć.

A potem światło zapłonęło we mnie i noc się rozpadła. Niebo eksplodowało jasnym złotem. Powierzchnia wody migotała jak ogromny diament, odbijając przeszywające białe odłamki słonecznego światła. Mimo moich najlepszych intencji powietrze zamigotało od żaru.

Zamknęłam oślepione blaskiem oczy, starając się skupić, odzyskać panowanie nad światłem. Słyszałam szorstki głos Baghry w głowie, żądający, żebym zaufała mocy: „To nie zwierzę, które chowa się przed tobą albo wybiera, czy się pojawić, czy nie, gdy je wzywasz”. Ale nigdy do tej pory nie czułam czegoś takiego. To jednak było zwierzę, ucieleśnienie nieskończonego ognia, które zionęło z siłą jelenia i gniewem morskiego bicza. Przenikało mnie, kradnąc mi oddech, sprawiało, że rozpadałam się, granice mojego ciała się rozpływały, aż zostało mi tylko światło.

Za dużo, pomyślałam rozpaczliwie, a jednocześnie jedyną moją myślą było „więcej”.

Gdzieś z daleka dobiegały krzyki. Czułam, jak żar wzmaga się wokół mnie, unosi mi płaszcz, przypala włoski na rękach. Nic mnie to nie obchodziło.

– Alino!

Poczułam, jak statek zakołysał się, gdy morze zaczęło skwierczeć i syczeć.

– Alino!

Nagle ramiona Mala objęły mnie i odciągnęły. Trzymał mnie w miażdżącym uścisku, zaciskając powieki z powodu blasku. Czułam zapach morskiej soli, potu, a pod nimi znajome aromaty: Keramzinu, trawy z łąki, ciemnej zieleni głębin lasu.

Przypomniałam sobie o własnych rękach, nogach, żebrach, gdy trzymał mnie coraz mocniej, składając w całość. Rozpoznałam własne usta, zęby, język, serce i te nowe rzeczy, które także stały się częścią mnie: obrożę i obręcz. Były kością, oddechem, mięśniem i ciałem. Były moje.

„Czy ptakowi ciążą skrzydła?”.

Wzięłam wdech i powrócił rozsądek. Nie musiałam trzymać się mocy. To ona przywarła do mnie, jakby cieszyła się z powrotu do domu. W pojedynczym, olśniewającym wybuchu uwolniłam światło. Jasne niebo rozpadło się, wpuszczając z powrotem noc, i wszędzie wokół nas spadały iskry jak gasnące fajerwerki, rój lśniących płatków zdmuchnięty z tysiąca kwiatów.

Żar osłabł. Morze się uspokoiło.

Wciągnęłam ostatnie skrawki światła i utkałam z nich delikatną poświatę, która pulsowała nad pokładem.

Sturmhond i pozostali kucali przy relingu z rozdziawionymi ustami w wyrazie podziwu lub strachu. Mal przyciskał mnie do piersi, wtulając twarz w moje włosy i z trudem łapiąc powietrze.

– Mal – odezwałam się cicho.

Przycisnął mnie mocniej. Pisnęłam.

– Mal, nie mogę oddychać.

Powoli otworzył oczy i spojrzał na mnie. Opuściłam ręce i światło całkiem zgasło. Dopiero wtedy mnie wypuścił.

Tolya zapalił lampę, a pozostali wstali. Sturmhond otrzepał fałdy jarmarcznego turkusowego surduta. Fabrykatorka wyglądała, jakby miała zwymiotować, ale z twarzy bliźniąt trudniej było coś wyczytać. Ich złote oczy płonęły czymś, czego nie potrafiłam nazwać.

– No cóż, Przywoływaczko – powiedział Sturmhond z lekkim drżeniem w głosie – bez wątpienia potrafisz urządzić niezłe

przedstawienie.

Mal ujął moją twarz. Pocałował mnie w czoło, nos, usta, włosy, a potem znowu przytulił mnie mocno.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

Głos miał zachrypły.

– Nic – odpowiedziałam.

Ale to nie do końca była prawda. Czułam obrożę na szyi, ucisk obręczy na nadgarstku. Moja druga ręka wydawała mi się naga. Byłam niekompletna.

* * *

Sturmhond obudził załogę i ruszyliśmy w dalszą drogę jeszcze przed świtem. Nie mieliśmy pewności, jak daleko sięgało stworzone przeze mnie światło, ale istniało spore ryzyko, że zdradziłam nasze położenie. Musieliśmy szybko się oddalić.

Wszyscy członkowie załogi chcieli obejrzeć drugi amplifikator. Niektórzy byli nieufni, inni ciekawi, ale to Malem się martwiłam. Nieustannie mnie obserwował, jakby się bał, że w każdej chwili mogę stracić panowanie. Kiedy zapadł zmierzch, zeszliśmy pod pokład. Dopadłam go w jednym z wąskich przejść.

– Nic mi nie jest – powiedziałam. – Naprawdę.

– Skąd wiesz?

– Bo wiem. Czuję.

– Nie widziałaś tego, co ja. To było...

– Wymknęło mi się. Nie wiedziałam, czego się spodziewać.

Pokręcił głową.

– Byłaś jak ktoś obcy. Piękny. I straszny.

– To się więcej nie powtórzy. Obręcz jest teraz cząstką mnie jak płuca albo serce.

– Twoje serce – powiedział chłodno.

Wzięłam go za rękę i przycisnęłam ją do piersi.

– To nadal to samo serce, Mal. Nadal należy do ciebie.

Uniosłam drugą rękę i oświetliłam jego twarz delikatnym słonecznym blaskiem. Wzdrygnął się. „On nigdy nie zdoła zrozumieć twojej mocy, a nawet gdyby mu się udało, ostatecznie zacząłby się ciebie bać". Odepchnęłam od siebie głos Zmrocza. Mal miał prawo się bać.

– Dam radę – powiedziałam łagodnie.

Zamknął oczy i odwrócił twarz do światła słonecznego, które promieniowało z mojej ręki. Potem przechylił głowę i oparł się policzkiem o moją dłoń. Światło kładło się ciepłym blaskiem na jego skórze.

Staliśmy tak w milczeniu, aż dzwon obwieścił zmianę wachty.



Wiatry stały się cieplejsze, wody z szarych zamieniły się w niebieskie, kiedy *Wołk Wołny* poniósł nas na południowy wschód w kierunku Ravki. Załoga Sturmhonda, która składała się z żeglarzy i zbuntowanych griszów, zgodnie współpracowała, dzięki czemu statek płynął bez żadnych zakłóceń. Mimo historii, które zaczęły krążyć na temat mocy drugiego amplifikatora, nie zwracano szczególnej uwagi na mnie i na Mala, chociaż czasem ktoś przychodził popatrzeć, jak ćwiczę na rufie szkunera. Uważałam, nigdy nie naciskałam zbyt mocno, zawsze przywoływałam światło w południe, kiedy słońce było wysoko na niebie i nikt nie mógł dostrzec moich wysiłków. Mal nadal był nieufny, ale mówiłam mu prawdę: moc morskiego bicza stanowiła teraz część mnie samej. To było ekscytujące. Pokrzepiało mnie. Nie przerażało.

Zbuntowani griszowie mnie fascynowali. Każdy miał inną historię. Jednego wolała niepostrzeżenie wykraść ciotka niż oddać Zmroczowi. Drugi zdezerterował z Drugiej Armii. Trzecią ukryto w piwnicy, kiedy przybyli Egzaminatorzy, żeby poddać ją próbie.

– Matka powiedziała im, że zabiła mnie gorączka, która szalała w naszej wiosce poprzedniej wiosny – powiedziała akwatyczka. – Sąsiadka ścięła mi włosy i udawała, że jestem jej zmarłym synem, *otkazat´sia*, dopóki nie byłam dość dorosła, żeby odejść.

Matka Tolyi i Tamar była griszą i stacjonowała na południowej granicy Ravki, kiedy poznała ich ojca, najemnika z Shu Hanu.

– Gdy umierała – wyjaśniła Tamar – kazała ojcu obiecać, że nie pozwoli wcielić nas do Drugiej Armii. Następnego dnia wyjechaliśmy do Nowoziemia.

Większość zbuntowanych griszów wylądowała w Nowoziemiu. To było jedyne miejsce poza Ravką, gdzie nie musieli się bać, że zostaną poddani eksperymentom przez lekarzy z Shu Hanu albo spaleni na stosie przez fjerdańskich łowców czarownic. Mimo to musieli uważać, żeby nie zdradzić swoich mocy. Griszowie byli cennymi niewolnikami, a pozbawieni skrupułów kercheńscy kupcy słynęli z tego, że łapali ich i sprzedawali na tajnych aukcjach.

Właśnie z tych powodów wielu griszów uciekało do Ravki i wstępowało do Drugiej Armii. Jednak ci zbuntowani myśleli inaczej. Woleli przez całe życie oglądać się przez ramię i przenosić się z miejsca na miejsce, by nikt ich nie odkrył, niż służyć Zmroczowi i ravkańskiemu królowi. Rozumiałam ten wybór.

Po kilku nudnych dniach na szkunerze poprosiliśmy z Malem Tamar, żeby pokazała nam kilka sztuczek z nowoziemskich

technik walki. Pozwalało to przerwać monotonię życia na morzu i rozproszyć potworny niepokój związany z powrotem do Ravki Zachodniej.

Załoga Sturmhonda potwierdziła niepokojące plotki, które słyszeliśmy w Nowoziemiu. Całkiem zaprzestano podróży przez Fałdę; fale uchodźców uciekały z ziem, na które się rozlewała. Pierwsza Armia była o krok od buntu, a z Drugiej pozostały niedobitki. Najbardziej przerażała mnie wieść, że kult Słonecznej Świętej zapoczątkowany przez Apparata przybiera na sile. Nikt nie wiedział, jakim cudem Apparat zdołał uciec z Wielkiego Pałacu po nieudanym zamachu stanu Zmrocza, ale pojawił się gdzieś wśród klasztorów rozrzuconych po całej Ravce.

Rozpowiadał, że zginęłam w Fałdzie i zostałam wskrzeszona jako święta. Chciało mi się z tego śmiać, ale kiedy późną nocą kartkowałam makabryczne „Żywoty Świętych", nie było mi ani trochę do śmiechu. Przypomniałam sobie zapach Apparata, nieprzyjemną mieszankę kadzidła i stęchlizny. Owinęłam się ciaśniej płaszczem. To on dał mi tę książkę. Zastanawiałam się dlaczego.

Mimo siniaków i guzów ćwiczenia z Tamar pomogły mi złagodzić nieustanny niepokój. Kiedy dziewczęta uzyskiwały pełnoletność, werbowano je do królewskiej armii tak samo jak chłopców, widziałam więc mnóstwo walczących dziewczyn i razem z nimi trenowałam. Nigdy jednak nie widziałam nikogo – ani mężczyzny, ani kobiety – kto walczyłby tak jak Tamar. Poruszała się z wdziękiem tancerki i nieomylnie odgadywała zamiary przeciwnika. Najchętniej walczyła dwoma toporkami o podwójnym ostrzu, które rozbłyskiwały jak światło odbijające się od wody, ale była równie niebezpieczna, gdy walczyła szablą, pistoletem czy gołymi rękami. Tylko Tolya był w stanie

jej dorównać, a kiedy walczyli w ramach ćwiczeń, cała załoga przystawała, żeby popatrzeć.

Olbrzym niewiele mówił i przez większość czasu pracował przy olinowaniu albo stał na pokładzie i robił imponujące wrażenie. Czasem jednak wtrącał się do lekcji. Nie był z niego nadzwyczajny nauczyciel. „Ruszaj się szybciej” – to było mniej więcej tyle, ile zdołaliśmy od niego wyciągnąć. Tamar była o niebo lepszym instruktorem, ale lekcje stały się mniejszym wyzwaniem, kiedy Sturmhond przyłapał nas na ćwiczeniach na fordeku.

– Tamar – zbeształ ją – nie uszkodź, proszę, ładunku.

Natychmiast stanęła na baczność i rzuciła tylko:

– *Da*, kapitanie.

Rzuciłam mu kwaśne spojrzenie.

– Nie jestem paczką, którą dostarczasz.

– Szkoda – odparł, odchodząc powolnym krokiem. – Paczki nie gadają i zostają tam, gdzie się je postawi.

Kiedy jednak Tamar zaczęła nas uczyć walki rapierami i szablami, nawet Sturmhond się dołączył. Mal z każdym dniem był coraz lepszy, chociaż Sturmhond i tak za każdym razem z łatwością go pokonywał. Jednak Malowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Przyjmował cięgi z humorem, na który mnie nigdy nie było stać. Przegrane sprawiały, że się irytowałam. A Mal tylko się śmiał.

– Jak ty i Tolya nauczyliście się używać swoich mocy? – zapytałam Tamar pewnego popołudnia, kiedy patrzyłyśmy, jak Mal i Sturmhond walczą na pokładzie. Znalazła mi rożek szkutniczy i kiedy mnie nie okładała, próbowała mnie nauczyć węzłów i splotów.

– Łokcie przy bokach! – beształ Mala Sturmhond. – Przestań nimi machać jak kurczak!

Mal zagdakał. Wyszło mu to niepokojąco dobrze.

Tamar uniosła brew.

– Twój przyjaciel dobrze się bawi.

Wzruszyłam ramionami.

– Mal zawsze był taki. Możesz go wrzucić do obozu pełnego fjerdańskich zabójców, a on wróci z niego niesiony przez nich na rękach. Rozkwita, gdziekolwiek go posadzić.

– A ty?

– Ja bardziej przypominam chwast – odparłam cierpko.

Tamar uśmiechnęła się szeroko. W walce była jak zimny i milczący ogień, ale poza nią chętnie się uśmiechała.

– Lubię chwasty – powiedziała, odsuwając się od relingu i zbierając rozrzucone kawałki liny. – Wszystko zniosą.

Złapałam się na tym, że odpowiadam jej uśmiechem. Szybko wróciłam do pracy nad węzłem. Kłopot w tym, że lubiłam przebywać na statku Sturmhonda. Lubiłam Tolyę, Tamar i resztę załogi. Lubiłam siedzieć z nimi przy posiłku, lubiłam śpiewny tenor Privyeta. Lubiłam popołudnia, kiedy ćwiczyliśmy strzelanie do celu. Ustawialiśmy na rufie puste butelki po winie i robiliśmy niewinne zakłady.

Trochę to przypominało życie w Małym Pałacu, ale bez zawikłanej polityki i nieustannej walki o lepszą pozycję. Załoga była bezpośrednia i sympatyczna w stosunku do siebie nawzajem. To wszystko byli młodzi, biedni ludzie, którzy przez większość życia się ukrywali. Na tym statku znaleźli dom, w którym powitali mnie i Mala bez zbędnych ceregieli.

Nie wiedziałam, co nas czeka w Ravce Zachodniej, i byłam przekonana, że powrót tam to szaleństwo, ale na pokładzie *Wołka Wołny*, kiedy wiatr wiał, a białe płótna odcinały się wyrazistymi liniami od rozległego niebieskiego nieba, potrafiłam zapomnieć o przyszłości i lękach.

I musiałam przyznać, że też polubiłam Sturmhonda. Był zawadiacki i bezczelny, zawsze posługiwał się dziesięcioma

słowami, gdy wystarczyłyby dwa, ale imponował mi sposobem, w jaki dowodził załogą. Nie zawracał sobie głowy sztuczkami, jakie widziałam u Zmrocza, a mimo to słuchali go bez wahania. Nie bali się go, tylko szanowali.

– Jak naprawdę nazywa się Sturmhond? – zapytałam Tamar. – Jak brzmi jego ravkańskie imię?

– Nie mam pojęcia.

– Nigdy nie pytałaś?

– A po co miałabym pytać?

– A z jakiej części Ravki pochodzi?

Spojrzała na niebo, mrużąc oczy.

– Masz ochotę na jeszcze jedną rundkę z szablami? Powinnyśmy zdążyć przed moją wachtą.

Zawsze zmieniała temat, kiedy pytałam o Sturmhonda.

– Nie spadł przecież na statek z nieba. Nie interesuje cię, skąd pochodzi?

Tamar podniosła szable i podała je Tolyi, który pełnił na statku funkcję zbrojmistrza.

– Nieszczególnie. Pozwala nam żeglować i walczyć.

– I nie każe nam ubierać się w czerwony jedwab i robić za jego pieski salonowe – dodał Tolya, otwierając stojak na broń kluczem, który nosił na szyi.

– Kiepski byłby z ciebie piesek. – Tamar się roześmiała.

– Wszystko jest lepsze od przyjmowania rozkazów od jakiegoś nadętego dupka w czarnych szmatach – warknął Tolya.

– Wypełniasz rozkazy Sturmhonda – wytknęłam mu.

– Tylko kiedy ma na to ochotę.

Podskoczyłam. Sturmhond stał tuż za mną.

– Spróbuj powiedzieć wołowi, co ma robić, i zobacz, co się stanie – dodał.

Tamar parsknęła i pomogła bratu odkładać broń na miejsce.

Sturmhond pochylił się ku mnie i mruknął:

– Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć na mój temat, ślicznotko, to wystarczy zapytać.

– Zastanawiałam się, skąd pochodzisz – zaczęłam się bronić. – To wszystko.

– A skąd ty pochodzisz?

– Z Keramzinu. Przecież wiesz.

– A tak naprawdę skąd?

Kilka mglistych wspomnień rozbłysnęło mi w głowie. Płytkie naczynie z gotowanymi burakami, ich śliskość, gdy wzięłam je w palce, które zabarwiły mi się na czerwono. Zapach owsianki z jajkiem. Jazda na barana na pylistej drodze; pewnie to ojciec mnie niósł. W Keramzinie nawet napomknięcie o rodzicach uważano za zdradę dobroci diuka i oznakę niewdzięczności. Przed przyjazdem do posiadłości nauczono nas nigdy nie mówić o naszym poprzednim życiu i ostatecznie wspomnienia się zacierały.

– Znikąd. Wioska, w której się urodziłam, była za mała, żeby zasłużyć na nazwę. A ty, Sturmhondzie? Skąd pochodzisz?

Korsarz uśmiechnął się szeroko. Znowu uderzyło mnie wrażenie, że coś jest nie tak z jego twarzą.

– Moja matka była małżem – powiedział, mrugając znacząco – a ja jestem perłą.

Odszedł, pogwizdując fałszywie.

* * *

Dwie noce później obudziłam się i poczułam, że Tamar potrząsa mną, chwyciwszy mnie za zdrowe ramię.

– Czas na nas – powiedziała.

– Teraz? – zapytałam zaspana. – Która godzina?

– Dochodzi trzecia.

– Nad ranem? – Ziewnęłam i spuściłam nogi z hamaka. – Gdzie jesteśmy?

– Piętnaście mil od wybrzeża Ravki Zachodniej. Chodź, Sturmhond czeka.

Była ubrana i miała płócienny worek żeglarski przewieszony przez ramię.

Nie miałam żadnych rzeczy do spakowania, więc włożyłam buty, poklepałam wewnętrzną kieszeń płaszcza, upewniając się, że mam czerwoną książkę, i wyszłam za Tamar.

Na pokładzie Mal stał przy sterburcie z grupką żeglarzy. Przez chwilę byłam skonsternowana, gdy zobaczyłam, że Privyet nosi jarmarczny turkusowy surdut Sturmhonda. Nie poznałabym kapitana, gdyby nie wydawał rozkazów. Miał na sobie obszerny, ciężki szynel z podniesionym kołnierzem i wełnianą czapkę mocno naciągniętą na uszy.

Wiał zimny wiatr. Gwiazdy świeciły jasno na niebie, sierp księżyca wisiał nisko nad horyzontem. Zerknęłam na oświetlone księżycowym blaskiem fale, nasłuchując rytmicznych westchnień morza. Jeżeli ląd znajdował się niedaleko, to ja go nie dostrzegałam.

Mal próbował rozgrzać mnie, rozcierając mi ramiona.

– Co się dzieje? – spytałam.

– Płyniemy na brzeg.

Słyszałam nieufność w jego głosie.

– W środku nocy?

– *Wołk Wołny* wciągnie moją banderę w pobliżu wybrzeża fjerdańskiego – powiedział Sturmhond. – Zmrocz nie musi wiedzieć, że już wróciłaś na ravkańską ziemię.

Kiedy Sturmhond pochylił głowę, żeby porozmawiać z Privyetem, Mal odciągnął mnie na lewą burtę.

– Jesteś pewna?

– Ani trochę – przyznałam.

Położył ręce na moich ramionach i powiedział:

– Istnieje spore ryzyko, że zostanę aresztowany, jeśli nas znajdą. Ty może i jesteś Przywoływaczką Słońca, ale ja jestem tylko żołnierzem, który złamał rozkaz.

– Rozkaz Zmrocza.

– To może nie mieć znaczenia.

– Zadbam, żeby miało. Poza tym nikt nas nie znajdzie. Dostaniemy się do Ravki Zachodniej, spotkamy się z klientem Sturmhonda i zdecydujemy, co chcemy zrobić.

Mal przyciągnął mnie do siebie.

– Zawsze sprawiałaś tyle kłopotów?

– Wolę myśleć o sobie jak o rozkosznie skomplikowanej.

Pochylił się, żeby mnie pocałować, a wtedy głos Sturmhonda przeciął ciemność:

– Możemy zostawić sobie mizianie na później? Chcę, żebyśmy znaleźli się na lądzie przed świtem.

Mal westchnął.

– W końcu mu przyłożę.

– A ja wesprę cię w twoich wysiłkach.

Wziął mnie za rękę i wróciliśmy do grupy.

Sturmhond dał Privyetowi kopertę zapieczętowaną grudką bladoniebieskiego wosku i poklepał go po plecach. Może zwiodło mnie księżycowe światło, ale pierwszy oficer wyglądał, jakby miał się rozpłakać. Tolya i Tamar przeszli nad relingiem, trzymając się mocno obciążonej drabinki przymocowanej do szkunera.

Zerknęłam za burtę. Spodziewałam się zobaczyć zwykłą szalupę, ale zdziwił mnie widok łodzi, która kołysała się obok *Wołka Wołny*. Nie przypominała żadnej łodzi, jaką widziałam w swoim życiu. Miała dwa kadłuby podobne do pary sabotów, które łączył pokład z ogromną dziurą pośrodku.

Zeszliśmy z Malem ostrożnie do jednego z kadłubów. Przeszliśmy po nim, aż zeszliśmy na centralny pokład, gdzie między dwoma masztami znajdował się wpuszczony w pokład kokpit. Sturmhond zeskoczył za nami, a potem wskoczył na podwyższenie za kokpitem i zajął miejsce przy sterze.

– Co to jest? – zapytałam.

– Nazwałem tę łódkę *Koliber* – powiedział, zerkając na jakąś mapę, której nie widziałam – chociaż zastanawiam się, czy nie przemianować jej na *Żarptaka*.

Wciągnęłam gwałtownie powietrze w płuca, ale Sturmhond tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu i wydał rozkaz:

– Odciąć kotwicę i odbijamy!

Tamar i Tolya rozwiązali węzły na linach z hakami abordażowymi, które trzymały nas przy szkunerze. Widziałam, jak lina kotwicy ześlizguje się niczym wąż przez rufę *Kolibra*, aż jej koniec zniknął w morzu. Spodziewałabym się, że przyda nam się kotwica, kiedy wejdziemy do portu, ale uznałam, że Sturmhond wie, co robi.

– Żagle staw! – zawołał.

Rozwinięto żagle. Chociaż maszty *Kolibra* były znacznie krótsze od tych na pokładzie szkunera, jego podwójne żagle były ogromne, prostokątne i każdy wymagał dwóch członków załogi do ustawienia we właściwej pozycji.

Lekka bryza wpadła w płótna i odpłynęliśmy od *Wołka Wołny*. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Sturmhond patrzy na oddalający się szkuner. Nie widziałam jego twarzy, ale odniosłam wrażenie, że się z nim żegna. Otrząsnął się i zawołał:

– Szkwalnicy!

Na każdym kadłubie stał jeden grisza. Unieśli ręce i owiał nas wiatr, wypełniając żagle. Sturmhond wyrównał kurs i rozkazał, by przyśpieszyć. Szkwalnicy wykonali polecenie i dziwna łódka wystrzeliła przed siebie.

– Weźcie je – powiedział Sturmhond.

Zrzucił mi na kolana gogle, a Malowi rzucił drugą parę. Wyglądały podobnie do tych, które fabrykatorzy nosili w warsztatach w Małym Pałacu. Rozejrzałam się. Wszyscy członkowie załogi nosili takie gogle, łącznie ze Sturmhondem. Założyliśmy je więc i my.

Kilka sekund później ucieszyłam się, że je mam, kiedy Sturmhond rozkazał jeszcze bardziej przyśpieszyć. Żagle szarpały się na linach nad nami, a mnie ogarnął niepokój. Dlaczego Sturmhond tak się śpieszy?

Koliber śmigał nad wodą, jego płytkie podwójne kadłuby przeskakiwały z fali na falę, ledwie dotykając powierzchni morza. Trzymałam się mocno siedzenia. Żołądek podlatywał mi do gardła przy każdym podskoku.

– Dobrze, szkwalnicy – rozkazał Sturmhond – a teraz nas podnieście. Żeglarze, na moją komendę do skrzydeł.

Odwróciłam się do Mala.

– Co miał na myśli, mówiąc „podnieście nas”?

– Pięć! – krzyknął Sturmhond.

Załoga zaczęła przesuwać się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, ciągnąc za liny.

– Cztery!

Szkwalnicy szerzej rozłożyli ręce.

– Trzy!

Bom podniósł się między masztami i żagle przesunęły się po nim.

– Dwa!

– W górę! – krzyknęli żeglarze.

Szkwalnicy zakreślili rękami potężny łuk w górę.

– Jeden! – wrzasnął Sturmhond.

Żagle wydęły się w górę i na zewnątrz, unosząc się wysoko nad pokładem jak ogromne skrzydła. Żołądek mi się zacisnął

i stało się coś nie do pomyślenia: *Koliber* wzbił się w powietrze.

Złapałam się siedzenia, mamrocząc pod nosem stare modlitwy, i zacisnęłam powieki, kiedy wiatr smagał mnie po twarzy, a my wznieśliśmy się w nocne niebo.

Sturmhond śmiał się jak wariat. Szkwalnicy nawoływali się bezustannie, żeby mieć pewność, że utrzymają stabilny prąd wznoszący. Miałam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi z piersi.

Na wszystkich świętych, pomyślałam słabo. To nie może dziać się naprawdę!

– Alino! – wrzasnął Mal, przekrzykując huk wiatru.

– Co? – wykrztusiłam jedno słowo, zaciskając usta.

– Alino, otwórz oczy. Musisz to zobaczyć.

Pokręciłam lekko głową. Właśnie tego nie powinnam robić.

Mal wziął mnie za rękę, ściskając moje zmarznięte palce.

– Spróbuj.

Wzięłam drżący wdech i zmusiłam się do otwarcia oczu. Otaczały nas gwiazdy. Nad nami białe płótno unosiło się dwoma szerokimi łukami, napiętymi jak łuk strzelca.

Wiedziałam, że nie powinnam tego robić, ale nie potrafiłam powstrzymać się przed wyciągnięciem szyi i wyjrzeniem poza kokpit. Ryk wiatru był ogłuszający. W dole, daleko w dole, oświetlone przez księżyc fale poruszały się jak jasne łuski powoli pełznącego węża. Gdybyśmy spadli, wiedziałam, że roztrzaskalibyśmy się o ten grzbiet.

Drobny śmiech wyrwał mi się z ust, coś pomiędzy euforią a histerią. Lecieliśmy. Naprawdę lecieliśmy!

Mal uścisnął mi dłoń i krzyknął radośnie.

– To niemożliwe! – wykrzyknęłam.

Sturmhond zapiał z zachwytu.

– Kiedy ludzie mówią „niemożliwe”, zwykle mają na myśli „nieprawdopodobne”.

Z księżycem odbijającym się od jego gogli i szynelem wydymającym się wokół niego wyglądał jak skończony wariat.

Starałam się oddychać. Wiatr wiał równo. Szkwalnicy i załoga byli skupieni, ale spokojni. Powoli, bardzo powoli, supeł w mojej piersi rozluźnił się i zaczęłam się uspokajać.

– Skąd go wytrzasnąłeś?! – wykrzyknęłam do Sturmhonda.

– Sam go zaprojektowałem. I rozbiłem wcześniej kilka prototypów.

Przełknęłam nerwowo ślinę. „Rozbiłem” to ostatnie słowo, jakie chciałam teraz usłyszeć.

Mal wychylił się poza krawędź kokpitu, próbując lepiej się przyjrzeć ogromnym działkom ustawionym na dziobach kadłubów.

– Te działka – powiedział – są wielolufowe.

– I mają zasilanie opadowe. Nie trzeba przerywać ostrzału, żeby je załadować. Wystrzeliwują dwieście pocisków na minutę.

– To...

– Niemożliwe? Jedyny problem to przegrzewanie, ale w tym modelu nie wygląda to najgorzej. Kazałem nowoziemskiemu rusznikarzowi popracować nad nim, żeby usunąć poważniejsze niedoskonałości. Barbarzyńskie łajdusy, ale znają się na broni. Te na rufie mają obrotowe mocowanie, więc można strzelać pod dowolnym kątem.

– I ostrzelać wroga z góry! – krzyknął radośnie Mal. – Gdyby flota Ravki miała coś takiego...

– Zyskałaby sporą przewagę, co? Ale Pierwsza i Druga Armia musiałyby ze sobą współpracować.

Pomyślałam o tym, co Zmrocz powiedział mi nie tak dawno. „Epoka potęgi griszów zbliża się do końca”. Jego odpowiedzią było przekształcenie Fałdy w broń. A gdyby moc griszów przeobrazili tacy ludzie jak Sturmhond? Rozejrzałam się po

pokładzie *Kolibra*, popatrzyłam na żeglarzy i szkwalników pracujących ramię w ramię, na Tolyę i Tamar siedzących za tymi przerażającymi działkami. To nie było niemożliwe.

To korsarz, upomniałam się w myślach. I nawet przez chwilę nie zawahałby się, czy czerpać korzyści z wojny. Broń Sturmhonda mogłaby dać Ravce przewagę, ale równie dobrze mogłaby trafić w ręce jej wrogów.

Jasne światło na lewo od dziobu odciągnęło mnie od moich myśli. Ogromna latarnia morska w zatoce Alkhem. Byliśmy już blisko. Wyciągnęłam szyję i dostrzegłam lśniące wieże w porcie Os Kervo.

Sturmhond nie skierował się prosto do portu, ale zrobił zwrot na południowy zachód. Domyślałam się, że wylądujemy gdzieś dalej na wybrzeżu. Na myśl o lądowaniu zrobiło mi się słabo. Postanowiłam, że w tym czasie zamknę oczy, bez względu na to, co powie Mal.

Wkrótce światło latarni zniknęło mi z oczu. Jak daleko na południe zamierzał nas zabrać Sturmhond? Powiedział, że chce dotrzeć na wybrzeże przed świtem, więc nie mogliśmy lecieć dalej niż jeszcze godzinę, dwie.

Zamyśliłam się, zagubiłam w otaczających nas gwiazdach i chmurach przemykających po szerokim niebie. Nocny wiatr szczypał mi policzki i przenikał przez cienki materiał płaszcza.

Zerknęłam w dół i zdusiłam okrzyk. Nie znajdowaliśmy się już nad wodą. Lecieliśmy nad lądem. Twardym i nieustępliwym lądem.

Pociągnęłam Mala za rękaw i zaczęłam rozpaczliwie pokazywać ziemię pod nami, pomalowaną księżycowym światłem na odcienie czerni i srebra.

– Sturmhond! – zawołałam spanikowana. – Co ty wyprawiasz?

– Powiedziałeś, że zabierzesz nas do Os Kervo...! – krzyknął Mal.

– Powiedziałem, że zabiorę was do mojego klienta.

– Nieważne – lamentowałam. – Gdzie zamierzasz wylądować?

– Nie martw się. Chodzi mi po głowie śliczne małe jeziorko.

– Jak bardzo małe? – pisnęłam. Widziałam, że Mal gramoli się z kokpitu z rozgniewaną twarzą. – Mal, siadaj!

– Ty kłamliwy, złodziejski...

– Na twoim miejscu zostałbym tam, gdzie jesteś. Wątpię, żebyś chciał się kręcić po statku, kiedy wlecimy do Fałdy.

Mal zamarł. Sturmhond zaczął pogwizdywać fałszywie tę samą melodyjkę co zwykle. Wiatr porwał ją ze sobą.

– Nie możesz mówić poważnie – powiedziałam.

– I zwykle nie mówię – odpowiedział Sturmhond. – Pod twoim siedzeniem przymocowano karabin, Orecev. Pewnie zechcesz go wziąć. Na wszelki wypadek.

– Nie możesz polecieć tym czymś do Fałdy! – wrzasnął Mal.

– Czemu nie? O ile dobrze rozumiem, podróżuję z jedyną osobą, która może zagwarantować nam bezpieczną przeprawę.

Zacisnęłam pięści, a gniew nagle przegonił mój strach.

– Może po prostu pozwolę, żeby volcry zabrały ciebie i twoją załogę w ramach nocnej przekąski!

Sturmhond trzymał jedną rękę na kole sterowym, a drugą uniósł, żeby spojrzeć na zegarek.

– Raczej wczesnego śniadania. Mamy solidne opóźnienie. Poza tym – powiedział – dół jest bardzo daleko. Daleko nawet dla Przywoływaczki Słońca.

Zerknęłam na Mala i wiedziałam, że jego wściekłość musi odzwierciedlać moją własną.

Krajobraz przesuwał się pod nami w przerażającym tempie. Wstałam, próbując się zorientować, gdzie jesteśmy.

– Na wszystkich świętych – zaklęłam.

Za nami ciągnęły się gwiazdy, księżycowy blask, świat żywych. Przed nami nie było niczego. On naprawdę to zrobi. Zabierał nas do Fałdy.

– Strzelcy na stanowiska! – zawołał Sturmhond. – Szkwalnicy, utrzymajcie stały poziom.

– Zabiję cię, Sturmhond! – krzyknęłam. – Natychmiast zawróć!

– Chciałbym, ale nie mogę. Niestety, jeśli chcesz mnie zabić, to musisz poczekać, aż wylądujemy. Gotowa?

– Nie! – wrzasnęłam.

W następnej chwili znaleźliśmy się w ciemności, która nie przypominała żadnej nocy. Idealna, głęboka, nienaturalna, zamykała się wokół nas duszącym uściskiem. Znajdowaliśmy się w Fałdzie.



Kiedy tylko wkroczyliśmy na Niemorze, wiedziałam, że coś się zmieniło.

Pośpiesznie zaparłam się stopami o pokład i uniosłam ręce, rozlewając szerokie, złote pasmo słonecznego blasku wokół *Kolibra*. Chociaż byłam zła na Sturmhonda, nie zamierzałam udowadniać swojej racji, pozwalając, żeby stado volcr zrzuciło nas na ziemię.

Dzięki mocy obu amplifikatorów prawie nie musiałam myśleć, żeby przywołać światło. Ostrożnie zbadałam jego krawędzie, nie wyczuwając żadnego dzikiego zamętu, który pokonał mnie za pierwszym razem, gdy posłużyłam się obręczą. Jednak działo się tu coś bardzo niedobrego. Czułam, że Fałda jest inna. Powiedziałam sobie, że to tylko moja wyobraźnia, ale miałam wrażenie, że ciemność zyskała fakturę. Niemal czułam, jak przesuwa się po mojej skórze. Krawędzie

rany na ramieniu zaczęły mnie swędzieć i szczypać, jakby ciało na ranie się niepokoiło.

Byłam na Niemorzu już dwukrotnie i za każdym razem czułam się jak ktoś obcy, jak słaby intruz w niebezpiecznym, nienaturalnym świecie, który nie życzy sobie mojej obecności. Teraz jednak Fałda jakby sięgała po mnie, witała mnie. Wiedziałam, że to nie ma sensu. Fałda była martwym i pustym miejscem, nie żywą istotą.

Ona mnie zna, pomyślałam. Podobieństwa się przyciągają.

Byłam śmieszna. Oczyściłam umysł i sięgnęłam światłem dalej, by moc pulsowała wokół mnie ciepłem i dodawała mi otuchy. Oto czym byłam. Nie ciemnością.

– Nadchodzą – odezwał się obok mnie Mal. – Posłuchaj.

Ponad szumem wiatru usłyszałam wrzask, rozlegający się echem w Fałdzie, a potem rytmiczny łopot skrzydeł volcr. Szybko nas znalazły, przyciągnięte zapachem ludzkiej zwierzyny.

Skrzydła łopotały wokół kręgu światła, który stworzyłam, i popychały ku nam fale ciemności. Odkąd zaprzestano podróży przez Fałdę, volcry zbyt długo żyły bez pożywienia. Głód dodał im odwagi.

Rozłożyłam ręce, a światło stało się jaśniejsze, odpędzając potwory.

– Nie – powiedział Sturmhond. – Niech się zbliżą.

– Co? Dlaczego? – zapytałam.

Volcry były drapieżnikami. Nie należało się z nimi bawić.

– Polują na nas – powiedział, podnosząc głos, żeby wszyscy go słyszeli. – Może nadszedł czas, żebyśmy to my zapolowali na nie.

Załoga zakrzyknęła bojowo, a potem rozległo się wycie i szczekanie.

– Cofnij światło – polecił mi Sturmhond.

– On oszalał – powiedziałam do Mala. – Powiedz mu, że oszalał.

Jednak Mal się zawahał.

– No wiesz…

– Co?! – Nie wierzyłam własnym uszom. – Na wypadek gdybyś zapomniał, jeden z tych stworów próbował cię pożreć!

Wzruszył ramionami, a na jego usta wypłynął szeroki uśmiech.

– Może właśnie dlatego chciałbym zobaczyć, co potrafią te działka.

Pokręciłam głową. To mi się nie podobało. Nic a nic.

– Na chwilę tylko – nalegał Sturmhond. – Zrób mi tę przyjemność.

No to zrobiłam. Jakby prosił mnie o dokładkę tortu.

Załoga czekała. Tolya i Tamar przykucnęli za lufami dział. Wyglądali jak insekty o skórzanych grzbietach.

– W porządku – powiedziałam. – Ale nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Mal uniósł karabin do ramienia.

– No to zaczynamy – mruknęłam.

Zgięłam palce. Krąg światła skurczył się wokół statku.

Volcry wrzasnęły w podnieceniu.

– Bardziej! – rozkazał Sturmhond.

Zazgrzytałam z frustracji zębami i zrobiłam, co kazał. Fałda pociemniała.

Usłyszałam szum skrzydeł. Volcry zapikowały.

– Teraz, Alino! – krzyknął Sturmhond. – Szeroko!

Nie zastanawiałam się. Rozlałam światło oślepiającą falą. Ukazało otaczającą nas zgrozę w jasnym, bezwzględnym blasku słońca w południe. Wszędzie były volcry, unoszące się w powietrzu wokół statku, masa szarych, wijących się ciał, mlecznych, niewidzących oczu i paszcz wypełnionych zębami.

Nie dało się nie dostrzec ich podobieństwa do *niczewojów*, ale były znacznie bardziej groteskowe, znacznie bardziej niezręczne.

– Ognia! – krzyknął Sturmhond.

Tolya i Tamar zaczęli strzelać. Nigdy w życiu nie słyszałam takiego dźwięku – nieustający, rozsądzający czaszkę grzmot wstrząsał otaczającym nas powietrzem i zgrzytał mi w kościach.

To była masakra. Volcry spadały z nieba z rozprutymi piersiami, skrzydłami oderwanymi od tułowi. Łuski z brzękiem uderzały o pokład. Ostra woń prochu wypełniła powietrze.

Dwieście pocisków na minutę. Oto co potrafi nowoczesna armia.

Potwory nie wiedziały, co się dzieje. Kręciły się i miotały w powietrzu, oszalałe z żądzy krwi, głodu, strachu, rzucały się na siebie wzajemnie, skonsternowane i szukające ucieczki. Ich krzyki... Baghra powiedziała mi kiedyś, że przodkami volcr byli ludzie. Mogłabym przysiąc, że słyszę to w ich wrzaskach.

Ostrzał ucichł. W uszach mi dzwoniło. Podniosłam wzrok i zobaczyłam smugi czarnej krwi i kawałki ciała na żaglach. Zimny pot zlał mi czoło. Bałam się, że zwymiotuję.

Cisza trwała tylko kilka chwil, zanim Tolya odchylił głowę i zawył triumfalnie. Reszta załogi poszła jego śladem, szczekając i ujadając. Chciałam wrzasnąć na nich, żeby się uciszyli.

– Myślisz, że zdołamy przyciągnąć jeszcze jedno stado? – zapytał jeden ze szkwalników.

– Może – odpowiedział Sturmhond – ale pewnie powinniśmy lecieć na wschód. Już prawie świt, a nie chcę, żeby nas zauważono.

Tak, pomyślałam. Lećmy na wschód. Byle dalej stąd. Ręce mi drżały. Rana w ramieniu płonęła i pulsowała. Co ze mną nie tak? Volcry to potwory. Rozerwałyby nas na strzępy bez chwili

wahania. Wiedziałam to przecież. A mimo to nadal słyszałam ich krzyki.

– Jest ich więcej – odezwał się nagle Mal. – Znacznie więcej.

– Skąd wiesz? – spytał Sturmhond.

– Po prostu wiem.

Sturmhond się wahał. Z powodu gogli, czapki i postawionego kołnierza nie dało się odczytać wyrazu jego twarzy.

– Gdzie? – spytał w końcu.

– Kawałek stąd na północ. Tędy.

Mal wskazał ciemność, a ja miałam ochotę zdzielić go w rękę. To, że potrafił tropić volcry, nie znaczyło jeszcze, że musi to robić.

Sturmhond kazał zmienić kurs. Serce mi się zacisnęło.

Koliber przechylił skrzydła i skręcił. Mal wykrzykiwał, gdzie lecieć, a Sturmhond dostosowywał kurs. Starałam się skupić na świetle, na pocieszeniu, jakie znajdowałam w mocy, i ignorować mdłości.

Sturmhond skierował nas niżej. Moje światło zamigotało na bezbarwnym piasku i dotknęło cienistego kadłuba rozbitej piaskołodzi.

Przeszedł mnie dreszcz, gdy się zbliżyliśmy. Łódź była przełamana na pół. Jeden z jej masztów pękł na dwoje i widziałam szczątki trzech postrzępionych czarnych żagli. Mal doprowadził nas do szczątków piaskołodzi Zmrocza.

Resztka spokoju, jaki zdołałam w sobie znaleźć, przepadła.

Koliber obniżył lot. Nasz cień przesunął się po strzaskanym pokładzie.

Ulżyło mi odrobinę. Chociaż to nie było logiczne, spodziewałam się zobaczyć ciała griszów, których tu zostawiłam, rozrzucone na pokładzie, szkielety królewskich emisariuszy i obcych ambasadorów ściśnięte w kącie.

Oczywiście zwłoki już dawno przepadły, pożarte przez volcry, a kości zostały rozrzucone po jałowej pustce Fałdy.

Koliber przechylił się na sterburtę. Moje światło przeszyło głębiny zniszczonego kadłuba. Rozległy się wrzaski.

– Na wszystkich świętych... – zaklął Mal i uniósł karabin.

Trzy wielkie volcry kuliły się pod kadłubem piaskołodzi, grzbietami do nas, z rozłożonymi skrzydłami. Jednak to coś, co próbowały osłonić ciałami, wywołało we mnie strach i odrazę: morze wijących się, powykrzywianych kształtów, maleńkich, błyszczących rąk, drobnych grzbietów z przezroczystymi błonami ledwie uformowanych skrzydeł. Miauczały i skomlały, pełzając po sobie wzajemnie i próbując uciec przed światłem.

Odkryliśmy gniazdo.

Załoga ucichła. Skończyło się szczekanie i ujadanie.

Sturmhond wykonał niski zwrot. A potem krzyknął:

– Tolya, Tamar, *grenatki*!

Bliźnięta wyturlały odlane z żelaza pociski i przetoczyły je do relingu.

Znowu ogarnęła mnie zgroza. To volcry, upominałam się w myślach. Spójrz na nie. To potwory.

– Szkwalnicy, na mój sygnał! – powiedział ponuro Sturmhond. – Lonty! – krzyknął, a potem dodał: – Strzelcy, bomby zrzuć! – Ledwie pociski spadły, ryknął: – Teraz! – I ostro zakręcił kołem w prawo.

Szkwalnicy unieśli ręce i *Koliber* śmignął w górę.

Minęła sekunda ciszy, a potem potężny huk rozległ się pod nami. Żar i siła wybuchu uderzyły z mocą w *Kolibra*.

– Wyrównać lot! – zagrzmiał Sturmhond.

Stateczek zakołysał się szaleńczo jak wahadło pod płóciennymi skrzydłami. Mal objął mnie, osłaniając własnym ciałem, podczas gdy ja walczyłam o zachowanie równowagi i utrzymanie światła wokół nas.

Wreszcie statek przestał się kolebać i popłynął łagodnym łukiem, zataczając szerokie koło wysoko nad płonącymi szczątkami łodzi.

Potwornie się trzęsłam. Powietrze śmierdziało zwęglonym ciałem. Miałam wrażenie, że mam poparzone płuca, każdy oddech wywoływał pieczenie w piersi. Załoga Sturmhonda znowu wyła i szczekała. Mal dołączył do nich, unosząc triumfalnie karabin. Mimo wiwatów słyszałam krzyki volcr, bezradne i ludzkie w moich uszach, lament matek opłakujących młode.

Zamknęłam oczy. Z trudem się powstrzymywałam, żeby nie zatkać uszu i nie paść na pokład.

– Dość – szepnęłam. Nikt mnie nie słyszał. – Proszę – wychrypiałam. – Mal...

– Stałaś się prawdziwą morderczynią, Alino.

Ten chłodny głos. Otworzyłam gwałtownie oczy.

Zmrocz stał przede mną, jego czarna *kefta* powiewała nad pokładem *Kolibra*. Zaparło mi dech w piersi. Cofnęłam się, rozglądając się rozpaczliwie, ale nikt nie patrzył. Wszyscy wiwatowali i krzyczeli, patrząc w dół na płomienie.

– Nie martw się – powiedział łagodnie Zmrocz. – Z czasem to stanie się łatwiejsze. Patrz, pokażę ci.

Wysunął nóż z rękawa *kefty* i zanim zdążyłam krzyknąć, rzucił się ku mojej twarzy. Uniosłam ręce, żeby się zasłonić, krzyk wyrwał mi się z gardła. Światło zniknęło i statek wpadł w ciemność. Opadłam na kolana, skuliłam się na pokładzie, gotowa poczuć przeszywający ból i stal griszów.

Nic takiego się nie stało. Ludzie krzyczeli w ciemności wokół mnie. Sturmhond wykrzykiwał moje imię. Słyszałam rozlegający się echem wrzask volcr. Blisko. Za blisko.

Ktoś zawył i statek przechylił się ostro. Usłyszałam tupot butów na pokładzie, gdy załoga próbowała odzyskać

równowagę.

– Alina! – Tym razem wołał Mal.

Czułam, jak szuka mnie po omacku. Oprzytomniałam nieco. Przywołałam znowu światło w postaci lśniącej kaskady.

Volcry, które nas zaatakowały, zawyły i uciekły w ciemność, ale jeden ze szkwalników leżał i krwawił na pokładzie z ręką niemal wyrwaną ze stawu. Żagiel nad nim łopotał słabo. *Koliber* przechylił się mocno na prawą burtę i zaczął gwałtownie tracić wysokość.

– Tamar, pomóż mu! – rozkazał Sturmhond, a Tolya i Tamar już pędzili do rannego griszy.

Druga szkwalniczka stała z uniesionymi rękami i napiętą z wysiłku twarzą, próbując przywołać dość wiatru, aby utrzymać nas w powietrzu. Statek kołysał się i trząsł. Sturmhond trzymał mocno ster, wykrzykując rozkazy do załogi przy żaglach.

Serce biło mi jak szalone. Rozglądałam się szaleńczo po pokładzie, rozerwana między zgrozą i konsternacją. Widziałam Zmrocza. Naprawdę go widziałam.

– Nic ci nie jest? – zapytał Mal obok mnie. – Jesteś ranna?

Nie mogłam na niego spojrzeć. Trzęsłam się tak mocno, że bałam się, że się rozpadnę. Skupiłam wysiłki na utrzymaniu światła wokół nas.

– Jest ranna?! – krzyknął Sturmhond.

– Po prostu wyprowadź nas stąd! – odpowiedział Mal.

– Nie gadaj, serio? To właśnie powinienem zrobić? – warknął Sturmhond.

Volcry wrzeszczały i kołowały, napierając na krąg światła. Może i były potworami, ale zastanawiałam się, czy rozumieją ideę zemsty. *Koliber* kołysał się i trząsł. Spojrzałam w dół i zobaczyłam szare piaski pędzące nam na spotkanie.

I wtedy nagle wynurzyliśmy się z ciemności, wyskoczyliśmy przez ostatnie czarne pasma Fałdy w błękitne światło przedświtu.

Ziemia pod nami znajdowała się przerażająco blisko.

– Zgasić światło! – rozkazał Sturmhond.

Opuściłam ręce i złapałam się desperacko relingu przy kokpicie. Widziałam długi odcinek drogi, światła miasta w oddali, a za niskimi wzgórzami wąskie niebieskie jezioro, od którego powierzchni odbijało się poranne światło.

– Jeszcze kawałeczek! – zawołał Sturmhond.

Szkwalniczka jęknęła z wysiłku. Ręce jej drżały. Żagle obwisły. *Koliber* nadal spadał. Gałęzie drapały o kadłub, zahaczaliśmy o czubki drzew.

– Wszyscy, padnij! Złapcie się czegoś mocno! – krzyknął Sturmhond.

Skuliliśmy się z Malem w kokpicie, zapierając się rękami i nogami o boczne ścianki, trzymając się za dłonie. Stateczek trząsł się i podrygiwał.

– Nie damy rady – wychrypiałam.

Nic nie powiedział, tylko ścisnął mi mocniej palce.

– Szykujcie się! – ryknął Sturmhond.

W ostatniej sekundzie rzucił się do kokpitu, lecąc na łeb, na szyję. Zdążył jeszcze powiedzieć „Przytulnie tutaj”, zanim uderzyliśmy o ziemię tak, że można było pogruchotać kości.

Oboje z Malem w kokpicie polecieliśmy do przodu, a statek zarył w ziemię z brzękiem i hukiem. Kadłub pękł. Rozległ się głośny plusk i nagle ślizgaliśmy się po wodzie. Usłyszałam straszliwy trzask i wiedziałam, że jeden z kadłubów się oderwał. Podskakiwaliśmy na powierzchni jeziora, a potem jakimś cudem się zatrzymaliśmy.

Próbowałam się zorientować, gdzie jestem. Leżałam na plecach wciśnięta w jedną ze ścianek kokpitu. Ktoś obok mnie

ciężko dyszał.

Przesunęłam się ostrożnie. Uderzyłam się mocno w głowę i porozcinałam obie ręce, ale byłam w jednym kawałku.

Woda zalewała podłogę kokpitu. Usłyszałam plusk i nawoływania ludzi.

– Mal? – zapytałam. Brzmiało to jak drżący pisk.

– Nic mi nie jest – odpowiedział. Znajdował się gdzieś na lewo ode mnie. – Musimy się stąd wynosić.

Rozejrzałam się, ale Sturmhonda nigdzie nie było widać.

Kiedy wygramoliliśmy się z kokpitu, statek przechylił się niebezpiecznie. Usłyszeliśmy jęk drewna i jeden z masztów załamał się pod ciężarem żagla i wpadł do jeziora.

Rzuciliśmy się do wody i mocno machaliśmy nogami, kiedy jezioro próbowało połknąć nas razem ze statkiem.

Jeden z członków załogi zaplątał się w liny. Mal zanurkował, żeby go wyplątać, i prawie popłakałam się z ulgi, kiedy w końcu obaj wynurzyli się na powierzchnię.

Widziałam, jak Tolya i Tamar wypływają z wraka, a za nimi inni członkowie załogi. Tolya holował rannego szkwalnika. Za nimi płynął Sturmhond, podtrzymując nieprzytomnego żeglarza. Skierowaliśmy się do brzegu.

Moje posiniaczone kończyny były ciężkie od mokrych ubrań, ale w końcu dotarliśmy na płyciznę. Wygramoliliśmy się z wody, przebrnęliśmy przez kępy oślizgłych trzcin i padliśmy na szerokie półkole plaży.

Leżałam, dysząc i słuchając przedziwnie zwyczajnych odgłosów wczesnego poranka: świerszczy w trawie, ptaków nawołujących gdzieś z lasu, cichego, niepewnego rechotu żaby. Tolya zajął się rannym szkwalnikiem, dokończył leczenie jego ręki i kazał poruszać mu palcami, zgiąć łokieć. Sturmhond wyszedł na ląd i przekazał ostatniego żeglarza pod opiekę Tamar.

– Nie oddycha – powiedział – i nie wyczuwam pulsu.

Zmusiłam się, by usiąść. Słońce za nami wstawało, grzejąc mnie w plecy, ozłacając jezioro i krawędzie drzew. Tamar przycisnęła ręce do piersi żeglarza i używając swojej mocy, wyciągnęła wodę z jego płuc i ożywiła ponownie serce. Minuty ciągnęły się, a żeglarz leżał nieruchomo na piasku. Wreszcie nabrał gwałtownie powietrza w płuca. Zatrzepotał powiekami i wypluł wodę na koszulę.

Westchnęłam z ulgą. Jedna śmierć mniej na moim sumieniu.

Inny żeglarz trzymał się za bok i sprawdzał, czy ma połamane żebra. Mal miał paskudne rozcięcie na czole. Jednak wszyscy przeżyliśmy. Udało nam się.

Sturmhond wszedł z powrotem do wody. Stał w niej po kolana i przyglądał się gładkiej tafli. Szynel unosił się za nim na wodzie. Jeśli nie liczyć bruzdy w ziemi na brzegu, nigdzie nie pozostał nawet ślad po *Kolibrze*.

Zdrowa szkwalniczka odwróciła się do mnie.

– Co tam się stało? – warknęła. – Kovu omal nie zginął. Wszyscy omal nie zginęliśmy!

– Nie wiem – odpowiedziałam, opierając głowę na kolanach.

Mal objął mnie ramieniem, ale nie chciałam pocieszenia. Chciałam wyjaśnienia tego, co zobaczyłam.

– Nie wiesz? – Szkwalniczka nie wierzyła własnym uszom.

– Nie wiem – powtórzyłam zaskoczona gniewem, który popłynął wraz z tymi słowami. – Nie prosiłam, żeby mnie wrzucić do Fałdy. To nie ja szukałam okazji do walki z volcrami. Dlaczego nie zapytasz swojego kapitana, co się stało?

– Ona ma rację – odezwał się Sturmhond. Dobrnął przez wodę i wyszedł na brzeg, zdejmując zniszczone rękawiczki. – Powinienem był wcześniej ją ostrzec i nie powinienem był atakować gniazda.

Z jakiegoś powodu fakt, że przyznał mi rację, jeszcze bardziej mnie rozwścieczył. A potem Sturmhond zdjął czapkę i gogle i cały mój gniew zniknął, a zamiast niego pojawiło się całkowite i absolutne zdumienie.

Mal natychmiast zerwał się na równe nogi.

– Co to znaczy, u diabła? – odezwał się cichym i pełnym groźby głosem.

Siedziałam jak sparaliżowana. Zdumiewający widok przede mną zagłuszył ból i wyczerpanie. Nie wiedziałam, na co patrzę, ale cieszyłam się, że Mal też to widzi. Po tym, co wydarzyło się w Fałdzie, nie ufałam już sobie.

Sturmhond westchnął i przesunął dłonią po twarzy. Obcej twarzy.

Jego podbródek nie był już szpiczasty. Nos pozostał nieco krzywy, ale w żaden sposób nie przypominał wcześniejszej koślawej grudy. Włosy nie były już rudawobrązowe, ale przybrały odcień ciemnego złota. Były schludnie po wojskowemu przycięte. A te dziwne błotnisto-zielone oczy były teraz błyszczące i piwne. Wyglądał zupełnie inaczej, ale niewątpliwie był to Sturmhond.

I w dodatku jest przystojny, pomyślałam z urazą, która była dość zaskakująca.

Tylko ja i Mal gapiliśmy się na niego. Nikt z załogi nie był ani odrobinę zaskoczony.

– Masz formatora – powiedziałam.

Sturmhond się skrzywił.

– Nie jestem formatorem – rozgniewał się Tolya.

– Nie, Tolya, twoje talenty dotyczą innych szlachetnych dziedzin – uspokajał go Sturmhond. – Nade wszystko masz dar zabijania i okaleczania.

– Po co to zrobiłeś? – zapytałam, nadal próbując przywyknąć do wstrząsającego wrażenia, jakie wywoływał znajomy głos

Sturmhonda dobywający się z ust obcego człowieka.

– Zmrocz w żadnym razie nie mógł mnie rozpoznać. Nie widział mnie, odkąd ukończyłem czternaście lat, ale wolałem nie ryzykować.

– Kim jesteś? – zapytał rozwścieczony Mal.

– To skomplikowana sprawa.

– Wręcz przeciwnie – powiedziałam, zrywając się. – Tyle że wymaga wyznania prawdy. A to coś, do czego najwyraźniej nie jesteś zdolny.

– Ależ jestem – odpowiedział Sturmhond, wylewając wodę z butów. – Po prostu nie jestem w tym szczególnie dobry.

– Sturmhond – warknął Mal, podchodząc do niego – masz dokładnie dziesięć sekund, żeby się wytłumaczyć, albo Tolya będzie musiał zafundować ci całkiem nową twarz.

Wtedy poderwała się Tamar.

– Ktoś się zbliża.

Wszyscy umilkliśmy i zaczęliśmy nasłuchiwać. Za lasem otaczającym jezioro słychać było tętent kopyt – i to mnóstwa kopyt – a także trzask łamanych gałązek, gdy ludzie zbliżali się do nas przez las.

Sturmhond jęknął.

– Wiedziałem, że ktoś nas zauważy. Za dużo czasu spędziliśmy w Fałdzie. – Westchnął ciężko. – Wrak zamiast statku i załoga, która wygląda jak stado przemoczonych oposów. Nie tak to sobie wyobrażałem.

Chciałam się dowiedzieć, co dokładnie sobie wyobrażał, ale nie było czasu na pytania.

Spomiędzy drzew na plażę wyjechała grupa konnych. Dziesięciu… dwudziestu… trzydziestu żołnierzy z Pierwszej Armii. Uzbrojeni po zęby ludzie króla. Skąd oni wszyscy się tu wzięli?

Po rzezi volcr i katastrofie myślałam, że już nie została we mnie ani odrobina strachu, ale się myliłam. Ogarnęła mnie panika, kiedy przypomniałam sobie, co Mal powiedział o sobie, o swojej dezercji. Czy zostaniemy aresztowani za zdradę? Palce mnie zaświerzbiły. Nie dam się znowu uwięzić.

– Spokojnie, Przywoływaczko – szepnął korsarz. – Pozwól, że ja to załatwię.

– Bo wszystko inne tak doskonale załatwiłeś, co, Sturmhond?

– Rozsądniej byłoby, gdybyś przez pewien czas nie zwracała się do mnie w ten sposób.

– A to dlaczego? – warknęłam.

– Bo to nie jest moje prawdziwe imię.

Żołnierze podjechali galopem i zatrzymali się przed nami. Poranne światło odbijało się od ich karabinów i szabel. Młody kapitan dobył szabli.

– W imieniu króla Ravki, rzućcie broń.

Sturmhond wyszedł naprzód, stając między wrogiem a ranną załogą. Uniósł ręce, jakby się poddawał.

– Nasza broń leży na dnie jeziora. Nie jesteśmy uzbrojeni.

Znałam Sturmhonda i bliźnięta na tyle dobrze, żeby poważnie w to wątpić.

– Jak się nazywasz i co cię tu sprowadza? – rzucił ostro młody kapitan.

Sturmhond powoli zdjął przemoczony szynel i oddał go Tolyi.

Fala niepokoju przebiegła przez szereg żołnierzy. Sturmhond miał na sobie ravkański mundur. Był przemoczony do suchej nitki, ale z niczym nie dało się pomylić oliwkowego stroju z mosiężnymi guzikami – taki noszono w Ravkańskiej Pierwszej Armii. Tak samo jak nie dało się przeoczyć złotego dwugłowego orła, który oznaczał stopień oficera. W co pogrywał ten korsarz?

Starszy mężczyzna wyjechał z szeregu i zatoczył koło tak, żeby podjechać do Sturmhonda. Zdumiona rozpoznałam pułkownika Rajevskiego, dowódcę obozu wojskowego w Kribirsku. Rozbiliśmy się aż tak blisko miasta? To dlatego żołnierze tak szybko tu dotarli?

– Wytłumacz się, chłopcze! – rozkazał pułkownik. – Podaj nazwisko i cel przybycia, nim każę zedrzeć z ciebie ten mundur i powiesić cię na gałęzi.

Sturmhond nie robił wrażenia przejętego. Kiedy się odezwał, w jego głosie pojawiło się coś, czego do tej pory nigdy w nim nie słyszałam:

– Jestem Nikołaj Lancov, major dwudziestego drugiego pułku, żołnierz królewskiej armii, wielki książę Udovy, drugi syn Jego Królewskiej Mości króla Alexandra III, władcy tronu dwugłowego orła, niech jego życie i panowanie będą długie.

Rozdziawiłam usta. Szok przewalił się falą po żołnierzach. Nie wiedziałam, co to za żart tego wariata, ale Rajevski nie wyglądał na rozbawionego. Zeskoczył z konia i rzucił wodze drugiemu żołnierzowi.

– Posłuchaj mnie, ty pozbawiony szacunku szczeniaku – wycedził z ręką na rękojeści szabli; na jego ogorzałej twarzy już malowała się wściekłość, kiedy podchodził do Sturmhonda. – Nikołaj Lancov służył pode mną na północnej granicy i...

Urwał. Stał teraz nos w nos z korsarzem, a Sturmhond nawet nie mrugnął. Pułkownik otworzył usta i zaraz je zamknął. Cofnął się o krok i przyjrzał się Sturmhondowi. Patrzyłam, jak wyraz jego twarzy zmienia się z pogardy w niedowierzanie, a potem w coś, co mogło oznaczać rozpoznanie.

Nagle opadł na kolano i pochylił głowę.

– Wybacz mi, mój carewiczu – powiedział ze spuszczonym wzrokiem. – Witaj w domu.

Żołnierze popatrzyli po sobie skonsternowani.

Sturmhond rzucił im chłodne i pełne wyczekiwania spojrzenie. Promieniował autorytetem. Kolejna fala przepłynęła przez szeregi żołnierzy. Jeden po drugim zsunęli się z siodeł i przyklęknęli, pochylając głowy.

Na wszystkich świętych.

– To jakiś żart – mruknął Mal.

Polowałam na magicznego jelenia. Nosiłam na nadgarstkach łuski zabitego lodowego smoka. Widziałam całe miasto połykane przez ciemność. Ale to była najdziwniejsza rzecz, jaką w życiu ujrzałam. To musiał być kolejny podstęp Sturmhonda i byłam pewna, że przez niego zginiemy.

Spojrzałam na korsarza. Czy to w ogóle możliwe? Nie mogłam zmusić umysłu do pracy. Byłam zbyt wyczerpana, półżywa ze strachu. Szukałam w pamięci nielicznych znanych mi faktów dotyczących dwóch synów ravkańskiego króla. Widziałam przelotnie starszego syna w Małym Pałacu, ale młodszy nie pojawiał się na dworze od lat. Podobno wyjechał gdzieś na naukę u rusznikarza albo żeby studiować budownictwo okrętowe.

A może zajął się jednym i drugim.

W głowie mi się zakręciło. *Sobaczka*, tak Genya nazywała księcia. Szczeniak. Uparł się, że odbędzie służbę wojskową w piechocie.

Sturmhond. Ogar burzy. Wilk Fal.

Sobaczka. To niemożliwe. To zwyczajnie niemożliwe!

– Powstańcie – rozkazał Sturmhond, czy kimkolwiek był ten człowiek.

Jego postawa uległa całkowitej zmianie.

Żołnierze podnieśli się i stanęli na baczność.

– Minęło zbyt dużo czasu, odkąd byłem w domu – przemówił gromko korsarz – ale nie wróciłem z pustymi rękami.

Odsunął się na bok, a potem wyciągnął rękę, wskazując mnie. Wszyscy spojrzeli na mnie wyczekująco.

– Bracia – powiedział – sprowadziłem z powrotem do Ravki Przywoływaczkę Słońca.

Nie mogłam się powstrzymać. Zamachnęłam się i uderzyłam go pięścią w twarz.



Masz szczęście, że cię nie zastrzelili – powiedział rozgniewany Mal.

Krążył po skromnie umeblowanym namiocie, jednym z nielicznych, jakie nadal stały w obozie griszów pod Kribirskiem. Pyszny pawilon z czarnego jedwabiu, który należał do Zmrocza, już złożono. Został po nim tylko spłacheć martwej trawy zasypany powyginanymi gwoździami i połamanymi szczątkami tego, co niegdyś było podłogą z wypolerowanego drewna.

Usiadłam przy z grubsza ociosanym stole i wyjrzałam na zewnątrz. Tolya i Tamar strzegli wejścia. Nie byłam pewna, czy nas chronią, czy raczej pilnują, żebyśmy nie uciekli.

– Warto było – odrzekłam. – Poza tym nikt nie zastrzeli Przywoływaczki Słońca.

– Właśnie uderzyłaś w twarz księcia. Chyba możemy dołożyć jeszcze jeden akt zdrady do naszej listy.

Potrzasnęłam obolałą ręką. Kostki mnie piekły.

– Po pierwsze, czy jesteś pewien, że to rzeczywiście książę? Po drugie, jesteś po prostu zazdrosny.

– Oczywiście, że jestem. Myślałem, że to ja będę mógł mu przyłożyć. Ale nie w tym rzecz.

Po moim wybuchu rozpętał się chaos i tylko wygadanie Sturmhonda oraz bardzo agresywna metoda kontroli tłumu, jaką posłużył się Tolya, uchroniły mnie przed zabraniem stamtąd w łańcuchach albo jeszcze gorszym losem.

Sturmhond odeskortował nas do obozu wojskowego w Kribirsku. Przed wyjściem z namiotu powiedział cicho:

– Proszę tylko, żebyś została dość długo, abym mógł wszystko wyjaśnić. Jeśli nie spodoba ci się to, co usłyszysz, będziesz mogła odejść.

– Tak po prostu? – zakpiłam.

– Zaufaj mi.

– Za każdym razem, kiedy mówisz „zaufaj mi”, ufam ci coraz mniej – syknęłam.

Jednak ja i Mal zostaliśmy, bo nie bardzo wiedzieliśmy, jaki mógłby być nasz następny ruch. Sturmhond nie kazał nas skuć ani nie postawił prawdziwych strażników. Dopilnował, żebyśmy dostali czyste, suche ubrania. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy spróbować przemknąć się obok Tolyi i Tamar, uciec z powrotem do Fałdy. W końcu nikt by za nami nie ruszył. Moglibyśmy wyjść w dowolnym miejscu na zachodnim wybrzeżu. Tylko dokąd mielibyśmy później się udać? Sturmhond się zmienił, nasze położenie nie. Nie mieliśmy pieniędzy ani sprzymierzeńców i nadal ścigał nas Zmrocz. W dodatku nie paliłam się do powrotu do Fałdy. Nie po tym, co wydarzyło się na *Kolibrze*.

Zdusiłam ponury śmiech. Jeśli rzeczywiście rozważałam ucieczkę na Niemorze, to sytuacja musiała przybrać naprawdę niedobry obrót.

Wszedł służący z dużą tacą. Postawił dzban wody, butelkę *kvasu* i szklanki, a także *zakuski* na kilku małych talerzach. Każde naczynie miało pozłacaną krawędź i znak dwugłowego orła.

Przyjrzałam się jedzeniu: wędzone szproty na ciemnym chlebie, marynowane buraki, faszerowane jajka. Nie jedliśmy od poprzedniego wieczoru na pokładzie *Wołka Wołny*, a po użyciu mocy umierałam z głodu, jednak za bardzo się denerwowałam, żeby jeść.

– Co tam się stało? – zapytał Mal, kiedy tylko służący wyszedł.

Znowu potrzasnęłam obolałą ręką.

– Poniosło mnie.

– Nie o to pytam. Co się stało w Fałdzie?

Przyjrzałam się naczynku z masłem doprawionym ziołami, obracając je w rękach. Widziałam go, pomyślałam.

– Po prostu byłam zmęczona – odpowiedziałam niefrasobliwie.

– Użyłaś znacznie więcej mocy, kiedy uciekliśmy *niczewojom*, ale wtedy nie osłabłaś. To przez obręcz?

– Obręcz mnie wzmacnia – powiedziałam, obciągając rękaw na łuski morskiego bicza. Nosiłam ją od tygodni. Z moją mocą nie działo się nic złego, ale możliwe, że coś takiego działo się ze mną. Przyglądałam się niewidzialnemu wzorowi na blacie. – Kiedy walczyliśmy z volcrami, czy ich wrzaski brzmiały dla ciebie inaczej?

– Inaczej w jakim sensie?

– Bardziej... ludzko?

Mal zmarszczył czoło.

– Nie, brzmiały właściwie tak samo jak zawsze. Jak wrzaski potworów, które chcą nas pożreć. – Położył rękę na mojej dłoni. – Co się stało, Alino?

Widziałam go.

– Już ci powiedziałam: byłam zmęczona. Straciłam koncentrację.

Odsunął się.

– Jeśli chcesz mnie okłamywać, to śmiało, nie będę jednak udawał, że ci wierzę.

– Czemu nie? – zapytał Sturmhond, wchodząc do namiotu. – To zwykła uprzejmość.

Natychmiast poderwaliśmy się gotowi walczyć.

Sturmhond zatrzymał się i uniósł ręce w pokojowym geście. Przebrał się w suchy mundur. Na policzku zaczął mu się kształtować siniak. Ostrożnie odpiął szablę i zawiesił na słupku przy wejściu.

– Przyszedłem tylko porozmawiać.

– To mów – odpowiedział Mal. – Kim jesteś i w co pogrywasz?

– Jestem Nikołaj Lancov, ale proszę, nie każcie mi znowu recytować wszystkich tytułów. To dla nikogo nie jest zabawne, a ważny jest tylko jeden: książę.

– A co ze Sturmhondem? – zapytałam.

– Jestem też Sturmhondem, dowódcą *Wołka Wołny*, postrachem Morza Prawdziwego.

– Postrachem?

– A przynajmniej uciążliwością.

Pokręciłam głową.

– Niemożliwe.

– Nieprawdopodobne.

– To naprawdę nie jest czas, żeby silić się na dowcip.

– Proszę – zaczął pojednawczym tonem Sturmhond – usiądźcie. Nie wiem jak dla was, ale dla mnie wszystko staje się

znacznie bardziej zrozumiałe, kiedy siedzę. To pewnie kwestia krążenia. Najlepsza jest pozycja półleżąca, rzecz jasna, ale chyba nie jesteśmy jeszcze na tym etapie znajomości.

Nie ustąpiłam. Mal skrzyżował ręce na piersi.

– No dobrze, w takim razie ja usiądę. Odgrywanie bohatera, który powrócił do domu, okazuje się niezwykle męczącym zadaniem i jestem dosłownie wykończony. – Podszedł do stołu. Nalał sobie szklankę *kvasu* i usiadł na krześle, wzdychając z zadowoleniem. Wypił łyk i się skrzywił. – Okropna rzecz. Nigdy nie przechodziła mi przez gardło.

– No to zamów sobie brandy, Wasza Wysokość – żachnęłam się poirytowana. – Na pewno przyniosą ci wszystko, co zechcesz.

Rozpromienił się.

– Racja. Pewnie mógłbym się wykąpać w wannie pełnej brandy. Czemu nie?

Rozeźlony Mal uniósł ręce i podszedł do klapy namiotu, żeby wyjrzeć na obóz.

– Chyba nie oczekujesz tak naprawdę, że w to uwierzymy – powiedziałam.

Sturmhond pomachał palcami, żeby pokazać sygnet.

– Noszę przecież królewską pieczęć.

Parsknęłam.

– Pewnie ją ukradłeś prawdziwemu księciu Nikołajowi.

– Służyłem z Rajevskim. Zna mnie.

– Może ukradłeś także twarz księcia.

Westchnął.

– Musisz zrozumieć: jedyne miejsce, w którym mogłem bezpiecznie ujawnić swoją tożsamość, to Ravka. Tylko najbardziej zaufani członkowie załogi wiedzieli, kim naprawdę jestem: Tolya, Tamar, Privyet i paru eteryków. Pozostali... Cóż, to dobrzy ludzie, ale też najemnicy i piraci.

– Czyli oszukałeś własną załogę? – zapytałam.

– Na morzu Nikołaj Lancov jest cenniejszy jako zakładnik niż jako kapitan. Trudno dowodzić statkiem, kiedy ciągle się martwisz, że ktoś przyłoży ci po łbie późną nocą, a potem odsprzeda cię za okup twojemu królewskiemu tatusiowi.

Pokręciłam głową.

– To nie ma za grosz sensu. Książę Nikołaj podobno wyjechał gdzieś, żeby studiować okręty albo...

– Rzeczywiście uczyłem się u fjerdańskiego szkutnika. I u nowoziemskiego rusznikarza. I u inżyniera w prowincji Bolh w Shu Hanie. Przez pewien czas próbowałem swoich sił w poezji. Efekty były... niefortunne. Ostatnimi czasy rola Sturmhonda najbardziej mnie pochłania.

Mal ze skrzyżowanymi rękami oparł się o słupek.

– Czyli pewnego dnia postanowiłeś porzucić zbytki i zabawić się w pirata?

– Korsarza. I w nikogo się nie bawiłem. Wiedziałem, że więcej zrobię dla Ravki jako Sturmhond, niż obijając się na dworze.

– A król i królowa myślą, że gdzie teraz jesteś? – spytałam.

– Na uniwersytecie w Ketterdamie. Cudowne miejsce. Bardzo strzeliste. Kiedy my tu rozmawiamy, sowicie wynagradzany pracownik spedycji siedzi za mnie na lekcjach filozofii. Dostaje przyzwoite oceny, reaguje na imię Nikołaj, pije dużo i często, więc nikt nie nabiera podejrzeń.

Czy tym podstępom nie było końca?

– Dlaczego?

– Próbowałem, naprawdę próbowałem, ale nigdy nie byłem dobry w siedzeniu na tyłku. Doprowadzałem nianię do szaleństwa. A właściwie nianie, w liczbie mnogiej. Była ich cała armia, jeśli dobrze pamiętam.

Powinnam była mocniej mu przyłożyć.

– Pytam: po co ta cała szarada?

– Jestem drugi w kolejności do tronu Ravki. Prawie musiałem uciec z domu, żeby odbyć służbę wojskową. Wątpię, żeby moi rodzice pochwalili to, że wybijam nowoziemskich piratów i przełamuję fjerdańskie blokady. Ale raczej lubią Sturmhonda.

– Dobrze więc – odezwał się Mal spod wejścia. – Jesteś księciem. Jesteś korsarzem. Czego chcesz od nas?

Sturmhond ostrożnie wypił jeszcze łyk *kvasu* i się wzdrygnął.

– Waszej pomocy. Reguły gry się zmieniły. Fałda się rozrasta. Pierwsza Armia jest o krok od buntu. Zamach stanu Zmrocza co prawda się nie powiódł, ale zniszczył Drugą Armię i Ravka znalazła się na krawędzi zagłady.

Ogarnęły mnie złe przeczucia.

– Niech zgadnę: zamierzasz to wszystko naprawić?

Sturmhond pochylił się.

– Poznałaś mojego brata, Vasilija, kiedy byłaś na dworze? Bardziej przejmuje się końmi i whisky niż własnym ludem. Mój ojciec nigdy nie zainteresował się rządzeniem Ravką dłużej niż przelotnie, a według ostatnich raportów teraz stracił nawet tę odrobinę zainteresowania. Kraj się rozpada. Ktoś musi go złożyć w całość, nim będzie za późno.

– Vasilij jest następcą tronu – zauważyłam.

– Myślę, że da się go przekonać, żeby się go zrzekł.

– To po to nas tu przywlokłeś? – spytałam z niesmakiem. – Bo chcesz zostać królem?

– Przywlokłem was tutaj, bo Apparat zrobił z ciebie praktycznie żywą świętą i ludzie cię kochają. Przywlokłem was tutaj, bo twoja moc jest kluczem do przetrwania Ravki.

Uderzyłam rękami o stół.

– Przywlokłeś mnie tu z powrotem, żeby zapewnić sobie wielkie wejście z Przywoływaczką Słońca i ukraść tron bratu!

Sturmhond odchylił się na oparcie krzesła.

– Nie zamierzam przepraszać za to, że jestem ambitny. To nie zmienia faktu, że jestem najlepszą osobą do tej roboty.

– Oczywiście.

– Wróć ze mną do Os Alty.

– Po co? Żebyś mógł popisywać się mną jak jakąś kozą-medalistką?

– Wiem, że mi nie ufasz. Nie masz powodu. Dotrzymam jednak słowa danego ci na pokładzie *Wołka Wołny*. Wysłuchaj mojej propozycji. Jeśli nadal nie będziesz zainteresowana, statki Sturmhonda zabiorą cię do dowolnego miejsca na świecie. Myślę jednak, że zostaniesz. Myślę, że mogę ci dać coś, czego nie da ci nikt inny.

– To musi być coś naprawdę dobrego – mruknął Mal.

– Mogę ci dać szansę zmienić Ravkę – powiedział Sturmhond. – Mogę ci dać szansę zaoferowania naszym ludziom nadziei.

– Tylko tyle? – odparłam z przekąsem. – A jak niby mam tego dokonać?

– Pomagając mi zjednoczyć Pierwszą i Drugą Armię. Zostając moją królową.

Nim zdążyłam mrugnąć, Mal odepchnął stół na bok i dopadł Sturmhonda, poderwał go i cisnął nim o słup namiotu. Sturmhond się skrzywił, jednak wcale nie próbował się bronić.

– Spokojnie. Nie mogę zabrudzić krwią munduru. Pozwól, że wyjaśnię...

– Spróbuj coś wyjaśnić z moją pięścią w ustach.

Sturmhond wykręcił ciało i w okamgnieniu wyślizgnął się Malowi. Miał w ręku nóż, który wyciągnął z rękawa.

– Cofnij się, Orecev. Przez wzgląd na nią hamuję się, ale równie dobrze mogę cię wypatroszyć jak karpia.

– Spróbuj – warknął Mal.

– Dość tego! – Cisnęłam jasnym promieniem światła i oślepiłam obu. Odruchowo zasłonili się rękami, na chwilę

zapominając o walce. – Sturmhond, schowaj broń albo to ty zostaniesz wypatroszony. Mal, przestań.

Poczekałam, aż Sturmhond schowa nóż, a potem powoli zgasiłam światło.

Mal opuścił ręce, ale nadal zaciskał pięści. Patrzyli na siebie nieufnie. Jeszcze parę godzin temu byli przyjaciółmi. Oczywiście Sturmhond był wtedy zupełnie inną osobą.

Sturmhond poprawił rękawy munduru.

– Nie proponuję związku miłosnego, nieszczęsny prostaku, tylko alians polityczny. Jeśli dasz sobie chwilę na zastanowienie, zobaczysz, że to ma sens dla kraju.

Mal parsknął śmiechem.

– Chcesz powiedzieć: dla ciebie.

– A czy jedno i drugie nie może być prawdziwe? Służyłem w wojsku, znam się na sztuce wojennej i znam się na broni. Wiem, że Pierwsza Armia pójdzie za mną. Może i jestem drugi w kolejce, ale z racji krwi mam pełne prawo do tronu.

Mal pogroził mu palcem.

– Ale nie masz prawa do niej.

Sturmhond zaczynał tracić opanowanie.

– Jak myślisz, co się wydarzy? Myślałeś, że po prostu zabierzesz sobie najpotężniejszą griszę na świecie jak jakąś wieśniaczkę, z którą kotłujesz się na sianie? Tak wyobrażasz sobie zakończenie tej historii? Staram się ocalić kraj przed upadkiem, a nie ukraść ci dziewczynę.

– Dość tego – powiedziałam cicho.

– Możesz zostać w pałacu – mówił dalej Nikołaj. – Na przykład jako kapitan jej osobistej straży. Nie byłby to pierwszy taki układ.

Mięsień zadrżał w szczęce Mala.

– Robi mi się niedobrze, gdy cię słucham.

Sturmhond machnął lekceważąco ręką.

– Tak, wiem, jestem zdeprawowanym potworem. Po prostu zastanów się chwilę nad tym, co mówię.

– Nie muszę o tym myśleć! – krzyknął Mal. – Ona też nie. Nic z tego nie będzie.

– To byłoby małżeństwo tylko z nazwy – upierał się Sturmhond. A potem, jakby nie mógł się powstrzymać, posłał Malowi prowokacyjny uśmieszek. – Jeśli pominąć kwestię spłodzenia następców, rzecz jasna.

Mal rzucił się w przód, a Sturmhond sięgnął po nóż, ale ja zorientowałam się, co się szykuje, i stanęłam między nimi.

– Przestańcie! – krzyknęłam. – Po prostu przestańcie. I nie mówcie o mnie, jakby mnie tu nie było!

Mal warknął sfrustrowany i zaczął krążyć tam i z powrotem. Sturmhond podniósł przewrócone krzesło i ponownie usiadł, ostentacyjnie rozprostował nogi i nalał sobie jeszcze jedną szklaneczkę *kvasu*.

Odetchnęłam.

– Wasza Wysokość...

– Nikołaj – poprawił mnie. – Jednakże znany jestem także z tego, że reaguję na „kochanie” i „przystojniaku”.

Mal obrócił się gwałtownie, ale uciszyłam go proszącym spojrzeniem.

– Masz natychmiast przestać, Nikołaju – powiedziałam z naciskiem – albo sama powybijam ci te twoje królewskie ząbki.

Nikołaj potarł ciemniejący siniak.

– Wiem, że jesteś do tego zdolna.

– Owszem – potwierdziłam zdecydowanie. – I nie zamierzam wyjść za ciebie.

Mal odetchnął i jego sztywne ramiona trochę się rozluźniły. Martwiło mnie, że pomyślał, że mogłabym przyjąć ofertę

Nikołaja, i wiedziałam, że nie spodoba mu się to, co zaraz powiem.

Wzięłam się w garść i oznajmiłam:

– Jednak wrócę z tobą do Os Alty.

Mal poderwał gwałtownie głowę.

– Alino...

– Mal, zawsze mówiliśmy, że znajdziemy sposób, żeby wrócić do Ravki; że znajdziemy sposób, żeby pomóc. Jeśli teraz czegoś nie zrobimy, może nie być już Ravki, do której moglibyśmy wrócić. – Pokręcił głową, ale ja odwróciłam się do Nikołaja i kontynuowałam: – Wrócę do Os Alty razem z tobą i zastanowię się, czy ci pomóc w próbie zdobycia tronu. – Wzięłam głęboki wdech. – Ale chcę dostać Drugą Armię.

W namiocie zrobiło się bardzo cicho. Obaj patrzyli na mnie jak na wariatkę. Szczerze mówiąc, nie czułam się zupełnie zdrowa na umyśle, ale miałam dość bycia przerzucaną po Morzu Prawdziwym i połowie Ravki przez ludzi, którzy chcieli wykorzystać mnie i moją moc.

Nikołaj roześmiał się nerwowo.

– Ludzie cię kochają, ale myślałem raczej o bardziej symbolicznym tytule...

– Nie jestem symbolem – warknęłam. – I mam dość bycia pionkiem.

– Nie – odezwał się Mal – to zbyt niebezpieczne. Równie dobrze mogłabyś namalować sobie tarczę strzelniczą na plecach.

– Już ją tam mam. I żadne z nas nie będzie bezpieczne, dopóki Zmrocz nie zostanie pokonany.

– Czy ty kiedykolwiek dowodziłaś? – zapytał Nikołaj.

Prowadziłam raz seminarium dla młodszych kartografów, ale wątpiłam, żeby miał coś takiego na myśli.

– Nie – przyznałam się.

– Nie masz doświadczenia, oparcia w tradycji ani żadnych praw do dowodzenia. Zmroczowie dowodzili Drugą Armią od chwili jej powstania.

Jeden Zmrocz, ale nie było czasu na takie wyjaśnienia.

– Wiek i urodzenie nie mają znaczenia w przypadku griszów, dla nich liczy się tylko moc. Jestem jedynym griszą, który kiedykolwiek nosił dwa amplifikatory. I jedynym griszą dostatecznie silnym, żeby przeciwstawić się Zmroczowi i jego żołnierzom z cienia. Nikt inny nie potrafi tego, co ja.

Próbowałam natchnąć swój głos pewnością siebie, chociaż nie byłam pewna, co mnie napadło. Wiedziałam tylko, że mam dość życia w strachu. Dość uciekania. Jeśli mieliśmy z Malem zyskać nadzieję na znalezienie żarptaka, to potrzebowaliśmy odpowiedzi. Mały Pałac mógł być jedynym miejscem, gdzie da się je znaleźć.

Przez długi czas nasza trójka stała nieruchomo.

– No proszę, proszę… – powiedział w końcu Nikołaj. Zabębnił palcami po blacie stołu, zastanawiając się. A potem wstał i podał mi rękę. – W porządku, Przywoływaczko. Pomóż mi zdobyć poparcie ludzi, a griszowie będą twoi.

– Naprawdę? – wyrwało mi się.

Nikołaj się roześmiał.

– Jeśli zamierzasz dowodzić armią, to lepiej naucz się stosownie zachowywać. Prawidłowa odpowiedź brzmi: „Wiedziałam, że przejrzysz na oczy”.

Ujęłam jego dłoń. Była szorstka i twarda. Ręka pirata, nie księcia. Uścisnęliśmy sobie ręce.

– A co do mojej propozycji… – zaczął.

– Nie przeciągaj struny – powiedziałam, zabierając dłoń. – Zgodziłam się pojechać z tobą do Os Alty i to wszystko.

– A dokąd ja mam pojechać? – zapytał cicho Mal.

Stał ze skrzyżowanymi na piersi rękami, patrząc na nas spokojnie. Miał krew na czole po katastrofie *Kolibra*. Wyglądał na zmęczonego i bardzo, bardzo odległego.

– Myślałam… myślałam, że pojedziesz ze mną – wyjąkałam.

– Jako kto? Kapitan twojej straży przybocznej?

Zarumieniłam się.

Nikołaj odchrząknął.

– Chociaż naprawdę chciałbym zobaczyć, jak to się skończy, to muszę zająć się przygotowaniami. Chyba że…

– Wynoś się – rozkazał Mal.

– W porządku. Zostawię was samych. – Nikołaj wyszedł pośpiesznie, po drodze tylko zabierając swoją szablę.

Cisza w namiocie przeciągała się.

– Dokąd to wszystko zmierza? – zapytał Mal. – Wywalczyliśmy sobie drogę ucieczki z tego zapomnianego przez świętych miejsca, a teraz włazimy z powrotem do tego bagna.

Usiadłam na pryczy i oparłam głowę na rękach. Byłam wyczerpana i bolały mnie wszystkie kości.

– Co mam zrobić? – zapytałam błagalnie. – To, co się tu dzieje, co się dzieje z Ravką, to po części moja wina.

– To nieprawda.

Zaśmiałam się pusto.

– Ależ oczywiście, że to prawda. Gdyby nie ja, Fałda by nie rosła. Novokribirsk nadal by istniał.

– Alino – powiedział Mal, kucając przede mną i kładąc ręce na moich kolanach – nawet mając wszystkich griszów i tysiąc armat Sturmhonda, nie będziesz miała dość sił, żeby go powstrzymać.

– Gdybyśmy mieli trzeci amplifikator…

– Ale go nie mamy!

Złapałam go za ręce.

– Będziemy go mieli.

Spojrzał mi w oczy.

– Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że mogę odmówić?

Żołądek mi się zacisnął. Nie przyszło. Nigdy nie przeszło mi przez myśl, że Mal mógłby odmówić, i nagle się zawstydziłam. Oddał wszystko, żeby ze mną być, ale to nie znaczyło, że był z tego powodu szczęśliwy. Miał dość walki, strachu i niepewności. Może miał też dość mnie.

– Myślałam… Myślałam, że oboje chcemy pomóc Ravce.

– Tego właśnie oboje chcieliśmy?

Wstał i odwrócił się do mnie plecami. Przełknęłam z trudem ślinę, próbując pozbyć się narastającej w gardle guli.

– Czyli nie pojedziesz do Os Alty?

Zatrzymał się przy wejściu do namiotu.

– Chciałaś założyć drugi amplifikator. I masz go. Chcesz jechać do Os Alty? Dobrze, pojedziemy. Mówisz, że potrzebujesz żarptaka. Znajdę sposób, żeby ci go dostarczyć. Ale kiedy to wszystko się skończy, zastanawiam się, czy nadal będziesz mnie chciała.

Zerwałam się.

– Oczywiście, że tak! Mal…

Cokolwiek mogłam powiedzieć, on nie chciał tego słuchać. Wyszedł na światło słoneczne i już go nie było.

Przycisnęłam dłonie od oczu, próbując powstrzymać łzy. Co ja wyprawiam? Nie jestem królową. Nie jestem świętą. I z pewnością nie wiedziałam, jak dowodzić armią.

Dostrzegłam swoje odbicie w żołnierskim lusterku do golenia, które stało oparte na nocnym stoliku. Zsunęłam z ramienia płaszcz i koszulę, odsłaniając ranę. Ślady nakłuć zostawione przez *niczewojów* wyraźnie malowały się na skórze, opuchnięte i czarne. Zmrocz powiedział, że nigdy do końca się nie zagoją.

Jakiej rany nie może uleczyć moc griszów? Takiej, którą zadało coś, co w ogóle nie powinno istnieć.

Widziałam go. Blada i piękna twarz Zmrocza, rozbłysk noża. To było takie prawdziwe. Co się wydarzyło w Fałdzie?

Powrót do Os Alty i przejęcie kontroli nad Drugą Armią to był na dobrą sprawę akt wypowiedzenia wojny. Zmrocz będzie wiedział, gdzie mnie szukać, i kiedy poczuje się dostatecznie silny, przyjdzie po mnie. Wtedy, czy będziemy na to gotowi, czy też nie, będziemy musieli stawić mu czoło. To była przerażająca myśl, ale ku swojemu zaskoczeniu odkryłam, że przyniosła mi ulgę.

Stawię mu czoło. W taki czy inny sposób to wreszcie się skończy.



Nie od razu wyruszyliśmy do Os Alty, ponieważ spędziliśmy następne trzy dni na transportowaniu towarów przez Fałdę. Naszą bazą były pozostałości wojskowego obozu w Kribirsku. Większość wojsk wycofano, kiedy Fałda zaczęła się rozszerzać. Wzniesiono nową wieżę strażniczą, żeby monitorować czarne brzegi Niemorza i tylko minimalna załoga obsługiwała piaskoprzystań.

Ani jeden grisza nie został w obozie. Po nieudanym zamachu stanu i zniszczeniu Novokribirska fala niechęci do griszów przewaliła się przez Ravkę i szeregi Pierwszej Armii. Nie dziwiło mnie to. Cała miasto przepadło, a jego mieszkańcy stali się żerem dla potworów. Ravka nie zapomni tego szybko. Tak samo jak ja.

Niektórzy griszowie uciekli do Os Alty, szukając azylu u króla. Inni się ukryli. Nikołaj podejrzewał, że większość z nich

odszukała Zmrocza i przeszła na jego stronę. Jednak dzięki pomocy zbuntowanych szkwalników Nikołaja udało nam się dwa razy pokonać Fałdę pierwszego dnia, trzy razy drugiego i cztery ostatniego. Piaskołodzie płynęły puste do Ravki Zachodniej i wracały z ogromnymi ładunkami nowoziemskiej broni, skrzyniami pełnymi amunicji i częściami do wielostrzałowej broni palnej podobnej do tej, jaką posługiwał się Nikołaj na pokładzie *Kolibra* oraz z kilkoma tonami cukru i *jurdy* – a wszystko to dzięki uprzejmości Sturmhonda-szmuglera.

– Łapówka – powiedział Mal, kiedy patrzyliśmy, jak uradowani żołnierze rzucają się na wyładowany w porcie towar i zdumieni wiwatują na widok błyszczącej broni.

– Podarunki – poprawił go Nikołaj. – Przekonasz się, że kule działają niezależnie od moich intencji. – Odwrócił się do mnie. – Myślę, że zdążymy dzisiaj zrobić jeszcze jedną rundkę. Jesteś gotowa?

Nie byłam, ale skinęłam głową.

Uśmiechnął się i poklepał mnie po plecach.

– Wydam rozkazy.

Czułam, że Mal mnie obserwuje, kiedy odwróciłam się, żeby spojrzeć na kłębiącą się ciemność Fałdy. Nie powtórzył się więcej taki incydent, jak na pokładzie *Kolibra*. Cokolwiek widziałam tamtego dnia – czy to była wizja, halucynacja, czy jak to nazwać – więcej się nie wydarzyło. Mimo to przez cały czas na Niemorzu byłam uważna i próbowałam ukryć, jak bardzo w gruncie rzeczy jestem przerażona.

Nikołaj chciał podczas podróży polować na volcry, ale odmówiłam. Powiedziałam mu, że nadal czuję się słaba i że nie jestem dostatecznie pewna swojej mocy, żeby zagwarantować mu bezpieczeństwo. Mój strach był prawdziwy, ale reszta była kłamstwem. Moja moc była potężna jak nigdy dotąd.

Wypływała ze mnie czystymi i intensywnymi falami, promieniując siłą jelenia i łusek. Nie mogłam jednak znieść myśli, że znowu usłyszę tamte krzyki. Otaczałam łodzie rozległymi, jasnymi kopułami światła, i chociaż volcry wrzeszczały i trzepotały skrzydłami, to zachowywały dystans.

Mal towarzyszył nam w czasie podróży przez Fałdę, trzymał się blisko mnie z karabinem w gotowości. Wiedziałam, że wyczuwa mój niepokój, ale nie nalegał więcej na wyjaśnienia. Właściwie to rzadko się odzywał od czasu naszej kłótni w namiocie. Bałam się, że kiedy zacznie mówić, nie spodoba mi się to, co będzie miał do powiedzenia. Nie zmieniłam zdania co do powrotu do Os Alty, ale martwiłam się, że on mógł je zmienić.

Rankiem, kiedy ruszyliśmy do stolicy, rozglądałam się za nim w tłumie przerażona myślą, że mógł postanowić, że jednak się nie zjawi. Odmówiłam krótką dziękczynną modlitwę, kiedy go dostrzegłam wyprostowanego i milczącego w siodle. Czekał, żeby dołączyć do kolumny jeźdźców.

Wyruszyliśmy przed świtem – kręty sznur koni i wozów, który wił się od obozu do szerokiej drogi znanej jako Vy. Nikołaj zdobył dla mnie prostą niebieską *keftę*, ale odłożyłam ją do bagażu. Dopóki nie będzie miał więcej swoich ludzi, którzy mogliby mnie strzec, byłam kolejnym żołnierzem w świcie księcia.

Kiedy słońce wspięło się nad horyzont, zapłonęła we mnie drobna iskierka nadziei. Myśl, że miałabym zająć miejsce Zmrocza, spróbować zgromadzić ponownie griszów i dowodzić Drugą Armią, nadal wydawała się beznadziejnym przedsięwzięciem, ale przynajmniej coś robiłam, zamiast tylko uciekać przed Zmroczem albo czekać, aż mnie złapie. Miałam dwa amplifikatory Morozova i jechałam do miejsca, gdzie mogłam zdobyć informacje, które doprowadzą mnie do

trzeciego. Mal był niezadowolony, ale gdy patrzyłam, jak poranne światło rozlewa się nad czubkami drzew, poczułam, że może go przekonam.

Mój dobry nastrój nie przetrwał podróży przez Kribirsk. Wcześniej przejechaliśmy już przez rozpadające się portowe miasteczko po katastrofie na jeziorze, ale byłam wtedy zbyt roztrzęsiona i zdezorientowana, żeby spostrzec, jak bardzo się zmieniło. Tym razem nie mogłam tego uniknąć.

Chociaż Kribirsk nigdy nie był pięknym miejscem, jego chodniki roiły się od podróżnych i kupców, ludzi króla i pracowników portowych. Przy tłocznych ulicach stały sklepy gotowe wyposażyć ekspedycje do Fałdy, w których panował duży ruch, a także bary i burdele zajmujące się potrzebami żołnierzy z obozu. Teraz ulice były ciche i niemal puste. Większość karczm i sklepów pozabijano deskami.

Prawdziwe objawienie spadło na mnie, kiedy dojechaliśmy do kościoła. Pamiętałam, że był to schludny budynek o jasnoniebieskich kopułach. Teraz pobielone ściany były pomazane – widniały na nich rzędy nazwisk wymalowane czerwoną farbą, która po wyschnięciu wyglądała jak krew. Schody były zawalone stosami zwiędłych kwiatów, małymi ikonami, stopionymi ogarkami. Widziałam butelki *kvasu*, stosy cukierków, porzuconą lalkę. Podarki dla zmarłych.

Przyjrzałam się imionom i nazwiskom:

Stepan Ruszkin, 57
Anya Sirenka, 13
Mikah Lasky, 45
Rebeka Lasky, 44
Petyr Ozerov, 22
Marina Koska, 19

Valentin Yomki, 72
Sasza Penkin, 8 miesięcy

Rzędy nazwisk ciągnęły się bez końca. Zacisnęłam mocniej palce na wodzach, kiedy zimna pięść zamknęła się na moim sercu. Powróciły do mnie nieproszone wspomnienia: matka uciekająca z dzieckiem na rękach, mężczyzna potykający się, gdy dopadła go ciemność, jego usta otwarte do krzyku, zagubiona i przerażona staruszka połknięta przez spanikowany tłum. Widziałam to wszystko. I przeze mnie to stało się możliwe.

To byli mieszkańcy Novokribirska, miasta, które kiedyś stało dokładnie naprzeciwko Kribirska, po drugiej stronie Fałdy. Siostrzane miasto z krewnymi, przyjaciółmi, wspólnikami w interesach. Ludźmi, którzy pracowali na przystaniach i obsługiwali piaskołodzie; niektórzy z nich pewnie przeżyli wiele podróży. Żyli na obrzeżach zgrozy, myśląc, że są bezpieczni we własnych domach, chodząc po ulicach swojego małego portowego miasteczka. A teraz wszyscy przepadli, ponieważ nie zdołałam powstrzymać Zmrocza.

Mal podjechał do mnie na koniu.

– Alino – odezwał się cicho. – Jedźmy.

Pokręciłam głową. Chciałam zapamiętać. Tasza Stol, Andrei Bazin, Szura Ryczenko. Tyle nazwisk, ile zdołam. Zostali zamordowani przez Zmrocza. Czy prześladowali go w snach tak jak mnie?

– Musimy go powstrzymać – wychrypiałam. – Musimy znaleźć sposób.

Nie wiem, na jaką reakcję miałam nadzieję, ale Mal milczał. Podejrzewałam, że nie chciał mi już chyba niczego obiecywać.

W końcu odjechał, a ja zmusiłam się do odczytania wszystkich nazwisk i dopiero wtedy skierowałam konia

z powrotem na opustoszałą ulicę.

W miarę jak odsuwaliśmy się od Fałdy, Kribirsk nieco ożywał. Kilka sklepów nadal było otwartych, a kupcy wciąż sprzedawali swoje towary na odcinku Vy, który nazywano Drogą Handlarzy. Rozchwierutane stoliki stały wzdłuż drogi zawalone kolorowymi materiałami i różnymi towarami: butami i szalami modlitewnymi, drewnianymi zabawkami, tandetnymi nożami w ręcznie tłoczonych pochwach. Na wielu stołach walało się coś, co wyglądało jak kawałki skał i kurzych kości.

– *Provinje osti!* – wykrzykiwali handlarze. – *Autczenje osti!*

Prawdziwa kość. Autentyczna kość.

Pochyliłam się na koniu, żeby lepiej się przyjrzeć, a starzec zawołał:

– Alina!

Zaskoczona uniosłam wzrok. Znał mnie?

Nikołaj pojawił się nagle obok mnie. Podjechał do mnie blisko, złapał wodze mojego konia i szarpnął, odciągając mnie od straganu.

– *Net, spasibo* – powiedział do starego mężczyzny.

– Alina! – krzyczał sprzedawca. – *Autczenje* Alina!

– Czekaj – powiedziałam, wykręcając się na siodle i próbując lepiej przyjrzeć się twarzy starca.

Porządkował towar na stole. Kiedy zorientował się, że niczego nie sprzeda, stracił nami zainteresowanie.

– Czekaj! – upierałam się. – On mnie rozpoznał.

– Nie, nieprawda.

– Wiedział, jak mam na imię – powiedziałam i gniewnie wyrwałam wodze z ręki Nikołaja.

– Próbował sprzedać ci twoją własną relikwię. Kości palców. Prawdziwa Sankta Alina.

Zamarłam i chłód przeszył mnie do szpiku kości. Mój niczego nierozumiejący koń dreptał spokojnie przed siebie.

– Prawdziwa Alina – powtórzyłam jak otępiała.

Nikołaj poruszył się niespokojnie.

– Krążą plotki, że zginęłaś w Fałdzie. Ludzie od miesięcy sprzedają części twojego ciała w całym kraju, tu i w Ravce Zachodniej. Robi się z ciebie całkiem niezłe talizmany.

– To mają być moje palce?!

– Kostki dłoni, palce stóp, kawałki żeber.

Zrobiło mi się niedobrze. Rozejrzałam się, mając nadzieję, że wypatrzę Mala. Potrzebowałam czegoś znajomego.

– Oczywiście – mówił Nikołaj – gdyby choćby połowa tych kości naprawdę należała do ciebie, to miałabyś setkę stóp. Jednak przesądy to potężna rzecz.

– Tak samo jak wiara – rozległ się głos za nami.

Kiedy się odwróciłam, zdziwiłam się, widząc Tolyę, który jechał na potężnym, karym bojowym ogierze. Jego szeroka twarz była całkowicie poważna.

Tego już było za dużo. Optymizm, który mnie ogarnął godzinę temu, przepadł. Nagle odniosłam wrażenie, że niebo mnie przygniata i zamyka się wokół mnie jak pułapka. Popędziłam konia i odjechałam cwałem. Zawsze fatalnie jeździłam konno, ale chwyciłam się mocno i nie zatrzymałam się, dopóki Kribirsk nie znalazł się daleko za mną i nie przestałam słyszeć grzechotu kości.

* * *

Tej nocy zatrzymaliśmy się w zajeździe w wiosce Vernost, gdzie spotkaliśmy się z ciężkozbrojną grupą żołnierzy z Pierwszej Armii. Wkrótce dowiedziałam się, że wielu z nich pochodzi z dwudziestego drugiego pułku – tego samego, w którym służył Nikołaj i którym ostatecznie pomagał dowodzić podczas kampanii na północy. Najwyraźniej książę chciał, żeby otaczali

go przyjaciele, kiedy wjedzie do Os Alty. Nie miałam mu tego za złe.

W ich obecności rozluźnił się i znowu zauważyłam zmianę w jego postawie. Z łatwością przeszedł od roli wygadanego zawadiaki do roli aroganckiego księcia, a teraz stał się ukochanym dowódcą, żołnierzem skorym do wspólnego śmiechu z towarzyszami broni, który zna każdego plebejusza z imienia.

Żołnierze przyprowadzili ze sobą luksusowy powóz. Był polakierowany na błękitno – kolor Ravki – i z jednej strony zdobił go królewski dwugłowy orzeł. Nikołaj rozkazał, żeby po drugiej stronie namalować słońce. Do powozu zaprzężono szóstkę siwych koni. Kiedy lśniący wehikuł wjechał z klekotem na dziedziniec zajazdu, przewróciłam oczami, przypominając sobie zbytki Wielkiego Pałacu. Może brak gustu był dziedziczny?

Miałam nadzieję, że zjem kolację tylko w towarzystwie Mala w swoim pokoju, ale Nikołaj upierał się, żebyśmy zjedli razem w głównej sali zajazdu. Zamiast więc odpocząć w spokoju przy ogniu, siedzieliśmy ramię w ramię w ścisku przy hałaśliwym stole pełnym oficerów. Mal nie odezwał się słowem przez cały posiłek, ale Nikołaj mówił dość za nas troje.

Kiedy zajadał duszony ogon wołowy, wyliczał na pozór niekończącą się listę miejsc, w których zamierzał zatrzymać się w drodze do Os Alty. Już samo słuchanie go mnie zmęczyło.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że „zjednywanie sobie ludzi” oznacza, że każdego z nich musisz osobiście spotkać – burknęłam. – Nie powinniśmy się śpieszyć?

– Ravka musi wiedzieć, że Przywoływaczka Słońca wróciła.

– I książę marnotrawny?

– On też. Plotki zdziałają więcej niż królewskie oświadczenia. A to mi o czymś przypomina. – Zniżył głos. – Od tej chwili

musisz zachowywać się tak, jakby w każdej chwili ktoś cię obserwował. – Machnął widelcem na mnie i Mala. – To, co robicie na osobności, to wasza sprawa. Zachowajcie jednak dyskrecję.

Omal nie zakrztusiłam się winem.

– Co takiego? – prychnęłam.

– To, że będziesz powiązana z księciem, synem króla, to jedno, ale gdy ludzie zaczną myśleć, że pokładasz się z wieśniakiem, to całkiem co innego.

– Ja wcale nie... To nie ich interes! – szepnęłam oburzona.

Zerknęłam na Mala. Zaciskał zęby i ściskał nóż odrobinę za mocno.

– Władza to sojusze – powiedział Nikołaj. – Więc jest to interes wszystkich. – Napił się znowu wina, a ja piorunowałam go wzrokiem pełnym niedowierzania. – I powinnaś nosić własne kolory.

Pokręciłam głową zaskoczona zmianą tematu.

– Teraz jeszcze wybierasz mi stroje?

Nosiłam już niebieską *keftę*, ale najwyraźniej to nie wystarczało Nikołajowi.

– Jeśli zamierzasz dowodzić Drugą Armią i zająć miejsce Zmrocza, musisz stosownie się prezentować.

– Przywoływacze ubierają się na niebiesko – odpowiedziałam poirytowana.

– Nie lekceważ potęgi wielkich gestów. Ludzie kochają widowiska. Zmrocz to rozumiał.

– Zastanowię się nad tym.

– Mogę zasugerować złoto? Bardzo królewskie i bardzo stosowne...

– I bardzo jarmarczne?

– Złoto i czerń najlepiej się sprawdzą. Idealna symbolika i...

– Żadnej czerni – odezwał się Mal.

Odsunął się od stołu i bez ani jednego słowa więcej zniknął w zatłoczonej sali.

Odłożyłam widelec.

– Nie wiem, czy specjalnie prowokujesz problemy, czy po prostu jesteś dupkiem.

Książę zjadł kolejny kęs kolacji.

– Nie lubi czerni?

– To kolor człowieka, który próbował go zabić i regularnie przetrzymywał mnie jako zakładniczkę. Mojego zaprzysięgłego wroga, zapomniałeś?

– Tym bardziej masz powód, żeby odebrać mu ten kolor i go zawłaszczyć.

Wyciągnęłam szyję, żeby zobaczyć, gdzie zniknął Mal. Widziałam przez otwarte drzwi, że usiadł przy barze.

– Nie. Żadnej czerni.

– Jak sobie życzysz. Ale wybierz jakieś barwy dla siebie i swojej straży.

Westchnęłam.

– Naprawdę potrzebuję straży?

Nikołaj odchylił się w krześle i przyjrzał mi się z nagłą powagą na twarzy.

– Wiesz, skąd się wzięło moje imię Sturmhond?

– Myślałam, że to żart, aluzja do *Sobaczki*.

– Nie. Zapracowałem na to imię. Pierwszy wrogi statek, na jaki wszedłem, to był fjerdański statek kupiecki, który wypłynął z Djerholmu. Kiedy powiedziałem kapitanowi, żeby odłożył broń, roześmiał mi się w twarz i powiedział, żebym uciekał do domu, do mamusi. Powiedział, że fjerdańscy mężczyźni robią chleb z kości chudych ravkańskich chłopców.

– Więc go zabiłeś?

– Nie. Powiedziałem mu, że głupi starzy kapitanowie nie są dość dobrym mięsem dla ravkańskich mężczyzn. A potem

obciąłem mu palce i nakarmiłem nimi psa, podczas gdy on na to patrzył.

– Ty... Co takiego?!

W sali było pełno hałaśliwych żołnierzy, którzy śpiewali, krzyczeli, opowiadali sobie historie, ale o wszystkim tym zapomniałam i tylko wpatrywałam się osłupiała w Nikołaja. Zupełnie jakbym oglądała jego kolejną metamorfozę, jakby czarująca maska spadła, ukazując bardzo niebezpiecznego mężczyznę.

– Dobrze słyszałaś. Do moich wrogów przemawia brutalność. Tak samo jak do mojej załogi. Po tym wszystkim piłem ze swoimi ludźmi i dzieliłem łupy. A potem wróciłem do kajuty i zwymiotowałem świetną kolację, którą przygotował mój steward, i zasnąłem, płacząc. Jednak tego dnia stałem się prawdziwym korsarzem i tego dnia narodził się Sturmhond.

– Tyle, jeśli idzie o „szczeniaka” – mruknęłam, sama czując mdłości.

– Byłem chłopcem, który próbował dowodzić niezdyscyplinowaną załogą złodziei i drani przeciwko wrogom, którzy byli starsi, mądrzejsi i twardsi. Musiałem sprawić, żeby zaczęli się mnie bać. Wszyscy. W przeciwnym wypadku zginęłoby jeszcze więcej ludzi.

Odsunęłam talerz.

– Sugerujesz, że czyje palce mam obciąć?

– Mówię ci, że jeśli chcesz być dowódcą, to czas zacząć myśleć i zachowywać się jak dowódca.

– Już to kiedyś słyszałam, wiesz? Od Zmrocza i jego popleczników. Bądź brutalna. Bądź okrutna. Na dłuższą metę ocalisz więcej ludzi.

– Myślisz, że jestem taki jak Zmrocz?

Przyjrzałam mu się – złote włosy, wykrochmalony mundur i te nazbyt cwane piwne oczy.

– Nie – odpowiedziałam powoli. – Nie myślę tak. – Wstałam, żeby pójść do Mala. – Ale zdarzało mi się już mylić.

* * *

Podróż do Os Alty była nie tyle marszem, ile powolną, koszmarna paradą. Zatrzymywaliśmy się w każdym mieście przy Vy, przy farmach, szkołach, kościołach i mleczarniach. Witaliśmy miejscowych dygnitarzy, wizytowaliśmy oddziały szpitalne. Jedliśmy kolacje z weteranami wojennymi i oklaskiwaliśmy dziewczęce chóry.

Trudno było nie zauważyć, że wioski zaludniają głównie albo bardzo młodzi, albo bardzo starzy ludzie. Wszyscy zdatni do służby wojskowej zostali wcieleni do armii króla i walczyli w niekończących się wojnach Ravki. Cmentarze były równie rozległe jak miasta.

Nikołaj rozdawał złote monety i worki cukru. Ściskał dłonie kupcom i pozwalał się całować w policzki pomarszczonym matronom, które nazywały go *Sobaczką*. Czarował każdego, kto znalazł się w odległości dwóch stóp od niego. Nigdy nie sprawiał wrażenia zmęczonego, nigdy nie tracił sił. Bez względu na to, ile mil przejechaliśmy i ilu ludzi spotkaliśmy, on zawsze był gotowy poznać kogoś nowego.

Zawsze sprawiał wrażenie, że wie, czego ludzie chcą od niego, kiedy być roześmianym chłopcem, kiedy złotym księciem, kiedy znużonym żołnierzem. Pewnie tego się uczysz, gdy rodzisz się w królewskiej rodzinie i wychowujesz na dworze, ale mimo wszystko był to niepokojący widok.

Nie żartował, kiedy mówił o widowisku. Zawsze starał się tak to wymierzyć, żebyśmy wjeżdżali do miast o świcie lub o zmierzchu, albo zatrzymywał naszą procesję w głębokich

cieniach kościoła lub miejskiego rynku – byle tylko lepiej popisać się Przywoływaczką Słońca.

Kiedy przyłapywał mnie na tym, że przewracam oczami, mrugał tylko porozumiewawczo i mówił:

– Wszyscy myślą, że nie żyjesz, skarbie. To ważne, żeby zafundować im prawdziwe widowisko.

Dotrzymywałam więc mojej części umowy i odgrywałam wyznaczoną rolę. Uśmiechałam się uprzejmie i przywoływałam światło, żeby zalewało dachy i iglice, kąpiąc wszystkie zdumione twarze w cieple. Ludzie szlochali. Matki przynosiły dzieci, żebym je ucałowała, starzy ludzie pochylali głowy, policzki mieli mokre od łez. Czułam się jak skończona oszustka i wyznałam to Nikołajowi.

– Co masz na myśli? – zapytał szczerze zdumiony. – Ludzie cię kochają.

– Kochają twoją kozę-medalistkę – wymamrotałam, gdy wyjeżdżaliśmy z miasteczka.

– A zdobyłaś kiedyś jakiś medal?

– To nie jest zabawne – szepnęłam z gniewem. – Widziałeś, co potrafi Zmrocz. Ci ludzie będą posyłali synów i córki do walki z *niczewojami*, a ja nie będę w stanie ich uratować. Karmisz ich kłamstwem.

– Dajemy im nadzieję. To lepsze niż nic.

– Mówisz to jak człowiek, który nie wie, co to znaczy nie mieć niczego – odpowiedziałam i zostawiłam go samego.

* * *

Ravka latem wyglądała najpiękniej – zielone i złote łany zbóż, powietrze łagodne i słodkie od zapachu ciepłego siana. Mimo protestów Nikołaja uparcie odmawiałam korzystania z wygodnego powozu. Tyłek miałam poobijany i moje uda

skarżyły się głośno, kiedy co wieczór schodziłam z siodła, ale jazda konna oznaczała świeże powietrze i możliwość wypatrywania codziennie Mala. Niewiele się odzywał, ale trochę odtajał.

Nikołaj rozpowszechnił opowieść o tym, jak Zmrocz próbował skazać na śmierć Mala w Fałdzie. Dzięki temu żołnierze natychmiast zaufali Malowi, a nawet traktowali go trochę jak sławę. Czasami przeprowadzał zwiad razem z tropicielami z oddziału i próbował nauczyć Tolyę polowania, chociaż zwalisty grisza niespecjalnie potrafił skradać się bezszelestnie przez las.

Na drodze z Sali mijaliśmy zagajnik białych wiązów, kiedy Mal odchrząknął i powiedział:

– Tak sobie myślałem...

Usiadłam prosto i skupiłam się na nim całkowicie. Zagaił rozmowę po raz pierwszy od wyjazdu z Kribirska.

Poprawił się w siodle i nie spojrzał mi w oczy.

– Myślałem sobie, kogo moglibyśmy zwerbować do straży.

Zmarszczyłam czoło.

– Straży?

Odchrząknął.

– Twojej straży przybocznej. Paru ludzi Nikołaja nadałoby się i myślę, że warto rozważyć Tolyę i Tamar. Są z Shu Hanu, ale to griszowie, więc to nie powinno stanowić problemu. No i... jestem ja.

Chyba nigdy dotąd nie widziałam, żeby Mal się rumienił.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Chcesz mi powiedzieć, że zamierzasz zostać kapitanem mojej straży przybocznej?

Zerknął na mnie. Usta mu drgnęły w uśmiechu.

– A będę mógł nosić elegancki kapelusz?

– Najbardziej elegancki. I możliwe, że także pelerynkę.

– A dorzucisz pióro?

– Jasne. Nawet kilka.

– W takim razie możesz na mnie liczyć.

Chciałam na tym skończyć, ale nie potrafiłam się powstrzymać.

– Myślałam... Myślałam, że może będziesz chciał wrócić do swojego oddziału, służyć znowu w zwiadzie.

Mal przyjrzał się węzłowi na wodzach.

– Nie mogę wrócić. Mam nadzieję, że Nikołaj ocali mnie przed powieszeniem...

– Masz nadzieję? – pisnęłam.

– Zdezerterowałem. Nawet król nie zrobi mnie znowu zwiadowcą.

Mówił spokojnie, beztrosko.

Przystosowuje się, pomyślałam. Wiedziałam jednak, że pewna cząstka jego osoby zawsze będzie opłakiwała życie, które było mu pisane, życie, które miałby, gdyby nie ja.

Skinął głową na ledwie widoczne na przedzie kolumny jeźdźców plecy Nikołaja.

– I nie ma mowy, żebym zostawił cię samą z Księciem Idealnym.

– Nie ufasz mi, że oprę się jego czarowi?

– Nie ufam nawet sobie. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak urabiał tłum jak on. Jestem przekonany, że skały i drzewa szykują się, żeby złożyć mu przysięgę wierności.

Roześmiałam się i odchyliłam w siodle, czując słońce grzejące mi skórę, gdy jechaliśmy przez plamy cienia pod gałęziami. Dotknęłam obręczy z morskiego bicza bezpiecznie ukrytej pod rękawem. Na razie chciałam zachować drugi amplifikator w sekrecie. Griszowie Nikołaja przysięgli dochować tajemnicy, a ja mogłam mieć tylko nadzieję, że dotrzymają słowa.

Powędrowałam myślami do żarptaka. Pewna cząstka mnie nadal nie potrafiła uwierzyć, że on naprawdę istnieje. Czy będzie wyglądał jak na stronicach czerwonej książki – ptak o białych i złotych piórach? Czy też jego skrzydła będą obwiedzione ogniem? I jaki potwór założyłby strzałę na łuk i strącił go z nieba?

Odmówiłam odebrania jeleniowi życia i z tego powodu zginęła ogromna liczba ludzi – mieszkańcy Novokribirska, griszowie i żołnierze, których porzuciłam na piaskołodzi Zmrocza. Pomyślałam o wysokich murach kościoła pokrytych nazwiskami zmarłych.

Jeleń Morozova. *Rusalie*. Żarptak. Legendy ożywały na moich oczach tylko po to, żeby umrzeć przede mną. Pamiętałam, jak ciężko dyszał morski bicz, pamiętałam słaby świst jego ostatnich oddechów. Był o krok od śmierci, a ja nadal się wahałam.

Nie chcę być mordercą, pomyślałam. Jednak miłosierdzie nie było darem, na jaki stać Przywoływaczkę Słońca. Otrząsnęłam się. Najpierw musimy znaleźć żarptaka. Do tego czasu cała nasza nadzieja spoczywała na barkach niegodnego zaufania księcia.

* * *

Następnego dnia pojawili się pierwsi pielgrzymi. Wyglądali jak inni mieszkańcy miasteczka, czekali przy drodze, żeby zobaczyć przejeżdżającą królewską procesję, ale nosili przepaski na rękach i trzymali chorągwie z wizerunkiem wschodzącego słońca. Brudni po wielu dniach podróży nieśli torby i plecaki ze skromnym dobytkiem, a kiedy dostrzegali mnie w niebieskiej *kefcie*, z obrożą z poroża na szyi, tłoczyli się wokół mojego konia, pomrukując „Sankta, Sankta” i próbując złapać mnie za

rękaw albo rąbek szaty. Czasem padali na kolana i musiałam uważać, żeby mój koń nikogo nie stratował.

Myślałam, że przywykłam do takiej uwagi, a nawet do tego, że obcy ludzie mnie obłapiają, ale to było co innego. Nie podobało mi się, że nazywają mnie świętą, a głód w ich oczach budził we mnie głęboki niepokój.

W miarę jak wchodziliśmy głębiej na terytorium Ravki, tłumy rosły. Schodziły się ze wszystkich stron, z miast, wiosek, portów. Ludzie tłoczyli się na wiejskich rynkach i wzdłuż Vy, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, niektórzy pieszo, inni na osiołkach lub furmankach. Dokądkolwiek się udaliśmy, wołali do mnie.

Czasem byłam Sankta Aliną, czasem Aliną Sprawiedliwą, Jasną lub Miłosierną. Córka Keramzinu, wołali, Córka Ravki. Córka Fałdy. *Rebe Dva Stolba*, wołali na mnie, Córka Dwóch Młynów, na cześć doliny, która była domem bezimiennej osady, w której się urodziłam. Jak przez mgłę pamiętałam ruiny w dolinie, od której wzięła swoją nazwę, dwa skaliste wrzeciona przy pylistej drodze. Apparat pracowicie odkrywał moją przeszłość, przesiewał gruz, żeby wybudować historię świętej.

Oczekiwania pielgrzymów mnie przerażały. Według nich przybyłam, żeby uwolnić Ravkę od wrogów, od Fałdy Cienia, od Zmrocza, od ubóstwa, od głodu, od obolałych stóp i komarów, i od wszystkiego innego, co mogło im dokuczać. Błagali, abym ich pobłogosławiła, wyleczyła, ale ja mogłam tylko przywołać światło, pomachać, pozwolić dotknąć swojej ręki. To wszystko było częścią widowiska Nikołaja.

Pielgrzymi nie przychodzili tylko po to, żeby mnie zobaczyć, ale żeby za mną podążyć. Dołączali do królewskiej procesji, a ich obszarpana grupa rozrastała się z każdym kolejnym dniem. Szli za nami od miasta do miasta, obozując na leżących odłogiem polach, czuwając do świtu i modląc się o moje

bezpieczeństwo i ocalenie Ravki. Niewiele brakowało, żeby zebrało się ich więcej niż żołnierzy Nikołaja.

– To robota Apparata – poskarżyłam się Tamar pewnego wieczoru przy kolacji.

Zatrzymaliśmy się na noc w zajeździe. Przez okna widziałam światła ognisk pielgrzymów i słyszałam, jak śpiewają ludowe piosenki.

– Ci ludzie powinni być w domu, pracować na polach i doglądać dzieci, a nie łazić za jakąś fałszywą świętą.

Tamar przesuwała kawałek rozgotowanego kartofla po talerzu, aż powiedziała:

– Matka powiedziała mi, że moc griszów to boski dar.

– I ty jej uwierzyłaś?

– Nie znajduję lepszego wyjaśnienia.

Odłożyłam widelec.

– Tamar, nie otrzymaliśmy boskiego daru. Moc griszów to coś, z czym się rodzisz, to jak duże stopy albo dobry głos do śpiewu.

– Tak uważają mieszkańcy Shu Hanu. Że to coś cielesnego, coś ukrytego w sercu albo śledzionie, coś, co można wyizolować i przeprowadzić na tym sekcję. – Zerknęła przez okno na obóz pielgrzymów. – Wątpię, żeby ci ludzie się z tym zgodzili.

– Nie mów, proszę, że uważasz mnie za świętą.

– To nie ma znaczenia, kim jesteś. Liczy się to, co potrafisz.

– Tamar...

– Ci ludzie myślą, że możesz ocalić Ravkę. Ty najwyraźniej też, bo inaczej nie jechałabyś do Os Alty.

– Jadę do Os Alty, żeby odbudować Drugą Armię.

– I znaleźć trzeci amplifikator?

Omal nie wypuściłam widelca.

– Mów ciszej – wybełkotałam.

– Widzieliśmy *Istorii Sanktia*.

Zatem Sturmhond nie ukrywał książki.

– Kto jeszcze wie? – zapytałam, próbując odzyskać opanowanie.

– Nikomu nie powiemy. Wiemy, jaka jest stawka. – Kieliszek Tamar zostawił wilgotne kółko na stole. Przesunęła po nim palcem i dodała: – Wiesz, niektórzy wierzą, że wszyscy pierwsi święci byli griszami.

Zmarszczyłam brwi.

– Kto taki?

Tamar wzruszyła ramionami.

– Było ich dość, żeby ich przywódców ekskomunikować. Niektórych nawet spalono na stosie.

– Nigdy o tym nie słyszałam.

– To się wydarzyło dawno temu. Nie rozumiem, dlaczego to tak bulwersuje ludzi. Nawet jeśli święci byli griszami, to nie znaczy, że ich wyczyny były mniej cudowne.

Zaczęłam się wiercić na krześle.

– Nie chcę być świętą. Nie próbuję ocalić świata. Chcę tylko znaleźć sposób, żeby pokonać Zmrocza.

– Odbudować Drugą Armię. Pokonać Zmrocza. Zniszczyć Fałdę. Uwolnić Ravkę. Nazwij to, jak chcesz, ale to wszystko podejrzanie mocno przypomina ocalenie świata.

Cóż, kiedy tak to ujęła, to rzeczywiście wyglądało to dość ambitnie. Wypiłam łyk wina. Było kwaśne w porównaniu z winami na pokładzie *Wołka Wołny*.

– Mal poprosi, żebyście ty i Tolya zostali członkami mojej straży przybocznej.

Na twarz Tamar wypłynął promienny uśmiech.

– Serio?

– Już praktycznie nimi jesteście, ale jeśli masz strzec mnie dniem i nocą, to musisz mi coś obiecać.

– Co tylko zechcesz – odpowiedziała rozpromieniona.

– Koniec gadania o świętych.



W miarę jak tłum pielgrzymów rósł, coraz trudniej było nad nimi zapanować i wkrótce musiałam jechać w powozie. Czasem Mal mi towarzyszył, ale zwykle jechał na zewnątrz, strzegąc powozu razem z Tolyą i Tamar. Chociaż pragnęłam jego towarzystwa, wiedziałam, że tak będzie lepiej. Jazda w lakierowanej szkatułce na klejnoty zawsze wprawiała go w zły nastrój.

Nikołaj towarzyszył mi tylko podczas wjeżdżania do wiosek i wyjeżdżania z nich, żeby widziano nas wtedy razem. Cały czas mówił. Zawsze myślał o budowie czegoś nowego – urządzenia do utwardzania dróg, nowego systemu nawadniającego, łodzi, która sama by się napędzała. Szkicował na każdym dostępnym kawałku papieru i każdego dnia wpadał na nowy pomysł ulepszenia następnej wersji *Kolibra*.

Chociaż ten temat trochę mnie denerwował, był także gotowy rozmawiać o trzecim amplifikatorze i Zmroczu. On też nie rozpoznał kamiennego łuku na ilustracji i bez względu na to, jak długo wpatrywaliśmy się w stronicę, Sankt Ilia nie chciał zdradzić nam swoich sekretów. To jednak nie powstrzymywało Nikołaja przed nieskończonymi spekulacjami na temat możliwych miejsc, w których można by zacząć polowanie na żarptaka, albo niekończących się pytań o nową moc Zmrocza.

– Wkrótce ruszymy razem na wojnę – powiedział. – Na wypadek gdybyś zapomniała, Zmrocz nieszczególnie za mną przepada. Chcę, żebyśmy dysponowali wszelką możliwą przewagą.

Niewiele mogłam mu powiedzieć. Ledwie sama rozumiałam, co robił Zmrocz.

– Grisza może posługiwać się tylko tym, co już istnieje, i tylko to może zmieniać. Prawdziwe tworzenie to zupełnie inny rodzaj mocy. Baghra nazywała to „tworzeniem w sercu świata”.

– I myślisz, że do tego właśnie zdąża Zmrocz?

– Może. Nie wiem. Wszyscy mamy swoje ograniczenia i kiedy do nich docieramy, męczymy się. Ale na dłuższą metę posługiwanie się mocą wzmacnia nas. Kiedy Zmrocz przywołuje *niczewoje*, jest inaczej. To go sporo kosztuje. – Opisałam mu wysiłek, jaki malował się na twarz Zmrocza, jego wyczerpanie. – Ta moc go nie karmi. To ona karmi się nim.

– Cóż, to sporo wyjaśnia – powiedział Nikołaj, bębniąc palcami o udo. Jego umysł już rozważał najróżniejsze możliwości.

– Co takiego?

– Dlaczego nadal żyjemy, dlaczego mój ojciec nadal siedzi na tronie. Gdyby Zmrocz mógł po prostu stworzyć armię z cienia, już maszerowałby na nas. To dobrze – uznał zdecydowanie. – To nam zapewnia trochę czasu.

Pytanie tylko: jak dużo? Pomyślałam znowu o pragnieniu, jakie poczułam, patrząc na gwiazdy na pokładzie *Wołka Wołny*. Głód mocy zdeprawował Zmrocza. Na ile się orientowałam, równie dobrze mógł zdemoralizować Morozova. Zebranie amplifikatorów mogło spowodować nieszczęście, jakiego świat jeszcze nie widział.

Potarłam ręce, próbując pozbyć się chłodu, który mnie owionął. Nie mogłam powiedzieć o tych wątpliwościach Nikołajowi, a Mal już wyraził dostatecznie dużo swej niechęci wobec drogi, którą obraliśmy.

– Wiesz, przeciwko czemu staniemy – powiedziałam. – Sam czas może nie wystarczyć.

– Os Alta jest potężnie ufortyfikowana. Leży blisko bazy w Poliznai, a co najważniejsze, znajduje się daleko zarówno od północnej, jak i południowej granicy.

– To nam pomaga?

– Zasięg Zmrocza jest ograniczony. Kiedy uszkodziliśmy jego statek, nie był w stanie wysłać *niczewojów* w pościg za nami. To znaczy, że będzie musiał wkroczyć do Ravki ze swoimi potworami. Góry na wschodzie są nie do przebycia, a bez ciebie nie może przejść przez Fałdę, więc będzie musiał przyjść do nas przez Fjerdę albo Shu Han. Tak czy inaczej, usłyszymy o nim z dużym wyprzedzeniem.

– A król i królowa zostaną?

– Gdyby mój ojciec opuścił stolicę, równie dobrze mógłby oddać kraj Zmroczowi. Poza tym nie wiem, czy jest dość silny, żeby podróżować.

Pomyślałam o czerwonej *kefcie* Genyi.

– Nie doszedł do siebie?

– Starają się nie dopuścić, żeby najgorsze wieści wyciekły w plotkach, ale nie, nie doszedł do siebie i wątpię, żeby kiedykolwiek wyzdrowiał. – Skrzyżował ręce na piersi

i przekrzywił głowę. – Twoja przyjaciółka jest olśniewająca. Jak na trucicielkę.

– Nie jest moją przyjaciółką – powiedziałam, chociaż te słowa zabrzmiały dziecinnie w moich uszach i odebrałam je jak zdradę. Obwiniałam Genyę o mnóstwo rzeczy, ale nie o to, co zrobiła królowi. Nikołaj najwyraźniej wszędzie miał szpiegów. Zastanawiam się, czy wie, jakim człowiekiem jest jego ojciec. – I wątpię, żeby posłużyła się trucizną.

– Coś mu zrobiła. Żaden z jego lekarzy nie jest w stanie znaleźć lekarstwa, a moja matka nie dopuści do niego somatyka-uzdrowiciela. – Po chwili Nikołaj dodał: – To było naprawdę sprytne posunięcie.

Uniosłam brwi.

– Próba zabicia twojego ojca?

– Zmrocz mógł względnie łatwo zabić mojego ojca, ale ryzykowałby wtedy, że chłopi i Pierwsza Armia się zbuntują. A kiedy król żył, ale przebywał w odosobnieniu, nikt nie wiedział do końca, co się dzieje. Apparat był na miejscu, odgrywał zaufanego doradcę i wydawał rozkazy. Vasilij wyjechał gdzieś kupować konie i dziwki. – Urwał, wyjrzał przez okno i przesunął palcem po złoconej ramie. – Ja byłem na morzu. Nowiny dotarły do mnie kilka tygodni po wszystkim.

Czekałam, nie bardzo wiedząc, czy powinnam się odezwać. Wpatrywał się w mijany krajobraz, ale myślami był gdzie indziej.

– Kiedy rozeszły się wieści o masakrze w Novokribirsku i zniknięciu Zmrocza, rozpętało się piekło. Grupa królewskich ministrów i pałacowych strażników przebiła się przez Wielki Pałac i zażądała spotkania z królem. Wiesz, co zastali? Moją matkę kulącą się ze strachu w salonie, ściskającą tego swojego sapiącego psiaka. I króla Ravki, Alexandra III, leżącego

samotnie w sypialni we własnych nieczystościach, ledwie oddychającego. Ja do tego dopuściłem.

– Nie mogłeś wiedzieć, co Zmrocz planuje. Nikt tego nie wiedział.

Jakby w ogóle mnie nie usłyszał.

– Griszowie i oprycznicy, którzy utrzymywali pałac na rozkaz Zmrocza, zostali złapani w dolnym mieście podczas próby ucieczki. Wszystkich stracono.

Próbowałam powstrzymać drżenie.

– A co z Apparatem?

Kapłan był w zmowie ze Zmroczem i możliwe, że nadal z nim współpracował. Jednakże próbował porozmawiać ze mną przed zamachem stanu i zawsze myślałam, że prowadzi bardziej skomplikowaną grę.

– Uciekł. Nikt nie wie w jaki sposób – mówił bezwzględnym tonem Nikołaj. – Ale odpowie za wszystko we właściwym czasie.

Znowu dostrzegłam bezlitosny rys, który skrywał się pod gładkim obliczem. Czy to był prawdziwy Nikołaj Lancov? Czy kolejna maska?

– Pozwoliłeś Genyi odejść.

– Była pionkiem. Ty byłaś wygraną. Musiałem skupić się na tym, co ważne. – Potem uśmiechnął się szeroko, a jego ponury nastrój zniknął, jakby nigdy go nie było. – Poza tym – dodał, mrugając porozumiewawczo – była za ładna, żeby rzucić ją rekinom.

* * *

Jazda powozem niecierpliwiła mnie, irytowało tempo, jakie narzucił nam Nikołaj, nie mogłam się doczekać, kiedy dotrę do Małego Pałacu. Dało mu to jednak czas, żeby mi pomóc przygotować się przed przyjazdem do Os Alty. Bardzo zależało

mu na tym, żebym sprawdziła się jako dowódca Drugiej Armii, i zawsze miał jakąś mądrość w zanadrzu, którą chciał się ze mną podzielić. To było przytłaczające, ale zdawałam sobie sprawę, że nie mogę pozwolić sobie na zlekceważenie jego rad, i zaczęłam się czuć, jakbym wróciła do biblioteki w Małym Pałacu i zakuwała teorię griszów.

„Im mniej mówisz, tym większą wagę niosą twoje słowa".

„Nie kłóć się. Nigdy nie zniżaj się do zaprzeczania. Odpowiadaj na obelgi śmiechem".

– Nie śmiałeś się z fjerdańskiego kapitana – zauważyłam.

– To nie była obelga. To wyzwanie. Musisz widzieć różnicę.

„Słabość to maska. Noś ją, kiedy muszą zobaczyć, że jesteś człowiekiem, ale nigdy, gdy naprawdę czujesz się słaba".

„Nie myśl o cegłach, kiedy możesz budować z kamienia. Wykorzystaj to, czym dysponujesz".

„Bycie przywódcą oznacza, że zawsze ktoś cię obserwuje".

„Spraw, żeby wypełnili drobne rozkazy, a wypełnią także te poważne".

„Możesz lekceważyć oczekiwania, ale nigdy nie rozczarowuj".

– Jak mam to wszystko spamiętać? – zapytałam poirytowana.

– Nie myśl o tym za dużo, po prostu to rób.

– Łatwo ci mówić. Przygotowywano cię do tego od urodzenia.

– Przygotowywano mnie do gry w tenisa na trawie i przyjęć z szampanem – odpowiedział Nikołaj. – Reszty musiałem sam się nauczyć.

– Nie mam czasu na naukę!

– Poradzisz sobie. Tylko się uspokój.

Jęknęłam sfrustrowana. Tak bardzo chciałam go udusić, że swędziały mnie palce.

– Och, najłatwiejszy sposób, żeby kogoś rozsierdzić, to powiedzieć mu, żeby się uspokoił.

Nie wiedziałam, czy roześmiać się, czy rzucić w niego butem.

Poza powozem zachowanie Nikołaja stawało się coraz bardziej niepokojące. Miał dość rozumu, żeby nie ponawiać propozycji małżeństwa, ale ewidentnie było widać, że chce, by ludzie myśleli, że coś nas łączy. Z każdym przystankiem robił się coraz śmielszy, stawał za blisko, całował moją dłoń, odgarniał mi włosy za ucho, gdy rozwiał je wiatr.

W Taszcie Nikołaj pomachał do ogromnego tłumu wieśniaków i pielgrzymów, który zgromadził się pod pomnikiem założyciela miasteczka. Kiedy pomagał mi wsiąść do powozu, objął mnie w talii.

– Nie bij mnie w twarz, proszę – szepnął.

A potem szarpnął mnie zdecydowanie ku sobie i przycisnął wargi do moich ust.

Tłum zaczął wiwatować, głosy poniosły się radosnym gromem. Nim zdążyłam zareagować, Nikołaj wepchnął mnie do cienistego wnętrza powozu i wsiadł za mną. Zatrzasnął za sobą drzwi, a ja nadal słyszałam wiwatujących ludzi. Z okrzykami „Nikołaj!" i „Sankta Alina" mieszało się teraz coś nowego – „*Sol Koroleva*". Królowa Słońca.

Widziałam Mala przez okno powozu. Siedział w siodle na obrzeżach tłumu i pilnował, żeby ludzie nie wylegli na drogę. Jego chmurna twarz wyraźnie mówiła, że wszystko widział.

Odwróciłam się do Nikołaja i kopnęłam go mocno w goleń. Krzyknął, ale to mnie ani trochę nie usatysfakcjonowało. Kopnęłam go po raz drugi.

– Lepiej już? – zapytał.

– Następnym razem, jak czegoś takiego spróbujesz, nie kopnę cię – odpowiedziałam z gniewem – tylko przetnę na pół.

Strzepnął kłaczek ze spodni.

– Nie sądzę, żeby to było rozsądne. Obawiam się, że ludzie mogą krzywo patrzeć na królobójstwo.

– Jeszcze nie jesteś królem, *Sobaczka* – odparłam ostro. – Więc mnie nie kuś.

– Nie rozumiem, dlaczego tak się denerwujesz. Tłum był zachwycony.

– Ale ja nie.

Uniósł brew.

– Nie zauważyłem, żebyś miała coś przeciwko.

Znowu go kopnęłam. Tym razem wysunął błyskawicznie rękę i złapał mnie za kostkę. Gdyby to była zima, miałabym na sobie kozaki, ale latem nosiłam tylko pantofle, więc jego palce zamknęły się na mojej nagiej nodze. Zaczerwieniłam się jak burak.

– Obiecaj, że więcej mnie nie kopniesz, to obiecam, że więcej cię nie pocałuję.

– Kopałam cię tylko dlatego, że mnie pocałowałeś!

Próbowałam zabrać nogę, ale mocno mnie trzymał.

– Obiecaj.

– W porządku – warknęłam. – Obiecuję.

– To umowa stoi.

Wypuścił moją nogę, a ja schowałam ją pod *keftą*, mając nadzieję, że nie zauważył mojego idiotycznego rumieńca.

– Świetnie – powiedziałam. – A teraz wynoś się.

– To mój powóz.

– Umowa dotyczyła tylko kopania. Nie zakazuje mi policzkowania cię, bicia pięściami, gryzienia i rozcięcia na połowę!

Uśmiechnął się szeroko.

– Boisz się, że Orecev zacznie się zastanawiać, co kombinujemy?

Właśnie to mnie martwiło.

– Obawiam się, że jeśli będę musiała spędzić z tobą choćby minutę więcej, mogę zwymiotować na *keftę*.

– To tylko gra. Im silniejsze jest nasze przymierze, tym lepiej dla nas obojga. Przykro mi, jeśli to dręczy Mala, ale to konieczne.

– Pocałunek nie był konieczny.

– Improwizowałem. Trochę mnie poniosło.

– Ty nigdy nie improwizujesz. Wszystko, co robisz, jest przemyślane. Zmieniasz osobowości tak, jak inni zmieniają kapelusze. I wiesz co? To jest upiorne. Czy ty nigdy nie jesteś sobą?

– Jestem księciem. Nie stać mnie na to, żeby być sobą.

Prychnęłam poirytowana.

Milczał przez chwilę, a potem powiedział:

– Naprawdę... Naprawdę uważasz, że jestem upiorny?

Pierwszy raz mówił, jakby nie był całkiem siebie pewny. Mimo jego postępku zrobiło mi się go trochę żal.

– Czasem – przyznałam.

Wyraźnie skrępowany potarł ręką kark. Potem westchnął i wzruszył ramionami.

– Jestem młodszym synem, najpewniej bękartem i przebywałem poza dworem prawie siedem lat. Zrobię wszystko, co mogę, żeby zwiększyć swoje szanse na zdobycie tronu, nawet jeśli to oznacza zalecanie się do całego narodu i robienie maślanych oczu do ciebie.

Wytrzeszczyłam oczy. Właściwie niczego nie słyszałam po słowie „bękart”. Genya dała do zrozumienia, że krążą plotki na temat ojca Nikołaja, ale byłam zaszokowana, że sam się do nich przyznał.

Roześmiał się.

– Nigdy nie przetrwasz na dworze, jeśli nie nauczysz się lepiej ukrywać swoich myśli. Wyglądasz, jakbyś właśnie usiadła w misce zimnej owsianki. Zamknij usta.

Zamknęłam gwałtownie usta i próbowałam przybrać uprzejmy wyraz twarzy. Wtedy Nikołaj roześmiał się jeszcze bardziej.

– Teraz wyglądasz, jakbyś wypiła za dużo wina.

Poddałam się i zgarbiłam na siedzeniu.

– Jak możesz żartować na taki temat?

– Od dziecka słyszałem szepty na ten temat. Nie jest to coś, co chciałbym, żebyś powtarzała poza tym powozem, i wszystkiemu zaprzeczę, jeśli to zrobisz, ale nic a nic mnie nie obchodzi, czy mam krew Lancovów. Właściwie jak pomyślę o chowie wsobnym typowym dla królewskich rodów, to fakt, że jestem bękartem, działa pewnie na moją korzyść.

Pokręciłam głową. Nikołaj był zdumiewający. Trudno było orzec, co traktuje naprawdę poważnie.

– Dlaczego korona jest dla ciebie taka ważna? Po co tak się męczyć?

– Czy tak trudno ci uwierzyć, że naprawdę przejmuję się tym, co się stanie z tym krajem?

– Szczerze? Owszem.

Przyjrzał się czubkom wypolerowanych butów. Nigdy nie rozgryzłam, jak to robi, że zawsze tak błyszczą.

– Chyba lubię naprawiać różne rzeczy. Zawsze tak było.

To nie była żadna odpowiedź, ale brzmiała szczerze.

– Naprawdę myślisz, że twój brat zrzeknie się tronu?

– Mam nadzieję. Wie, że Pierwsza Armia wesprze mnie, i wątpię, żeby odważył się na wojnę domową. Poza tym Vasilij odziedziczył po ojcu niechęć do ciężkiej pracy. Kiedy zda sobie sprawę, jaki to wysiłek władać krajem, będzie uciekał ze stolicy tak szybko, że mało nóg sobie nie połamie.

– A jeśli nie wycofa się tak łatwo?

– To tylko kwestia znalezienia odpowiedniej zachęty. Każdego można kupić, i nędzarza, i księcia.

Kolejna mądrość z ust Nikołaja Lancova. Wyjrzałam przez okno powozu. Widziałam Mala wyprostowanego w siodle. Jechał równo z powozem.

– Nie każdego – mruknęłam.

Nikołaj spojrzał w tym samym kierunku, co ja.

– Owszem, Alino, nawet twój wierny rycerz ma swoją cenę. – Odwrócił się do mnie i spojrzał w zamyśleniu. – Myślę, że właśnie na nią patrzę.

Poruszyłam się niespokojnie na siedzeniu.

– Jesteś wszystkiego taki pewien – powiedziałam kwaśno. – Może ja postanowię, że chcę zasiąść na tronie, i uduszę cię we śnie.

Nikołaj uśmiechnął się szeroko.

– Nareszcie myślisz jak polityk.

* * *

W końcu Nikołaj ustąpił i wysiadł z powozu, ale minęło kilka godzin, nim zatrzymaliśmy się na noc. Nie musiałam szukać Mala. Kiedy drzwi powozu otworzyły się, on już tam stał i podawał mi dłoń. Na placu tłoczyli się pielgrzymi i inni podróżni, wszyscy wyciągali szyje, żeby lepiej widzieć Przywoływaczkę Słońca, ale nie byłam pewna, czy będę miała inną okazję, żeby z nim porozmawiać.

– Jesteś zły? – szepnęłam, kiedy prowadził mnie po bruku.

Widziałam Nikołaja na drugim końcu placu, gdzie już gawędził z grupą miejscowych dygnitarzy.

– Na ciebie? Nie. Ale będę miał do pomówienia z Nikołajem, kiedy nie będzie go otaczała uzbrojona straż.

– Jeśli to cię pocieszy, to wiedz, że go kopnęłam.

Mal się roześmiał.

– Naprawdę?

– Dwa razy. To coś pomogło?

– A wiesz, że tak?

– W takim razie nadepnę mu na stopę podczas kolacji.

To spokojnie wychodziło poza zakaz kopania.

– Czyli serce nie zabiło ci mocniej i nie omdlałaś w ramionach księcia?

Droczył się ze mną, ale słyszałam niepewność w jego głosie.

– Wygląda na to, że jestem odporna. Na szczęście wiem, jak powinien smakować prawdziwy pocałunek.

Zostawiłam go pośrodku placu. Właściwie mogłabym przyzwyczaić się do tego, że Mal się rumieni.

* * *

Wieczór przed wjazdem do Os Alty spędziliśmy w daczy pomniejszego arystokraty, który mieszkał kilka mil od miejskich murów. Miejsce przypominało mi trochę Keramzin – wielka żelazna brama, długa, prosta ścieżka do ładnego dwuskrzydłowego domu z jasnej cegły. Hrabia Minkoff podobno słynął z hodowli karłowatych drzewek owocowych i korytarze daczy były obstawione przemyślnymi małymi roślinkami, które napełniały pomieszczenia słodkim zapachem brzoskwiń i śliwek.

Dostałam elegancką sypialnię na piętrze. Tamar zajęła sąsiedni pokój, a Tolyę i Mala umieszczono po drugiej stronie korytarza. Na łóżku czekało na mnie wielkie pudło, a w środku znalazłam *keftę*, o którą w końcu poprosiłam w poprzednim tygodniu, gdy się złamałam. Nikołaj wysłał rozkazy do Małego Pałacu. Rozpoznawałam dzieło fabrykatorów w ciemnoniebieskim jedwabiu przeszywanym złotą nicią. Spodziewałam się, że będzie ciężka, ale materialnicy sprawili, że tkanina była praktycznie nieważka. Przesunęłam ją na dłoni.

Lśniła i mieniła się jak światło na wodzie. Zapinki miały kształt małych słoneczek. *Kefta* była piękna i trochę pretensjonalna. Spodoba się Nikołajowi.

Pani domu przysłała pokojówkę, żeby pomogła mi upiąć włosy. Posadziła mnie przed toaletką, cmokała i gorączkowała się z powodu kołtunów, kiedy upinała mi włosy w luźny kok. Była zdecydowanie delikatniejsza od Genyi, ale efekty nie były nawet w przybliżeniu równie spektakularne. Odepchnęłam tę myśl. Nie lubiłam myśleć o Genyi ani o tym, co mogło się z nią stać po tym, jak opuściliśmy statek wielorybniczy. Nie chciałam też myśleć, jak bardzo będę się czuła samotna w Małym Pałacu bez niej.

Podziękowałam pokojówce i zanim wyszłam z pokoju, zabrałam czarną aksamitną sakiewkę, która zjawiła się razem z pudłem z *keftą*. Schowałam ją do kieszeni, upewniłam się, że rękaw zasłania obręcz, a potem zeszłam na dół.

Rozmowa przy kolacji dotyczyła najnowszych sztuk teatralnych, prawdopodobnego miejsca pobytu Zmrocza i wydarzeń w Os Alcie. Miasto zalali uchodźcy. Nowo przybyłych odsyłano spod bramy i krążyły plotki o rozruchach z powodu braku jedzenia w dolnym mieście. Te problemy wydawały się niemożliwie odległe od tego olśniewającego domu.

Hrabia i jego żona – pulchna dama o siwiejących lokach i z niepokojąco głębokim dekoltem – przygotowali wystawną kolację. Jedliśmy zupę z wysadzanych klejnotami miseczek w kształcie małych dyń, pieczoną jagnięcinę z porzeczkową galaretką, grzyby zapiekane w śmietanie i danie, w którym tylko dłubałam bez apetytu i później dowiedziałam się, że było kukułką w brandy. Każde naczynie miało posrebrzaną krawędź i herb Minkoffów. Jednak najbardziej imponująca była ozdoba środka stołu ciągnąca się przez całą jego długość – żywy

miniaturowy las oddany z wszelkimi szczegółami, w którym nie zabrakło nawet zagajnika maleńkich sosen, pnącego się milinu o kwiatach nie większych od paznokcia i małej chatki z solniczką w środku.

Siedziałam między Nikołajem i pułkownikiem Rajevskim i słuchałam, jak szlachetnie urodzeni goście śmieją się, gawędzą i wznoszą jeden toast za drugim na cześć powracającego młodego księcia i za zdrowie Przywoływaczki Słońca. Poprosiłam Mala, żeby nam towarzyszył, ale odmówił; wolał patrolować teren z Tamar i Tolyą. Chociaż starałam się skupić na rozmowie, cały czas zerkałam na taras, mając nadzieję, że go zobaczę.

Nikołaj musiał to zauważyć, bo szepnął:

– Nie musisz słuchać, ale musisz wyglądać, jakbyś słuchała.

Starałam się najlepiej, jak umiałam, ale sama nie miałam za wiele do powiedzenia. Nawet w błyszczącej *kefcie* i siedząc obok księcia, nadal byłam wieśniaczką z bezimiennej wioski. Nie należałam do tych ludzi i wcale nie chciałam należeć. Mimo to podziękowałam w myślach Anie Kui za to, że uczyła swoje sieroty, jak siedzieć przy stole i którym widelcem je się ślimaki.

Po kolacji zagoniono nas do salonu, gdzie hrabia i hrabina zaśpiewali w duecie, a ich córka akompaniowała im na harfie. Desery wyłożono na stoliku: mus miodowy, orzechy i melon w syropie, wieżę z ciasteczek z chmurkami waty cukrowej, które nie tyle należało jeść, ile je podziwiać. Było jeszcze więcej wina i plotek. Poproszono mnie o przywołanie światła, więc rzuciłam ciepły blask na kasetonowy sufit, co przyjęto z entuzjastycznym aplauzem. Kiedy niektórzy goście usiedli do kart, wymówiłam się bólem głowy i wymknęłam po cichu.

Nikołaj przyłapał mnie przy drzwiach na taras.

– Powinnaś zostać – powiedział. – To dobre ćwiczenie z nudy panującej na dworze.

– Święci potrzebują odpoczynku.

– Zamierzasz spać pod różanym krzewem? – zapytał, zerkając na ogród.

– Byłam grzecznym tańczącym niedźwiadkiem, wykonałam wszystkie sztuczki i teraz nadszedł czas, żebym powiedziała dobranoc.

Nikołaj westchnął.

– Może żałuję, że nie mogę pójść z tobą. Hrabina przez całą kolację łapała mnie za kolano pod stołem, a nie cierpię grać w karty.

– Myślałam, że jesteś wytrawnym politykiem.

– Mówiłem, że nie potrafię usiedzieć w miejscu.

– W takim razie będziesz musiał zaprosić hrabinę do tańca – odpowiedziałam z szerokim uśmiechem i wymknęłam się na zewnątrz.

Kiedy zeszłam po schodach tarasu, obejrzałam się przez ramię. Nikołaj nadal kręcił się przy drzwiach. Miał na sobie mundur i bladoniebieską szarfę na piersi. Światło z salonu odbijało się od jego medali i złociło mu końce włosów. Dzisiaj grał rolę wytwornego księcia. Kiedy jednak tak stał, wyglądał jak samotny chłopiec, który nie chce sam wracać na przyjęcie.

Odwróciłam się i zeszłam kręconymi schodami do ogrodu poniżej.

Nie potrzebowałam wiele czasu, żeby znaleźć Mala. Opierał się o pień wielkiego dębu i przyglądał wypielęgnowanym ogrodom.

– Ktoś się czai w ciemnościach? – zapytałam.

– Tylko ja.

Usadowiłam się obok niego przy pniu.

– Szkoda, że nie poszedłeś z nami na kolację.

Mal parsknął.

– Nie, dziękuję. O ile dobrze stąd widziałem, wyglądałaś na naprawdę nieszczęśliwą, a Nikołaj nie sprawiał wrażenia szczęśliwszego. Poza tym – dodał, zerkając na moją *keftę* – co bym włożył?

– Nie podoba ci się?

– Jest śliczna. Doskonały dodatek do twojej ślubnej wyprawy. – Zanim zdążyłam przewrócić oczami, złapał mnie za rękę. – Nie to miałem na myśli. Wyglądasz pięknie. Chciałem ci to powiedzieć, odkąd zobaczyłem cię tego wieczoru.

Zarumieniłam się.

– Dzięki. Codzienne posługiwanie się mocą bardzo mi pomaga.

– Wyglądałaś pięknie i w Coftonie, z pyłkiem *jurdy* na czole.

Poprawiłam z zakłopotaniem pasemko włosów.

– To miejsce przypomina mi Keramzin – powiedziałam.

– Trochę. Jest o wiele wymyślniejsze. Właściwie jaki sens mają te wszystkie maleńkie owocki?

– Są dla ludzi o malusich rączkach. To im poprawia samopoczucie.

Roześmiał się. Szczerze. Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam czarną aksamitną sakiewkę.

– Mam coś dla ciebie.

– Co takiego?

Wyciągnęłam zaciśniętą pięść.

– Zgadnij.

Bawiliśmy się tak jako dzieci.

– To oczywiste, że to sweter.

Pokręciłam głową.

– Kucyk?

– Nie.

Wziął mnie za rękę, obrócił ją i delikatnie rozwarł mi palce.

Poczekałam na jego reakcję.

Drgnął mu kącik ust, kiedy podniósł złote słoneczko z mojej dłoni. Szorstki dotyk jego palców sprawił, że przeszedł mnie dreszcz.

– Dla kapitana twojej straży przybocznej? – zapytał.

Odchrząknęłam nerwowo.

– Nie... nie chciałam mundurów. Nie chciałam, żeby to przypominało oprycznikόw Zmrocza.

Kiedy Mal patrzył na słoneczko, przez długą chwilę staliśmy w milczeniu. Potem oddał je mi z powrotem. Serce mi się zacisnęło, ale próbowałam ukryć rozczarowanie.

– Przypniesz mi je? – zapytał.

Odetchnęłam z ulgą. Wzięłam szpilkę w palce i przysunęłam ją do fałd jego koszuli po lewej stronie. Potrzebowałam paru prób, by ją wpiąć. Kiedy skończyłam, odsunęłam się o krok, a on wziął mnie za rękę i przycisnął ją do złotego słońca nad sercem.

– To wszystko? – spytał.

Staliśmy teraz blisko siebie, sami w ciemnym, ciepłym ogrodzie. To była pierwsza chwila, jaką mieliśmy tylko dla siebie od wielu tygodni.

– Wszystko? – powtórzyłam.

Zabrzmiało to niemal jak szept.

– Wydaje mi się, że obiecano mi pelerynę i elegancki kapelusz.

– Jakoś ci to wynagrodzę.

– Czy ty ze mną flirtujesz?

– Targuję się.

– Dobrze – powiedział. – Przyjmę pierwszą ratę już teraz.

Powiedział to wesoło, ale kiedy jego usta napotkały moje, nie było żartobliwości w jego pocałunku. Smakował żarem i świeżo dojrzałymi gruszkami z ogrodu hrabiego. Wyczuwałam

zachłanność w jego ustach, obce napięcie w jego pragnieniu, które wywołało we mnie niespokojne iskierki.

Wspięłam się na palce, objęłam go za szyję. Moje ciało rozpływało się przyciśnięte do niego. Miał w sobie żołnierską siłę. Czułam twarde obręcze ramion, nacisk palców, gdy zacisnął je na jedwabiu na wysokości mojego krzyża i przycisnął do siebie. Było coś żarliwego, niemal desperackiego w sposobie, w jaki mnie obejmował, jakby nie mógł przysunąć mnie do siebie dostatecznie blisko.

W głowie mi się kręciło. Moje myśli zwolniły i rozpłynęły się, ale usłyszałam gdzieś kroki. W następnej chwili ścieżką nadbiegła Tamar.

– Mamy towarzystwo – powiedziała.

Mal oderwał się ode mnie, błyskawicznym ruchem zdjął karabin z ramienia.

– Kto to?

– Przy bramie pojawiła się grupa ludzi i żąda wpuszczenia. Chcą się zobaczyć z Przywoływaczką Słońca.

– Pielgrzymi? – zapytałam, starając się zmusić ogłupiały pocałunkiem mózg do pracy.

Tamar pokręciła głową.

– Twierdzą, że są griszami.

– Tutaj?

Mal położył mi rękę na ramieniu.

– Alino, poczekaj w środku, dopóki przynajmniej nie zorientujemy się, co jest grane.

Zawahałam się. Jedna część mnie zjeżyła się na myśl, że mam uciekać i się chować, ale nie chciałam też zachować się jak głupek. Gdzieś z okolic bramy dobiegł krzyk.

– Nie – powiedziałam, wyrywając się Malowi. – Jeśli to naprawdę griszowie, to mogą mnie potrzebować.

Ani Tamar, ani Mal nie wyglądali na zadowolonych, ale stanęli po obu moich stronach i ruszyliśmy pośpiesznie żwirową ścieżką.

Przy żelaznej bramie do daczy hrabiego zebrał się tłum. Tolyę można było łatwo wypatrzeć, bo nad wszystkimi górował. Nikołaj stał z przodu otoczony przez żołnierzy z wyciągniętą bronią oraz uzbrojonych służących hrabiego. Mała grupka ludzi czekała po drugiej stronie prętów, ale nie dostrzegłam niczego więcej. Ktoś potrząsnął gniewnie bramą i usłyszałam podniesione głosy.

– Zaprowadźcie mnie tam – powiedziałam.

Tamar rzuciła Malowi zaniepokojone spojrzenie. Uniosłam podbródek. Jeśli mają być moją strażą, to muszą wypełniać moje rozkazy.

– Natychmiast – dodałam. – Muszę zobaczyć, co się dzieje, nim sytuacja wymknie się spod kontroli.

Tamar dała znać bratu i olbrzym stanął przed nami, z łatwością przepychając się przez tłum przy bramie. Ja zawsze byłam drobna. Upchnięta między Mala i bliźnięta, gdy ze wszystkich stron napierali podenerwowani żołnierze, nagle poczułam, że nie mam czym oddychać. Zdławiłam panikę i wyjrzałam między ludźmi na Nikołaja, który sprzeczał się z kimś przy bramie.

– Gdybyśmy chcieli rozmawiać z pachołkiem króla, to stalibyśmy u bram Wielkiego Pałacu – mówił ktoś zniecierpliwiony. – Przyszliśmy tu do Przywoływaczki Słońca.

– Okaż trochę szacunku, rzeźniku – warknął żołnierz, którego nie poznałam. – Zwracasz się do księcia Ravki i oficera Pierwszej Armii.

Sytuacja wyglądała źle. Ostrożnie przepchnęłam się przed tłum, ale przystanęłam, kiedy rozpoznałam somatyka, który stał za bramą.

– Fedyor?

Na jego pociągłą twarz wypłynął uśmiech. Somatyk ukłonił się nisko.

– Alina Starkov. Miałem nadzieję, że plotki są prawdziwe.

Przyjrzałam się nieufnie Fedyorowi. Otaczała go grupa griszów w zakurzonych *keftach*, głównie somatyków w czerwonych szatach, paru eteryków w niebieskich i garstka materialników w fioletach.

– Znasz go? – zapytał Nikołaj.

– Tak. Uratował mi życie.

Fedyor osłonił mnie kiedyś własnym ciałem przed gromadą fjerdańskich zabójców.

Ukłonił się znowu.

– To był dla mnie zaszczyt.

Nikołaj nie był pod wrażeniem.

– Można mu ufać?

– To dezerter – odezwał się stojący obok Nikołaja żołnierz.

Po obu stronach rozległy się niechętne pomruki.

Nikołaj wskazał Tolyę.

– Odsuń wszystkich i dopilnuj, żeby żadnemu z tych służących nie przyszło do głowy zacząć strzelać. Podejrzewam, że brakuje im rozrywek wśród drzewek owocowych. – Odwrócił się do bramy. – Fedyor, zgadza się? Daj nam chwilę. – Odciągnął mnie kawałek od ciżby i zapytał cicho: – No więc? Można mu ufać?

– Nie wiem.

Ostatni raz widziałam Fedyora na przyjęciu w Wielkim Pałacu, na kilka godzin przed tym, jak poznałam plany Zmrocza i uciekłam, ukrywając się na tyłach wozu. Zastanawiałam się gorączkowo, próbując przypomnieć sobie, co mi wtedy powiedział.

– Myślę, że stacjonował przy południowej granicy. Był wysoko postawionym ciałobójcą, ale nie ulubieńcem Zmrocza.

– Nevski ma rację – powiedział, ruchem głowy wskazując gniewnego żołnierza. – Bez względu na to, czy są griszami, czy nie, przede wszystkim powinni być wierni królowi. Opuścili swoje posterunki, czyli na dobrą sprawę są dezerterami.

– To nie znaczy, że są zdrajcami.

– Prawdziwe pytanie brzmi: czy są szpiegami?

– To co z nimi zrobimy?

– Możemy ich aresztować, a potem przesłuchać.

Bawiłam się rękawem, myśląc.

– Mów, co myślisz – powiedział Nikołaj.

– Czy nie chcemy, żeby griszowie wrócili? – zapytałam. – Jeśli będziemy aresztować wszystkich, którzy wrócą, nie będę miała praktycznie kim dowodzić.

– Pamiętaj: będziesz z nimi jeść, pracować, spać pod jednym dachem.

– A oni wszyscy mogą współpracować ze Zmroczem. – Obejrzałam się przez ramię na Fedyora, który czekał cierpliwie przy bramie. – Co myślisz?

– Nie sądzę, żeby byli bardziej lub mniej godni zaufania od tych, którzy czekają w Małym Pałacu.

– To marna zachęta.

– Kiedy już znajdziemy się za murami, wszelki przepływ informacji będzie bacznie kontrolowany. Trudno dostrzec, jaką korzyść miałby Zmrocz ze szpiegów, nie mogąc się z nimi skontaktować.

Powstrzymałam się przed dotknięciem blizn na ramieniu. Nabrałam powietrza.

– W porządku – powiedziałam. – Otwórz bramę. Porozmawiam z Fedyorem i tylko z nim. Reszta może obozować

poza posiadłością i dołączyć do nas jutro, gdy pojedziemy do Os Alty.

– Jesteś pewna?

– Wątpię, czy jeszcze kiedykolwiek będę czegoś pewna, ale moja armia potrzebuje żołnierzy.

– Doskonale – powiedział Nikołaj i skinął głową. – Uważaj tylko, komu ufasz.

Rzuciłam mu znaczące spojrzenie.

– Nie omieszkam.



Rozmawialiśmy z Fedyorem do późnej nocy, chociaż ani przez chwilę nie zostaliśmy sami. Mal, Tolya albo Tamar zawsze nam towarzyszyli i pilnowali mojego bezpieczeństwa.

Fedyor służył w okolicy Sikurska przy południowo-wschodniej granicy. Kiedy wieści o zniszczeniu Novokribirska dotarły do ich posterunku, żołnierze króla zwrócili się przeciwko griszom, powyciągali ich z łóżek w środku nocy i urządzili parodię sądu, mającą na celu ustalenie, komu griszowie są wierni. Fedyor im pomógł w zorganizowaniu ucieczki.

– Mogliśmy ich wszystkich pozabijać – powiedział – ale zabraliśmy tylko naszych rannych i uciekliśmy.

Niektórzy griszowie nie byli tak skłonni do przebaczenia. Doszło do masakr w Czernaście i Ulensku, kiedy żołnierze spróbowali zaatakować członków Drugiej Armii. W tym czasie

my z Malem byliśmy na pokładzie *Verrhadera* i płynęliśmy na zachód, z dala od chaosu, który pomogliśmy rozpętać.

– Kilka tygodni temu zaczęły krążyć opowieści o twoim powrocie do Ravki. Możesz spodziewać się, że będzie cię szukać więcej griszów.

– Ilu?

– Nie sposób orzec.

Tak jak Nikołaj, Fedyor wierzył, że część griszów się ukryła i czeka na powrót porządku. Podejrzewał jednak, że większość z nich będzie szukać Zmrocza.

– Zmrocz to siła – powiedział. – To bezpieczeństwo. To coś, co oni rozumieją.

A może po prostu myślą, że opowiadają się po stronie przyszłego zwycięzcy, pomyślałam ponuro. Wiedziałam jednak, że chodzi o coś więcej. Czułam przyciąganie władzy Zmrocza. Czy to nie dlatego pielgrzymi garnęli się do fałszywej świętej? Czy nie dlatego Pierwsza Armia nadal maszerowała dla niekompetentnego króla? Czasem łatwiej jest po prostu komuś służyć.

Kiedy Fedyor skończył opowieść, poprosiłam, by przyniesiono mu kolację, i uprzedziłam, żeby był gotowy wyruszyć w podróż do Os Alty o świcie.

– Nie wiem, jakiego powitania możemy się spodziewać – uprzedziłam go.

– Będziemy gotowi, *moi sovereny*i – powiedział i się ukłonił.

Zamarłam, słysząc ten tytuł. Dla mnie nadal należał do Zmrocza.

– Fedyorze... – zaczęłam, odprowadzając go do drzwi. Zawahałam się. Nie mogłam uwierzyć w to, co zaraz powiem, ale najwyraźniej Nikołaj przebił się z czymś do mnie, bez względu na to, czy to dobrze, czy źle. – Zdaję sobie sprawę, że odbyłeś daleką podróż, ale doprowadź się trochę do porządku

przed jutrzejszym dniem. To ważne, żebyśmy zrobili dobre wrażenie.

Nawet nie mrugnął powieką, tylko ukłonił się ponownie i odpowiedział:

– *Da, sovereny*i. – I zniknął w mrokach nocy.

Świetnie, pomyślałam. Jeden rozkaz wydany, zostało mi jeszcze parę tysięcy innych.

* * *

Następnego ranka ubrałam się w swoją ozdobną *keftę* i zeszłam po schodach daczy eskortowana przez Mala i bliźnięta. Złote słońca błyszczały na ich piersiach, ale nadal nosili chłopskie stroje z samodziału. Nikołajowi mogło się to nie podobać, ale chciałam zatrzeć granice, jakimi oddzielono griszów od reszty ravkańskiego ludu.

Chociaż uprzedzono nas, że w Os Alcie jest pełno uchodźców i pielgrzymów, ten jeden raz Nikołaj nie upierał się, żebym jechała powozem. Chciał, żeby mnie widziano, jak wjeżdżam do miasta. To nie znaczyło jednak, że odpuści sobie widowisko. Mnie i moją straż usadzono na pięknych białych koniach, a ludzie z jego pułku otoczyli nas z obu stron. Każdy trzymał dwugłowego ravkańskiego orła i flagi ze złotym słońcem.

– Subtelny jak zawsze – westchnęłam.

– Subtelność jest przereklamowana – odpowiedział, wsiadając na swojego jabłkowitego rumaka. – No dobrze, zajrzymy teraz do uroczego domku z mojego dzieciństwa?

Poranek był ciepły, chorągwie naszej procesji zwieszały się w nieruchomym powietrzu, kiedy powoli jechaliśmy Vy w stronę stolicy. Zwykle królewska rodzina spędzała gorące miesiące w letnim pałacu nad jeziorami, jednak Os Alta była

łatwiejsza do obrony, i tym razem postanowili schować się za słynnymi podwójnymi murami stolicy.

Błądziłam myślami podczas jazdy. Niewiele spałam i mimo podenerwowania ciepło poranka połączone z rytmicznym kołysaniem w siodle oraz basowym brzęczeniem owadów sprawiło, że broda zaczęła mi opadać na pierś. Kiedy jednak wspięliśmy się na wzgórze w okolicy miasta, szybko się obudziłam.

W oddali widziałam Os Altę, Miasto Marzeń o białych iglicach odcinających się od bezchmurnego nieba. Jednakże między nami a stolicą stały szeregi mężczyzn w idealnym bojowym szyku. Setki żołnierzy Pierwszej Armii, może tysiące – piechota, kawaleria, oficerowie i szeregowcy. Słońce odbijało się od rękojeści ich szabli, a plecy jeżyły się od karabinów.

Wyjechał przed nich mężczyzna. Miał na sobie obwieszony medalami płaszcz oficera i siedział na największym koniu, jakiego w życiu widziałam. Zmieściłoby się na nim dwóch Tolyów.

Nikołaj patrzył, jak jeździec galopuje w tę i z powrotem przed szeregami. Westchnął.

– No, wygląda na to, że mój brat wyszedł nas przywitać.

Zjechaliśmy wolno po stoku, aż zatrzymaliśmy się przed zebranymi ludźmi. Mimo siwych koni i lśniących chorągwi nasza procesja marnotrawnych griszów i obszarpanych pielgrzymów nie prezentowała się już tak wspaniale. Nikołaj popędził konia, a brat wyjechał mu galopem na spotkanie.

Widziałam Vasilija Lancova kilka razy w Os Alcie. Był względnie przystojny, chociaż pech chciał, że odziedziczył po ojcu słabo zaznaczony podbródek, a powieki tak mocno mu opadały, że zawsze sprawiał wrażenie bardzo znudzonego albo lekko podpitego. Teraz jednak wyglądał, jakby zdołał wyrwać się z wiecznego odrętwienia. Siedział prosto w siodle,

promieniejąc arogancją i szlachetnym urodzeniem. Obok niego Nikołaj prezentował się straszliwie młodo.

Ogarnął mnie strach. Nikołaj zawsze sprawiał wrażenie, że panuje nad sytuacją. Łatwo można było zapomnieć, że jest raptem kilka lat starszy ode mnie i Mala, że to młodzieńczy kapitan, który ma nadzieję zostać królem.

Minęło siedem lat, odkąd Nikołaj był na dworze, i wątpiłam, żeby przez ten czas widział się z bratem. Jednak nie polały się łzy, żaden nie wykrzyknął słów powitania. Książęta po prostu zsiedli z koni i objęli się krótko. Vasilij przyjrzał się naszej świcie i zatrzymał znacząco wzrok na mnie.

– Zatem to ta dziewczyna, o której twierdzisz, że jest Przywoływaczką Słońca?

Nikołaj uniósł brwi. Brat nie mógł mu zapewnić lepszego początku.

– Łatwo dowieść, że mówię prawdę.

Skinął do mnie głową.

„Subtelność jest przereklamowana”.

Uniosłam ręce i przywołałam oślepiającą falę światła, która uderzyła w zebranych żołnierzy kaskadą skłębionego żaru. Unieśli ręce, a paru się cofnęło, kiedy konie spłoszyły się i zarżały. Pozwoliłam, żeby światło osłabło. Vasilij pociągnął nosem.

– Widzę, że nie próżnowałeś, braciszku.

– Nawet nie masz pojęcia, Vasia – odpowiedział uprzejmie Nikołaj. Vasilij ściągnął usta, słysząc, jak brat zwrócił się do niego zdrobnieniem. Robił wrażenie afektowanego. – Dziwi mnie, że zastałem cię w Os Alcie. Myślałem, że będziesz w Carievie ze względu na wyścigi.

– Byłem. Mój deresz wspaniale się spisał. Ale usłyszałem, że wracasz do domu, i chciałem cię przywitać.

– To miłe, że zadałeś sobie tyle trudu.

– Powrót księcia to nie byle co. Nawet jeśli to tylko młodszy syn.

Vasilij wyraźnie umiejscowił akcent w zdaniu, a mnie ogarnął strach. Może Nikołaj nie doceniał zainteresowania Vasilija swoim miejscem w sukcesji. Nie chciałam nawet sobie wyobrażać, co jego inne pomyłki i błędne oceny mogą dla nas znaczyć.

Jednakże Nikołaj tylko się uśmiechnął. Przypomniałam sobie jego radę: „Odpowiadaj na obelgi śmiechem".

– My, młodsi synowie, uczymy się doceniać wszystko, co dostajemy – powiedział, a potem zawołał do żołnierza stojącego na baczność kawałek dalej w szeregu: – Sierżancie Peczkin, pamiętam pana z kampanii halmhendzkiej. Noga musiała się panu dobrze zagoić, skoro jest pan w stanie stać nieruchomo jak głaz.

Na twarzy sierżanta odmalowało się zaskoczenie.

– *Da*, mój carewiczu – odpowiedział z szacunkiem.

– Wystarczy „panie majorze", sierżancie. Jestem oficerem, kiedy noszę ten mundur, nie księciem.

Usta Vasilija znowu drgnęły. Tak jak wielu szlachetnie urodzonych synów, otrzymał honorowy patent oficerski i odbył służbę wojskową w wygodnych oficerskich namiotach, z dala od frontu. A Nikołaj służył w piechocie. Zapracował na swoje medale i stopień.

– Tak, panie majorze – odpowiedział sierżant. – Dokucza mi tylko w deszczową pogodę.

– W takim razie wyobrażam sobie, że Fjerdanie modlą się codziennie o burze. Skróciłeś męki wielu z nich, o ile dobrze pamiętam.

– Mam wrażenie, że to samo pamiętam w pańskim przypadku, panie majorze – odpowiedział żołnierz, uśmiechając się od ucha do ucha.

Prawie się roześmiałam. Podczas tej krótkiej rozmowy Nikołaj odebrał bratu rząd dusz w armii. Dziś wieczór, kiedy żołnierze zbiorą się w karczmach Os Alty albo będą grali w karty w koszarach, oto o czym będą mówić: o księciu, który pamiętał imię prostego żołnierza, księciu, który walczył ramię w ramię z nimi, nie przejmując się swoim urodzeniem i bogactwem.

– Bracie – powiedział Nikołaj do Vasilija – jedźmy do pałacu, żeby już mieć z głowy te powitania. Mam skrzynkę kercheńskiej whisky, którą trzeba wypić, i chciałbym poradzić się ciebie w kwestii źrebaka, którego wypatrzyłem w Ketterdamie. Mówią mi, że Dagrenner jest jego ojcem, ale mam wątpliwości.

Vasilij próbował ukryć zaciekawienie, ale zupełnie nie był w stanie oprzeć się pokusie.

– Dagrenner? Mają dokumenty?

– Chodźmy je przejrzeć.

Chociaż jego twarz nadal wyrażała nieufność, Vasilij rzucił kilka słów oficerom i z wielką wprawą wskoczył na siodło. Bracia pojechali na przedzie kolumny i nasza procesja ruszyła znowu.

– Doskonale rozegrane – mruknął Mal, kiedy jechaliśmy między szeregami żołnierzy. – Nikołaj nie jest głupcem.

– Mam nadzieję. Przez wzgląd na nas wszystkich.

Kiedy zbliżyliśmy się do stolicy, zobaczyłam, o czym mówili goście hrabiego Minkoffa. Miasto namiotów wyrosło pod murami, długi rząd ludzi czekał przy bramie. Kilkoro sprzeczało się ze strażnikami, bez wątpienia domagali się wpuszczenia. Uzbrojeni żołnierze strzegli starych murów – rozsądne zabezpieczenie w kraju, który prowadzi wojnę, i śmiercionośne ostrzeżenie dla ludzi w dole, żeby przestrzegali ustalonego porządku.

Oczywiście miejska brama otworzyła się dla książąt Ravki i procesja przeszła przez tłum bez przystanków.

Wiele namiotów i wozów było oznaczonych prostymi rysunkami słońca, a kiedy jechaliśmy przez prowizoryczny obóz, słyszałam teraz już znajome okrzyki „Sankta Alina".

Czułam się głupio, ale zmusiłam się do uniesienia ręki i machania; postanowiłam sobie, że chociaż tyle zrobię. Pielgrzymi wiwatowali i machali do mnie, wielu biegło, żeby dotrzymać nam kroku. Jednak niektórzy uchodźcy stali w milczeniu wzdłuż drogi ze skrzyżowanymi na piersi rękami i sceptycznymi, jeśli nie otwarcie wrogimi twarzami.

Co oni widzą? – zastanawiałam się. Kolejną uprzywilejowaną griszę, która jedzie do swojego bezpiecznego, luksusowego pałacu na wzgórzu, podczas gdy oni gotują na ogniskach i śpią w cieniu miasta, które odmawia im udzielenia azylu? Czy kogoś gorszego? Kłamcę? Oszustkę? Dziewczynę, która ośmiela się pozować na żywą świętą?

Ucieszyłam się, kiedy znaleźliśmy się bezpiecznie za miejskimi murami.

Wewnątrz nich procesja zwolniła. Dolne miasto pękało w szwach od ludzi, którzy wysypali się na ulice i blokowali ruch. Wystawy sklepowe były pozalepianie ogłoszeniami o dostępnych towarach, długie kolejki ciągnęły się przed wszystkimi drzwiami. Wszędzie zalegał smród uryny i śmieci. Chciałam schować nos w rękawie, ale musiałam zadowolić się oddychaniem przez usta.

Tłum wiwatował i gapił się na mnie, ale tutaj ludzie byli zdecydowanie bardziej opanowani od tych poza murami.

– Nie ma pielgrzymów – zauważyłam.

– Nie wolno im wchodzić do miasta – powiedziała Tamar. – Król ogłosił Apparata apostatą i zakazał wstępu do Os Alty jego zwolennikom.

Apparat spiskował ze Zmroczem przeciwko władcy. Nawet jeśli od tamtego czasu zerwali współpracę, to król nie miał powodu ufać kapłanowi i stworzonemu przez niego kultowi.

Ani tobie, skoro już o tym mowa, powiedziałam do siebie w myślach. Ty jesteś po prostu na tyle głupia, żeby wejść do Wielkiego Pałacu i liczyć na jego łaskawość.

Przekroczyliśmy szeroki kanał i zostawiliśmy za sobą hałas i tumult dolnego miasta. Zauważyłam, że wartownia na moście została wzmocniona, a kiedy dotarliśmy do drugiego brzegu, miałam wrażenie, że w tej części miasta nic się nie zmieniło. Szerokie bulwary wyglądały nieskazitelnie i spokojnie, okazałe domy były jak zawsze zadbane. Minęliśmy park, gdzie modnie odziani mężczyźni i kobiety spacerowali po wypielęgnowanych ścieżkach albo zażywali świeżego powietrza w otwartych powozach. Dzieci bawiły się w *babki*, pilnowane przez nianie, chłopiec w słomkowym kapeluszu jeździł na kucyku ze wstążkami wplecionymi w grzywę, którego wodze trzymał służący w liberii.

Wszyscy odwracali się, gdy przejeżdżaliśmy, unosili kapelusze, szeptali, osłaniając dłońmi usta, kłaniali się i dygali na widok Vasilija i Nikołaja. Naprawdę byli tak spokojni i wolni od trosk, jak na to wyglądali? Trudno było uwierzyć, że mogą nie zdawać sobie sprawy z zagrożenia wiszącego nad Ravką ani z wrzawy po drugiej stronie mostu, ale jeszcze trudniej było mi uwierzyć, że ufają, iż król zapewni im bezpieczeństwo.

Prędzej, niżbym chciała, dotarliśmy do złotej bramy prowadzącej do Wielkiego Pałacu. Dźwięk towarzyszący jej zamknięciu sprawił, że ogarnęła mnie nagła panika. Kiedy ostatni raz przejeżdżałam przez tę bramę, ukrywałam się między fragmentami scenografii na wozie, uciekałam samotnie przed Zmroczem.

A jeśli to pułapka? – pomyślałam nagle. A jeśli nie będzie przebaczenia? A jeżeli Nikołaj nigdy tak naprawdę nie zamierzał oddać mi dowodzenia nad Drugą Armią? Co zrobię, jeżeli zakuje mnie i Mala w łańcuchy, a potem wrzuci do wilgotnej celi?

Przestań, zbeształam się w myślach. Nie jesteś już przestraszoną dziewczynką, która trzęsie się w swoich wojskowych butach. Jesteś griszą, Przywoływaczką Słońca. Potrzebują cię. I mogłabyś zwalić im cały ten pałac na głowy, gdybyś zechciała.

Wyprostowałam się i spróbowałam uspokoić serce.

Kiedy dotarliśmy do fontanny z dwugłowym orłem, Tolya pomógł mi zsiąść z konia. Zerknęłam na Wielki Pałac spod zmrużonych powiek. Jego lśniące białe tarasy były zawalone kolejnymi warstwami złotych ozdób i posągów. Był równie brzydki i onieśmielający, jak to zapamiętałam.

Vasilij podał wodze swojego rumaka czekającemu służącemu i ruszył ku marmurowym schodom, ani razu się nie oglądając.

Nikołaj wyprostował plecy.

– Milczcie i starajcie się robić wrażenie skruszonych – mruknął do nas.

A potem ruszył schodami za bratem.

Mal był blady. Otarłam lepkie od potu dłonie o *keftę* i ruszyłam za książętami, zostawiając za sobą pozostałych.

W korytarzach pałacowych panowała cisza, gdy szliśmy przez kolejne błyszczące sale. Nasze kroki niosły się echem po wypolerowanym parkiecie, a mój niepokój rósł z każdą chwilą. Dostrzegłam, że przy drzwiach do sali tronowej Nikołaj bierze głęboki wdech. Jego mundur prezentował się nieskazitelnie, a przystojna twarz wyglądała jak twarz księcia z bajki. Nagle zatęskniłam za kartoflowatym nosem Sturmhonda i jego mętnozielonymi oczami.

Drzwi otwarto na oścież i lokaj oznajmił:

– Carewicz Vasilij Lancov i wielki książę Nikołaj Lancov.

Nikołaj uprzedził nas, że nie zostaniemy zaanonsowani, ale powinniśmy wejść za nim i Vasilijem. Z wahaniem zrobiliśmy tak, zachowując pełen szacunku dystans.

Długi bladoniebieski dywan ciągnął się przez salę. Na jego końcu grupa elegancko ubranych dworzan i doradców kręciła się wokół podwyższenia. Nad nimi siedzieli król i królowa Ravki na podobnych złotych tronach.

Nie ma kapłana, zauważyłam, gdy się zbliżyliśmy. Apparat zawsze czaił się gdzieś za królem, ale teraz rzucał się w oczy jego brak. I najwyraźniej nie zastąpił go żaden innych duchowy doradca.

Król wyglądał bardziej krucho i słabo niż wówczas, gdy ostatni raz go widziałam. Jego wąska pierś jakby zapadła się w sobie, zwisające wąsy przetykała siwizna. Jednakże jeszcze większym zmianom uległa królowa. Bez Genyi, która formowałaby jej twarz, postarzała się o dwadzieścia lat w zaledwie kilka miesięcy. Jej skóra straciła kremową gładkość. Głębokie bruzdy zaczynały się formować wokół nosa i ust, a zbyt barwne tęczówki zbladły do bardziej naturalnego, ale i mniej olśniewającego błękitu. Może współczułabym jej, gdyby nie wspomnienie tego, w jaki sposób traktowała Genyę. Może gdyby okazywała swojej służącej odrobinę mniej pogardy, Genya nie czułaby się zmuszona związać swego losu ze Zmroczem. Tak wiele spraw mogłoby wyglądać inaczej.

Kiedy doszliśmy do podwyższenia, Nikołaj ukłonił się nisko.

– Mój carze – powiedział. – Moja caryco.

Przez długą niepokojącą chwilę król i królowa patrzyli na syna. A potem coś kruchego pękło w królowej. Zerwała się z tronu i zbiegła po schodach jak lawina jedwabiu i pereł.

– Nikołaj! – krzyknęła i objęła syna.

– *Madraja* – odpowiedział z uśmiechem i też ją objął.

Wśród obserwujących to dworzan rozległy się pomruki i nieśmiałe oklaski. Po policzkach królowej płynęły łzy. Pierwszy raz widziałam, żeby okazała jakieś prawdziwe uczucia.

Król wstał powoli, pomagał mu lokaj, który podbiegł do niego i sprowadził go z podwyższenia. Król naprawdę źle się miewał. Zaczęłam widzieć, że kwestia sukcesji może być bardziej nagląca, niż myślałam.

– Chodź, Nikołaju – powiedział, wyciągając rękę do syna. – Chodź.

Nikołaj podsunął ojcu łokieć, a matka trzymała go za drugą rękę, i nie zwracając na nas najmniejszej uwagi, wyszli z sali tronowej. Vasilij poszedł za nimi. Twarz miał beznamiętną, ale nie przegapiłam znaczącego ściągnięcia ust.

Mal i ja staliśmy w sali, nie bardzo wiedząc, co teraz. To wszystko bardzo miłe – rodzina królewska wyszła, żeby mieć trochę prywatności podczas powitań – ale co my mieliśmy zrobić? Nie odprawiono nas, ale i nie kazano nam zostać. Doradcy króla przyglądali nam się z nieskrywaną ciekawością, podczas gdy dworzanie chichotali i szeptali. Powstrzymałam się od nerwowego wiercenia i dumnie unosiłam głowę, mając nadzieję, że prezentuję się wyniośle.

Minuty się przeciągały. Byłam głodna, zmęczona i przekonana, że zdrętwiała mi jedna stopa, ale staliśmy i czekaliśmy. W pewnej chwili wydało mi się, że słyszę krzyki dobiegające z korytarza. Może kłócili się, jak długo każą nam tak stać.

Wreszcie po prawie godzinie rodzina królewska wróciła. Król promieniał. Twarz królowej pobladła. Vasilij wyglądał na sinego z wściekłości. Jednak największa zmiana zaszła w Nikołaju. Sprawiał wrażenie spokojniejszego i odzyskał

zawadiacką pewność siebie, którą pamiętałam z czasów na pokładzie *Wołka Wołny*.

Wiedzą, zdałam sobie sprawę. Powiedział im, że jest Sturmhondem.

Król i królowa usiedli z powrotem na tronach. Vasilij stanął za królem, a Nikołaj zajął swoje miejsce przy królowej. Podniosła rękę, szukając jego dłoni. Położył ją na jej ramieniu. Tak wygląda matka ze swoim dzieckiem, pomyślałam. Byłam za duża, żeby tęsknić za rodzicami, których nigdy nie znałam, ale i tak wzruszył mnie ten gest.

Moje sentymentalne myśli rozpierzchły się, kiedy król powiedział:

– Jesteś bardzo młoda jak na dowódcę Drugiej Armii.

Nawet mnie nie powitał. Pochyliłam głowę.

– Tak, mój carze.

– Kusi mnie, żeby natychmiast skazać cię na śmierć, ale syn mówi mi, że to jedynie uczyni z ciebie męczennicę.

Zamarłam. Apparat byłby zachwycony, pomyślałam, gdy ogarnął mnie strach. Jeszcze jedna wesoła ilustracja do czerwonej książki: Sankta Alina na Szubienicy.

– Uważa, że można ci zaufać – mówił drżącym głosem król. – Nie jestem tego pewny. Twoja ucieczka przed Zmroczem sprawia wrażenie bardzo mało prawdopodobnej historyjki, ale nie mogę zaprzeczyć temu, że Ravka potrzebuje twoich usług.

W jego ustach zabrzmiało to tak, jakbym była dozorcą albo urzędnikiem powiatowym. Masz być skruszona, upomniałam się w myślach i powstrzymałam od sarkastycznej odpowiedzi.

– To będzie dla mnie największy zaszczyt, służyć ravkańskiemu królowi – powiedziałam.

Albo król uwielbiał pochlebstwa, albo Nikołaj nadzwyczajnie się spisał, stając w mojej obronie, bo monarcha mruknął i powiedział:

– Doskonale. Zostaniesz więc, przynajmniej tymczasowo, przywódcą griszów.

Czy to naprawdę mogło być takie proste?

– Dziękuję... Dziękuję, mój carze – wyjąkałam zdumiona i pełna wdzięczności.

– Wiedz tylko jedno – powiedział, grożąc mi palcem – jeśli znajdę jakiekolwiek dowody, że podburzasz do działań przeciwko mnie albo że masz jakikolwiek kontakt z apostatą, każę cię powiesić bez sądu i możliwości odwołania się. – Podniósł głos do płaczliwego zawodzenia. – Ludzie mówią, że jesteś święta, ale dla mnie jesteś jeszcze jednym uchodźcą w łachmanach, rozumiesz?

Jeszcze jednym uchodźcą w łachmanach i twoją największą szansą na utrzymanie tego błyszczącego tronu, pomyślałam zaskoczona własnym gniewem, ale przełknęłam dumę i ukłoniłam się najniżej, jak zdołałam. Czy tak właśnie czuł się Zmrocz? Zmuszony do kłaniania się i korzenia przed rozpustnym głupcem?

Król wykonał niewyraźny gest pokrytą niebieskimi żyłkami ręką. Zostaliśmy odprawieni. Zerknęłam na Mala.

Nikołaj odchrząknął.

– Ojcze, jest jeszcze sprawa tropiciela.

– Hmm? – mruknął król, podnosząc wzrok, jakby już się zdrzemnął. – Że co... Ach, tak. – Skierował kaprawe spojrzenie na Mala i orzekł znudzonym tonem: – Opuściłeś posterunek i złamałeś rozkazy oficera dowodzącego. Karą za to jest powieszenie.

Zaparło mi dech w piersi. Stojący obok mnie Mal całkowicie znieruchomiał. Brzydka myśl przyszła mi do głowy – jeśli Nikołaj chciał się pozbyć Mala, to z pewnością był to łatwy sposób.

Pomruk podniecenia rozległ się w tłumie wokół podwyższenia. W co ja nas wpakowałam? Otworzyłam usta, ale nim zdążyłam powiedzieć choć słowo, odezwał się Nikołaj:

– Mój carze – zaczął pokornie – wybacz mi, ale tropiciel pomógł Przywoływaczce Słońca uniknąć nieuchronnego pojmania przez wroga Korony.

– O ile kiedykolwiek groziło jej tak naprawdę jakieś niebezpieczeństwo.

– Osobiście widziałem, jak walczył ze Zmroczem. To zaufany przyjaciel i wierzę, że działał w najlepszym interesie Ravki. – Król odął dolną wargę, ale Nikołaj naciskał: – Czułbym się lepiej, wiedząc, że przebywa w Małym Pałacu.

Król zmarszczył brwi. Pewnie myśli o lunchu i drzemce, uznałam.

– Co masz nam do powiedzenia, chłopcze? – zapytał.

– Tylko tyle, że zrobiłem to, co uważałem za słuszne – odpowiedział spokojnie Mal.

– Mój syn uważa, że miałeś dobry powód.

– Pewnie każdy człowiek myśli, że ma dobry powód. Mimo wszystko dopuściłem się dezercji.

Nikołaj uniósł oczy do nieba, a ja musiałam się powstrzymać, by nie potrząsnąć Malem. Czy chociaż raz nie mógłby być odrobinę mniej nieustępliwy i prostolinijny?

Król jeszcze bardziej zmarszczył czoło. Czekaliśmy.

– Dobrze więc – orzekł w końcu – co zmieni jeszcze jedna żmija w gnieździe? Zostaniesz zwolniony dyscyplinarnie.

– Dyscyplinarnie? – wypaliłam.

Mal ukłonił się i powiedział:

– Dziękuję, mój carze.

Król uniósł rękę i machnął nią leniwie.

– Odejdźcie – polecił z rozdrażnieniem.

Kusiło mnie, żeby zostać i zaprotestować, ale Nikołaj ostrzegawczo spiorunował mnie wzrokiem, a Mal już odwrócił się do wyjścia. Musiałam się pośpieszyć, żeby go dogonić, kiedy maszerował po niebieskim dywanie.

Kiedy tylko opuściliśmy salę tronową i drzwi zamknęły się za nami, powiedziałam:

– Porozmawiamy z Nikołajem, żeby poprosił króla o zmianę zdania.

Mal nawet nie zwolnił.

– To nie ma sensu. Wiedziałem, że tak to się skończy.

Powiedział to, ale widziałam po sposobie, w jaki się zgarbił, że pewna cząstka jego osoby miała jednak nadzieję na inne rozstrzygnięcie. Chciałam złapać go za rękę, zatrzymać, powiedzieć, że mi przykro, że znajdziemy sposób, żeby to wszystko naprawić, ale zamiast tego poszłam razem z nim, pośpiesznie, starając się nadążyć, boleśnie świadoma obecności lokajów, którzy obserwowali nas z każdego progu.

Wróciliśmy tymi samymi błyszczącymi korytarzami pałacu, a potem zeszliśmy po marmurowych schodach. Fedyor i jego griszowie czekali przy koniach. Ogarnęli się najlepiej, jak zdołali, ale ich barwne *kefty* nadal były nieco przybrudzone. Tamar i Tolya stali kawałek od nich, złote słońca, które im dałam, błyszczały na ich samodziałowych kurtkach. Wzięłam głęboki wdech. Nikołaj zrobił, co w jego mocy. Teraz przyszła moja kolej.



Kręta ścieżka wysypana białym żwirem prowadziła nas przez pałacowe tereny, biegła przez faliste trawniki, obok ogrodowych budowli, przez labirynt z wysokich żywopłotów. Tolya, zwykle nieruchomy i milczący, wiercił się w siodle z ponuro zaciśniętymi ustami.

– Coś nie tak? – zapytałam go.

Już myślałam, że nie odpowie, ale wtedy się odezwał:

– Pachnie tu słabością. To miejsce, gdzie ludzie miękną.

Zerknęłam na ogromnego wojownika.

– W porównaniu z tobą wszyscy wydają się miękcy.

Zwykle można było liczyć na Tamar, że zbędzie śmiechem humory brata, ale zaskoczyła mnie, mówiąc:

– On ma rację. To miejsce wygląda, jakby umierało.

Nie uspokajali mnie takimi słowami. Po audiencji w sali tronowej nadal byłam roztrzęsiona i nieco zaskoczona własnym

gniewem wobec króla, chociaż wszyscy święci wiedzieli, że sobie na niego zasłużył. Był obrzydliwym, starym zbereźnikiem, który lubił zapędzać w kozi róg służące, że już nie wspomnę o tym, że był beznadziejnym przywódcą i w ciągu kilku minut zagroził karą śmierci mnie, a potem Malowi. Już sama myśl o tym budziła we mnie urazę.

Serce zabiło mi szybciej, gdy weszliśmy do przejścia pod drzewami, które napierały na nas z obu stron i których konary splatały się nad nami, tworząc zielony baldachim.

Kiedy ostatnim razem je widziałam, były nagie.

Wyjechaliśmy na jasne słońce. Poniżej nas znajdował się Mały Pałac.

Tęskniłam za nim, zdałam sobie sprawę. Tęskniłam za blaskiem jego złotych kopuł, dziwnymi ścianami z płaskorzeźbami przedstawiającymi wszelkiego rodzaju zwierzęta, prawdziwe i wyimaginowane. Tęskniłam za niebieskim jeziorem migoczącym jak kawałek nieba, za wysepką prawie na samym jego środku, za białymi punktami pawilonów Przywoływaczy na jego brzegu. To było miejsce jedyne w swoim rodzaju. Zdumiało mnie odkrycie, w jakim stopniu stało się dla mnie domem.

Jednakże niektóre rzeczy się zmieniły. Uzbrojeni w karabiny żołnierze Pierwszej Armii stacjonowali na terenach wokół pałacu. Wątpiłam, żeby dali sobie radę ze zdeterminowanymi ciałobójcami, szkwalnikami czy piekielnikami, ale przekaz był jasny: griszom nie można ufać.

Grupa ubranych na szaro służących czekała na schodach, żeby zabrać nasze konie.

– Gotowa? – szepnął Mal i pomógł mi zejść z konia.

– Chciałabym, żeby ludzie przestali mnie o to pytać. Czy wyglądam na gotową?

– Wyglądasz tak, jak wtedy, kiedy wrzuciłem ci kijankę do zupy, a ty przypadkiem ją połknęłaś.

Powstrzymałam śmiech i poczułam, że część niepokoju uszła ze mnie.

– Dzięki za przypomnienie – powiedziałam. – Chyba nigdy ci za to nie odpłaciłam.

Przystanęłam, żeby wygładzić fałdy *kefty*. Nie śpieszyłam się, mając nadzieję, że nogi przestaną mi drżeć. Potem weszłam po schodach, a pozostali poszli za mną. Służący otworzyli drzwi na oścież i weszliśmy do środka, przez zimny, ciemny przedpokój do sali pod złotą kopułą.

To był ogromny sześciokąt o proporcjach godnych katedry. Rzeźbione ściany ozdobiono macicą perłową, a całość zwieńczała złota kopuła, która, jak się zdawało, wnosiła się nad nami niemożliwie wysoko. Stały tam cztery stoły, tworzące kwadrat pośrodku sali, i tam właśnie czekali griszowie. Chociaż ich liczba zmalała, nadal trzymali się swoich zakonów; siedzieli lub stali zbici w ciasne grupki czerwieni, fioletu i błękitu.

– Naprawdę lubią swoje śliczne kolorki – warknął Tolya.

– Nie podsuwaj mi pomysłów – szepnęłam – bo może postanowię, że moja straż przyboczna powinna nosić jaskrawożółte pantalony.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam na jego twarzy coś bardzo podobnego do strachu.

Weszliśmy dalej i większość griszów wstała. To byli młodzi ludzie i z pewnym niepokojem zdałam sobie sprawę, że wielu starszych i bardziej doświadczonych griszów wolało przejść na stronę Zmrocza. A może po prostu byli dość mądrzy, żeby uciec.

Spodziewałam się, że niewielu somatyków pozostanie. Stali najwyżej w hierarchii griszów i byli najcenniejszymi wojownikami, znajdowali się najbliżej Zmrocza.

Wypatrzyłam kilka znajomych twarzy. Sergiej był jednym z nielicznych ciałobójców, którzy postanowili zostać. Marie i Nadia stały z eterykami. Zdziwiłam się, widząc Davida zgarbionego na krześle przy stole materialników. Wiedziałam, że miał wątpliwości co do Zmrocza, ale to go nie powstrzymało przed zamknięciem na mojej szyi obroży z poroża jelenia. Może dlatego właśnie nie spojrzał na mnie. A może po prostu śpieszył się, żeby wrócić do swojej pracowni.

Usunięto hebanowe krzesło Zmrocza. Jego stół stał pusty.

Sergiej pierwszy wystąpił naprzód.

– Alino Starkov – powiedział oschle – z przyjemnością witam cię ponownie w Małym Pałacu.

Zauważyłam, że się nie ukłonił.

Napięcie wzrosło i pulsowało w sali jak żywe stworzenie. Jakaś cząstka mnie pragnęła je roztrzaskać. To byłoby takie łatwe. Mogłabym uśmiechnąć się, roześmiać, objąć Marie i Nadię. Chociaż nigdy tak naprawdę nie odnalazłam się w tym miejscu, mogłabym to odegrać. To byłaby prawdziwa ulga, gdybym zaczęła udawać, że znowu jestem jedną z nich. Przypomniałam sobie jednak przestrogi Nikołaja i powstrzymałam się.

„Słabość to maska”.

– Dziękuję ci, Sergieju – powiedziałam, celowo siląc się na oficjalny ton. – Cieszę się, że tu jestem.

– Krążyły plotki na temat twego powrotu – odparł – ale równie wiele na temat twojej śmierci.

– Jak widzisz, żyję i mam się tak dobrze, jak to tylko możliwe po kilku tygodniach podróży Vy.

– Mówi się, że przybyłaś w towarzystwie drugiego syna króla – powiedział Sergiej.

Oto ono. Pierwsze wyzwanie.

– Zgadza się – odpowiedziałam uprzejmie. – Pomógł mi w czasie walki ze Zmroczem.

To wywołało poruszenie w sali.

– W Fałdzie? – zapytał wyraźnie skonsternowany Sergiej.

– Na Morzu Prawdziwym – wyjaśniłam.

W tłumie rozległy się pomruki. Uniosłam rękę i ku mojej uldze wszyscy ucichli.

„Spraw, żeby wypełnili drobne rozkazy, a wypełnią także te poważne”.

– Mam wiele historii do opowiedzenia i wiele informacji do przekazania, ale to może zaczekać. Wróciłam do Os Alty w konkretnym celu.

– Ludzie mówią o ślubie.

Nikołaj byłby zachwycony.

– Nie wróciłam tu, żeby zostać panną młodą, tylko w zupełnie innym celu.

To nie była cała prawda, ale nie zamierzałam dyskutować o trzecim amplifikatorze w sali pełnej griszów, w których lojalność należało powątpiewać. Odetchnęłam. Nadeszła właściwa chwila.

– Wróciłam, żeby przejąć dowodzenie nad Drugą Armią.

Wszyscy zaczęli mówić naraz. Rozległo się kilka wiwatów, parę gniewnych okrzyków. Widziałam, że Sergiej i Marie wymienili spojrzenia. Kiedy w sali ucichło, Sergiej powiedział:

– Tego się spodziewaliśmy.

– Król wyraził zgodę.

Tymczasowo, pomyślałam, ale tego nie powiedziałam.

Nadeszła kolejna fala wiwatów i gwaru.

Sergiej odchrząknął.

– Alino, jesteś Przywoływaczką Słońca i cieszymy się z twojego bezpiecznego powrotu, ale nie masz kwalifikacji do prowadzenia wojskowej kampanii.

– Bez względu na swoje kwalifikacje otrzymałam błogosławieństwo króla.

– W takim razie zwrócimy się do niego. Somatycy zajmują najwyższą pozycję wśród griszów i powinni dowodzić Drugą Armią.

– Według ciebie, rzeźniku.

Kiedy tylko usłyszałam ten gładki jak jedwab głos, wiedziałam, do kogo należy, ale mimo to serce mi się zacisnęło, gdy dostrzegłam jej kruczoczarne włosy. Zoya wyszła przed tłum eteryków; jej smukła sylwetka była spowita w chabrowy letni jedwab, przy którym jej oczy jaśniały jak szafiry. Szafiry otoczone wyjątkowo długimi rzęsami.

To wymagało ode mnie całej siły, żeby nie odwrócić się i nie sprawdzić reakcji Mala. Zoya robiła wszystko, żeby uprzykrzyć mi życie w Małym Pałacu. Szydziła ze mnie, rozpowiadała na mój temat plotki, nawet złamała mi dwa żebra. Była jednak także dziewczyną, która zainteresowała Mala dawno temu w Kribirsku. Nie bardzo wiedziałam, co między nimi zaszło, ale wątpiłam, żeby chodziło tylko o ożywioną rozmowę.

– Mówię w imieniu eteryków – powiedziała Zoya. – Poprzemy Przywoływaczkę Słońca.

Z trudem ukryłam zaskoczenie. Była ostatnią osobą, której poparcia się spodziewałam. W co ona pogrywała?

– Nie wszyscy – wyrwała się słabo Marie.

Wiedziałam, że nie powinno mnie to zdziwić, mimo to zabolało.

Zoya zaśmiała się pogardliwie.

– Tak, wiemy, że popierasz Sergieja we wszystkich jego staraniach, ale to nie jest schadzka późną nocą przy bani. My tu mówimy o przyszłości griszów i całej Ravki.

Słowa Zoi wywołały śmiechy, a Marie zaczerwieniła się jak burak.

– Dość tego, Zoyu – warknął Sergiej.

Eteryk, którego nie poznałam, wystąpił naprzód. Miał ciemną skórę i słabo widoczną bliznę na lewym policzku. Nosił hafty piekielnika.

– Marie ma rację – powiedział. – Nie przemawiasz w imieniu nas wszystkich. Wolałbym widzieć eteryka na czele Drugiej Armii, ale to nie powinna być ona. – Wskazał mnie oskarżycielsko palcem. – Nawet się tu nie wychowała.

– Właśnie! – zawołał jakiś somatyk. – Jest griszą od niecałego roku!

– Griszą się rodzisz, a nie zostajesz – warknął Tolya.

No jasne, pomyślałam, wzdychając w duchu. Akurat w tej chwili musiał wyjść ze swojej skorupy.

– A ty kim jesteś? – zapytał Sergiej, ujawniając swoją naturalną arogancję.

Tolya położył rękę na szabli.

– Jestem Tolya Yul-Baatar. Wychowałem się z dala od tego trupiego pałacu i z radością udowodnię ci, że potrafię zatrzymać twoje serce.

– Jesteś griszą? – zapytał z niedowierzaniem Sergiej.

– W takim samym stopniu jak ty – powiedziała Tamar, a jej złote oczy rozbłysły.

– A co z tobą? – zapytał Mala Sergiej.

– Jestem zwykłym żołnierzem – odpowiedział Mal i stanął obok mnie. – Jej żołnierzem.

– Jak my wszyscy – dodał Fedyor. – Wróciliśmy do Os Alty, żeby służyć Przywoływaczce Słońca, a nie jakiemuś pozerowi.

Zerwał się kolejny somatyk.

– Jesteś jeszcze jednym tchórzem, który uciekł po upadku Zmrocza. Nie masz prawa przychodzić tu i nas obrażać.

– A co z nią?! – wykrzyknął jakiś szkwalnik. – Skąd mamy wiedzieć, że nie współpracuje ze Zmroczem? Pomogła mu

zniszczyć Novokribirsk.

– I dzieliła z nim łoże! – wykrzyknął ktoś jeszcze.

„Nigdy nie zniżaj się do zaprzeczania” – rozległ się głos Nikołaja w mojej głowie.

– Właściwie co cię łączy z Nikołajem Lancovem? – dopytywał się jakiś fabrykator.

– Co cię łączyło ze Zmroczem? – wyrwał się ktoś o przenikliwym głosie.

– A to ma jakieś znaczenie? – zapytałam zimno, ale czułam, że tracę panowanie nad sytuacją.

– Oczywiście, że tak – powiedział Sergiej. – Jak możemy być pewni twojej lojalności?

– Nie macie prawa jej przepytywać! – krzyknął któryś z przywoływaczy.

– Czemu? – wypalił uzdrowiciel. – Bo jest żywą świętą?

– Umieśćcie ją w kaplicy, gdzie jej miejsce! – wrzasnął ktoś inny. – Niech ona i jej motłoch wynoszą się z Małego Pałacu.

Tolya sięgnął po broń. Tamar i Sergiej unieśli ręce. Widziałam, jak Marie sięga po krzesiwo, i poczułam podmuch wiatru przywoływaczy unoszący rąbek mojej *kefty*. Myślałam, że jestem gotowa stawić im czoło, ale nie byłam przygotowana na powódź gniewu, która mnie zalała. Rana w ramieniu bolała i coś we mnie pękło, coś się uwolniło.

Spojrzałam na szyderczo uśmiechniętą twarz Sergieja i moc wezbrała we mnie, kierowana jasnym i bezwzględnym celem. Uniosłam rękę. Jeśli potrzebowali lekcji, to zaraz im takowej udzielę. Mogą się potem kłócić nad rozrzuconymi szczątkami Sergieja. Moja ręka zakreśliła łuk skierowany w stronę ciałobójcy. Światło było moją klingą zaostrzoną gniewem.

W ostatniej sekundzie odrobina zdrowego rozsądku przebiła się przez wrzącą mgiełkę mojej furii. Nie, pomyślałam z przerażeniem, kiedy zdałam sobie sprawę, co zamierzałam

zrobić. Mój spanikowany umysł zatoczył się. Skręciłam gwałtownie i skierowałam Cięcie wysoko.

Donośny trzask wstrząsnął salą. Griszowie krzyknęli i cofnęli się, tłocząc się pod ścianami.

Światło słoneczne wlało się przez poszarpaną szczelinę w górze. Roztrzaskałam złotą kopułę nad nami jak ogromne jajko.

W sali zaległa głęboka cisza, kiedy wszyscy griszowie spojrzeli na mnie z przerażeniem i niedowierzaniem. Przełknęłam ślinę zdumiona własnym uczynkiem, przerażona tym, czego o mało nie zrobiłam. Pomyślałam o radach Nikołaja i moje serce stwardniało. Nie mogą zobaczyć mojego strachu.

– Myślicie, że Zmrocz jest potężny? – powiedziałam zaskoczona lodową dźwięcznością własnego głosu. – Nie macie pojęcia, do czego jest zdolny. Tylko ja widziałam, co potrafi. Tylko ja stawiłam mu czoło i przeżyłam, żeby o tym opowiedzieć.

Własny głos brzmiał obco w moich uszach, ale czułam echo mocy wibrujące mi w ciele i nie wahałam się. Odwróciłam się powoli, patrząc w oczy wszystkim zdumionym griszom.

– Nie obchodzi mnie, czy uważacie mnie za świętą, idiotkę czy dziwkę Zmrocza. Jeśli chcecie pozostać w Małym Pałacu, będziecie mnie słuchać. Jeśli to się wam nie podoba, wynieście się przed wieczorem, bo każę was zakuć w łańcuchy. Jestem żołnierzem. Jestem Przywoływaczką Słońca. Jestem waszą jedyną szansą.

Przeszłam przez salę i z impetem otworzyłam drzwi do komnat Zmrocza, dziękując w duchu, że nie były zamknięte na klucz.

Poszłam na oślep korytarzem niepewna tego, dokąd zmierzam, ale pragnęłam oddalić się od sali pod kopułą, nim ktoś zauważy, że się trzęsę.

Przypadkiem trafiłam do sali narad. Mal wszedł za mną i nim zamknęłam drzwi, zobaczyłam, że Tolya i Tamar stanęli na straży przy wejściu. Fedyor i pozostali musieli zostać w sali pod kopułą. Przy odrobinie nadziei sami się dogadają z pozostałymi griszami. Albo pozabijają się wzajemnie.

Krążyłam w tę i z powrotem przed starodawną mapą Ravki, która zajmowała przeciwległą do wejścia ścianę.

Mal odchrząknął.

– Moim zdaniem nieźle poszło.

Wyrwał mi się histeryczny śmiech.

– O ile nie zamierzałaś zwalić nam na głowy całego sufitu, bo wtedy udałoby ci się tylko połowicznie.

Gryzłam paznokieć kciuka i nadal krążyłam po pokoju.

– Musiałam zwrócić ich uwagę.

– Czyli naprawdę taki miałaś zamiar?

O mały włos kogoś nie zabiłam. Chciałam kogoś zabić. Musiałam wybierać: albo kopuła, albo Sergiej, a Sergieja byłoby o wiele trudniej załatać.

– Nie do końca – przyznałam.

Nagle uszła ze mnie cała energia. Padłam na krzesło i oparłam głowę na dłoniach.

– Wszyscy odejdą – jęknęłam.

– Możliwe, ale wątpliwe.

Schowałam twarz w rękach.

– Kogo ja oszukuję? Nie dam rady. To wszystko to jakiś kiepski żart.

– Nie słyszałem, żeby ktokolwiek się śmiał. Jak na kogoś, kto nie ma pojęcia, co robi, radzisz sobie całkiem nieźle.

Zerknęłam na niego. Opierał się tyłem o stół, ręce miał skrzyżowane na piersi, cień uśmiechu błąkał się mu po ustach.

– Mal, zrobiłam dziurę w suficie.

– Niezwykle dramatyczną.

Coś pomiędzy śmiechem a szlochem wyrwało mi się z piersi.

– Co zrobimy, jeśli zacznie padać?

– To co zawsze. Nie damy się zmoczyć.

Ktoś zapukał do drzwi i do środka zajrzała Tamar.

– Jeden ze służących chce wiedzieć, czy będziesz spała w komnatach Zmrocza.

Wiedziałam, że będę musiała to zrobić. Tyle że nie rwałam się do tego. Potarłam twarz rękoma i dźwignęłam się z krzesła. Spędziłam niecałą godzinę w Małym Pałacu, aż już byłam wykończona.

– Chodźmy je zobaczyć.

Komnaty Zmrocza znajdowały się kawałek dalej. Odziana w ciemny grafit służąca wprowadziła nas do wielkiego, dość oficjalnego westybulu z długim stołem i paroma krzesłami, które nie wyglądały na wygodne. W każdej ze ścian były dwuskrzydłowe drzwi.

– Te prowadzą do przejścia, które wyprowadzi cię z Małego Pałacu, *moi soverenyi* – powiedziała służąca, wskazując drzwi po prawej. Wskazała drzwi po lewej i wyjaśniła: – A te do kwater straży.

Drzwi dokładnie naprzeciwko nas nie wymagały wyjaśnienia. Ciągnęły się od podłogi aż po sufit, były zrobione z hebanu i wyrzeźbiono na nich symbol Zmrocza, zaćmienie słońca.

Nie czułam się gotowa, żeby stawić czoło temu miejscu, więc podeszłam nieśpiesznie do kwater straży i zerknęłam do środka. Ich świetlica była całkiem przytulna. Stał tam okrągły stolik do gry w karty z kilkoma wyścielanymi krzesłami przy kaflowym piecyku, który ogrzewał pomieszczenie zimą. Za kolejnymi drzwiami dostrzegłam rzędy piętrowych łóżek.

– Wygląda na to, że Zmrocz miał więcej straży – powiedziała Tamar.

– Znacznie więcej – odpowiedziałam.

– Możemy wcielić więcej ludzi.

– Myślałem o tym – odezwał się Mal – ale nie wiem, czy to konieczne, i nie jestem pewien, komu możemy zaufać.

Musiałam się z nim zgodzić. Ufałam trochę Tolyi i Tamar, ale jedyną osobą, której byłam pewna, był Mal.

– Może powinniśmy rozważyć zwerbowanie paru pielgrzymów – zaproponowała Tamar. – Niektórzy z nich służyli kiedyś w wojsku. Musi znaleźć się wśród nich paru dobrych wojowników i z pewnością będą gotowi narazić własne życie dla ciebie.

– W żadnym razie – odpowiedziałam. – Król usłyszy jeden szept „święta Alina" i moja szyja przywita się ze stryczkiem. Poza tym nie jestem pewna, czy chcę powierzyć życie komuś, kto myśli, że zmartwychwstałam.

– Poradzimy sobie – zapewnił mnie Mal.

Skinęłam głową.

– W porządku. I... czy ktoś może zająć się naprawą dachu?

Identyczne szerokie uśmiechy pojawiły się na twarzach Tolyi i Tamar.

– A nie możemy zostawić go w obecnym stanie na kilka dni?

– Nie. – Roześmiałam się. – Nie chcę, żeby kopuła zwaliła nam się na głowy. Porozmawiajcie z fabrykatorami. Powinni wiedzieć, co zrobić. – Przesunęłam kciukiem po bliźnie na dłoni. – Ale nie pozwólcie, żeby usunęli szkody zbyt dokładnie. Blizny są dobrym przypomnieniem.

Wróciłam do westybulu i zwróciłam się do służącej kręcącej się w progu:

– Zjemy tutaj dziś wieczorem. Dopilnujesz przyniesienia tac?

Służąca uniosła brew, a potem ukłoniła się i wyszła pośpiesznie. Skrzywiłam się. Powinnam wydawać polecenia, a nie zadawać pytania.

Zostawiłam Mala i bliźnięta, żeby omówili harmonogram wart, a sama podeszłam do hebanowych drzwi. Klamki miały kształt sierpów księżyca i wyglądały na zrobione z kości. Kiedy je chwyciłam i pociągnęłam, zawiasy nie zaskrzypiały. Drzwi otworzyły się bezdźwięcznie.

Służba zapaliła wcześniej lampy w komnacie Zmrocza. Rozejrzałam się po pokoju i wypuściłam powietrze z płuc. Czego się spodziewałam? Lochów? Jamy? Że Zmrocz spał, zwieszając się z gałęzi drzewa?

Komnata była sześciokątna, ściany z ciemnego drewna ozdobiono płaskorzeźbami tworzącymi iluzję lasu pełnego smukłych drzew. Nad ogromnym łożem z baldachimem wznosiła się kopuła sklepienia z gładkiego czarnego obsydianu roziskrzonego kawałeczkami macicy perłowej, układającymi się w gwiazdozbiory. To był niezwykły pokój i z pewnością luksusowy, ale mimo wszystko była to po prostu sypialnia.

Na półkach nie było książek. Biurko i toaletka stały puste. Wszystkie jego rzeczy najwyraźniej zabrano, najpewniej spalono albo rozbito na kawałeczki. Pewnie powinnam się cieszyć, że król nie kazał roznieść w pył całego Małego Pałacu.

Podeszłam do łoża i przesunęłam dłonią po chłodnym materiale poduszki. Dobrze było wiedzieć, że w jakiejś cząstce nadal był człowiekiem, że kładł głowę na podusze jak każdy, żeby odpocząć nocą. Ale czy naprawdę mogłam spać w jego łóżku, pod jego dachem?

Nagle zdałam sobie sprawę, że czuję w pokoju jego zapach. Nigdy do tej pory nie zauważyłam, że pachniał. Zamknęłam oczy i wzięłam głęboki wdech. Co to takiego? Rześki zapach zimowego wiatru. Nagie konary. Aromat braku, woń nocy.

Rana na ramieniu zaswędziała i otworzyłam oczy. Drzwi do sypialni były zamknięte. Nie usłyszałam, kiedy się zamknęły.

– Alina.

Obróciłam się gwałtownie. Zmrocz stał po drugiej stronie łoża.

Zasłoniłam usta rękami, żeby powstrzymać krzyk.

To nie dzieje się naprawdę, powiedziałam sobie. To jeszcze jedna halucynacja. Jak tamta w Fałdzie.

– Moja Alina – powiedział cicho.

Jego twarz była piękna, pozbawiona blizn. Idealna.

Nie krzyknę, bo to nie dzieje się naprawdę, a kiedy oni przybiegną, niczego nie zobaczą.

Obszedł powoli łoże. Nie było słychać jego kroków.

Zamknęłam oczy i przycisnęłam do nich dłonie, policzyłam do trzech. Kiedy jednak otworzyłam je znowu, stał tuż przede mną. Nie krzyknę, powtarzałam sobie.

Cofnęłam się i poczułam za sobą ścianę. Zdławiony piskliwy krzyk wyrwał mi się z gardła.

Nie krzyknę.

Wyciągnął rękę. Nie może mnie dotknąć, powiedziałam sobie. Jego dłoń przejdzie przeze mnie jak duch. To nie dzieje się naprawdę.

– Nie możesz przede mną uciec – szepnął.

Jego palce musnęły mi policzek. Namacalne. Prawdziwe. Czułam je.

Ogarnęła mnie zgroza. Uniosłam ręce i światło zalało pokój jasną falą. Powietrze zadrżało od gorąca. Zmrocz zniknął.

Kroki rozległy się na zewnątrz. Drzwi otworzyły się z impetem. Mal i bliźnięta wpadli do środka z bronią w rękach.

– Co się stało? – zapytała Tamar, rozglądając się po pustej sypialni.

– Nic – powiedziałam, zmusiwszy się do otwarcia ust. Miałam nadzieję, że mój głos zabrzmi normalnie. Schowałam ręce w fałdach *kefty*, żeby ukryć ich drżenie. – Czemu pytasz?

– Zobaczyliśmy światło i...

– Tu jest po prostu trochę ciemno – powiedziałam. – Wszystko jest czarne.

Wpatrywali się we mnie przez dłuższą chwilę. A potem Tamar się rozejrzała.

– Rzeczywiście jest tu ponuro. Może warto pomyśleć o małym remoncie.

– To z pewnością mam zamiar zrobić.

Bliźnięta rozejrzały się raz jeszcze po sypialni i wyszły. Tolya marudził coś do siostry na temat kolacji. Mal przystanął w progu i poczekał.

– Drżysz – powiedział.

Wiedziałam, że tym razem nie poprosi, żebym mu wyjaśniła, co się dzieje. Nie powinien musieć tego robić. Powinnam powiedzieć mu prawdę bez jego nacisków. Tylko co mogłam rzec? Że zwidują mi się różne rzeczy? Że oszalałam? Że nigdy nie będziemy bezpieczni bez względu na to, jak daleko uciekniemy? Że jestem złamana, pęknięta jak Złota Kopuła, ale coś znacznie gorszego niż światło dnia wpełzło we mnie przez tę szparę?

Milczałam.

Mal pokręcił głową i wyszedł.

Stałam sama pośrodku pustych komnat Zmrocza.

Zawołaj go, rozmyślałam desperacko. Powiedz mu coś. Powiedz mu wszystko.

Mal był raptem parę kroków dalej, po drugiej stronie ściany. Mogłam wypowiedzieć jego imię, przywołać go z powrotem, powiedzieć wszystko – wyznać, co się stało w Fałdzie, co prawie zrobiłam Sergiejowi, co widziałam chwilę temu. Otworzyłam usta, ale powracały do mnie te same słowa raz za razem.

Nie krzyknę. Nie krzyknę. Nie krzyknę.



Obudziłam się następnego dnia na dźwięk gniewnych głosów. Przez chwilę nie miałam pojęcia, gdzie się znajduję. Ciemność była niemal idealna, przełamywała ją tylko cieniutka szczelina światła pod drzwiami.

Wtedy powróciła rzeczywistość. Usiadłam i wymacałam lampę na ścianie przy łóżku. Podkręciłam płomienie i rozejrzałam się po ciemnych jedwabnych zasłonach wokół łóżka, podłodze z łupka i rzeźbionych hebanowych ścianach. Naprawdę będę musiała tu trochę pozmieniać. Ten pokój był zbyt przygnębiający, żeby się w nim budzić. To było dziwne, wiedzieć, że naprawdę znajduję się w komnatach Zmrocza, że przespałam noc w jego łożu, że widziałam go, jak stał w tym właśnie pokoju.

Dość tego, powiedziałam sobie. Odrzuciłam przykrycia i zsunęłam nogi z łóżka. Nie wiedziałam, czy wizje były

wytworem mojej wyobraźni, czy prawdziwą próbą manipulacji ze strony Zmrocza, ale musiało istnieć jakieś racjonalne wyjaśnienie. Może ugryzienie *niczewoja* czymś mnie zainfekowało. W takim razie będę musiała znaleźć jakieś lekarstwo. A może skutki osłabną z czasem.

Kłótnia za drzwiami przybrała na sile. Wydawało mi się, że rozpoznaję głos Sergieja i gniewny basowy pomruk Tolyi. Narzuciłam jeden z haftowanych szlafroków, które zostawiono dla mnie u stóp łóżka, upewniłam się, że obręcz jest schowana, i wyszłam pośpiesznie do salonu.

Omal nie wpadłam prosto na bliźnięta. Tolya i Tamar stali ramię w ramię, blokując grupie rozgniewanych griszów wejście do mojej komnaty. Tolya skrzyżował ręce, a Tamar kręciła głową, podczas gdy Sergiej i Fedyor hałaśliwie się czegoś domagali. Z niepokojem zauważyłam obok nich Zoyę w towarzystwie ciemnoskórego piekielnika, który poprzedniego dnia rzucił mi wyzwanie. Wszyscy mówili naraz.

– Co się dzieje? – zapytałam.

Kiedy tylko Sergiej mnie zobaczył, podszedł, ściskając w ręce kawałek papieru. Tamar stanęła mu na drodze, ale machnęłam, żeby go przepuściła.

– W porządku – powiedziałam. – W czym problem?

Podejrzewałam jednak, że już wiem. Na papierze, którym potrząsnął przed moją twarzą Sergiej, rozpoznałam swój charakter pisma i resztki pieczęci w kształcie słońca, którą dostarczył mi Nikołaj.

– To nie do przyjęcia.

Poprzedniego wieczoru wysłałam wiadomość, że zamierzam zwołać naradę wojenną. Każdy zakon griszów miał wybrać dwóch przedstawicieli. Ucieszyłam się, widząc, że wybrali Fedyora oprócz Sergieja, chociaż część mojego zadowolenia prysła, gdy starszy grisza się wtrącił:

– On ma rację. Somatycy stanowią pierwszą linię obrony griszów. Mamy największe doświadczenie wojskowe i powinniśmy być liczniej reprezentowani.

– Nasz wkład w wysiłki wojenne jest równie cenny – oznajmiła Zoya z rumieńcami na twarzy; nawet rozgniewana wyglądała ślicznie. Podejrzewałam, że zostanie wybrana na przedstawicielkę eteryków, ale z pewnością nie byłam z tego powodu szczęśliwa. – Jeśli ma być trzech somatyków w radzie, to powinno być też trzech przywoływaczy.

Znowu wszyscy zaczęli się przekrzykiwać. Zauważyłam, że materialnicy nie zjawili się ze skargą. Jako najniżej stojący zakon griszów pewnie cieszyli się, że w ogóle ich uwzględniono, albo najpewniej byli zbyt zajęci pracą w warsztacie, żeby zawracać sobie głowę.

Nadal nie do końca się obudziłam. Chciałam zjeść śniadanie, a nie słuchać kłótni. Wiedziałam jednak, że trzeba się tym zająć. Zamierzałam zmienić panujące tu porządki i równie dobrze mogli się od razu dowiedzieć, jak duże zmiany planuję, bo inaczej wszystkie moje wysiłki spełzną na niczym, nim się zaczną.

Uniosłam rękę i natychmiast ucichli. Najwyraźniej tę sztuczkę już opanowałam. Może bali się, że zniszczę kolejny sufit.

– Będzie dwójka griszów z każdego zakonu – powiedziałam. – Nie mniej i nie więcej.

– Ale… – zaczął Sergiej.

– Zmrocz się zmienił. Jeśli mamy mieć jakąkolwiek nadzieję na pokonanie go, też musimy się zmienić. Dwójka griszów z każdego zakonu – powtórzyłam. – I zakony nie będą już siedziały osobno. Będziecie razem siedzieć, razem jeść i razem walczyć.

Przynajmniej to im zamknęło usta. Stali tylko i się gapili.

– A fabrykatorzy zaczną w tym tygodniu trening walki – dodałam.

Przyjrzałam się ich przerażonym twarzom. Wyglądali, jakbym im powiedziała, że pomaszerujemy do walki nago. Materialników nie uważano za wojowników, więc nikt nigdy nie zawracał sobie głowy trenowaniem ich do walki. Moim zdaniem to była zmarnowana szansa. „Wykorzystaj to, czym dysponujesz”.

– Widzę wasz entuzjazm – powiedziałam z westchnieniem.

Desperacko potrzebowałam szklanki herbaty, więc podeszłam do stołu, gdzie postawiono śniadaniową tacę z przykrytymi naczyniami. Podniosłam jedną z przykrywek: żyto i śledź. Ten ranek nie zaczynał się dobrze.

– Ale… ale zawsze tak było – wyjąkał Sergiej.

– Nie możesz odrzucić setek lat tradycji – zaprotestował piekielnik.

– Naprawdę? O to też będziemy się kłócić? – zapytałam poirytowana. – Walczymy ze starożytną mocą, która przekracza wszelkie pojęcie, a wy chcecie się kłócić o to, kto siedzi obok kogo podczas lunchu?

– Nie w tym rzecz – odezwała się Zoya. – Istnieje pewien porządek, reguły, które decydują…

Znowu zaczęli się przekrzykiwać – na temat tradycji, sposobu, w jakie pewne rzeczy się robiło, potrzeby struktury i tego, że ludzie muszą znać swoje miejsce.

Odłożyłam przykrywkę z głośnym brzękiem.

– Tak to teraz będzie wyglądało – orzekłam, gwałtownie tracąc cierpliwość. – Koniec ze snobizmem somatyków. Koniec klik wśród eteryków. I koniec ze śledziem.

Zoya otworzyła usta, ale odezwał się w niej rozsądek i zaraz je zamknęła.

– A teraz odejdźcie – warknęłam. – Chcę zjeść śniadanie w spokoju.

Przez chwilę stali nieruchomo. A potem Tamar i Tolya zrobili krok naprzód i ku mojemu zdumieniu griszowie zrobili to, co im kazano. Zoya wyglądała na poirytowaną, Sergiej był wzburzony, ale wszyscy potulnie wyszli z moich komnat.

Zaraz po ich wyjściu Nikołaj pojawił się w drzwiach i zdałam sobie sprawę, że podsłuchiwał w korytarzu.

– Niezła robota – powiedział. – Dzisiejszy dzień na zawsze zostanie zapamiętany jako Dzień Śledziowego Dekretu. – Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. – Chociaż można było to zręczniej załatwić.

– Nie mam twojego daru bycia „zabawną i wyniosłą” – powiedziałam, siadając za stołem, i z zapałem rozerwałam bułkę. – Ale najwyraźniej zrzędliwość sprawdza się w moim wykonaniu.

Służący podbiegł, żeby podać mi filiżankę herbaty z samowara. Była cudownie gorąca. Wrzuciłam do niej mnóstwo cukru. Nikołaj wziął krzesło i usiadł bez pytania.

– Naprawdę nie zamierzasz tego jeść? – zapytał, już dobierając się do śledzi.

– Obrzydliwość – odparłam zwięźle.

Nikołaj wziął spory kęs.

– Nie przeżyjesz na morzu, jeżeli nie lubisz ryb.

– Nie odgrywaj przede mną biednego żeglarza. Jadałam na twoim statku, zapomniałeś? Kucharz Sturmhonda nie podawał bynajmniej solonego dorsza i sucharów.

Westchnął smutno.

– Żałuję, że nie mogłem zabrać ze sobą Burgosa. Kuchnia pałacowa najwyraźniej uważa, że żaden posiłek nie jest kompletny, jeśli nie pływa w maśle.

– Tylko książę może narzekać na nadmiar masła.

– Hmm – mruknął w zamyśleniu, poklepując się po płaskim brzuchu. – Może królewskie brzucho doda mi urzędowej powagi.

Roześmiałam się i niemal podskoczyłam, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Mal. Zatrzymał się na widok Nikołaja.

– Nie wiedziałem, że carewicz jada w Małym Pałacu. – Ukłonił się sztywno przed Nikołajem, a potem przede mną.

– Nie musisz tego robić – powiedziałam.

– Owszem, musi.

– Słyszałaś Księcia Idealnego – powiedział Mal i dosiadł się do nas.

Nikołaj uśmiechnął się szeroko.

– Miałem mnóstwo przezwisk, ale to jest absolutnie najtrafniejsze.

– Nie wiedziałam, że już nie śpisz – odezwałam się do Mala.

– Nie śpię od paru godzin, kręciłem się po okolicy i szukałem zajęcia.

– Doskonale – wtrącił się Nikołaj. – Przyszedłem z zaproszeniem.

– Na bal? – zapytał Mal, porywając resztę bułki z mojego talerza. – Mam wielką nadzieję, że na bal.

– Jestem pewien, że doskonale tańczysz walca, ale nie. Widziano odyńca w lasach w okolicy Balakirevu. Wyprawa myśliwska wyrusza jutro i chciałbym, żebyś wziął w niej udział.

– Brakuje Waszej Wysokości przyjaciół?

– Nie brakuje wrogów – odpowiedział Nikołaj. – Ale ja nie wezmę udziału w polowaniu. Rodzice nie są jeszcze gotowi spuścić mnie z oczu. Rozmawiałem z jednym z generałów i zgodził się przyjąć cię jako swojego gościa.

Mal odchylił się i skrzyżował ręce na piersi.

– Rozumiem. Więc ja będę hulał po lasach, a ty zostaniesz tutaj – powiedział, zerkając na mnie znacząco.

Poruszyłam się na krześle. Nie podobały mi się te insynuacje, ale musiałam przyznać, że wybieg wydawał się dość oczywisty. Zbyt oczywisty jak na Nikołaja.

– Wiesz, jak na parę, którą łączy wieczysta miłość, to jesteś strasznie mało pewny swego – powiedział Nikołaj. – Paru najwyżej postawionych członków Pierwszej Armii weźmie udział w polowaniu, podobnie jak mój brat. Jest namiętnym myśliwym, a ja widziałem na własne oczy, że jesteś najlepszym tropicielem w Ravce.

– Myślałem, że mam strzec Aliny, a nie biegać po lasach z bandą rozpieszczonych królewiczów.

– Tolya i Tamar poradzą sobie pod twoją nieobecność. A ty będziesz miał szansę wykazać się tym, jaki jesteś użyteczny.

Cudownie, pomyślałam, patrząc, jak Mal mruży oczy. Po prostu cudownie.

– A co ty robisz, żeby pokazać swoją użyteczność, Wasza Wysokość?

– Jestem księciem – odpowiedział Nikołaj. – Bycie użytecznym nie należy do moich obowiązków. Jednakże – dodał – kiedy nie lenię się, olśniewając swoją urodą, staram się lepiej wyekwipować Pierwszą Armię i zebrać informacje na temat miejsca pobytu Zmrocza. Krążą wieści, że idzie przez Sikurzoi.

Oboje z Malem ożywiliśmy się na te słowa. Sikurzoi to góry biegnące wzdłuż większości granicy między Ravką a Shu Hanem.

– Myślisz, że jest na południu? – spytałam.

Nikołaj wrzucił kolejny kawałek śledzia do ust.

– To możliwe – powiedział – chociaż spodziewałbym się, że prędzej sprzymierzy się z Fjerdanami. Północna granica jest znacznie bardziej narażona na atak. Za to Sikurzoi to świetne miejsce, żeby się ukryć. Jeśli raporty są prawdziwe, musimy

zawrzeć przymierze z Shu Hanem najszybciej, jak to możliwe, żeby zaatakować go z dwóch stron.

– Chcesz go zaatakować? – spytałam zaskoczona.

– Lepsze to niż czekać, aż zbierze dość sił, żeby przyjść do nas.

– To mi się podoba – powiedział Mal z niechętnym podziwem. – Zmrocz nie spodziewałby się czegoś takiego.

Przypomniałam sobie, że chociaż Mal i Nikołaj nie dogadywali się najlepiej, Mal i Sturmhond prawie się zaprzyjaźnili.

Nikołaj napił się herbaty i powiedział:

– Krążą też niepokojące wieści na temat Pierwszej Armii. Wygląda na to, że pewna liczba żołnierzy odnalazła religię i zdezerterowała.

Zmarszczyłam brwi.

– Nie masz chyba na myśli...

Nikołaj pokiwał głową.

– Znajdują azyl w klasztorach, dołączają do kultu Słonecznej Świętej Apparata. Kapłan twierdzi, że więzi cię zdeprawowana monarchia.

– To idiotyczne.

– Właściwie brzmi to całkiem wiarygodnie i tworzy bardzo satysfakcjonującą historię. Nie muszę chyba dodawać, że mój ojciec nie jest zachwycony. Wczoraj wieczorem dostał napadu szału i podwoił nagrodę za głowę Apparata.

Jęknęłam.

– Fatalnie.

– Owszem. Widzisz więc, dlaczego mądrze będzie, jeśli kapitan twojej osobistej straży zacznie zawierać sojusze w Wielkim Pałacu. – Nikołaj spojrzał przenikliwie na Mala. – I w ten sposób właśnie, Orecev, możesz się wykazać. O ile dobrze pamiętam, oczarowałeś moją załogę, więc może

mógłbyś wziąć swój łuk i odegrać dyplomatę zamiast zazdrosnego kochanka.

– Zastanowię się nad tym.

– Grzeczny chłopak.

Och, na wszystkich świętych, jęknęłam w duchu. Nie mógł tego nie skomentować, co?

– Uważaj sobie, Nikołaj – odezwał się cicho Mal. – Książęta krwawią jak zwykli ludzie.

Nikołaj strzepnął niewidzialny pyłek z rękawa.

– Owszem. Po prostu robią to w lepszym ubraniu.

– Mal...

Mal wstał, zgrzytając krzesłem o podłogę.

– Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Wyszedł, zapominając o ukłonach i tytułach.

Rzuciłam serwetkę.

– Dlaczego to robisz? – zapytałam z gniewem Nikołaja. – Dlaczego tak go prowokujesz?

– A prowokuję? – zdumiał się Nikołaj, sięgając po następną bułeczkę.

Zastanawiałam się, czy nie wbić mu widelca w dłoń.

– Przestań go popychać. Jeśli stracisz Mala, stracisz i mnie.

– Musi się nauczyć, jakie reguły tu obowiązują. Jeśli nie zdoła, to stanie się ciężarem. Stawka jest za wysoka, żeby stosować półśrodki.

Zadrżałam i roztarłam ramiona.

– Nie cierpię, kiedy tak mówisz. Brzmisz wtedy jak Zmrocz.

– Jeśli kiedykolwiek będziesz miała problem z rozróżnieniem nas, szukaj osoby, która nie torturuje cię i nie próbuje zabić Mala. To będę ja.

– Taki jesteś tego pewien? Gdyby to cię zbliżyło do twojego celu, do tronu i wielkiej szansy uratowania Ravki, jesteś pewien, że osobiście nie zaprowadziłbyś mnie na szubienicę?

Spodziewałam się kolejnej nonszalanckiej reakcji Nikołaja, ale spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakbym mu przyłożyła pięścią w brzuch. Zaczął coś mówić, urwał i pokręcił głową.

– Na wszystkich świętych... – mruknął tonem wyrażającym zdumienie i niesmak – naprawdę nie mam pojęcia.

Zgarbiłam się na krześle. Jego wyznanie powinno mnie rozsierdzić, ale sprawiło, że cały gniew ze mnie uszedł. Może to przez jego szczerość. A może dlatego, że zaczęłam się martwić, do czego sama byłabym zdolna.

Siedzieliśmy w milczeniu przez długą minutę. Nikołaj potarł kark i powoli wstał. Przystanął w drzwiach.

– Jestem ambitny, Alino, mam motywację, ale wierzę... Wierzę, że nadal dostrzegam różnicę między złem i dobrem. – Zawahał się. – Zaproponowałem ci wolność i mówiłem szczerze. Jeśli jutro zdecydujesz, że chcesz uciekać do Nowoziemia razem z Malem, to umieszczę cię na statku i dopilnuję, żebyś odpłynęła. – Popatrzył mi w oczy. – Ale przykro mi będzie patrzeć, jak odchodzisz.

Zniknął w korytarzu. Jego kroki na kamiennej posadzce niosły się echem.

Siedziałam przez chwilę, grzebiąc w śniadaniu i rozważając słowa Nikołaja. A potem otrząsnęłam się. Nie miałam czasu, żeby rozpatrywać jego motywy. Za kilka godzin zacznie się narada wojenna, na której omówimy strategię i najlepsze sposoby obrony przed Zmroczem. Czekało mnie mnóstwo przygotowań, ale najpierw musiałam złożyć komuś wizytę.

* * *

Pokręciłam smutno głową, zapinając guziki mojej złoto-niebieskiej *kefty*; miały kształt słońc. Baghra niezwłocznie wykpi moje roszczenia. Wyszczotkowałam włosy, a potem

wymknęłam się z Małego Pałacu tajnym wyjściem Zmrocza i pokonałam tereny pałacowe, kierując się nad jezioro.

Służąca, z którą rozmawiałam, powiedziała, że Baghra zachorowała wkrótce po zimowym balu i od tamtego czasu przestała przyjmować uczniów. Oczywiście znałam prawdę. W noc balu Baghra zdradziła mi plany Zmrocza i pomogła uciec z Małego Pałacu. Potem próbowała zapewnić mi trochę czasu, ukrywając moją nieobecność. Myśl o jego gniewie, gdy odkrył jej zdradę, ciążyła mi jak kamień na żołądku.

Kiedy próbowałam wyciągnąć od roztrzęsionej pokojówki jakieś szczegóły, dygnęła niezgrabnie i czmychnęła z pokoju. Mimo wszystko Baghra żyje i nadal tu przebywa. Zmrocz mógł zniszczyć całe miasto, ale najwyraźniej nawet on nie przekroczył granicy, jaką byłoby zamordowanie własnej matki.

Ścieżkę do chaty Baghry zarosły jeżyny, letni las był gęsty i pachniał mocno liśćmi i wilgotną ziemią. Przyśpieszyłam kroku zaskoczona tym, jak śpieszy mi się, żeby się z nią zobaczyć. Była wymagającą nauczycielką i w najlepszym razie nieprzyjemną kobietą, ale pomogła mi, kiedy nikt inny nie próbował tego robić, i wiedziałam, że jest moją najlepszą szansą na rozwiązanie zagadki trzeciego amplifikatora Morozova.

Pokonałam trzy stopnie do chaty i zapukałam. Nikt nie odpowiedział. Zapukałam znowu i pchnęłam drzwi, krzywiąc się, gdy poczułam znajomy skwar. Baghra wiecznie marzła i wejście do jej chaty było niczym wpadnięcie do pieca.

Małe, ciemne pomieszczenie było takie, jak je zapamiętałam – skromnie umeblowane, z jedynie najbardziej niezbędnymi sprzętami, ogniem huczącym w piecu kaflowym i Baghrą skuloną przy nim w wyblakłej *kefcie*. Zdziwiłam się, widząc, że nie jest sama. Obok niej siedział służący, młody chłopak ubrany na szaro. Wstał, gdy weszłam, i zerknął na mnie przez półmrok.

– Żadnych gości – powiedział.

– Z czyjego rozkazu?

Na dźwięk mojego głosu Baghra uniosła gwałtownie głowę.

Uderzyła kijem o podłogę.

– Wyjdź, chłopcze – rozkazała.

– Ale...

– Wyjdź! – warknęła.

Przyjemna jak zawsze, pomyślałam z rezerwą.

Chłopiec śmignął przez pokój do drzwi i bez słowa wypadł z chaty.

Ledwie drzwi się za nim zatrzasnęły, Baghra powiedziała:

– Ciekawa byłam, kiedy tu przyjdziesz, mała święta.

Oczywiście Baghra musiała nazwać mnie jedynym określeniem, jakiego nie chciałam słyszeć.

Już się pociłam i nie chciałam podchodzić do ognia, ale mimo to zbliżyłam się. Usiadłam na krześle, które zwolnił służący.

Odwróciła się do płomieni, gdy się zbliżałam, pokazując mi plecy. Miała dziś wyjątkowo kiepski dzień. Zignorowałam tę obelgę.

Siedziałam przez jakiś czas w milczeniu, nie bardzo wiedząc, od czego zacząć.

– Powiedziano mi, że zachorowałaś po mojej ucieczce.

– Hmm.

Nie wiedziałam, jak to zrobić, ale zapytałam:

– Co on ci zrobił?

Zaśmiała się sucho.

– Mniej, niżby mógł. Więcej, niż powinien.

– Baghra...

– Miałaś popłynąć do Nowoziemia. Miałaś zniknąć.

– Próbowałam.

– Nie, wybrałaś się na polowanie – zaszydziła i uderzyła kijem w ziemię. – I co znalazłaś? Śliczny naszyjnik, który

będziesz nosić przez resztę życia? Podejdź bliżej – powiedziała. – Chcę wiedzieć, co kupiłam za swoje kłopoty.

Posłusznie się pochyliłam. Kiedy odwróciła się do mnie, zaparło mi dech w piersi.

Baghra postarzała się o całe wieki, odkąd widziałam ją po raz ostatni. Jej czarne włosy przerzedziły się i posiwiały. Ostre rysy twarzy rozmazały się. Napięta skóra wokół zaciętych ust sflaczała i zmiękła.

Ale nie dlatego się wzdrygnęłam. Zniknęły jej oczy. Tam, gdzie powinny się znajdować, widniały dwie czarne jamy, w ich niezmierzonej głębi kłębiły się cienie.

– Baghro... – wykrztusiłam.

Sięgnęłam po jej rękę, ale ona wzdrygnęła się i odsunęła przed moim dotykiem.

– Oszczędź mi swojej litości, dziewczyno.

– Co on ci zrobił? – spytałam ledwie słyszalnym szeptem.

Znowu zaśmiała się szorstko.

– Zostawił mnie w ciemności.

Głos miała silny, ale kiedy siedziałam przy ogniu, zdałam sobie sprawę, że to jedyna jej cząstka, która się nie zmieniła. Dawniej była smukła i twarda, prosta jak nóż, o sylwetce akrobatki. Teraz jej stare ręce lekko drżały, a niegdyś żylaste ciało wyglądało na wychudłe i kruche.

– Pokaż – powiedziała, wyciągając ręce.

Zamarłam i pozwoliłam, żeby przesunęła dłońmi po mojej twarzy. Jej sękate palce poruszały się jak dwa pająki, mijając moje łzy bez zainteresowania, spełzając do żuchwy i do nasady szyi, gdzie zatrzymały się na obroży.

– Ach... – szepnęła, przesuwając opuszkami po szorstkim kawałku poroża. Głos miała cichy i niemal tęskny. – Chciałabym zobaczyć tego jelenia.

Chciałam obrócić głowę, odwrócić się od czarnych sadzawek jej oczu. Zamiast tego podciągnęłam rękaw i złapałam ją za rękę. Chciała się wyrwać, ale chwyciłam mocniej i położyłam jej palce na obręczy wokół mojego nadgarstka. Zamarła.

– Nie. To niemożliwe.

Macała krawędzie łusek morskiego bicza.

– *Rusalie* – szepnęła. – Coś ty zrobiła, dziewczyno?

Jej słowa dały mi nadzieję.

– Wiesz o pozostałych amplifikatorach.

Skrzywiłam się, kiedy jej palce wbiły mi się w nadgarstek.

– To prawda? – zapytała gwałtownie. – To, co mówią, że potrafi? Że ożywia cień?

– Tak – przyznałam.

Jeszcze mocniej się zgarbiła. A potem odrzuciła moją rękę jak coś obrzydliwego.

– Wynoś się.

– Baghro, potrzebuję twojej pomocy.

– Powiedziałam: wynoś się.

– Proszę. Muszę się dowiedzieć, gdzie znaleźć żarptaka.

Jej zapadłe usta zadrżały lekko.

– Raz już zdradziłam swojego syna. Dlaczego myślisz, że zrobię to po raz drugi?

– Chciałaś go powstrzymać – odpowiedziałam z wahaniem. – Chciałaś...

Baghra uderzyła kijem w podłogę.

– Chciałam, żebyś nie dopuściła do tego, żeby stał się potworem! Teraz jednak jest już na to za późno, prawda? Dzięki tobie jeszcze bardziej oddalił się od człowieczeństwa. Nie ma już dla niego żadnego zbawienia.

– Możliwe – przyznałam – ale Ravkę jeszcze można uratować.

– A co mnie obchodzi, co się stanie z tym nieszczęsnym krajem? Czy świat jest taki wspaniały, żebyś uważała go za wart

ratowania?

– Tak. I wiem, że ty też tak uważasz.

– Twoja wiedza jest guzik warta.

– Dobrze więc! – powiedziałam z desperacją większą niż poczucie winy. – Jestem idiotką. Jestem głupia. Beznadziejna. Dlatego potrzebuję twojej pomocy.

– Nie można ci pomóc. Twoją jedyną nadzieją była ucieczka.

– Powiedz mi, co wiesz o Morozovie – prosiłam. – Pomóż mi znaleźć trzeci amplifikator.

– Nie mam pojęcia, gdzie choćby zacząć poszukiwania żarptaka, i nie powiedziałabym ci, gdybym wiedziała. Teraz chcę tylko ciepłego kąta i spokojnej śmierci.

– Mogłabym ci odebrać to miejsce – powiedziałam rozgniewana. – Twój ogień, twojego posłusznego sługę. Może wtedy nabrałabyś ochoty do rozmowy.

Kiedy tylko te słowa opuściły moje usta, zapragnęłam je cofnąć. Zalała mnie przyprawiająca o mdłości fala wstydu. Czy naprawdę właśnie zagroziłam niewidomej kobiecie?

Baghra zaśmiała się sucho i wrednie.

– Widzę, że przyzwyczajasz się do władzy. W miarę jak rośnie, pragniesz jej coraz więcej. Podobieństwa się przyciągają, dziewczyno.

Jej słowa wywołały we mnie strach.

– Nie mówiłam poważnie – broniłam się słabo.

– Nie możesz pogwałcić zasad tego świata i nie zapłacić wysokiej ceny. Te amplifikatory nigdy nie powinny były powstać. Żaden grisza nie powinien mieć takiej mocy. Już się zmieniasz. Poszukaj trzeciego, a całkowicie przestaniesz być sobą, zatracisz się kawałek po kawałeczku. Chcesz mojej pomocy? Chcesz wiedzieć, co robić? Zapomnij o żarptaku. Zapomnij o Morozovie i jego szaleństwie.

Pokręciłam głową.

– Nie mogę. Nie zrobię tego.

Odwróciła się z powrotem do ognia.

– Wobec tego rób, co chcesz. Ja już skończyłam z tym życiem, skończyłam z tobą.

Czego się spodziewałam? Że powita mnie jak córkę? Jak przyjaciela? Straciła miłość syna i poświęciła wzrok, a ja ostatecznie ją zawiodłam. Chciałam uprzeć się i zażądać pomocy. Chciałam jej zagrozić, przypochlebiać się, paść na kolana i błagać o wybaczenie za wszystko, co straciła, i za każdy mój błąd. Zamiast tego zrobiłam to, czego ode mnie od początku chciała. Odwróciłam się i uciekłam.

Niemal przewróciłam się na schodach, kiedy wybiegłam z chaty, ale służący czekał na dole. Wyciągnął rękę i złapał mnie, ratując przed upadkiem. Odetchnęłam z wdzięcznością, czując, jak pot schładza się na mojej skórze.

– To prawda? – zapytał. – Naprawdę jesteś Przywoływaczką Słońca?

Zerknęłam na jego pełną nadziei twarz i poczułam pieczenie łez w gardle. Skinęłam głową i spróbowałam się uśmiechnąć.

– Moja matka mówi, że jesteś święta.

A w jakie jeszcze inne bajki wierzy? – pomyślałam z goryczą.

By nie narobić sobie wstydu i nie rozpłakać się w jego mizernych ramionach, minęłam go i odbiegłam wąską ścieżką.

Kiedy dotarłam nad brzeg jeziora, poszłam do jednego z białych kamiennych pawilonów przywoływaczy. To nie były tak naprawdę budynki, tylko przykryte kopułą szkielety, gdzie młodzi przywoływacze mogli ćwiczyć swoje talenty bez obawy, że zdmuchną dach ze szkoły albo podpalą Mały Pałac. Usiadłam w cieniu schodów do pawilonu i schowałam twarz w dłoniach, walcząc ze łzami, próbując odzyskać oddech. Byłam pewna, że Baghra będzie coś wiedziała na temat żarptaka, i przekonana,

że zgodzi się pomóc. Nie zdawałam sobie sprawy, ile nadziei w niej pokładałam, dopóki ta nadzieja nie przepadła.

Wygładziłam lśniące fałdy *kefty* na kolanach i zdławiłam szloch. Myślałam, że Baghra wyśmieje mnie, zacznie kpić z wystrojonej małej świętej. Dlaczego wierzyłam, że Zmrocz mógłby okazać łaskę matce?

I dlaczego zachowałam się w taki sposób? Jak mogłam zagrozić, że odbiorę jej przyjemności? Obrzydliwość tego postępku przyprawiła mnie o mdłości. Mogłam obwiniać swoją desperację, ale to nie umniejszyło mojego wstydu. Ani nie zmieniło faktu, że jakaś cząstka mojej osoby chciała wmaszerować do jej chaty i wypełnić swoje groźby, wywlec ją na światło dzienne i wydusić odpowiedzi ze skwaszonych, zapadłych ust. Co się ze mną działo?

Wyjęłam kopię *Istorii Sanktia* z kieszeni i przesunęłam dłońmi po zniszczonej czerwonej okładce ze skóry. Oglądałam ją tyle razy, że od razu otworzyła się na ilustracji z Sankt Ilią, chociaż teraz strony były namokłe po katastrofie *Kolibra*.

Święty grisza? Czy kolejny chciwy głupiec, który nie potrafił oprzeć się pokusie mocy? Chciwy głupiec taki jak ja. „Zapomnij o Morozovie i jego szaleństwie". Przesunęłam palcem po krzywej linii kamiennego łuku. To mogło nie mieć znaczenia. To mogło być jakieś odwołanie do przeszłości Ilii, która nie ma nic wspólnego z amplifikatorami, albo jedynie ozdobnik dodany przez artystę. Nawet gdybyśmy mieli rację i to rzeczywiście było charakterystyczne miejsce, to mogło znajdować się gdziekolwiek na świecie. Nikołaj zjeździł prawie całą Ravkę i nigdy go nie widział. Równie dobrze łuk mógł zawalić się setki lat temu.

Rozległ się szkolny dzwonek nad jeziorem i stadko małych griszów wybiegło z budynku z krzykiem i śmiechem, śpiesząc się na letnie słońce. Szkoła nadal działała mimo ostatnich

katastrofalnych miesięcy. Jeśli jednak Zmrocz nadchodzi, muszę ewakuować dzieci. Nie chciałam, żeby znalazły się na drodze *niczewojów*.

„Wołowi ciąży jarzmo, ale czy ptakowi ciążą skrzydła?”.

Czy Baghra wypowiedziała te słowa do mnie? Czy tylko usłyszałam je we śnie?

Wstałam i otrzepałam *keftę*. Nie byłam pewna, co bardziej mną wstrząsnęło: odmowa Baghry czy jej stan. Nie była tylko starą kobietą. Była kobietą pozbawioną nadziei, a ja pomogłam jej osiągnąć ten stan.



Chociaż była to sala narad wojennych, uwielbiałam to pomieszczenie. Jako kartograf nie mogłam się oprzeć starym mapom, kreślonym na zwierzęcych skórach i ozdobionym wymyślnymi szczegółami: złoconą latarnią w Os Kervo, górskimi świątyniami w Shu Hanie, syrenami pływającymi na obrzeżach mórz.

Rozejrzałam się wokół stołu po twarzach griszów. Niektóre były znajome, inne nowe. Każde z nich mogło być szpiegiem Zmrocza, Króla, Apparata. Każde z nich mogło szukać okazji, żeby pozbyć się mnie i przejąć władzę.

Tolya i Tamar stali na zewnątrz, odlegli zaledwie o jeden mój krzyk, gdyby pojawiły się kłopoty, ale to obecność Mala dodawała mi otuchy. Siedział na prawo ode mnie w ubraniu z samodziału, ze słońcem przypiętym nad sercem. Nie mogłam znieść myśli, że wkrótce wyjedzie na polowanie, ale musiałam

przyznać, że to może być dobry pomysł. Mal był dumny z tego, że jest żołnierzem, i wiedziałam, że wyrok króla ciąży mu na sercu. To, że domyślał się, że coś przed nim ukrywam, nie pomagało.

Sergiej siedział na prawo od Mala ze skrzyżowanymi na piersi rękami i naburmuszoną miną. Nie cieszył się z tego, że siedzi obok *otkazat´sia*, a jeszcze mniej z tego, że uparłam się, by fabrykatorka siedziała bezpośrednio po mojej lewej stronie, na miejscu, które uważano za honorowe. To była Sulijka imieniem Paja, której nigdy dotąd nie spotkałam. Miała ciemne włosy i prawie czarne oczy, a czerwony haft na rękawach jej fioletowej *kefty* wskazywał, że jest alchemistką, fabrykatorką specjalizującą się w chemikaliach takich jak proch albo trucizny.

David siedział dalej; miał szare hafty na mankietach. Pracował ze szkłem, stalą, drewnem i kamieniem – wszelkimi ciałami stałymi. Był substantykiem i wiedziałam, że jest najlepszy w tej specjalności, bo Zmrocz wybrał go do przygotowania mojej obroży. Dalej siedział Fedyor, a obok niego zajęła miejsce Zoya, jak zawsze prześliczna w błękitach eteryka.

Naprzeciwko Zoi siedział Pavel, ciemnoskóry piekielnik, który poprzedniego dnia z takim gniewem wypowiadał się przeciwko mnie. Miał wąską twarz i ukruszony ząb, przez który lekko poświstywał, kiedy mówił.

Pierwszą część spotkania poświęciliśmy na przedyskutowanie liczby griszów na różnych posterunkach w Ravce, a także tych, którzy mogą się ukrywać. Zoya zasugerowała, żeby wysłać posłańców z wieścią o moim powrocie i propozycją ułaskawienia dla tych, którzy złożą przysięgę wierności Przywoływaczce Słońca. Prawie przez godzinę debatowaliśmy nad warunkami i brzmieniem ułaskawienia. Wiedziałam, że muszę przekazać je Nikołajowi,

żeby król je zatwierdził, i chciałam ostrożnie dobrać słowa. Ostatecznie zgodziliśmy się na „wierność tronowi ravkańskiemu i Drugiej Armii". Nikt nie był z tego zadowolony, więc byłam przekonana, że zrobiliśmy to, jak trzeba.

To Fedyor poruszył temat Apparata.

– To niepokojące, że tak długo nie udaje się go schwytać.

– Próbował skontaktować się z tobą? – zapytał mnie Pavel.

– Nie.

Dostrzegłam niedowierzanie na jego twarzy.

– Widziano go w Kerskii i Ryevoście – powiedział Fedyor. – Pojawia się znikąd i naucza, a potem znika, by nie dopadli go żołnierze króla.

– Powinniśmy rozważyć zamordowanie go – odezwał się Sergiej. – Staje się zbyt potężny i nadal może współpracować ze Zmroczem.

– Najpierw musimy go znaleźć – wtrąciła Paja.

Zoya z wdziękiem machnęła ręką.

– A jaki to ma sens? Skupił się na szerzeniu wieści o Przywoływaczce Słońca i twierdzi, że jest święta. Najwyższy czas, żeby ludzie zaczęli doceniać griszów.

– Nie griszów – powiedział Pavel, wskazując w moją stronę brodą. – Ją.

Zoya wzruszyła zgrabnym ramieniem.

– Lepsze to niż robienie z nas czarownic i zdrajców.

– Niech król zajmie się brudną robotą – powiedział Fedyor. – Niech sam znajdzie Apparata i go skaże, niech na niego spadnie gniew ludzi.

Nie mogłam uwierzyć, że spokojnie dyskutujemy o zamordowaniu człowieka. Nie byłam pewna, czy chcę śmierci Apparata. Kapłan miał sporo na sumieniu, ale nie byłam przekonana, że nadal współpracuje ze Zmroczem. Poza tym dał mi *Istorii Sanktia*, a to znaczyło, że jest potencjalnym źródłem

informacji. Gdyby został złapany, mogłabym mieć tylko nadzieję, że król dałby mu pożyć dość długo, by dało się go przesłuchać.

– Myślisz, że on w to wierzy? – zapytała Zoya, przyglądając mi się. – Że jesteś święta i zmartwychwstałaś?

– Nie jestem pewna, czy to ma znaczenie.

– Warto wiedzieć, jak bardzo jest szalony.

– Wolę walczyć ze zdrajcą niż zelotą – odezwał się cicho Mal. Po raz pierwszy się odezwał. – Mogę mieć jeszcze kontakty w Pierwszej Armii. Krążą plotki, że żołnierze dezerterują, żeby dołączyć do Apparata, a w takim razie muszą wiedzieć, gdzie przebywa.

Zerknęłam na Zoyę. Wpatrywała się w Mala tymi swoimi niemożliwie błękitnymi ślepiami. Miałam wrażenie, że przez połowę narady trzepotała do niego rzęsami. A może tylko mi się wydawało. Była potężną szkwalniczką i potencjalnie ważnym sojusznikiem. Była też niegdyś jedną z ulubienic Zmrocza i z tego powodu z pewnością trudno było jej zaufać.

Prawie się roześmiałam na głos. Kogo ja oszukuję? Nie mogłam znieść nawet siedzenia z nią w jednym pokoju. Ona to dopiero wyglądała jak święta. Delikatne kości, lśniące czarne włosy, idealna cera. Brakowało jej tylko aureoli. Mal nie zwracał na nią uwagi, ale z zaciskającym się żołądkiem czułam, że ignoruje ją odrobinę zbyt celowo. Wiedziałam, że mam ważniejsze sprawy na głowie niż martwienie się Zoyą. Miałam wojsko, którym trzeba dowodzić, i wrogów po każdej stronie, ale nie potrafiłam się powstrzymać.

Odetchnęłam i spróbowałam się skupić. Najtrudniejsza część narady dopiero miała się zacząć. Chociaż chciałam zwinąć się w kłębek gdzieś w ciszy i ciemności, to należało zająć się pewnymi sprawami.

Rozejrzałam się po zebranych i powiedziałam:

– Musicie wiedzieć, przeciwko czemu staniemy.

W sali zapadła cisza. Zupełnie jakby rozbrzmiał dzwon, jakby wszystko, co się wydarzyło wcześniej, było jedynie zabawą, a teraz zaczęła się prawdziwa narada.

Kawałek po kawałku wyłożyłam im wszystko, co wiedziałam o *niczewojach*, ich sile i rozmiarach, ich odporności na kule i ostrza, a co najważniejsze – o braku strachu przed światłem.

– Ale uciekłaś im – zauważyła ostrożnie Paja – więc muszą być śmiertelni.

– Moja moc potrafi ich zniszczyć. To jedyna rzecz, po której nie dochodzą do siebie. Jednak to nie takie proste. To wymaga Cięcia, a ja nie jestem pewna, iloma naraz jestem w stanie się zająć.

Nie wspomniałam o drugim amplifikatorze. Wiedziałam, że nawet z nim nie zdołam powstrzymać ataku prawdziwej armii z cienia, a obręcz była sekretem, którego na razie nie zamierzałam ujawniać.

– Uciekliśmy tylko dzięki temu, że książę Nikołaj wydostał nas poza zasięg Zmrocza – powiedziałam. – Najwyraźniej muszą znajdować się blisko swojego pana.

– Jak blisko? – zapytał Pavel.

Spojrzałam na Mala.

– Trudno powiedzieć – odezwał się. – Milę. Może dwie.

– Zatem jego moc ma swoje ograniczenia – powiedział Fedyor nie bez wyraźniej ulgi.

– Zdecydowanie. – Cieszyłam się, że mogę powiedzieć im coś, co jest nie tylko przerażające. – Będzie musiał wkroczyć do Ravki ze swoją armią, żeby nas zaatakować. To znaczy, że nas nie zaskoczy i że będzie narażony na atak. Nie może przywołać ich tak, jak przywołuje ciemność. Ten wysiłek sporo go kosztuje.

– Bo to nie jest moc griszy – odezwał się David. – To *merzost*.

Było to ravkańskie słowo oznaczające magię i plugastwo zarazem. Podstawowa teoria griszów mówiła, że nie da się stworzyć materii z niczego. To była naczelna zasada Małej Nauki. *Merzost* to coś innego, to zepsucie tworzywa serca świata.

David bawił się nitką u rękawa.

– Ta energia, ta substancja, musi skądś pochodzić. Musi pochodzić z niego.

– Ale jak on to robi? – zapytała Zoya. – Czy istniał kiedykolwiek grisza o takiej mocy?

– Prawdziwe pytanie brzmi: jak z nimi walczyć? – odezwał się Fedyor.

Rozmowy skupiły się na obronie Małego Pałacu i możliwych zaletach walki ze Zmroczem na otwartym polu. Ja jednak obserwowałam Davida. Kiedy Zoya zapytała o innych griszów, spojrzał bezpośrednio na mnie po raz pierwszy, odkąd wróciłam do Małego Pałacu. Właściwie nie tyle na mnie, ile na obrożę. Zaraz potem wbił wzrok w stół, ale – o ile to możliwe – sprawiał wrażenie jeszcze bardziej skrępowanego niż do tej pory. Zastanawiałam się, co może wiedzieć na temat Morozova. I chciałam poznać odpowiedź na pytanie Zoi. Nie wiedziałam, czy mam dość umiejętności albo odwagi, żeby spróbować czegoś takiego, ale czy istniał sposób, żeby przywołać żołnierzy światła do walki z armią cienia Zmrocza? Czy taką moc dałyby mi trzy amplifikatory?

Zamierzałam porozmawiać z Davidem na osobności po naradzie, ale kiedy tylko skończyliśmy, on pierwszy wybiegł z sali. Wszelkie pomysły, jakie miałam, żeby dopaść go w pracowniach materialników tego samego popołudnia, zostały zdławione przez stosy dokumentów czekające na mnie w moich komnatach. Przez wiele godzin przygotowywałam akty ułaskawienia dla griszów i podpisywałam niezliczone papiery

gwarantujące fundusze i zaopatrzenie dla odległych posterunków Drugiej Armii w nadziei na utrzymanie granic Ravki. Sergiej starał się wypełniać obowiązki Zmrocza, ale wiele rzeczy zaniedbano.

Odnosiłam wrażenie, że wszystko zostało napisane w możliwie najbardziej zawikłany sposób. Musiałam czytać po kilka razy rzeczy, które powinny być prostymi prośbami. Gdy udało mi się zrobić mały wyłom w stosie papierzysk, okazało się, że jestem już spóźniona na kolację, mój pierwszy posiłek w sali pod kopułą. Wolałabym zjeść kolację w swoim pokoju, ale to było ważne, żebym zaznaczyła swoją obecność w Małym Pałacu. Chciałam też dopilnować, żeby moje rozkazy były wypełniane i griszowie nie siadali do posiłków według podziału na zakony.

Usiadłam przy stole Zmrocza. Żeby poznać nieznanych mi griszów i uniknąć wykształcenia się nowej elity, postanowiłam, że każdego wieczoru będą mi towarzyszyć inni griszowie. To był dobry pomysł, ale brakowało mi swobody Mala i wdzięku Nikołaja. Rozmowa się rwała i co rusz pojawiały się chwile niezręcznego milczenia.

Przy innych stołach sytuacja nie wyglądała dużo lepiej. Griszowie siedzieli obok siebie, mieszanina czerwieni, fioletu i błękitu, prawie się do siebie nie odzywając. Brzęk sreber odbijał się echem od pękniętej kopuły – fabrykatorzy nie zaczęli jeszcze naprawy.

Nie wiedziałam: śmiać się czy krzyczeć. Zupełnie jakbym kazała im usiąść obok volcr. Przynajmniej Sergiej i Marie sprawiali wrażenie zadowolonych, nawet jeśli Nadia wyglądała, jakby chciała zniknąć w maselniczce, kiedy tulili się i gruchali do siebie obok niej. Chyba cieszyłam się ich szczęściem. Może nawet trochę im zazdrościłam.

Policzyłam w myślach – czterdziestu griszów, może pięćdziesięciu, większość ledwie po szkole. Też mi armia, westchnęłam w duchu. Moje wspaniałe rządy kiepsko się zaczęły.

* * *

Mal zgodził się wziąć udział w polowaniu, a ja wstałam wczesnym rankiem, żeby się z nim pożegnać. Zaczynałam zdawać sobie sprawę, że będziemy tu mieli mniej prywatności, niż mieliśmy w drodze. Zaczęłam podejrzewać, że nie zostaniemy sami nawet na chwilę, bo zawsze w pobliżu jest Tolya, Tamar albo ktoś ze służby.

Poprzedniej nocy leżałam w łożu Zmrocza, nie śpiąc. Przypominałam sobie, jak Mal pocałował mnie na daczy, i zastanawiałam się, czy usłyszę, kiedy zapuka do drzwi. Rozważałam nawet, czy samej nie zapukać do kwater straży, ale nie byłam pewna, kto jest na służbie, i myśl, że otworzyliby mi Tolya albo Tamar, potwornie mnie zawstydzała. Ostatecznie zmęczenie podjęło decyzję za mnie, bo następne, z czego zdałam sobie sprawę, to, że jest już ranek.

Zanim dotarłam do fontanny z dwugłowym orłem, na ścieżce do pałacowej bramy było już mnóstwo ludzi i koni – Vasilij i jego arystokratyczni przyjaciele w wyrafinowanych strojach do jazdy konnej, oficerowie Pierwszej Armii w eleganckich mundurach, a za nimi legion służących w bieli i złocie.

Znalazłam Mala, jak sprawdzał siodło w pobliżu grupy królewskich tropicieli. Łatwo go było wypatrzeć z racji chłopskiego samodziału. Miał lśniący nowy łuk na plecach i kołczan strzał z błękitno-złotymi brzechwami króla Ravki. Na oficjalnym ravkańskim polowaniu obowiązywał zakaz używania broni palnej, ale zauważyłam, że paru służących ma

karabiny na plecach, na wypadek gdyby zwierzęta dały się we znaki ich szlachetnie urodzonym panom.

– Niezłe widowisko – powiedziałam, podchodząc do niego. – Ilu ludzi potrzeba, żeby zabić parę dzików?

Mal parsknął.

– To jeszcze nic. Druga grupa służących wyjechała przed świtem, żeby rozbić obóz. Niech święci bronią, żeby książę Ravki musiał czekać na filiżankę gorącej herbaty.

Rozległ się dźwięk rogu i jeźdźcy zaczęli zajmować swoje miejsca, poniósł się tętent kopyt i brzęk strzemion. Mal pokręcił głową i solidnie pociągnął za popręg.

– Lepiej, żeby te dziki były głuche – burknął.

Rozejrzałam się po lśniących mundurach i wypolerowanych na błysk butach.

– Może powinnam była wyekwipować cię w coś bardziej... błyszczącego.

– Nie bez powodu pawie nie są ptakami drapieżnymi – powiedział, uśmiechając się szeroko.

To był swobodny, szczery uśmiech, jakiego dawno już nie widziałam.

Cieszy się z wyjazdu, zdałam sobie sprawę. Narzeka, ale się cieszy. Starałam się nie brać tego do siebie.

– A ty jesteś jak wielki, brązowy sokół?

– Właśnie.

– Albo przerośnięty gołąb?

– Zostańmy przy sokole.

Pozostali dosiadali koni i jechali w stronę wyprawy, która już ruszyła żwirową ścieżką.

– Czas na nas, Orecev! – zawołał jasnowłosy tropiciel.

Nagle poczułam się niezręcznie, boleśnie świadoma otaczających nas ludzi i ich bacznych spojrzeń. Pewnie złamałam jakieś zasady, przychodząc tu, żeby się pożegnać.

– No cóż – powiedziałam, poklepując bok konia – baw się dobrze. Postaraj się nikogo nie zastrzelić.

– Jasne. Ej, powiedziałaś, że mam nikogo nie zastrzelić?

Uśmiechnęłam się, ale był to trochę wymuszony uśmiech.

Staliśmy tak jeszcze przez chwilę, milczenie się przeciągało. Chciałam zarzucić mu ręce na szyję, wtulić twarz w jego szyję, kazać mu obiecać, że będzie bezpieczny. Jednak nie zrobiłam tego.

Smutny uśmiech musnął jego usta. Mal się ukłonił.

– *Moi soverenyi* – powiedział.

Serce zacisnęło mi się w piersi.

Wsiadł na konia i odjechał, znikając w morzu jeźdźców kierujących się do złotej bramy.

Wróciłam do Małego Pałacu w ponurym nastroju.

Było wcześnie, ale dzień już robił się ciepły. Tamar czekała na mnie, kiedy wyszłam z leśnego tunelu.

– Niedługo wróci – powiedziała. – Nie ma powodu do smutku.

– Wiem – odpowiedziałam, czując się głupio. Zdołałam się roześmiać, kiedy szłyśmy przez trawnik do stajni. – W Keramzinie miałam lalkę ze starej skarpetki, do której mówiłam, kiedy wyjeżdżał na polowanie. Może to poprawiłoby mi nastrój.

– Byłaś dziwną dziewczynką.

– Nawet nie masz pojęcia jak bardzo. A czym ty i Tolya się bawiliście?

– Czaszkami naszych wrogów.

Zobaczyłam błysk w jej oku i obie parsknęłyśmy śmiechem.

W salach treningowych spotkałyśmy się na chwilę z Botkinem, instruktorem, który przygotowywał griszów do normalnej walki. Tamar natychmiast oczarowała starego najemnika i jazgotali do siebie w języku shu przez prawie

dziesięć minut, zanim zdołałam poruszyć kwestię treningu fabrykatorów.

– Botkin każdego nauczy walczyć – powiedział z mocnym akcentem. W słabym świetle gruba blizna na jego gardle miała perłowy połysk. – Nauczył małą dziewczynkę walczyć, nie?

– Fakt – zgodziłam się, krzywiąc się na wspomnienie męczących treningów u Botkina i cięgów, jakie od niego zebrałam.

– Ale mała dziewczynka już nie jest taka mała – dodał, przyglądając się mojej złotej *kefcie*. – Wróć trenować z Botkinem. Dużą będę okładał tak samo jak małą.

– To bardzo egalitarne z twojej strony – odpowiedziałam i wyprowadziłam pośpiesznie Tamar ze stajni, by Botkin nie postanowił mi pokazać swojej bezstronności.

Ze stajen poszłam prosto na następną naradę wojenną, a potem ledwie miałam czas, żeby poprawić włosy i otrzepać *keftę*, zanim wyszłam do Wielkiego Pałacu, żeby razem z Nikołajem wziąć udział w spotkaniu, podczas którego doradcy króla przedstawiali mu stan obrony Os Alty.

Czułam się trochę tak, jakbyśmy byli dziećmi, które naprzykrzają się dorosłym. Doradcy jasno dali nam do zrozumienia, że marnujemy ich czas. Jednak Nikołaj był niewzruszony. Zadawał przemyślane pytania na temat uzbrojenia, liczby żołnierzy stacjonujących na murach miejskich, stanu systemu ostrzegawczego na wypadek ataku. Wkrótce doradcy przestali traktować go z wyższością i zaczęli rozmawiać z nim naprawdę, pytając o broń, którą przewiózł przez Fałdę, i sposób jej wykorzystania.

Przedstawił im krótki opis *niczewojów*, żeby uzasadnić potrzebę wyposażenia także griszów w nową broń. Doradcy nadal żywili głęboką podejrzliwość wobec Drugiej Armii, ale

kiedy wracaliśmy do Małego Pałacu, Nikołaj nie zdradzał niepokoju.

– Z czasem przejrzą na oczy – powiedział. – Dlatego musiałaś tam być. Żeby ich uspokoić i pomóc im zrozumieć, że Zmrocz nie jest zwykłym wrogiem.

– Myślisz, że o tym nie wiedzą? – spytałam z niedowierzaniem.

– Nie chcą tego wiedzieć. Gdyby udało im się zachować wiarę, że można się dogadać ze Zmroczem albo zapanować nad nim, to nie musieliby stawić czoła rzeczywistej sytuacji.

– Nie dziwię im się – odpowiedziałam ponuro. Dobrze było rozmawiać o żołnierzach, murach i alarmach, ale wątpiłam, czy to cokolwiek zmieni, gdy zaatakują nas Zmroczowi żołnierze z cienia.

Kiedy wyszliśmy z tunelu, Nikołaj zapytał:

– Przejdziesz się ze mną nad jezioro?

Zawahałam się.

– Obiecuję, że nie przyklęknę i nie zacznę układać ballad o twojej urodzie. Chcę ci coś pokazać.

Zaczerwieniłam się, a Nikołaj uśmiechnął się szeroko.

– Powinnaś sprawdzić, czy somatycy nie zaradziliby jakoś na te rumieńce – powiedział, kiedy obchodziliśmy Mały Pałac, żeby dojść nad jezioro.

Kusiło mnie, by pójść za nim tylko po to, żeby wrzucić go do wody. Chociaż... może somatycy naprawdę mogliby znaleźć sposób na moje czerwienienie się? Pokręciłam głową, żeby pozbyć się tej idiotycznej myśli. Dzień, w którym poproszę somatyka, żeby zajął się moimi rumieńcami, to dzień, w którym zostanę ze śmiechem wyrzucona z Małego Pałacu.

Nikołaj zatrzymał się na żwirowej ścieżce w połowie drogi do jeziora, a ja dołączyłam do niego. Wskazał kawałek plaży na drugim brzegu, niedaleko szkoły.

– Chcę tam wybudować nabrzeże.

– Po co?

– Żeby odbudować *Kolibra*.

– Naprawdę nie potrafisz usiedzieć ani chwili spokojnie, co? Mało masz na głowie?

Zmrużył oczy, patrząc na powierzchnię jeziora.

– Alino, mam nadzieję, że znajdziemy sposób, by pokonać Zmrocza, ale jeśli to się nie uda, potrzebujemy sposobu ucieczki.

Spojrzałam na niego.

– A co z pozostałymi griszami?

– Nie jestem w stanie im pomóc.

Nie mogłam uwierzyć, co sugerował.

– Nie zamierzam uciekać.

– Miałem przeczucie, że to powiesz. – Westchnął.

– A ty? – zapytałam z gniewem. – Zamierzasz po prostu odlecieć i zostawić nas na pastwę Zmrocza?

– Daj spokój. Wiesz, że zawsze marzył mi się pogrzeb bohatera. – Spojrzał znowu na jezioro. – Chętnie zginę w walce, ale nie chcę, żeby moi rodzice zostali tu na łasce Zmrocza. Dasz mi dwóch szkwalników do wyszkolenia?

– To nie są podarki – powiedziałam, myśląc o tym, jak Zmrocz zrobił z Genyi prezent dla królowej – ale zapytam, czy są ochotnicy. Nie mów im tylko, po co ci ten statek. Nie chcę, żeby pozostali stracili ducha.

Albo zaczęli rywalizować o miejsce na pokładzie, dodałam w myślach.

– I jest jeszcze jedna rzecz – mówiłam. – Chcę, żebyś znalazł miejsce dla Baghry. Nie powinna znowu musieć stawić czoła Zmroczowi. Dość już przeszła.

– Oczywiście – zgodził się, a potem dodał: – Nadal wierzę, że możemy wygrać.

Cieszę się, że ktoś w to wierzy, pomyślałam posępnie i odwróciłam się, żeby wrócić do pałacu.



David znowu zdołał się wymknąć po ostatniej naradzie i zrobiło się późno, kiedy już zdołałam dopaść go w pracowni fabrykatorów. Siedział zgarbiony nad stosem schematów. Palce miał poplamione atramentem.

Usiadłam na stołku obok niego i odchrząknęłam. Podniósł wzrok, zamrugał jak sowa. Był tak blady, że widziałam niebieskie żyłki pod jego skórą. Poza tym ktoś fatalnie obciął mu włosy.

Pewnie sam to zrobił, pomyślałam, kręcąc w duchu głową. Trudno było uwierzyć, że to jest chłopak, w którym Genya tak mocno się zakochała.

Zerknął na obrożę na mojej szyi. Zaczął się bawić przedmiotami na warsztacie, przesuwać je, ustawiać w precyzyjne szeregi: kompas, ołówki, pióra i różnobarwne atramenty, kawałki przezroczystego szkła i lusterek, ugotowane

na twardo jajko, które – jak zakładałam – zabrał z kolacji, kolejne stronice rysunków i planów, których nie byłam w stanie ogarnąć.

– Nad czym pracujesz? – zapytałam.

Zamrugał.

– Nad talerzami.

– Aha.

– Zwierciadlanymi misami. Parabolicznymi.

– To… ciekawe – wykrztusiłam.

Podrapał się po nosie, zostawiając na nim wielką plamę.

– To może być sposób, żeby powiększyć twoją moc.

– Jak lusterka na rękawiczkach?

Poprosiłam substantyków, żeby zrobili mi nowe. Dysponując mocą dwóch amplifikatorów, pewnie ich nie potrzebowałam, ale lusterka pomagały mi skupić światło, a kontrola, jaką zapewniały, dodawała mi otuchy.

– W pewnym sensie – odpowiedział David. – Jeśli zrobię wszystko, jak trzeba, to znacząco powiększy zasięg Cięcia.

– A jeśli ci się nie uda?

– Albo nic się nie stanie, albo ten, kto będzie je obsługiwał, zostanie rozerwany na strzępy.

– Brzmi obiecująco.

– Też tak uważam – odpowiedział, nie dostrzegając ironii, i pochylił się z powrotem nad pracą.

– Davidzie – powiedziałam z naciskiem. Podniósł wzrok zaskoczony, jakby kompletnie zapomniał, że tam siedzę. – Muszę cię o coś zapytać.

Jego spojrzenie znowu powędrowało do obroży, a potem z powrotem do warsztatu.

– Co możesz mi powiedzieć o Ilii Morozovie?

Drgnął i rozejrzał się po niemal pustym pomieszczeniu. Większość fabrykatorów nadal była na kolacji. Ewidentnie

denerwował się, może nawet się bał.

Spojrzał na stół, podniósł kompas i odłożył go z powrotem.

Wreszcie szepnął:

– Nazywali go Kościomistrzem.

Przeszedł mnie dreszcz. Pomyślałam o kościach palców i kręgach leżących na stołach handlarzy w Kribirsku.

– Dlaczego? Z powodu amplifikatorów, jakie odkrył?

David spojrzał na mnie zaskoczony.

– Nie odnalazł ich. On je stworzył.

Nie chciałam uwierzyć własnym uszom.

– *Merzost?*

Skinął głową. To dlatego spojrzał na obrożę Morozova, kiedy Zoya zapytała, czy kiedykolwiek jakiś grisza miał podobną moc. Morozov bawił się tymi samymi siłami, co Zmrocz. Magią. Plugastwem.

– Jak?

– Nikt nie wie – odpowiedział David, znowu oglądając się przez ramię. – Po śmierci Czarnego Heretyka, podczas incydentu, który zakończył się stworzeniem Fałdy, jego syn wyszedł z ukrycia i przejął kontrolę nad Drugą Armią. Kazał zniszczyć wszystkie dzienniki Morozova.

Jego syn? Znowu uświadomiłam sobie, jak niewielu ludzi zna sekret Zmrocza. Czarny Heretyk nigdy nie umarł. Zawsze istniał tylko jeden Zmrocz, jeden potężny grisza, który władał Drugą Armią od pokoleń, ukrywając swoją prawdziwą tożsamość. Na ile się orientowałam, nigdy nie miał syna. I za żadne skarby nie zniszczyłby czegoś tak cennego jak dzienniki Morozova. Na pokładzie statku wielorybniczego powiedział, że nie wszystkie książki zakazują łączenia kilku amplifikatorów. Może odwoływał się do pism samego Morozova.

– Dlaczego jego syn się ukrywał? – zapytałam zaciekawiona, jak Zmrocz zdołał uknuć taki podstęp.

Tym razem David zmarszczył czoło, jakby odpowiedź była oczywista.

– Zmrocz i jego następca nigdy nie mieszkają razem w Małym Pałacu. Ryzyko zabójstwa byłoby zbyt wielkie.

– Rozumiem.

To brzmiało dostatecznie prawdopodobnie i po setkach lat nikt chyba nie wątpił w tę historię. Griszowie uwielbiali swoje tradycje, a Genya nie mogła być pierwszą formatorką, którą Zmrocz miał na swoich usługach.

– Dlaczego kazał zniszczyć dzienniki?

– Dokumentowały eksperymenty Morozova z amplifikatorami. Czarny Heretyk próbował je odtworzyć, kiedy coś się nie udało.

Dostałam gęsiej skórki.

– I w efekcie powstała Fałda.

David skinął głową.

– Jego syn kazał spalić wszystkie dzienniki i zapiski Morozova. Powiedział, że są zbyt niebezpieczne, stanowią zbyt wielką pokusę dla griszów. To dlatego nic nie powiedziałem podczas narady. Nie powinienem nawet wiedzieć, że kiedykolwiek istniały.

– To skąd wiesz?

Rozejrzał się znowu po prawie pustej pracowni.

– Morozov był fabrykatorem, praktycznie pierwszym, z pewnością najpotężniejszym. Stworzył rzeczy, o których nikt nawet nie marzył przed nim ani po nim. – Wzruszył nieśmiało ramionami. – Dla nas jest swego rodzaju bohaterem.

– Wiesz coś o amplifikatorach, które stworzył?

Pokręcił głową.

– Krążą pogłoski o innych, ale słyszałem tylko o jeleniu.

To możliwe, że David nigdy nie widział *Istorii Sanktia*. Apparat twierdził, że kiedyś wszyscy griszowie dostawali tę

książkę jako dzieci, zaraz po przybyciu do Małego Pałacu. Ale to było dawno temu. Griszowie wierzyli w swoją Małą Naukę i nie widziałam, żeby kiedykolwiek zawracali sobie głowę religią. Przesądy, tak nazywał tę książkę Zmrocz. Propaganda dla chłopów. Ewidentnie David nie skojarzył Sankt Ilii z Ilią Morozovem. Albo coś ukrywał.

– Davidzie, co tu robisz? Stworzyłeś obrożę. Musiałeś wiedzieć, co on zamierzał.

Przełknął ślinę.

– Wiedziałem, że będzie w stanie cię kontrolować, że obroża pozwoli mu posługiwać się twoją mocą, ale nigdy nie pomyślałem, nigdy nie uwierzyłem... Wszyscy ci ludzie... – Trudno mu było znaleźć słowa. Wreszcie wyciągnął poplamione atramentem dłonie i powiedział niemal błagalnie: – Ja tworzę rzeczy. Nie niszczę ich.

Chciałam wierzyć, że nie docenił bezwzględności Zmrocza. Ja z pewnością popełniłam ten błąd. Mógł jednak kłamać albo zwyczajnie był słabym człowiekiem. „Co jest gorsze?" – zapytał brutalny głos w mojej głowie. „Jeśli raz zdradził, to może znowu to zrobić". Czy to był głos Nikołaja? Zmrocza? Czy też cząstka mnie, która nauczyła się nikomu nie ufać?

– Życzę szczęścia z misami – powiedziałam i wstałam, żeby wyjść.

David pochylił się nad papierami.

– Nie wierzę w szczęście.

Szkoda, pomyślałam, bo będziemy go potrzebować.

* * *

Z pracowni fabrykatorów poszłam prosto do biblioteki i spędziłam tam większość nocy. To było ćwiczenie z frustracji. Historie griszów zawierały jedynie najbardziej podstawowe

informacje na temat Morozova, chociaż uważano go za największego fabrykatora w dziejach świata. Wynalazł stal griszów, opracował metodę tworzenia nietłukącego się szkła, wymyślił związek pozwalający uzyskać płynny ogień tak niebezpieczny, że sam zniszczył jego recepturę dwanaście godzin po jej opracowaniu. Jednak wszelkie wzmianki o amplifikatorach i Kościomistrzu wymazano.

Mimo to wróciłam następnego wieczoru, żeby zakopać się w tekstach religijnych i wszelkich wzmiankach na temat Sankt Ilii. Jak większość historii świętych, opowieść o jego męczeństwie była przygnębiająca i brutalna. Pewnego dnia pług przewrócił się na polach za jego domem. Święty usłyszał krzyki, więc pobiegł na pomoc i zastał mężczyznę płaczącego nad martwym synem, którego ciało zostało rozorane lemieszem pługa. Ziemia wokół nasiąkła krwią. Ilia przywrócił chłopcu życie, a wieśniacy podziękowali mu, zakuwając go w żelaza i wrzucając do rzeki, gdzie utonął pod ciężarem łańcuchów.

Szczegóły były beznadziejnie mętne. Czasem Ilia był farmerem, czasem kamieniarzem albo stolarzem. Miał dwie córki albo jednego syna, albo nie miał żadnych dzieci. Mieszkańcy setek wsi twierdzili, że właśnie u nich doszło do jego męczeńskiej śmierci. Dodatkowym drobnym problemem był cud, którego dokonał. Bez kłopotu uwierzyłabym, że Sankt Ilia był somatykiem, uzdrowicielem, ale miał przecież być fabrykatorem. A jeśli jednak były to dwie różne osoby?

Nocą sala pod szklaną kopułą była oświetlona lampami naftowymi i panowała tam taka cisza, że ledwie ośmielałam się oddychać. Gdy siedziałam samotna w mroku otoczona przez książki, z trudem zwalczałam uczucie przytłoczenia. Jednakże biblioteka wydawała się moją największą nadzieją, więc wracałam do niej. Tolya zastał mnie tam pewnego wieczoru,

gdy siedziałam zwinięta na ulubionym fotelu i próbowałam zrozumieć tekst napisany w języku staroravkańskim.

– Nie powinnaś przychodzić tu nocą bez jednego z nas – zaczął gderać.

Ziewnęłam i się przeciągnęłam. Pewnie największym zagrożeniem dla mnie tutaj było to, że półka spadnie mi na głowę, ale byłam zbyt zmęczona, żeby się spierać.

– To się więcej nie powtórzy.

– Co to takiego? – spytał Tolya, pochylając się, żeby lepiej zobaczyć książkę na moich kolanach. Był ogromny, przez co czułam się trochę tak, jakby przy lekturze towarzyszył mi niedźwiedź.

– Nie jestem pewna. Zobaczyłam imię Ilia w indeksie, więc wzięłam tę książkę, ale nie mogę jej zrozumieć.

– To lista tytułów.

– Potrafisz to przeczytać? – zapytałam zaskoczona.

– Wychowywaliśmy się w kościele – powiedział, przebiegając stronę wzrokiem.

Spojrzałam na niego. Mnóstwo dzieci wychowywało się w religijnych domach, ale to nie znaczyło, że znały język liturgiczny Ravki.

– Co tu napisano?

Przesunął palcem po słowach pod imieniem Ilii. Jego ogromne ręce były pokryte bliznami. Zauważyłam też, że spod samodziałowego rękawa wystaje kawałeczek tatuażu.

– Niewiele. Święty Ilia Ukochany, Święty Ilia Najdroższy. Wypisano tu listę miast, w których podobno dokonał cudów.

Wyprostowałam się.

– To może być jakiś początek.

– Powinnaś zbadać kaplicę. Myślę, że w zakrystii leży trochę książek.

Mijałam królewską kaplicę wiele razy, ale nigdy nie wchodziłam do środka. Zawsze uważałam, że to królestwo Apparata, i nawet po jego zniknięciu nie byłam pewna, czy chcę tam zajrzeć.

– Jak wygląda?

Tolya wzruszył szerokimi ramionami.

– Jak każda kaplica.

– Tolya – zagadnęłam go nagle zaciekawiona – czy kiedykolwiek rozważałeś wstąpienie do Drugiej Armii?

Sprawiał wrażenie urażonego.

– Nie urodziłem się, żeby służyć Zmroczowi. – Chciałam wtedy zapytać, po co się urodził, ale on popukał w stronicę książki i powiedział: – Mogę to dla ciebie przetłumaczyć, jeśli chcesz. – Uśmiechnął się szeroko. – Albo może zmuszę do tego Tamar.

– W porządku. Dzięki.

Pochylił głowę. To był zwykły ukłon, ale on nadal klęczał obok mnie i było w jego pozie coś takiego, że dreszcz przeszedł mi po plecach.

Miałam wrażenie, jakby na coś czekał. Ostrożnie wyciągnęłam rękę i dotknęłam jego ramienia. Kiedy tylko go dotknęłam, odetchnął. To brzmiało prawie jak westchnienie.

Zostaliśmy tak przez chwilę, milczący w świetle lamp. A potem wstał i znowu się ukłonił.

– Będę za drzwiami – powiedział i zniknął w ciemności.

* * *

Mal wrócił z polowania następnego ranka i aż się rwałam, żeby o wszystkim mu opowiedzieć – czego się dowiedziałam od Davida, o planach budowy nowego *Kolibra* i o osobliwej rozmowie z Tolyą.

– To dziwny chłopak – zgodził się Mal – ale nie zaszkodzi zajrzeć do kaplicy.

Postanowiliśmy pójść tam razem. Po drodze zaczęłam go wypytywać o polowanie.

– Każdego dnia więcej czasu spędzaliśmy na grze w karty i piciu *kvasu* niż na czymkolwiek innym. Jeden diuk tak się urżnął, że stracił przytomność w rzece. Omal nie utonął. Słudzy wyciągali go za buty, ale on cały czas właził z powrotem i bełkotał, że to najlepszy sposób łapania pstrągów.

– Było okropnie? – zapytałam ze śmiechem.

– Było w porządku. – Kopnął kamyk na ścieżce. – Ludzie są ciebie strasznie ciekawi.

– Dlaczego wątpię, żeby to mi się spodobało?

– Jeden z królewskich tropicieli był przekonany, że twoje moce to bujda.

– I niby jak miałabym uzyskać takie efekty, jakie demonstruję?

– Myślę, że jego zdaniem w grę wchodzi wyrafinowany system zwierciadeł, bloczków i być może hipnoza. Pogubiłem się w tym trochę.

Zaczęłam chichotać.

– To nie było takie do końca zabawne. Kiedy trochę wypili, niektórzy arystokraci mówili wprost, że wszystkich griszów należałoby zebrać i stracić.

– Na wszystkich świętych… – szepnęłam.

– Boją się.

– To żadne usprawiedliwienie – odpowiedziałam, czując narastający gniew. – My też jesteśmy Ravkańczykami. Jakby zapominali o wszystkim, co Druga Armia dla nich zrobiła.

Mal uniósł ręce.

– Nie powiedziałem, że się z nimi zgadzam.

Westchnęłam i uderzyłam niewinną gałąź.

– Wiem.

– W każdym razie trochę zmieniłem sytuację.

– Jak ci się to udało?

– Spodobało im się to, że służyłaś w Pierwszej Armii i że ocaliłaś życie ich księciu.

– Po tym, jak narażał własne, żeby nas uratować?

– Możliwe, że pozwoliłem sobie pominąć pewne szczegóły.

– Och, Nikołaj będzie zachwycony. Coś jeszcze?

– Powiedziałem im, że nie cierpisz śledzi.

– Dlaczego?

– I że uwielbiasz placek ze śliwkami. I że dostałaś rózgi od Any Kui, kiedy zniszczyłaś wiosenne pantofle, skacząc po kałużach.

Skrzywiłam się.

– Dlaczego opowiedziałeś im to wszystko?

– Chciałem, żeby dostrzegli w tobie człowieka. Kiedy patrzą na ciebie, widzą tylko Przywoływaczkę Słońca. Widzą zagrożenie, kolejnego potężnego griszę jak Zmrocz. Chcę, żeby dostrzegli córkę, siostrę albo przyjaciela. Chcę, żeby widzieli Alinę.

Poczułam rosnącą w gardle gulę.

– Czy ty ćwiczysz bycie wspaniałym?

– Codziennie – odpowiedział, uśmiechając się od ucha do ucha. – Ale wolę być „użytecznym”.

Kaplica była jedynym budynkiem, jaki pozostał po klasztorze, który kiedyś stał na szczycie Os Alty. Podobno to tu koronowano pierwszego króla Ravki. W porównaniu z innymi budowlami na terenie przypałacowym była skromna – pobielone ściany i pojedyncza niebieska kopuła.

Stała pusta i wyglądała, jakby przydało jej się porządne sprzątanie. Ławki pokrywał kurz, pod okapami gnieździły się

gołębie. Kiedy szliśmy nawą, Mal wziął mnie za rękę i serce zabiło mi mocniej.

Nie straciliśmy dużo czasu w zakrystii. Nieliczne książki, jakie stały na półkach, przyniosły rozczarowanie – stare psałterze o rozpadających się pożółkłych stronach. Jedyną interesującą rzeczą w kaplicy był potężny tryptyk za ołtarzem. Feeria barw. Trzy ogromne obrazy ukazywały trzynastu świętych o dobrotliwych twarzach. Rozpoznałam niektórych z *Istorii Sanktia*: Lizabeta z krwawymi różami, Petyr z płonącymi strzałami. I był tam Sankt Ilia w obroży, okowach i z pękniętym łańcuchem.

– Żadnych zwierząt – zauważył Mal.

– Zauważyłam, że nigdy nie jest przedstawiany z amplifikatorami, a jedynie w okowach. Z wyjątkiem *Istorii Sanktia*.

Nie wiedziałam tylko dlaczego.

Większość tryptyku była w dobrym stanie, ale panel z Ilią został mocno zniszczony przez wodę. Twarze świętych ledwie wyzierały spod pleśni, a wilgotny zapach stęchlizny był wręcz obezwładniający. Zasłoniłam nos rękawem.

– Gdzieś tu musi przeciekać dach – powiedział Mal. – Kaplica jest w fatalnym stanie.

Wodziłam wzrokiem po obrysie twarzy Ilii pod pleśnią. Kolejny ślepy zaułek. Nie chciałam się przyznać, ale nabrałam nadziei. Znowu poczułam przyciąganie, wrażenie pustki na nadgarstku. Gdzie znajdował się żarptak?

– Możemy tu stać cały dzień – odezwał się znowu Mal – ale on nie zacznie mówić.

Wiedziałam, że się ze mną droczy, ale ogarnął mnie gniew, chociaż nie wiedziałam na kogo – na niego czy na mnie.

Odwróciliśmy się do wyjścia, ale wtedy zamarłam. Zmrocz czekał w ciemności przy wejściu, siedział w ocienionej ławce.

– Co się stało? – zapytał Mal, patrząc w tym samym kierunku.

Czekałam całkowicie nieruchoma. Zobacz go, błagałam go w myślach. Proszę, zobacz go.

– Alino? Coś się stało?

Wbiłam palce w dłoń.

– Nie. Myślisz, że powinniśmy raz jeszcze sprawdzić zakrystię?

– Nie robiła obiecującego wrażenia.

Zmusiłam się do uśmiechu i ruszyłam.

– Pewnie masz rację. Karmię się złudzeniami.

Kiedy minęliśmy Zmrocza, odwrócił głowę i popatrzył za nami. Przycisnął palec do ust, a potem pochylił głowę w parodii modlitwy.

Poczułam się lepiej, gdy wyszliśmy na świeże powietrze, z dala od stęchlizny kaplicy, ale w głowie miałam mętlik. To znowu się wydarzyło.

Jednakże tamtej nocy w jego sypialni dotknął mnie. Poczułam jego palce na policzku. W jakiej halucynacji to byłoby możliwe?

Zadrżałam, gdy weszliśmy do lasu. Czy to jakiś przejaw nowych mocy Zmrocza? Przerażała mnie perspektywa, że może znaleźć jakiś sposób, żeby przenikać do moich myśli, ale inne możliwości były dużo gorsze.

„Nie możesz pogwałcić zasad tego świata i nie zapłacić wysokiej ceny". Przycisnęłam rękę do boku i poczułam, jak łuski morskiego bicza ocierają się o moją skórę. „Zapomnij o Morozovie i jego szaleństwie". Może to w ogóle nie miało nic wspólnego ze Zmroczem. Może po prostu wariowałam.

– Mal – zaczęłam, nie bardzo wiedząc, co chcę powiedzieć – trzeci amp...

Położył mi palec na ustach w geście tak podobnym do gestu Zmrocza, że prawie się potknęłam, ale w następnej sekundzie usłyszałam szelest i spomiędzy drzew wynurzył się Vasilij.

Nie przywykłam widywać księcia nigdzie poza Wielkim Pałacem, więc przez chwilę po prostu stałam nieruchomo. A potem otrząsnęłam się z zaskoczenia i się ukłoniłam.

Vasilij odpowiedział na to skinieniem głowy, całkowicie ignorując Mala.

– Mój carewiczu – powiedziałam.

– Alina Starkov – odrzekł książę z uśmiechem. – Mam nadzieję, że poświęcisz mi chwilę.

– Oczywiście.

– Będę niedaleko – powiedział Mal, rzucając Vasilijowi podejrzliwe spojrzenie.

Książę popatrzył za nim.

– Dezerter nie nauczył się jeszcze, gdzie jest jego miejsce, co?

Zdławiłam gniew.

– Czym mogę służyć, mój carewiczu?

– Wolałbym, żebyś zwracała się do mnie Vasilij, kiedy jesteśmy sami.

Zamrugałam zaskoczona. Nigdy do tej pory nie zostałam z księciem sam na sam i nie chciałam robić tego teraz.

– Jak się zadomawiasz w Małym Pałacu? – zapytał.

– Doskonale, dziękuję, że pytasz, mój carewiczu.

– Vasilij, proszę.

– Nie wiem, czy to wypada zwracać się do księcia tak nieoficjalnie – odpowiedziałam sztywno.

– Mojemu bratu mówisz po imieniu.

– Poznałam go... w specyficznych okolicznościach.

– Wiem, że potrafi być bardzo czarujący – powiedział Vasilij – ale powinnaś wiedzieć, że jest także bardzo zwodniczy i bardzo sprytny.

To bez wątpienia jest prawda, pomyślałam, ale powiedziałam tylko:

– Ma niezwykły umysł.

Vasilij zarechotał.

– Jaką dyplomatką się stałaś! Twoje towarzystwo stanowi miłą odmianę. Nie mam wątpliwości, że mimo skromnego pochodzenia z czasem nauczysz się zachowywać z powściągliwością i elegancją arystokratki.

– Jednym słowem, nauczę się milczeć?

Vasilij pociągnął z dezaprobatą nosem. Musiałam skończyć tę rozmowę, by naprawdę go nie obrazić. Mógł robić wrażenie głupca, ale nadal był księciem.

– W żadnej mierze – powiedział ze sztucznym śmiechem. – Jesteś rozkosznie szczera.

– Dziękuję – wymamrotałam. – Jeśli Wasza Wysokość wybaczy...

Vasilij zagrodził mi przejście.

– Nie wiem, jaką umowę zawarłaś z moim bratem, ale musisz zdawać sobie sprawę, że jest tylko drugim synem. Bez względu na jego ambicje na zawsze nim zostanie. Tylko ja mogę uczynić z ciebie królową.

A więc to tak. Westchnęłam w duchu.

– Tylko król może uczynić kogoś królową – zwróciłam mu uwagę.

Vasilij zbył to machnięciem ręki.

– Mój ojciec nie pożyje zbyt długo. Na dobrą sprawę już władam Ravką.

Tak to nazywasz? – pomyślałam z irytacją. Wątpiłam, czy w ogóle pojawiłby się w Os Alcie, gdyby obecność Nikołaja nie zagrażała jego koronie, ale tym razem ugryzłam się w język.

– Wysoko zaszłaś, jak na sierotę z Keramzinu – ciągnął – ale możesz zajść jeszcze wyżej.

– Zapewniam cię, mój carewiczu, że nie mam takich ambicji – odpowiedziałam całkiem szczerze.

– To czego chcesz, Przywoływaczko Słońca?

– W tej chwili? Pójść na lunch.

Wysunął dolną wargę, nadąsany, i przez chwilę wyglądał całkiem jak jego ojciec. A potem się uśmiechnął.

– Jesteś mądrą dziewczyną i myślę, że okażesz się użyteczną. Nie mogę się doczekać, kiedy lepiej cię poznam.

– Niczego bardziej nie pragnę – skłamałam.

Wziął moją dłoń i przycisnął do wilgotnych ust.

– W takim razie do zobaczenia, Alino Starkov.

Żołądek podszedł mi do gardła. Kiedy Vasilij odszedł, otarłam ukradkiem rękę o *keftę*.

Mal czekał na mnie na skraju lasu.

– Czego chciał? – zapytał zmartwiony.

– Takie tam, wiesz… Kolejny książę, kolejne oświadczyny.

– Nie możesz mówić poważnie. – Mal zaśmiał się z niedowierzaniem. – Nie traci czasu.

– Władza to sojusze – powiedziałam, udając Nikołaja.

– Powinienem ci powinszować? – zapytał, ale w jego głosie nie kryło się nic poza rozbawieniem. Najwyraźniej następca tronu Ravki nie był takim zagrożeniem jak przesadnie pewny siebie korsarz.

– Myślisz, że Zmrocz musiał radzić sobie z niechcianymi awansami obślinionych królewiczów? – zapytałam ponuro.

Mal zaśmiał się szyderczo.

– Co cię tak bawi?

– Właśnie wyobraziłem sobie Zmrocza, jak dopada go spocona księżna i próbuje wykorzystać.

Parsknęłam, a potem zaczęłam śmiać się w głos. Nikołaj i Vasilij tak bardzo się różnili, że trudno było uwierzyć, że są spokrewnieni. Nagle powróciło nieproszone wspomnienie pocałunku Nikołaja, szorstki dotyk jego warg, kiedy mnie przyciskał. Pokręciłam głową.

Może i się różnią, powiedziałam sobie w myślach, gdy szliśmy do pałacu, ale obaj próbują wykorzystać cię w taki sam sposób.



Lato trwało, niosąc ze sobą fale ciepłego powietrza do Os Alty. Wytchnienie można było znaleźć tylko nad jeziorem albo w chłodnych basenach przy bani, które znajdowały się w gęstych cieniach brzozowego zagajnika obok Małego Pałacu. Wrogość ravkańskiego dworu do griszów nie powstrzymywała dworzan przed wzywaniem szkwalników i akwatyków do Wielkiego Pałacu, żeby przywoływali chłodną bryzę i tworzyli potężne bloki lodu do chłodzenia dusznych pokojów. Nie było to warte talentów griszów, ale chciałam, żeby król i królowa byli zadowoleni, a już pozbawiłam ich kilku cennych fabrykatorów, którzy ciężko teraz pracowali nad tajemniczymi zwierciadlanymi misami Davida.

Każdego ranka spotykałam się z moją radą griszów. Czasem na kilka minut, czasem na kilka godzin, żeby omówić raporty

wywiadu, ruchy wojsk, wieści z północnej i południowej granicy.

Nikołaj nadal miał nadzieję, że uda mu się zaatakować Zmrocza, nim jego armia z cieni odzyska pełnię sił, ale na razie ravkańscy szpiedzy i wywiadowcy nie zdołali odkryć miejsca jego pobytu. Wydawało się coraz bardziej prawdopodobne, że będziemy musieli bronić się w Os Alcie. Naszą jedyną przewagą był fakt, że Zmrocz nie mógł po prostu nasłać na nas *niczewojów*. Musiał trzymać się blisko swoich potworów, więc będzie musiał wkroczyć razem z nimi do stolicy. Pytanie tylko: czy wejdzie do Ravki od strony Fjerdy, czy Shu Hanu?

Stojąc w sali narad przed radą griszów, Nikołaj wskazał jedną z wielkich map na ścianie.

– Odzyskaliśmy większość tych terytoriów podczas ostatniej kampanii – powiedział, wskazując północną granicę Ravki z Fjerdą. – To gęste lasy, niemal niemożliwe do przebycia, kiedy rzeki nie są zamarznięte, a wszystkie drogi dojazdowe zostały zablokowane.

– Czy stacjonują tam griszowie? – zapytała Zoya.

– Nie, ale mamy mnóstwo zwiadowców w Ulensku. Jeśli wejdzie tamtędy, to zostaniemy uprzedzeni.

– I musiałby poradzić sobie z Petrazoi – wtrąciła Paja. – Bez względu na to, czy je obejdzie, czy przejdzie przez nie, zyskamy na czasie.

Usamodzielniła się podczas ostatnich tygodni. Chociaż David nadal milczał i wiercił się nerwowo, ona sprawiała wrażenie, jakby z przyjemnością wyrwała się na pewien czas z pracowni.

– Bardziej martwię się wieczną zmarzliną – powiedział Nikołaj, przesuwając ręką wzdłuż granicy powyżej Cybei. – Jest mocno ufortyfikowana, ale to rozległy teren.

Skinęłam głową. Przemierzaliśmy kiedyś z Malem te dzikie tereny i pamiętam, jak rozległe się wydawały. Złapałam się na

tym, że rozglądam się za nim po sali, chociaż wiedziałam, że wyjechał na kolejne polowanie, tym razem z grupą kercheńskich strzelców wyborowych i ravkańskich dyplomatów.

– A jeśli przyjdzie z południa? – zapytała Zoya.

Nikołaj dał znak Fedyorowi, który wstał i zaczął przedstawiać griszom słabe punkty południowej granicy. Ponieważ stacjonował wcześniej w Sikursku, dobrze znał te okolice.

– Kontrolowanie wszystkich przełęczy górskich w Sikurzoi jest praktycznie niemożliwe – zauważył ponuro. – Shu wykorzystują to od lat, organizując wypady na tereny Ravki. Zmrocz z łatwością przemknie się tamtędy.

– A potem pomaszeruje prosto na Os Altę – powiedział Sergiej.

– Mijając bazę wojskową w Poliznai – zauważył Nikołaj. – To działa na naszą korzyść. Tak czy inaczej, kiedy pomaszeruje, będziemy gotowi.

– Gotowi? – parsknął Pavel. – Na armię niezniszczalnych potworów?

– Nie są niezniszczalne – powiedział Nikołaj, kiwając głową w moją stronę. – Tak samo jak Zmrocz. Sam to wiem. Strzeliłem do niego.

Zoya wytrzeszczyła oczy.

– Strzeliłeś?!

– Tak. Niestety nie popisałem się, ale jestem pewien, że z czasem nabiorę wprawy. – Nikołaj przyjrzał się griszom, patrząc po kolei na każdą zatroskaną twarz, zanim odezwał się znowu: – Zmrocz jest potężny, ale my także. Nigdy do tej pory nie musiał stawiać czoła potędze współpracujących ze sobą Pierwszej i Drugiej Armii ani broni, jaką zamierzam dostarczyć. Stawimy mu opór. Oskrzydlimy go. Przekonamy się, która kula będzie miała szczęście.

Kiedy horda cienia skupi się na Małym Pałacu, Zmrocz będzie narażony na atak. Małe, ciężko uzbrojone oddziały griszów i żołnierzy będą stacjonować co dwie mile wokół stolicy. Gdy rozpoczną się walki, podejdą do Zmrocza i wykorzystają całą siłę rażenia, jaką zapewni im Nikołaj.

W pewnym sensie właśnie tego zawsze obawiał się Zmrocz. Znowu przypomniałam sobie, jak opisywał nową broń tworzoną poza granicami Ravki i co powiedział mi dawno temu pod zapadającym się dachem w starej stodole: „Epoka potęgi griszów zbliża się do końca".

Paja odchrząknęła.

– Wiemy, co się stanie z żołnierzami z cienia, kiedy zabijemy Zmrocza?

Chciałam ją uściskać. Nie wiedziałam, co się może stać z *niczewojami*, jeśli zdołamy zabić Zmrocza. Może znikną bez śladu, może rzucą się do walki z szaleńczym zapałem, a może stanie się coś gorszego, ale ona powiedziała „kiedy zabijemy Zmrocza". Pytała bojaźliwie, nieufnie, ale mimo to zabrzmiało to jak wyraz nadziei.

* * *

Skupiliśmy większość wysiłków na systemie obrony Os Alty. W mieście istniał wiekowy system ostrzegawczy oparty na dzwonach: miały ostrzec pałac, gdy wróg pojawi się w zasięgu wzroku. Otrzymawszy pozwolenie od ojca, Nikołaj zainstalował potężne działka, podobne do tych z *Kolibra*, na miejskich i pałacowych murach. Mimo gderania griszów kazałam umieścić kilka z nich także na dachu Małego Pałacu. Może nie powstrzymają *niczewojów*, ale przynajmniej ich spowolnią.

Powoli pozostali griszowie zaczęli dostrzegać użyteczność fabrykatorów. Dzięki pomocy piekielników materialnicy

próbowali stworzyć *grenatki*, które dawałyby wystarczająco silny rozbłysk światła, by ogłuszyć lub spowolnić żołnierzy z cienia. Kłopot polegał na tym, żeby nie wykorzystywać do nich proszku wybuchowego, który powaliłby wszystkich innych w pobliżu *niczewojów*. Czasem bałam się, że fabrykatorzy mogą wysadzić Mały Pałac w powietrze i odwalić całą robotę za Zmrocza. Więcej niż raz widziałam griszę przy kolacji z nadpalonymi rękawami albo osmolonymi brwiami. Zachęcałam, żeby bardziej niebezpieczne eksperymenty przeprowadzali nad jeziorem, na wszelki wypadek mając pod ręką akwatyków.

Projekt na tyle zaintrygował Nikołaja, że ten uparł się, że weźmie udział w pracach nad nim. Fabrykatorzy próbowali go ignorować, a potem udawali, że robią mu tylko przyjemność, ale szybko odkryli, że jest kimś więcej niż znudzonym księciem, który lubi bawić się różnymi rzeczami. Nie dość, że rozumiał pomysł Davida, to jeszcze współpracował ze zbuntowanymi griszami dostatecznie długo, żeby z łatwością posługiwać się językiem Małej Nauki. Wkrótce griszowie zapomnieli o jego pozycji i statusie *otkazat´sia*. Od tej pory regularnie można było go zastać zgarbionego nad stołem w pracowni materialników.

Najbardziej niepokoiły mnie eksperymenty odbywające się za polakierowanymi na czerwono drzwiami anatomicznych pracowni somatyków, gdzie, współpracując z fabrykatorami, próbowali połączyć stal griszów z ludzką kością. Chodziło o to, żeby żołnierze byli w stanie wytrzymać atak *niczewojów*. Jednakże proces był bolesny i niedoskonały, ponadto często ciało zwyczajnie odrzucało metal. Uzdrowiciele robili, co w ich mocy, ale rwane krzyki ochotników z Pierwszej Armii rozlegały się czasem echem w korytarzach Małego Pałacu.

Popołudnia były wypełnione niekończącymi się spotkaniami w Wielkim Pałacu. Moc Przywoływaczki Słońca była ważną

kartą przetargową w próbach zawarcia sojuszy z innymi krajami, często więc proszono, żebym wzięła udział w spotkaniach dyplomatycznych, zademonstrowała swoją moc i udowodniła, że rzeczywiście żyję. Królowa urządzała herbatki i kolacje, podczas których pojawiałam się, żeby się popisać. Nikołaj często wpadał, żeby rzucić kilka komplementów, poflirtować bezwstydnie i pokręcić się przy moim krześle jak czuły zalotnik.

Jednakże nic nie było równie nudne jak „narady strategiczne" z doradcami króla i dowódcami. Król rzadko brał w nich udział. Wolał spędzać dnie, kuśtykając za pokojówkami i drzemiąc w słońcu jak stary kocur. Pod jego nieobecność doradcy stale gadali o tym samym. Sprzeczali się, czy powinniśmy zawrzeć pokój ze Zmroczem, czy też zacząć z nim wojnę. Sprzeczali się, czy sprzymierzyć się z Shu Hanem, czy też raczej z Fjerdą. Kłócili się o każdą pozycję w budżecie, od ilości amunicji po śniadania żołnierzy. A jednak rzadko kiedy zapadały jakieś decyzje.

Kiedy Vasilij odkrył, że Nikołaj i ja bierzemy udział w naradach, zapomniał o latach ignorowania swoich obowiązków następcy tronu i uparł się, że też będzie w nich uczestniczył. Ku mojemu zdumieniu Nikołaj powitał go entuzjastycznie.

– Co za ulga – powiedział. – Powiedz, proszę, że widzisz w tym jakiś sens.

Pchnął zwalisty stos ksiąg rachunkowych przez stół.

– Co to takiego? – spytał Vasilij.

– Propozycja naprawy akweduktu pod Czernicynem.

– To wszystko o jednym akwedukcie?

– Nie martw się – powiedział Nikołaj – każę resztę dostarczyć do twoich komnat.

– Jest tego więcej? Czy jeden z ministrów nie może...

– Widziałeś, co się stało, kiedy ojciec pozwolił innym zająć się sprawami Ravki. Musimy zachować czujność.

Vasilij ostrożnie wziął pierwszy dokument ze stosu, jakby podnosił brudną szmatę. Z trudem powstrzymałam wybuch śmiechu.

– Vasilij myśli, że może nami rządzić, tak jak to robił ojciec – zwierzył mi się tego samego wieczoru Nikołaj. – Urządzać bankiety, czasem wygłaszać jakąś przemowę. Zadbam, żeby się przekonał, co to znaczy władać Ravką bez Zmrocza albo Apparata, który pociąga za sznurki.

Wyglądało to na dobry plan, ale wkrótce zaczęłam przeklinać w duchu obu książąt. Obecność Vasilija sprawiła, że spotkania trwały dwa razy dłużej. Przybierał pozy, puszył się, wtrącał do każdej kwestii, perorował na temat patriotyzmu i subtelności dyplomacji.

– Nigdy nie spotkałam człowieka, który potrafi tyle mówić i niczego tak naprawdę nie powiedzieć – gderałam, kiedy wracaliśmy z Nikołajem do Małego Pałacu po szczególnie nieudanej naradzie. – Musi być coś, co mógłbyś zrobić.

– Na przykład co?

– Sprawić, żeby jeden z tych kucyków-medalistów kopnął go w głowę.

– Jestem pewien, że nie raz próbowały. Vasilij jest leniwy i próżny, lubi chodzić na skróty, ale nie ma prostego sposobu na rządzenie krajem. Zaufaj mi, wkrótce się tym zmęczy.

– Może, ale pewnie ja wcześniej umrę z nudów.

Nikołaj się roześmiał.

– Na następną naradę przynieś piersiówkę. Za każdym razem, kiedy zmieni zdanie, wypij łyczek.

Jęknęłam.

– Zanim upłynie godzina, będę leżeć nieprzytomna na podłodze.

* * *

Dzięki pomocy Nikołaja sprowadziłam ekspertów od uzbrojenia z Poliznai, żeby zaznajomili griszów z nowoczesną bronią i wyszkolili ich w strzelaniu z broni palnej. Chociaż początki były pełne napięcia, teraz szkolenie przebiegało spokojniej i mieliśmy nadzieję, że może nawiążą się nowe przyjaźnie między Pierwszą a Drugą Armią. Oddziały griszów i żołnierzy, które miały zapolować na Zmrocza, gdy ten zbliży się do Os Alty, poczyniły największe postępy. Ich członkowie wracali z misji treningowych z prywatnymi żarcikami, połączeni nowymi więzami braterstwa. Zaczęli się nawet nazywać *nolniki*, „zera", bo – ściśle rzecz biorąc – nie należeli już ani do Pierwszej, ani do Drugiej Armii.

Martwiłam się, jak Botkin może zareagować na te wszystkie zmiany. Jednak ten człowiek miał talent do zabijania bez względu na stosowaną metodę i był zachwycony każdym pretekstem do rozmów o broni z Tolyą i Tamar.

Ponieważ obywatele Shu Hanu mieli paskudny nawyk traktowania skalpelem każdego swojego griszy, niewielu z nich przeżyło i trafiło do szeregów Drugiej Armii. Botkin był wniebowzięty, że ma okazję porozmawiać w ojczystym języku, ale też uwielbiał zaciętość bliźniąt. Nie polegali jedynie na swoich talentach somatyków, jak zwykli griszowie wychowani w Małym Pałacu. Ciałobójstwo było dla nich po prostu jeszcze jedną bronią w bogatym arsenale.

– Niebezpieczny chłopak. Niebezpieczna dziewczyna – skomentował pewnego ranka Botkin, patrząc, jak bliźnięta trenują z grupą somatyków, podczas gdy nerwowa grupka przywoływaczy czekała na swoją kolej. Byli tam Marie i Sergiej, a za nimi przydreptała jak zwykle Nadia.

– Ona jeft gorfa of niego – marudził Sergiej. Tamar rozcięła mu wargę i teraz z trudem mówił. – Fpółczuję jej męfowi.

– Ona nie wyjdzie za mąż – powiedział Botkin, patrząc, jak Tamar cisnęła bezradnym piekielnikiem o ziemię.

– Czemu nie? – zapytałam zdziwiona.

– Nie ona. Ani jej brat – powiedział najemnik. – Oni są jak Botkin. Urodzeni do walki. Stworzeni dla wojny.

Trzech somatyków rzuciło się na Tolyę. Po chwili wszyscy leżeli na podłodze i jęczeli. Pomyślałam o tym, co Tolya powiedział mi w bibliotece – że nie urodził się, żeby służyć Zmroczowi. Podobnie jak wielu innych Shu wybrał drogę żołnierza do wynajęcia, podróżował po świecie jako najemnik i korsarz. Mimo to ostatecznie wylądował w Małym Pałacu. Jak długo on i jego siostra tu zostaną?

– Podoba mi się – powiedziała Nadia, patrząc z rozmarzeniem na Tamar. – Jest nieustraszona.

Botkin się roześmiał.

– Nieustraszona to inne słowo na „głupia”.

– Nie pofiedziałbym jej fego profto w fwarz – burknął Sergiej, gdy Marie ocierała mu wargę wilgotną szmatką.

Złapałam się na tym, że się uśmiecham, więc odwróciłam się w bok. Nie zapomniałam tego, jak ta trójka powitała mnie w Małym Pałacu. Nie nazywali mnie dziwką ani nie próbowali mnie wyrzucić, ale z pewnością nie stanęli w mojej obronie i udawanie przyjaźni to była już lekka przesada. Poza tym nie do końca wiedziałam, jak się przy nich zachowywać. Nigdy nie byliśmy naprawdę blisko, a teraz różnica w statusie stworzyła nieprzekraczalną przepaść.

Genya w ogóle by się tym nie przejęła, pomyślałam nagle. Genya mnie znała. Śmiałaby się ze mną i zwierzałaby mi się, żadna błyszcząca *kefta* ani tytuł nie powstrzymałyby jej przed powiedzeniem mi dokładnie tego, co myśli, albo złapaniem

mnie pod rękę i podzieleniem się ploteczką. Mimo jej kłamstw tęskniłam za nią.

Jakby w odpowiedzi na moje myśli poczułam, że ktoś ciągnie mnie za rękaw i pyta drżącym głosem:

– *Moi sovereny*i? – Nadia stała obok mnie, przestępując z nogi na nogę. – Miałam nadzieję...

– O co chodzi?

Odwróciła się do mrocznego kąta stajni i wskazała młodego chłopca w niebieskich barwach eteryka, którego pierwszy raz widziałam. Paru griszów wróciło, odkąd wysłaliśmy wieść o ułaskawieniu, ale ten chłopiec wyglądał na zbyt młodego, żeby służyć na froncie. Podszedł, mnąc nerwowo w palcach *keftę*.

– To Adrik – powiedziała Nadia, obejmując go ramieniem. – Mój brat. – Można było dostrzec podobieństwo, chociaż trzeba było go poszukać. – Słyszeliśmy, że zamierzasz ewakuować szkołę.

– Zgadza się.

Wysyłałam uczniów do jedynego miejsca z sypialniami zbiorowymi, jakie znałam, dostatecznie dużego, żeby ich wszystkich pomieścić, i dostatecznie oddalonego od miejsca walk – Keramzinu. Botkin pojedzie z nimi. Szkoda mi było tracić tak zdolnego żołnierza, ale dzięki temu młodsi griszowie nadal będą mogli się od niego uczyć, a on będzie miał na nich oko. Ponieważ Baghra nie chciała się ze mną widzieć, posłałam do niej służącego z taką samą propozycją. Nie odpowiedziała. Mimo moich usilnych prób ignorowania jej zniewag ich powtarzalność nadal bolała.

– Jesteś uczniem? – zapytałam Adrika, odpychając myśli o Baghrze.

Skinął głową, a ja zauważyłam determinację w geście, jakim uniósł podbródek.

– Adrik zastanawiał się... Oboje zastanawialiśmy się, czy...

– Chcę zostać – oznajmił chłopak z zacięciem.

Uniosłam brwi.

– Ile masz lat?

– Wystarczająco dużo, żeby walczyć.

– Skończyłby szkołę w tym roku – wtrąciła Nadia.

Zmarszczyłam brwi. Był raptem parę lat młodszy ode mnie, ale składał się głównie z kościstych łokci i rozczochranych włosów.

– Jedź razem z pozostałymi do Keramzinu – powiedziałam. – Jeśli nadal będziesz chciał, możesz dołączyć do nas za rok.

O ile jeszcze tu będziemy.

– Jestem dobry. Jestem szkwalnikiem, i to równie silnym jak Nadia, nawet bez amplifikatora.

– To zbyt niebezpieczne...

– To mój dom. Nie wyjadę.

– Adrik! – zbeształa go Nadia.

– W porządku – powiedziałam.

Adrik sprawiał wrażenie rozgorączkowanego. Zaciskał pięści. Spojrzałam na Nadię.

– Jesteś pewna, że chcesz, żeby został?

– Ja... – zaczął Adrik.

– Mówię do twojej siostry. Jeśli zginiesz w walce z armią Zmrocza, to ona będzie cię opłakiwała.

Nadia nieco pobladła, ale Adrik nawet się nie wzdrygnął. Musiałam przyznać, że nie brakuje mu męstwa.

Nadia zagryzła usta, zerkając to na mnie, to na Adrika.

– Jeśli nie chcesz go rozczarować, pomyśl, jakie to będzie uczucie, gdy będziesz musiała go pochować – dodałam. Wiedziałam, że jestem brutalna, ale chciałam, żeby oboje zrozumieli, o co proszą.

Zawahała się, a potem wyprostowała plecy.

– Niech walczy – powiedziała. – Chcę, żeby został. Jeśli go odeślesz, za tydzień i tak stanie u naszej bramy.

Westchnęłam i skupiłam się na Adriku, który już uśmiechał się od ucha do ucha.

– Ani słowa innym uczniom – powiedziałam. – Nie chcę, że komuś coś jeszcze strzeliło do głowy. – Wycelowałam palec w Nadię. – Jesteś za niego odpowiedzialna.

– Dziękuję, *moi soverenyi* – powiedział Adrik, kłaniając się tak nisko, że bałam się, że się przewróci.

Już żałowałam swojej decyzji.

– Odprowadź go z powrotem na lekcje.

Patrzyłam, jak wspinają się na wzgórze, zmierzając w stronę jeziora, a potem otrzepałam *keftę* z kurzu i skierowałam się do jednej z mniejszych sal treningowych, gdzie Mal ćwiczył z Pavlem. Ostatnio Mal coraz mniej czasu spędzał w Małym Pałacu. Zaproszenia zaczęły pojawiać się tego samego popołudnia, kiedy wrócił z Balakirevu – na polowania, przyjęcia, połowy pstrąga, karty. Każdy arystokrata i oficer chciał mieć Mala na swoim następnym wieczorku towarzyskim.

Czasem znikał na jedno popołudnie, czasem na kilka dni. To mi przypominało pobyt w Keramzinie, kiedy patrzyłam, jak odjeżdża, a potem czekałam każdego dnia w kuchennym oknie na jego powrót. Jeśli jednak miałabym być szczera ze sobą, to dni, kiedy go nie było, okazywały się wręcz łatwiejsze. Gdy przebywał w Małym Pałacu, miałam wyrzuty sumienia, bo nie mogłam spędzać z nim więcej czasu, i nie cierpiałam tego, że griszowie ignorują go albo traktują z góry, jak służącego. Chociaż za nim tęskniłam, zachęcałam go do wyjazdów.

Tak jest lepiej, powtarzałam sobie. Zanim zdezerterował, żeby mi pomóc, był tropicielem z jasną przyszłością, otoczonym przez przyjaciół i wielbicieli. Nie było mu pisane pilnowanie drzwi albo stanie po kątach, odgrywanie mojego

obowiązkowego cienia, gdy szłam z jednego spotkania na drugie.

– Mogłabym patrzeć na niego całymi dniami – rozległ się głos za moimi plecami.

Zamarłam. Stała tam Zoya. Mimo skwaru wyglądała, jakby się w ogóle nie pociła.

– Nie uważasz, że cuchnie Keramzinem? – zapytałam, przypominając sobie podłe słowa, które wypowiedziała kiedyś do mnie.

– Uważam, że niższe klasy społeczne mają pewien szorstki wdzięk. Dasz mi znać, kiedy już z nim skończysz, co?

– Słucham?!

– Ojej, źle zrozumiałam sytuację? Wy dwoje sprawiacie wrażenie, że... jesteście ze sobą blisko. Jestem jednak pewna, że ostatnimi czasy celujesz znacznie wyżej.

Odwróciłam się do niej.

– Co tu robisz?

– Przyszłam na trening.

– Wiesz, o co pytam. Co robisz w Małym Pałacu.

– Jestem żołnierzem Drugiej Armii. To jest moje miejsce.

Skrzyżowałam ręce na piersi. Nadeszła chwila, żebyśmy coś sobie z Zoyą wyjaśniły.

– Nie lubisz mnie i nigdy nie przegapiłaś okazji, żeby dać mi to odczuć. Dlaczego teraz mnie wspierasz?

– A jaki mam wybór?

– Jestem pewna, że Zmrocz z radością powitałby cię u swego boku.

– Rozkazujesz mi odejść?

Siliła się na wyniosły ton, ale widziałam, że się boi. Miałam wyrzuty sumienia, bo sprawiło mi to małą przyjemność.

– Chcę wiedzieć, dlaczego tak bardzo chcesz zostać.

– Bo nie chcę żyć w ciemności. Bo ty jesteś naszą największą szansą.

Pokręciłam głową.

– To za łatwe.

Zarumieniła się.

– Mam cię błagać?

A błagałaby? Złapałam się na tym, że nie mam nic przeciwko temu.

– Jesteś próżna. Jesteś ambitna. Zrobiłabyś wszystko, żeby zdobyć uwagę Zmrocza. Co się zmieniło?

– Co się zmieniło? – Prawie się zadławiła. Zacisnęła usta i pięści. – Miałam ciotkę, która mieszkała w Novokribirsku. I siostrzenicę. Zmrocz mógł mi powiedzieć, co zamierza. Gdybym je ostrzegła...

Głos jej się załamał i natychmiast zawstydziłam się przyjemności, z jaką patrzyłam na jej zakłopotanie. Głos Baghry rozległ się w moich uszach: „Widzę, że przyzwyczajasz się do władzy... W miarę jak rośnie, pragniesz jej coraz więcej". Ale czy uwierzyłam Zoi? Czy łzy w jej oczach były prawdziwe, czy udawane? Zamrugała, żeby się ich pozbyć, i spiorunowała mnie wzrokiem.

– Nadal cię nie lubię, Starkov. Nigdy nie polubię. Jesteś niezręczną prostaczką i nie wiem, czemu urodziłaś się z taką mocą. Jesteś jednak Przywoływaczką Słońca i jeśli możesz sprawić, że Ravka pozostanie wolna, to będę dla ciebie walczyć.

Przyglądałam się jej w zamyśleniu i zauważyłam dwie jasne plamy koloru na wysokich kościach policzkowych, drżenie ust.

– No więc? – zapytała i widziałam, ile ją to pytanie kosztuje. – Odsyłasz mnie?

Poczekałam jeszcze chwilę.

– Możesz zostać – odpowiedziałam w końcu. – Na razie.

– Wszystko w porządku? – zapytał Mal.

Nie zauważyłyśmy, że przerwał treningową walkę.

W jednej chwili niepewność Zoi zniknęła. Posłała mu olśniewający uśmiech.

– Słyszałam, że cudownie radzisz sobie z łukiem i strzałą. Pomyślałam, że może udzieliłbyś mi lekcji.

Mal zerknął na nią, a potem na mnie.

– Może później.

– Nie mogę się doczekać – odpowiedziała i odeszła wśród cichego szelestu jedwabiu.

– O co tu poszło? – zapytał Mal, kiedy ruszyliśmy pod górę w stronę Małego Pałacu.

– Nie ufam jej.

Przez długą chwilę nic nie mówił.

– Alino – zaczął niespokojnie – to, co się wydarzyło w Kribirsku...

Przerwałam mu natychmiast. Nie chciałam wiedzieć, co mógł robić z Zoyą w obozie griszów. A poza tym to nie miało tu znaczenia.

– Była jedną z ulubienic Zmrocza i zawsze mnie nienawidziła.

– Pewnie była o ciebie zazdrosna.

– Złamała mi dwa żebra.

– Co takiego?!

– To był wypadek. W pewnym sensie. – Nigdy nie opowiedziałam Malowi, jak ciężko mi było, zanim nauczyłam się korzystać z mocy, nie mówiłam o niekończących się samotnych dniach pełnych porażki. – Po prostu nie mogę być pewna, wobec kogo naprawdę jest lojalna. – Potarłam kark w miejscu, gdzie mięśnie zaczęły mi się napinać. – Nie mogę nikomu ufać, ani griszom, ani służącym. Każde z nich może pracować dla Zmrocza.

Mal się rozejrzał. Chociaż raz wydawało się, że nikt nas nie obserwuje. Pod wpływem impulsu złapał mnie za rękę.

– Gritzki za dwa dni urządza przyjęcie z wróżbitami w górnym mieście. Chodź ze mną.

– Gritzki?

– Jego ojciec to Stepan Gritzki, król marynat. Nuworysz – powiedział Mal, świetnie parodiując zadowolonego z siebie arystokratę. – Ale jego rodzina ma pałac nad kanałem.

– Nie mogę – powiedziałam, myśląc o spotkaniach, zwierciadlanych misach Davida, ewakuacji szkoły. Jak mogłam iść na przyjęcie, skoro w ciągu kilku dni albo tygodni mogła wybuchnąć wojna?

– Możesz. To tylko godzina albo dwie.

To było ogromnie kuszące – wymknąć się na kilka chwil z Malem, uciec od ciężaru obowiązków w Małym Pałacu.

Musiał wyczuć, że się waham.

– Przebierzemy się za artystów. Nikt nie będzie wiedział, że Przywoływaczka Słońca tam jest.

Przyjęcie późnym wieczorem, kiedy już wykonam pracę tego dnia. Stracę jeden wieczór bezowocnych poszukiwań w bibliotece. Co to zmieni?

– W porządku. Chodźmy.

Uśmiechnął się szeroko, a mi aż zaparło dech w piersi. Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek przywyknę do myśli, że taki uśmiech naprawdę może być dla mnie.

– Tolya i Tamar nie będą zachwyceni – ostrzegł mnie.

– To moi strażnicy. Muszą wypełniać rozkazy.

Mal stanął na baczność i złożył wyrafinowany ukłon.

– *Da, moi soverenyi* – powiedział z powagą. – Żyjemy, żeby ci służyć.

Przewróciłam oczami, ale od tygodni nie czułam podobnej lekkości na duszy, kiedy ruszyłam do pracowni materialników.



Dwór Gritzkich znajdował się w dzielnicy nad kanałem, uważanej za mniej elegancką część górnego miasta, ponieważ znajdowała się dość blisko mostu i żyjącego po jego drugiej stronie motłochu. To był pełen przepychu nieduży budynek graniczący z jednej strony z pomnikiem poległych, a z drugiej z ogrodami klasztoru pod wezwaniem Sankta Lizabety.

Malowi udało się wypożyczyć powóz. Wsiedliśmy do ciasnego wnętrza wraz z bardzo zrzędliwą Tamar. Ona i Tolya bardzo długo i głośno narzekali na pomysł z przyjęciem, ale dałam im jasno do zrozumienia, że nie ustąpię. Przysięgłam także, że zachowam dyskrecję. Nie chciałam, żeby wieść o mojej wyprawie poza pałacową bramę dotarła do Nikołaja.

Wszyscy przebraliśmy się za sulijskich wróżbitów – włożyliśmy jaskrawe pomarańczowe peleryny z jedwabiu

i czerwone lakierowane maski szakali. Tolya został w Małym Pałacu. Nawet gdyby zasłonił się od stóp do głów, jego wzrost za bardzo zwracałby uwagę.

Mal uścisnął mi dłoń, a mnie ogarnęło przyprawiające o zawrót głowy podniecenie. Peleryna była nieprzyjemnie ciepła, a twarz już mnie swędziała pod maską, ale w ogóle się tym nie przejmowałam. Czułam się jak w Keramzinie, kiedy porzucaliśmy obowiązki i narażając się na rózgi, wymykaliśmy się na naszą łąkę. Leżeliśmy potem na chłodnej trawie i słuchaliśmy brzęczenia owadów, patrzyliśmy, jak chmury rozpływają się nad naszymi głowami. Tego rodzaju spokój wydawał mi się teraz bardzo odległy.

Ulica prowadząca do rezydencji króla marynat była zapchana powozami. Skręciliśmy w zaułek obok klasztoru, żeby łatwiej zmieszać się z artystami wchodzącymi wejściem dla służby.

Tamar ostrożnie poprawiła pelerynę, kiedy wysiadaliśmy z powozu. Oboje z Malem mieli pistolety. Wiedziałam, że pod pomarańczowym jedwabiem ukrywa też dwa umocowane do ud toporki.

– A jeśli ktoś będzie chciał, by przepowiedzieć mu przyszłość? – zapytałam, poprawiając rzemyki maski i wkładając kaptur.

– To powiedz mu to, co zawsze się mówi – odpowiedział Mal. – Piękne kobiety, niespodziewana fortuna. Strzeż się cyfry osiem.

Wejście dla służby prowadziło obok zaparowanej kuchni do pokojów na tyłach. Kiedy tylko weszliśmy do środka, mężczyzna odziany w liberię Gritzkich złapał mnie za ramię.

– Co wy sobie wyobrażacie? – zapytał, potrząsając mną.

Zauważyłam, że ręka Tamar powędrowała do biodra.

– Ja...

– Wasza trójka już powinna krążyć wśród gości. – Pchnął nas ku głównym pokojom rezydencji. – Nie poświęcajcie za dużo czasu jednemu gościowi. I żebym żadnego z was nie przyłapał na piciu!

Skinęłam głową, próbując uspokoić walące szaleńczo serce, i pośpiesznie poszliśmy do sali balowej. Król marynat nie oszczędzał na kosztach. Dwór ozdobiono tak, żeby przypominał najbardziej dekadencki sulijski obóz pod słońcem. Pod sufitem wisiało tysiąc latarń w kształcie gwiazd. Przykryte jedwabiem wozy zaparkowano na obrzeżach sali, żeby tworzyły błyszczący tabor, sztuczne ogniska jarzyły się roztańczonym kolorowym światłem. Drzwi na taras stały szeroko otwarte, nocne powietrze rozbrzmiewało rytmicznym pobrzękiwaniem blaszek przyczepianych do palców i zawodzeniem skrzypiec.

Zobaczyłam prawdziwych sulijskich wróżbitów rozsianych w tłumie i zdałam sobie sprawę, że musimy przedstawiać upiorny widok w szakalich maskach, ale gościom najwyraźniej to nie przeszkadzało. Większość miała już nieźle w czubie, śmiała się i pokrzykiwała, tworząc hałaśliwe grupki, gapiła się na akrobatów wirujących w górze na jedwabnych huśtawkach. Niektórzy siedzieli rozkołysani w fotelach, gdzie przepowiadano im przyszłość przy złotych dzbanach z kawą. Inni zajęli miejsca przy długim stole rozstawionym na tarasie, objadali się nadziewanymi figami i nasionami granatu, klaskali do muzyki.

Mal podsunął mi małą szklaneczkę *kvasu* i znaleźliśmy sobie ławeczkę w zacienionym kącie tarasu, podczas gdy Tamar zajęła pozycję w dyskretnej odległości od nas. Oparłam głowę na ramieniu Mala, ciesząc się, że mogę siedzieć obok niego, słuchać dudnienia i pobrzękiwania muzyki. Powietrze było ciężkie od zapachu nocnych kwiatów, a pod ich aromatem wyczuwałam woń cytryn. Odetchnęłam głęboko, czując, jak

część wyczerpania i strachu ostatnich tygodni znika. Wyjęłam stopę z pantofla i zanurzyłam palce w chłodnym żwirze.

Mal poprawił kaptur, żeby lepiej schować twarz, i uniósł nieco maskę, a potem pochylił się ku mnie i zrobił to samo z moją maską. Przysunął się do mnie. Nasze szakale zderzyły się pyskami.

Zaczęłam się śmiać.

– Następnym razem inne kostiumy – burknął.

– Większe kapelusze?

– Może moglibyśmy po prostu założyć na głowy kosze.

Dwie dziewczyny podeszły do nas chwiejnie. Tamar natychmiast pojawiła się przy mnie. Zsunęliśmy maski z powrotem.

– Przepowiedz mi przyszłość! – zażądała wyższa dziewczyna, prawie przewracając towarzyszkę.

Tamar pokręciła głową, ale Mal wskazał jeden z małych stolików, na którym stały emaliowane na niebiesko filiżanki i złoty dzban z kawą.

Dziewczyna pisnęła i nalała sobie odrobinę gęstej jak szlam kawy. Sulijczycy przepowiadali przyszłość z fusów kawy. Wypiła napój i się skrzywiła.

Trąciłam Mala w bok. Co teraz?

Wstał i podszedł do stolika.

– Hmm… – mruknął, zerkając do filiżanki. – Hmmmm…

Dziewczyna złapała go za rękę.

– Co takiego?

Machnął na mnie, żebym podeszła. Zazgrzytałam zębami i pochyliłam się nad filiżanką.

– Coś złego? – jęknęła dziewczyna.

– Bardzooo… dooobrego – powiedział Mal ze skandalicznym sulijskim akcentem. Nigdy w życiu nie słyszałam gorszego.

Dziewczyna westchnęła z ulgą.

– Spotkasz przystojnego nieznajomego.

Dziewczyny zachichotały i klasnęły w ręce.

Nie mogąc oprzeć się pokusie, wtrąciłam:

– To będzie straszny nikczemnik. – Mój akcent był pewnie gorszy od akcentu Mala. Gdyby prawdziwy Sulijczyk mnie usłyszał, chyba skończyłabym z podbitym okiem. – Musisz uciekać przed tym mężczyzną.

– Och! – Dziewczyny jęknęły rozczarowane.

– Musisz poślubić brzydkiego człowieka – dodałam. – Grubasa. – Wyciągnęłam ręce przed siebie, sugerując potężny brzuch. – On cię uszczęśliwi.

Usłyszałam, jak Mal parsknął pod maską.

Dziewczyna pociągnęła nosem.

– Nie podoba mi się ta wróżba – powiedziała. – Spróbujmy innej.

Odbiegły, a ich miejsce zajęło dwóch dość podchmielonych arystokratów.

Jeden miał haczykowaty nos i obwisłe policzki. Drugi przełknął kawę, jakby wypijał *kvas*, i z brzękiem odstawił filiżankę na stół.

– No dobra – wybełkotał, poruszając zjeżonym rudym wąsem. – Co mnie czeka? Tylko niech to będzie coś dobrego.

Mal udał, że przygląda się fusom.

– Zdobędziesz wielką fortunę.

– Już mam fortunę. Co jeszcze?

– Ehm... – mruknął asekurancko Mal. – Twoja żona urodzi trzech przystojnych synów.

Ten drugi, z haczykowatym nosem, parsknął śmiechem.

– To będziesz wiedział, że nie są twoi! – ryknął.

Pomyślałam, że arystokrata się obrazi, ale on tylko zarechotał i jeszcze bardziej się zaczerwienił.

– Muszę pogratulować lokajowi! – zadudnił.

– Słyszę, że we wszystkich najlepszych rodach są bękarty. – Jego przyjaciel zarechotał.

– I wszyscy mamy też psy, tyle że nie sadzamy ich przy stole!

Skrzywiłam się pod maską. Odnosiłam wrażenie, że mówią o Nikołaju.

– O rety – powiedziałam, wyszarpując kubek z ręki Mala. – O rety, jakie to smutne.

– Co takiego? – zapytał arystokrata, nadal się śmiejąc.

– Będziesz łysy. Strasznie łysy – powiedziałam.

Przestał się śmiać, a jego mięsista dłoń powędrowała do już rzednących rudych włosów.

– A ty... – dodałam, wskazując jego przyjaciela. Mal szturchnął mnie ostrzegawczo w stopę, ale go zignorowałam – ...ty złapiesz *korpę*.

– Co takiego?

– *Korpę!* – oznajmiłam z powagą. – Twoje intymne części skurczą się tak bardzo, że nic z nich nie zostanie!

Pobladł. Z trudem przełknął ślinę.

– Ale...

W tej samej chwili rozległy się krzyki w sali balowej i głośny huk, gdy ktoś przewrócił stół. Zobaczyłam, że dwóch mężczyzn się przepycha.

– Myślę, że czas się wynosić – powiedziała Tamar, odsuwając nas od zamieszania.

Już miałam zaprotestować, kiedy bójka rozgorzała na dobre. Ludzie zaczęli się przepychać i roztrącać, przy drzwiach tarasu zrobił się ścisk. Muzyka umilkła i wyglądało na to, że niektórzy wróżbici też biorą udział w bójce. Ponad tłumem widziałam, jak jeden z jedwabnych wozów się przewrócił. Ktoś biegł w naszą stronę i wpadł na arystokratów. Dzban z kawą przewrócił się i spadł ze stołu, a za nim poleciały małe niebieskie filiżanki.

– Chodźmy – powiedział Mal, sięgając po pistolet. – Na tyły.

Tamar pobiegła pierwsza, już z toporkami w rękach. Zbiegłam za nią po schodach, ale kiedy tylko zeszłyśmy z tarasu, usłyszałam kolejny straszliwy trzask i krzyk kobiety. Przygniótł ją bankietowy stół.

Mal schował pistolet.

– Zabierz ją do powozu! – krzyknął do Tamar. – Zaraz was dogonię.

– Mal...

– Szybko! Zaraz przybiegnę. – Wepchnął się w tłum, kierując się do przygniecionej kobiety.

Tamar pociągnęła mnie po ogrodowych schodach i dalej ścieżką, która prowadziła na tyły rezydencji i na ulicę. Z dala od płonących lamp przyjęcia zrobiło się ciemno. Przywołałam delikatne światło, żeby oświetliło nam drogę.

– Przestań – powiedziała Tamar. – Może ktoś chciał tylko odwrócić uwagę gości, a ty zdradzasz, gdzie jesteśmy.

Zgasiłam światło, a sekundę później usłyszałam odgłosy szarpaniny, głośne stęknięcie, aż w końcu zapadła cisza.

– Tamar?

Obejrzałam się, mając nadzieję, że usłyszę nadbiegającego Mala.

Serce zaczęło mi walić jak młotem. Uniosłam ręce. Nieważne, że zdradzę, gdzie jesteśmy, nie będę stała w ciemnościach. A potem usłyszałam skrzypienie furtki i chwyciły mnie mocne ręce. Szarpnięciem wciągnięto mnie w żywopłot.

Wypuściłam gorejącą flarę. Znajdowałam się na kamiennym dziedzińcu, w bok od głównego ogrodu. Ze wszystkich stron otaczały mnie przystrzyżone cisy. I nie byłam tam sama.

Zanim go zobaczyłam, poczułam jego zapach. Woń wzruszonej ziemi, kadzidła i stęchlizny. Zapach grobu. Uniosłam ręce, kiedy Apparat wynurzył się z cienia. Wyglądał tak, jak go zapamiętałam – ta sama szorstka czarna broda

i nieustępliwe spojrzenie. Nadal nosił brązowe szaty kapłana, ale z jego piersi zniknął dwugłowy orzeł, a zastąpiło go wyhaftowane złotą nicią słońce.

– Nie zbliżaj się – ostrzegłam go.

Ukłonił się nisko.

– Alina Starkov, *Sol Koroleva*. Nie chcę cię skrzywdzić.

– Gdzie jest Tamar? Jeśli coś jej się stało...

– Twoim strażnikom nie stanie się krzywda, ale błagam, żebyś mnie wysłuchała.

– Czego chcesz? Skąd wiedziałeś, że tu będę?

– Wierni są wszędzie, *Sol Koroleva*.

– Nie nazywaj mnie tak!

– Każdego dnia twoja święta armia rośnie przyciągana obietnicą twojego światła. Czeka, żebyś ją poprowadziła.

– Moja armia? Widziałam pielgrzymów obozujących pod miejskimi murami. Biednych, słabych, głodnych, desperacko pragnących ochłapów nadziei, którymi ich karmisz.

– Są inni. Żołnierze.

– Kolejni ludzie, którzy uważają mnie za świętą, bo sprzedałeś im kłamstwo?

– To nie jest kłamstwo, Alino Starkov. Jesteś Córką Keramzinu, Odrodzoną w Fałdzie.

– Nie umarłam! – odpowiedziałam gniewnie. – Przeżyłam, bo uciekłam Zmroczowi, a żeby tego dokonać, zamordowałam całą piaskołódź żołnierzy i griszów. To też mówisz swoim wyznawcom?

– Twój lud cierpi. Tylko ty możesz przynieść świt nowej epoki, czasów uświęconych świętym ogniem.

Jego oczy były dzikie i tak czarne, że nie widziałam źrenic. Czy to szaleństwo było prawdziwe, czy stanowiło część wyrafinowanej gry?

– A kto będzie rządził w tej nowej epoce?

– Ty, rzecz jasna, *Sol Koroleva*. Sankta Alina.

– Z tobą jako moją prawą ręką? Przeczytałam książkę, którą mi dałeś. Święci nie żyją zbyt długo.

– Chodź ze mną, Alino Starkov.

– Nigdzie z tobą nie pójdę.

– Nie jesteś dość silna, żeby stawić czoło Zmroczowi. Ja mogę to zmienić.

Zamarłam.

– Powiedz mi, co wiesz.

– Dołącz do mnie, a wszystko zostanie ujawnione.

Podeszłam do niego zaskoczona zachłannością i gniewem, jakie mnie ogarnęły.

– Gdzie jest żarptak?

Spodziewałam się, że zareaguje konsternacją, że będzie udawał ignorancję. Zamiast tego uśmiechnął się, odsłaniając czarne dziąsła i krzywe zęby.

– Powiedz mi, kapłanie – rozkazałam – albo rozetnę cię tutaj, a twoi wyznawcy będą mogli spróbować złożyć cię swoimi modlitwami.

Zaskoczona zdałam sobie sprawę, że mówię poważnie.

Po raz pierwszy się zaniepokoił. I dobrze. Spodziewał się łagodnej świętej?

Uniósł ręce.

– Nie wiem. Przysięgam. Ale kiedy Zmrocz opuścił Mały Pałac, nie zdawał sobie sprawy, że więcej tam nie wróci. Zostawił wiele cennych rzeczy, o których inni myśleli, że zostały dawno temu zniszczone.

Zalała mnie kolejna fala zachłanności.

– Dzienniki Morozova? Masz je?

– Chodź ze mną. Te sekrety zostały głęboko zakopane.

Czy mógł mówić prawdę? Czy po prostu przekaże mnie Zmroczowi?

– Alina! – rozległ się po drugiej stronie żywopłotu głos Mala.

– Tutaj! – odkrzyknęłam.

Mal wpadł na dziedziniec z pistoletem w ręce. Tamar biegła tuż za nim. Straciła jeden z toporków i miała pelerynę umazaną z przodu krwią.

Apparat obrócił się gwałtownie, aż zafurkotały jego zatęchłe szaty, i zniknął między krzakami.

– Czekaj! – zawołałam, już ruszając za nim.

Tamar śmignęła obok mnie z wściekłym rykiem i rzuciła się za nim w żywopłot.

– Potrzebuję go żywego! – krzyknęłam w ślad za jej znikającymi plecami.

– Nic ci nie jest? – Mal dyszał, gdy mnie dogonił.

Złapałam go za rękaw.

– Myślę, że on ma dzienniki Morozova.

– Zrobił ci coś?

– Potrafię poradzić sobie ze starym kapłanem – odpowiedziałam zniecierpliwiona. – Słyszałeś, co właśnie powiedziałam?

Cofnął się.

– Tak, słyszałem. Myślałem, że coś ci grozi.

– Nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo, tylko...

Jednakże Tamar już do nas wróciła. Na jej twarzy malowała się frustracja.

– Nie rozumiem tego – powiedziała, kręcąc głową. – W jednej chwili był tam, a w drugiej już go nie było.

– Niech to wszyscy święci... – zaklęłam.

Zwiesiła głowę.

– Wybacz mi.

Nigdy nie widziałam jej tak przygnębionej.

– Już w porządku – powiedziałam, nadal rozmyślając gorączkowo.

Pewna cząstka mnie chciała wrócić do zaułka i zacząć nawoływać Apparata, zażądać, żeby się pokazał, ścigać go ulicami miasta, aż go znajdę i wyciągnę prawdę z jego kłamliwych ust. Zerknęłam na żywopłot. Nadal słyszałam krzyki dobiegające z przyjęcia daleko za naszymi plecami. Gdzieś w ciemności zaczęły bić dzwony klasztorne. Westchnęłam.

– Wynośmy się stąd.

Znaleźliśmy naszego woźnicę, który czekał w wąskiej bocznej uliczce, gdzie go zostawiliśmy. Powrót do pałacu upłynął w napięciu.

– Ta bójka to nie był przypadek – powiedział Mal.

– Owszem – zgodziła się Tamar, ocierając brzydkie rozcięcie na brodzie. – Wiedział, że tam będziemy.

– Skąd? – dopytywał się Mal. – Nikt inny nie wiedział, że się tam wybieramy. Powiedziałaś Nikołajowi?

– Nikołaj nie ma z tym nic wspólnego – odpowiedziałam.

– Skąd ta pewność?

– Bo nic by nie zyskał. – Przycisnęłam palce do skroni. – Może ktoś widział, jak opuszczaliśmy pałac.

– W jaki sposób Apparat dostał się do Os Alty niezauważony? Skąd wiedział, że będziemy na przyjęciu?

– Nie wiem – odpowiedziałam zmęczona. – Powiedział, że wierni są wszędzie. Może ktoś ze służących podsłuchał.

– Mieliśmy dziś szczęście – powiedziała Tamar. – To się mogło skończyć o wiele gorzej.

– Ani przez chwilę nic mi tak naprawdę nie groziło – upierałam się. – On chciał tylko porozmawiać.

– Co powiedział?

Odpowiedziałam jej pokrótce, ale nie wspomniałam o dziennikach Morozova. Nie rozmawiałam o nich z nikim poza Malem, a Tamar i bez tego za dużo wiedziała o amplifikatorach.

– Zbiera jakąś armię – dokończyłam. – Ludzi, którzy wierzą, że zmartwychwstałam, i uważają, że mam jakąś świętą moc.

– Ilu? – spytał Mal.

– Nie wiem. I nie wiem, co zamierza z nimi zrobić. Pomaszerować przeciwko królowi? Posłać ich do walki z hordą Zmrocza? Już jestem odpowiedzialna za griszów, nie chcę dodatkowego brzemienia w postaci armii bezradnych *otkazat´sia*.

– Nie jesteśmy tak całkiem nieudolni – powiedział Mal z cierpką nutą w głosie.

– Nie chciałam... Miałam na myśli tylko to, że on wykorzystuje tych ludzi. Żeruje na ich nadziei.

– A to co innego niż paradowanie Nikołaja od wioski do wioski?

– Nikołaj nie wmawia ludziom, że jestem nieśmiertelna albo wyczyniam cuda.

– Nie, pozwala im tylko w to wierzyć.

– Dlaczego tak ochoczo go atakujesz?

– Dlaczego tak skwapliwie go bronisz?

Odwróciłam się zmęczona i poirytowana. Nie mogłam myśleć z takim młynem w głowie. Światła ulicznych latarni górnego miasta wpadały przez okno powozu. Resztę drogi spędziliśmy w milczeniu.

* * *

W Małym Pałacu poszłam się przebrać, podczas gdy Mal i Tamar opowiedzieli Tolyi, co się wydarzyło.

Siedziałam na łóżku, kiedy Mal zapukał. Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie, rozglądając się po sypialni.

– Ten pokój jest strasznie przygnębiający. Myślałem, że go odnowisz.

Wzruszyłam ramionami. Miałam za dużo innych spraw na głowie i prawie przywykłam do spokojnego mroku sypialni.

– Wierzysz, że Apparat ma dzienniki? – zapytał.

– Zdziwiłam się, że w ogóle wie o ich istnieniu.

Podszedł do łóżka, a ja podkuliłam nogi, żeby zrobić mu miejsce.

– Tamar ma rację – powiedział, sadowiąc się koło moich stóp. – Mogło być o wiele gorzej.

Westchnęłam.

– Tyle, jeśli idzie o zwiedzanie.

– Nie powinienem był tego proponować.

– Nie powinnam była się na to zgadzać.

Skinął głową, trąc czubkiem buta o podłogę.

– Brakuje mi ciebie – powiedział cicho.

To były łagodne słowa, ale wywołały u mnie bolesny, przyjemny dreszcz. Czy jakaś cząstka mnie w to wątpiła? Tak często wyjeżdżał.

Dotknęłam jego dłoni.

– Mnie ciebie też.

– Chodź poćwiczyć jutro ze mną strzelanie do celu – zaproponował. – Nad jeziorem.

– Nie mogę. Nikołaj i ja spotykamy się jutro z delegacją kercheńskich bankierów. Chcą zobaczyć Przywoływaczkę Słońca, nim zagwarantują pożyczkę dla Korony.

– Powiedz mu, że jesteś chora.

– Griszowie nie chorują.

– To powiedz mu, że jesteś zajęta.

– Nie mogę.

– Inni griszowie mają czas, żeby...

– Nie jestem jak inni griszowie – żachnęłam się nieco ostrzej, niż zamierzałam.

– Wiem o tym – odpowiedział zmęczonym głosem. Westchnął ciężko. – Na wszystkich świętych, jak ja nienawidzę tego miejsca.

Zamrugałam zaskoczona, zdumiona gwałtownością w jego głosie.

– Naprawdę?

– Nienawidzę przyjęć. Nienawidzę ludzi. Nienawidzę tutaj wszystkiego.

– Myślałam... Sprawiałeś wrażenie... Może nie tyle szczęśliwego, ile...

– To nie jest miejsce dla mnie. Nie mów mi, że tego nie dostrzegasz.

W to nie mogłam uwierzyć. Mal wszędzie się odnajdywał.

– Nikołaj mówi, że wszyscy cię uwielbiają.

– Bawię ich, a to nie to samo. – Odwrócił moją dłoń, przesuwając palcem po bliźnie na jej wewnętrznej stronie. – Wiesz, że tęsknię za czasami, kiedy uciekaliśmy? Nawet za obskurnym pensjonatem w Coftonie i pracą w magazynie. Przynajmniej czułem, że coś robię, a nie, że marnuję czas i gromadzę plotki.

Poruszyłam się skrępowana; nagle poczułam, że powinnam się wytłumaczyć.

– Korzystasz z każdej okazji, żeby wyjechać. Nie musisz przyjmować wszystkich zaproszeń.

Spojrzał na mnie.

– Trzymam się z daleka, żeby cię chronić.

– Przed czym? – zapytałam z niedowierzaniem.

Wstał i zaczął krążyć nerwowo po pokoju.

– Jak myślisz, o co pytano mnie na królewskim polowaniu? W pierwszej kolejności? Pytali o ciebie i mnie. – Odwrócił się, a kiedy znowu się odezwał, jego głos stał się okrutny, kpiący: – „Czy to prawda, że pokładasz się z Przywoływaczką Słońca? Jak

to jest robić to ze świętą? Ma słabość do tropicieli czy bierze do łóżka wszystkich służących?”. – Skrzyżował ręce na piersi. – Trzymam się z dala od ciebie, żeby położyć kres plotkom. Pewnie nie powinienem nawet tu przychodzić.

Objęłam kolana rękami, przyciągając je mocniej do piersi. Policzki mi płonęły.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś?

– A co mogłem powiedzieć? I kiedy? Prawie cię nie widuję.

– Myślałam, że chcesz wyjeżdżać.

– Chciałem, żebyś poprosiła, żebym został.

Gardło mi się zacisnęło. Otworzyłam usta gotowa powiedzieć mu, że to nie jest w porządku; że nie mogłam wiedzieć. Ale czy to była prawda? Może naprawdę uwierzyłam, że Mal był szczęśliwszy poza Małym Pałacem. A może po prostu wmawiałam to sobie, bo łatwiej mi się żyło, gdy on wyjeżdżał, bo to znaczyło, że jedna osoba mniej obserwuje mnie i chce czegoś ode mnie.

– Przepraszam – wychrypiałam.

Uniósł ręce, jakby chciał o coś prosić, ale zaraz opuścił je bezradnie.

– Czuję, że mi się wymykasz, i nie wiem, jak to powstrzymać.

Oczy zapiekły mnie od łez.

– Znajdziemy sposób – zapewniłam go. – Znajdziemy więcej czasu…

– Nie chodzi tylko o to. Odkąd założyłaś drugi amplifikator, jesteś inna.

Moja ręka powędrowała do obręczy.

– To, jak rozłupałaś kopułę, sposób, w jaki mówisz o żarptaku… Słyszałem, jak rozmawiałaś z Zoyą tamtego dnia. Ona się bała. A tobie się to podobało.

– Możliwe – odpowiedziałam, czując rosnący we mnie gniew. To było o wiele przyjemniejsze niż poczucie winy lub wstyd. –

I co z tego? Nie masz pojęcia, jaka ona jest, jakie to miejsce było dla mnie. Strach, odpowiedzialność...

– Wiem. Wiem to wszystko. I widzę, ile cię to kosztuje. Jednak sama to wybrałaś. Masz cel. Ja nawet nie wiem już, co tu robię.

– Nie mów tak. – Zsunęłam nogi z łóżka i wstałam. – Oboje mamy cel. Przybyliśmy tu dla Ravki. My...

– Nie, Alino, ty przybyłaś tu dla Ravki. Dla żarptaka. Żeby dowodzić Drugą Armią. – Poklepał słońce na sercu. – Ja jestem tu dla ciebie. Ty jesteś moim sztandarem. Ty jesteś moim narodem. Ale to już chyba nie ma znaczenia. Czy zdajesz sobie sprawę, że od tygodni to pierwszy raz, kiedy jesteśmy sami?

Ten fakt dotarł do nas z pełną mocą. W pokoju zapadła nienaturalna cisza. Mal zrobił jeden ostrożny krok w moją stronę. A potem pokonał dzielącą nas przestrzeń dwoma długimi susami. Jedną ręką objął mnie w talii, a drugą ujął moją twarz. Delikatnie przechylił ją tak, żeby moje usta zwróciły się ku jego wargom.

– Wróć do mnie – poprosił cicho.

Przyciągnął mnie do siebie, ale kiedy nasze usta się spotkały, kątem oka dostrzegłam ruch.

Zmrocz stał za Malem. Zesztywniałam.

Mal się odsunął.

– Co takiego? – zapytał.

– Nic. Tylko... – Urwałam. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Zmrocz nadal tam stał.

– Powiedz mu, że mnie widzisz, kiedy bierze cię w ramiona – powiedział.

Zacisnęłam powieki.

Mal opuścił ręce i odsunął się ode mnie, zaciskając pięści.

– To chyba wszystko, co potrzebowałem wiedzieć.

– Mal...

– Powinnaś była mnie powstrzymać. Cały czas stałem tam i nawijałem jak dureń. Skoro mnie nie chcesz, powinnaś to powiedzieć.

– Nie zadręczaj się, tropicielu – odezwał się Zmrocz. – Z każdego mężczyzny można zrobić głupca.

– To nie to... – zaprotestowałam.

– To Nikołaj?

– Co? Nie!

– Jeszcze jeden *otkazat´sia*, Alino? – zapytał drwiąco Zmrocz.

Mal z niesmakiem pokręcił głową.

– Pozwoliłem, żeby mnie odepchnął. Spotkania, narady, kolacje. Pozwoliłem, żeby mnie usunął na margines. Czekałem, mając nadzieję, że zatęsknisz za mną na tyle, żeby kazać im wszystkim pójść do diabła.

Przełknęłam ślinę, próbując odciąć się od widoku zimnego uśmiechu Zmrocza.

– Mal, Zmrocz...

– Nie chcę już więcej o nim słyszeć! Ani o Ravce, amplifikatorach, czymkolwiek takim. – Przeciął ręką powietrze. – Skończyłem.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

– Czekaj! – Pobiegłam za nim i sięgnęłam po jego rękę.

Odwrócił się tak szybko, że wpadłam na niego.

– Nie rób tego, Alino.

– Nie rozumiesz... – zaczęłam.

– Wzdrygnęłaś się. Spróbuj zaprzeczyć.

– Nie z twojego powodu!

Mal zaśmiał się szorstko.

– Wiem, że nie masz zbyt wiele doświadczeń, ale ja całowałem dość dziewcząt, żeby wiedzieć, co to znaczy. Nie martw się. To się więcej nie powtórzy.

Te słowa były jak policzek. Zatrzasnął za sobą drzwi.

Stałam tam i wpatrywałam się w nie. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam kościanej klamki.

Możesz to naprawić, powiedziałam sobie. Możesz jeszcze wszystko uratować. Mimo to stałam jak zmrożona, a słowa Mala dzwoniły mi w uszach. Zagryzłam usta, żeby uciszyć szloch, który wstrząsał moją piersią. Tak będzie dobrze, pomyślałam, kiedy łzy popłynęły. Dzięki temu służba niczego nie usłyszy. Ból, który zagnieździł się między moimi żebrami jak przenikliwe ostrze wbite w mostek, napierał na moje serce.

Nie słyszałam, kiedy Zmrocz się przesunął. Wiedziałam tylko, że stoi obok mnie. Długie palce odgarnęły mi włosy z szyi i oparły się na obroży. Kiedy pocałował mnie w policzek, jego usta były zimne.



Następnego dnia wczesnym rankiem znalazłam Davida na dachu Małego Pałacu, gdzie zaczęto prace nad jego ogromnymi zwierciadlanymi misami. Ustawił prowizoryczny warsztat w cieniu jednej z kopuł. Stół już był zasypany lśniącymi odłamkami i porzuconymi rysunkami. Najlżejsza bryza podrywała brzegi papierów. Rozpoznałam pismo Nikołaja na jednym z marginesów.

– Jak idzie praca? – zapytałam.

– Lepiej – odpowiedział David, przyglądając się gładkiej powierzchni najbliższej misy. – Myślę, że udało nam się uchwycić odpowiednią krzywiznę. Powinniśmy wkrótce móc je wypróbować.

– Jak bardzo wkrótce?

Nadal otrzymywaliśmy sprzeczne raporty na temat lokalizacji Zmrocza, ale jeśli nie skończył jeszcze tworzenia

armii, to wkrótce to nastąpi.

– Dwa tygodnie.

– Aż tyle?

– Możesz mieć to zrobione szybko albo możesz mieć to zrobione porządnie – burknął.

– Davidzie, muszę wiedzieć...

– Powiedziałem ci wszystko, co wiem na temat Morozova.

– Nie pytam o niego. Nie do końca. Gdybym... gdybym chciała usunąć obrożę. Jak to zrobić?

– Nie możesz.

– Nie teraz. Ale po...

– Nie – powiedział David, nie patrząc na mnie. – Nie jest jak inne amplifikatory. Nie da się jej zdjąć. Trzeba by ją złamać, zniszczyć jej strukturę. Skutki byłyby katastrofalne.

– Jak bardzo katastrofalne?

– Nie mogę mieć pewności, ale jestem przekonany, że przy nich Fałda byłaby jak zadraśnięcie papierem.

– Aha – mruknęłam.

Zatem to samo będzie dotyczyło obręczy. Czymkolwiek się stałam, nie było od tego odwrotu. Miałam nadzieję, że wizje są efektem ukąszenia przez *niczewoja*, że z czasem jego skutki osłabną, w miarę jak rana będzie się powoli goić. Jednak najwyraźniej tak się nie działo. A nawet jeśli, to i tak zawsze będę związana ze Zmroczem poprzez obrożę. Znowu zastanawiałam się, dlaczego nie próbował sam zabić morskiego bicza i związać nas jeszcze mocniej.

David wziął buteleczkę atramentu i zaczął obracać ją w palcach. Wyglądał żałośnie. Nie, nie po prostu żałośnie, pomyślałam. Jak dręczony wyrzutami sumienia. To on stworzył to połączenie, na zawsze zakuł łańcuch na mojej szyi.

Delikatnie wyjęłam buteleczkę z jego rąk.

– Gdybyś tego nie zrobił, Zmrocz znalazłby kogoś innego.

Drgnął, robiąc coś pomiędzy skinięciem głową a wzruszeniem ramion. Odstawiłam atrament na drugi koniec stołu, gdzie jego drżące ręce nie mogły do niego sięgnąć, i odwróciłam się, żeby odejść.

– Alino...?

Przystanęłam i spojrzałam na niego. Jego policzki zrobiły się czerwone jak burak. Ciepły wietrzyk unosił mu koniuszki niechlujnych włosów. Przynajmniej odrastały już po okropnym strzyżeniu.

– Słyszałem... Słyszałem, że Genya była na statku. Ze Zmroczem.

Zrobiło mi się smutno z jej powodu. Zatem David nie był tak do końca wszystkiego nieświadomy.

– Tak.

– Nic jej nie jest? – zapytał z nadzieją.

– Nie wiem. Nic jej nie było, gdy uciekałam.

Ale gdyby Zmrocz się dowiedział, że praktycznie nas wypuściła, nie wiem, co by jej zrobił. Zawahałam się.

– Prosiłam, żeby uciekała z nami.

Mina mu zrzedła.

– A ona została?

– Myślę, że uważała, że nie ma wyboru – powiedziałam. Nie mogłam uwierzyć, że ją usprawiedliwiam, ale nie potrafiłam znieść tego, że David zacząłby źle o niej myśleć.

– Powinienem był... – Chyba nie wiedział, jak skończyć to zdanie.

Chciałam mu powiedzieć coś pocieszającego, coś uspokajającego, ale moja przeszłość obfitowała w tyle błędów, że nie potrafiłam wymyślić niczego, co nie dawałoby fałszywych nadziei.

– Staramy się najlepiej, jak można – powiedziałam bez przekonania.

David spojrzał wtedy na mnie, a na jego twarzy wyraźnie malował się żal. Bez względu na to, co bym powiedziała, oboje znaliśmy brutalną prawdę. Staramy się. Próbujemy. I zwykle to absolutnie niczego nie zmienia.

* * *

Zabrałam posępny nastrój ze sobą na następną naradę w Wielkim Pałacu. Plan Nikołaja najwyraźniej działał. Chociaż Vasilij nadal przyłaził do sali rady na spotkania z ministrami, pojawiał się coraz później i czasem przyłapywałam go na tym, że przysypia. Kiedy raz zdarzyło mu się nie przyjść, Nikołaj wywlekł go z łóżka, radośnie nalegając, żeby się ubrał, bo zwyczajnie nie możemy bez niego działać. Wyraźnie skacowany Vasilij wytrzymał połowę spotkania, kołysząc się u szczytu stołu, zanim śmignął korytarzem i zwymiotował do wazonu z laki.

Dzisiaj i ja prawie przysypiałam. Nie wiał nawet najlżejszy wietrzyk i mimo otwartych okien w zatłoczonej sali rady było potwornie duszno. Narada wlokła się mozolnie, dopóki jeden z generałów nie wspomniał o malejącej liczbie żołnierzy Pierwszej Armii. Szeregi topniały z powodu zgonów, dezercji i lat brutalnych walk, a zważywszy, że Ravka miała zacząć ponownie walkę na przynajmniej jednym froncie, sytuacja była poważna.

Vasilij machnął leniwie ręką i powiedział:

– Po co to zgrzytanie zębami? Po prostu obniżcie wiek poborowy.

Usiadłam prosto.

– Jak bardzo? – zapytałam.

– Czternaście lat? Piętnaście? – zasugerował Vasilij. – Ile wynosi teraz?

Pomyślałam o wioskach, przez które przejeżdżaliśmy z Nikołajem, cmentarzach ciągnących się całymi milami.

– Czemu nie od razu dwanaście? – warknęłam.

– Nikt nie jest za młody, żeby służyć ojczyźnie – odrzekł Vasilij.

Nie wiem, czy to był efekt wyczerpania, czy gniewu, ale słowa wyrwały mi się z ust, zanim je dobrze przemyślałam:

– To po co zatrzymywać się na dwunastu? Podobno małe dzieci świetnie nadają się na mięso armatnie.

Pełen dezaprobaty pomruk rozległ się wśród królewskich doradców. Nikołaj sięgnął pod stołem i uścisnął mi ostrzegawczo rękę.

– Bracie, werbowanie młodszych żołnierzy nie powstrzyma ich przed dezercją – powiedział do Vasilija.

– To znajdźmy paru dezerterów i ukarzmy ich przykładnie.

Nikołaj uniósł brew.

– Jesteś pewien, że rozstrzelanie przez pluton egzekucyjny jest bardziej przerażające niż perspektywa rozerwania na strzępy przez *niczewoje?*

– O ile *niczewoje* istnieją – prychnął Vasilij.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

Mimo to Nikołaj uśmiechnął się uprzejmie.

– Sam je widziałem na pokładzie *Wołka Wołny*. Chyba nie nazywasz mnie kłamcą?

– Chyba nie sugerujesz, że zdrada jest lepsza od uczciwej służby w królewskiej armii?

– Sugeruję, że może ci ludzie kochają życie tak samo jak ty. Są źle wyekwipowani, brakuje im zaopatrzenia i nadziei. Gdybyś przeczytał raporty, wiedziałbyś, że oficerowie mają kłopot z zaprowadzeniem porządku w szeregach.

– Wobec tego powinniśmy narzucić surowsze kary – powiedział Vasilij. – To jest coś, co chłopi rozumieją.

Już jednego księcia zdzieliłam pięścią. Co znaczy jeszcze jeden? Prawie zerwałam się z krzesła, kiedy Nikołaj szarpnął mnie z powrotem.

– Rozumieją pełne brzuchy i jasne rozkazy – odrzekł. – Jeśli pozwolisz mi wprowadzić zmiany, które zasugerowałem, i jeżeli otworzymy skarbiec, żeby...

– Nie zawsze możesz postawić na swoim, młodszy braciszku...

W sali dosłownie skrzyło się od napięcia.

– Świat się zmienia – powiedział Nikołaj, a w jego głosie pojawiła się stalowa nuta. – A my wraz z nim, bo w przeciwnym wypadku nie pozostanie po nas nic poza prochem.

Vasilij się roześmiał.

– Nie mogę się zdecydować, czy jesteś panikarzem, czy tchórzem.

– A ja nie mogę zdecydować, czy jesteś idiotą, czy idiotą.

Twarz Vasilija zrobiła się fioletowa. Zerwał się na równe nogi i uderzył rękami o stół.

– Zmrocz to jeden człowiek. Jeśli boisz się stawić mu czoło...

– Ja już stawiłem mu czoło. Jeśli się nie boisz, jeśli żaden z was się nie boi, to tylko dlatego, że nie pojmujecie, przeciwko czemu stajemy.

Niektórzy z generałów skinęli głowami. Jednakże doradcy króla, arystokraci z Os Alty i biurokraci sprawiali wrażenie sceptycznych i poirytowanych. Dla nich wojna to wojskowe parady, teoria militarna, figurki przesuwane na mapie. Gdyby przyszło co do czego, to byli ludzie, którzy staną po stronie Vasilija.

Nikołaj wyprostował się i znowu na jego twarzy pojawiła się aktorska maska.

– Spokojnie, bracie – powiedział. – Obaj chcemy tego, co najlepsze dla Ravki.

Vasilij nie dał się ugłaskać.

– To, co najlepsze dla Ravki, to Lancov na tronie.

Wzięłam gwałtowny wdech. Wszyscy zamarli. Vasilij na dobrą sprawę nazwał Nikołaja bękartem.

Jednakże Nikołaj odzyskał opanowanie i teraz nic nie mogło nim zachwiać.

– Zatem wszyscy módlmy się o prawowitego króla Ravki. A teraz możemy zająć się konkretami?

Narada wlokła się jeszcze kilka minut, nim wreszcie nastąpił wyczekiwany koniec. Gdy wracaliśmy do Małego Pałacu, Nikołaj był niezwykle jak na niego milczący.

Gdy doszliśmy do ogrodów, zatrzymał się obok gloriety, żeby zerwać liść z żywopłotu, i powiedział:

– Nie powinienem był tak tracić nad sobą panowania. To tylko drażni jego dumę, sprawia, że bardziej się upiera przy swoim.

– To dlaczego je straciłeś? – zapytałam szczerze zaciekawiona.

Rzadko kiedy emocje brały u niego górę nad rozsądkiem.

– Nie wiem – odpowiedział, drąc listek. – Ty się rozgniewałaś. Ja się rozgniewałem. W sali było piekielnie gorąco.

– Wątpię, żeby to był prawdziwy powód.

– Niestrawność? – zasugerował.

Nie zamierzałam dać się zbyć żartem. Mimo obiekcji Vasilija i niechęci rady, żeby cokolwiek zrobić, dzięki magicznej kombinacji cierpliwości i nacisków Nikołaj zdołał przepchnąć część swoich planów. Udało mu się uzyskać zgodę na pomoc dla uchodźców z obrzeży Fałdy i pozyskać pancerną tkaninę materialników dla kluczowych pułków Pierwszej Armii. Zdołał nawet przekierować fundusze tak, żeby zrealizować plan modernizacji sprzętu rolniczego, dzięki czemu chłopi byliby w stanie uzyskać coś więcej niż tylko to, co niezbędne do

przeżycia. To były drobiazgi, ale z czasem te zmiany mogły okazać się kluczowe.

– To dlatego, że naprawdę przejmujesz się tym, co się stanie z tym krajem – powiedziałam. – Dla Vasilija tron to tylko zdobycz, coś, o co kłóci się jak o ulubioną zabawkę. Ty taki nie jesteś. Będziesz dobrym królem.

Nikołaj zamarł.

– Ja...

Chociaż raz zabrakło mu słów. A potem krzywy, zakłopotany uśmiech wypłynął mu na twarz. Daleko mu było do typowego, pewnego siebie uśmiechu Nikołaja.

– Dziękuję – powiedział.

Westchnęłam, gdy znowu ruszyliśmy.

– Teraz staniesz się już całkiem nieznośny, co?

Roześmiał się.

– Już jestem.

* * *

Dni stawały się coraz dłuższe. Nocami słońce chowało się tuż pod horyzontem i w Os Alcie zaczęło się święto zwane *Belianoczą*. Nawet o północy niebo nie było naprawdę ciemne i mimo lęku przed nadciągającą wojną i groźbą, jaką stanowiła Fałda, miasto świętowało niekończące się godziny zmierzchu. W górnym mieście wieczory były wypełnione operą, maskaradami, wystawnymi baletami. W dolnym mieście za mostem odbywały się hałaśliwe wyścigi konne i tańce na świeżym powietrzu. Niekończący się strumień łódek wypoczynkowych kołysał się na kanale i pośród jarzącego się zmierzchu leniwe wody, rozświetlone latarniami zwieszającymi się z tysięcy dziobów, okalały stolicę jak wysadzana drogocennymi kamieniami bransoleta.

Skwar nieco osłabł. Za pałacowymi murami wszyscy odzyskali trochę humor. Nadal nalegałam, żeby griszowie nie siadywali podzieleni na zakony, i w pewnej chwili, nie wiem jakim cudem, niezręczna cisza ustąpiła śmiechom i hałaśliwym rozmowom. Nadal istniały kliki i konflikty, ale też pojawiły się swoboda i żywiołowość, jakich wcześniej tam nie było.

Cieszyłam się, może nawet byłam dumna, widząc, jak fabrykatorzy i eterycy popijają herbatę przy jednym z samowarów, jak Fedyor sprzecza się o coś z Pavlem przy śniadaniu albo młodszy brat Nadii próbuje zagadywać starszą i zdecydowanie niezainteresowaną rozmową Paję. Czułam się jednak tak, jakbym przyglądała się im z ogromnej odległości.

Od czasu naszej wieczornej kłótni kilka razy próbowałam porozmawiać z Malem. Zawsze miał jakiś pretekst, żeby odejść ode mnie. Jeśli nie polował, to grał w karty w Wielkim Pałacu albo odwiedzał jakąś karczmę w dolnym mieście ze swoimi nowymi przyjaciółmi. Widziałam, że więcej pije. Bywały ranki, kiedy miał przekrwione oczy, siniaki i rozcięcia, jakby brał udział w bójce, ale zawsze zjawiał się punktualnie, zawsze był uprzejmy. Wypełniał swoje obowiązki strażnika, stał milcząco przy drzwiach, zachowywał pełen szacunku dystans, kiedy chodził za mną po pałacowych terenach.

Mały Pałac stał się bardzo samotnym miejscem. Otaczali mnie ludzie, ale miałam wrażenie, że mnie nie widzą. Dostrzegali tylko to, czego ode mnie potrzebowali. Bałam się okazać wątpliwości albo niezdecydowanie i bywały dni, kiedy czułam się, jakby nic już ze mnie nie zostało, jakby nieustanne brzemię obowiązków i oczekiwań całkiem mnie przygniotło.

Chodziłam na narady. Trenowałam z Botkinem. Spędzałam długie godziny nad jeziorem, ćwicząc posługiwanie się Cięciem. Przełknęłam nawet dumę i jeszcze raz spróbowałam odwiedzić

Baghrę, mając nadzieję, że może przynajmniej pomoże mi bardziej rozwinąć moje moce. Nie chciała jednak mnie widzieć.

Nic z tego nie wystarczało. Statek budowany nad jeziorem przez Nikołaja był nieustannym przypomnieniem, że wszystko, co robimy, najpewniej okaże się porażką. Gdzieś, nie wiadomo gdzie, Zmrocz gromadził siły, tworzył armię i kiedy nadejdzie, żadna broń, żadne bomby, żaden żołnierz ani grisza nie zdołają ich powstrzymać. Nawet ja. Jeśli bitwa źle się potoczy, wycofamy się do sali pod kopułą i będziemy czekać na wsparcie z Poliznai. Drzwi zostały wzmocnione stalą griszów, a fabrykatorzy już zaczęli uszczelniać wszelkie dziury i pęknięcia, żeby uniemożliwić wejście *niczewojom*.

Nie sądziłam, że do tego dojdzie. Dotarłam do ślepego zaułka, jeśli idzie o żarptaka. Jeśli David nie zdoła uruchomić zwierciadeł, to kiedy Zmrocz w końcu wejdzie do Ravki, nie będziemy mieli innego wyjścia niż się ewakuować. Uciekać i nie zatrzymywać się ani na chwilę.

Posługiwanie się mocą nie przynosiło mi takiej ulgi jak dawniej. Za każdym razem, gdy przywoływałam światło w pracowni materialników albo nad jeziorem, odczuwałam pustkę na moim prawym nadgarstku jak piętno. Mimo całej swojej wiedzy o amplifikatorach, zniszczeniu, jakie mogą ze sobą nieść, nieodwracalności zmian, jakie mogą we mnie wywołać, nie potrafiłam uciec od pragnienia żarptaka.

Mal miał rację. To stało się obsesją. Nocami leżałam w łóżku, wyobrażając sobie, że Zmrocz już znalazł ostatni fragment układanki Morozova. Może trzyma żarptaka uwięzionego w złotej klatce. Czy ptak śpiewałby dla niego? Nie byłam nawet pewna, czy żarptak potrafi śpiewać. Według niektórych opowieści owszem: jedna z nich twierdziła, że śpiew żarptaka potrafi uśpić całe armie. Słysząc jego trele, żołnierze przerywali

walkę, odkładali broń i zasypiali spokojnie w ramionach wrogów.

Teraz już znałam wszystkie opowieści. Żarptak płakał diamentowymi łzami, jego pióra potrafiły leczyć śmiertelne rany, a w trzepocie jego skrzydeł można było ujrzeć przyszłość. Wertowałam książkę za książką na temat folkloru i poezji epickiej, zbiory chłopskich opowieści, szukając jakiegoś wzorca lub wskazówki. Legendy o morskim biczu koncentrowały się wokół lodowych mórz Kościanej Drogi, ale historie o żarptaku pochodziły ze wszystkich zakątków Ravki i spoza jej granic, a żadna z nich nie wiązała go ze świętym.

Co gorsza, wizje stawały się coraz wyraźniejsze i częstsze. Zmrocz objawiał mi się prawie codziennie, zwykle w jego komnatach albo w przejściach między regałami w bibliotece, czasem w sali narad podczas spotkań albo kiedy wracałam o zmierzchu z Wielkiego Pałacu.

– Dlaczego nie zostawisz mnie w spokoju? – szepnęłam pewnej nocy, gdy próbowałam pracować przy biurku, a on kręcił się za moimi plecami.

Mijały długie minuty. Zwątpiłam już, czy odpowie. Miałam nawet czas pomyśleć, że może zniknął, dopóki nie poczułam jego ręki na ramieniu.

– Bo wtedy też będę sam – powiedział i został na całą noc, aż lampy całkiem się wypaliły.

Zaczęłam przyzwyczajać się do tego, że czeka na mnie na końcu korytarza albo siedzi na krawędzi mojego łóżka, kiedy zasypiam. Gdy się nie pojawiał, czasem łapałam się na tym, że się za nim rozglądam albo zastanawiam, dlaczego się nie pojawił, i to przerażało mnie najbardziej.

Jedynym pozytywem była decyzja Vasilija, żeby porzucić Os Altę na rzecz aukcji roczniaków w Carievie. Prawie zapiałam

z zachwytu, kiedy Nikołaj przekazał mi nowinę podczas jednego z naszych spacerów.

– Spakował się w środku nocy – powiedział. – Mówi, że wróci na moje urodziny, ale nie zdziwiłbym się, gdyby znalazł jakiś pretekst, żeby zostać tam dłużej.

– Powinieneś bardziej postarać się ukryć zadowolenie z siebie. To niezbyt królewskie.

– Na pewno mam prawo do odrobiny chełpliwości – powiedział ze śmiechem.

Gwizdał fałszywie tę samą melodyjkę, którą pamiętałam z *Wołka Wołny*. W pewnej chwili odchrząknął.

– Alino, oczywiście zawsze wyglądasz jak z obrazka, ale... czy ty sypiasz?

– Niewiele – przyznałam.

– Koszmary?

Nadal śniłam o potrzaskanej piaskołodzi, ludziach uciekających przed ciemnością Fałdy, ale nie to odbierało mi sen nocą.

– Nie całkiem.

– Ach tak – mruknął Nikołaj. Złożył ręce za plecami. – Zauważyłem, że twój przyjaciel ostatnio rzucił się w wir pracy. Jest ogromnie rozchwytywany.

– Cóż – odrzekłam, siląc się na beztroskę – to cały Mal.

– Gdzie nauczył się tropić? Ludzie nie potrafią się zdecydować, czy to szczęście, czy umiejętność.

– Nie uczył się. Zawsze to potrafił.

– Szczęściarz. Ja nigdy nie miałem do niczego wrodzonego talentu.

– Jesteś nadzwyczajnym aktorem – odparłam oschle.

– Naprawdę tak myślisz? – spytał, a potem pochylił się i szepnął: – Teraz gram pokornego.

Pokręciłam głową poirytowana, ale cieszyłam się z radosnej paplaniny Nikołaja, a jeszcze bardziej z tego, że porzucił poprzedni temat.

* * *

David potrzebował jeszcze prawie dwóch tygodni, żeby uruchomić zwierciadła, ale kiedy wreszcie był gotowy, zebrałam griszów na dachu Małego Pałacu, żeby obejrzeli pokaz. Tolya i Tamar też tam byli, czujni jak zawsze, i przyglądali się tłumowi. Mala nigdzie nie było widać. Zasiedziałam się poprzedniej nocy w westybulu, mając nadzieję, że go zobaczę i osobiście poproszę, żeby przyszedł. Było dawno po północy, kiedy poddałam się i poszłam do łóżka.

Dwie ogromne zwierciadlane misy umieszczono na dwóch przeciwległych krańcach dachu na płaskiej krawędzi, która ciągnęła się między kopułami wschodniego i zachodniego skrzydła. Można było nimi obracać za pomocą systemu wielokrążków i każdą obsługiwał materialnik oraz szkwalnik, zarówno jeden, jak i drugi wyposażony w gogle mające chronić przed oślepiającym światłem. Zauważyłam, że Zoya i Paja wylądowały w jednej parze, a przy drugim zwierciadle substantykowi przydzielono Nadię.

Nawet jeśli to będzie kompletna klęska, pomyślałam niespokojnie, to przynajmniej współpracują. Nie ma to jak ognista eksplozja, żeby zawiązać nić porozumienia między ludźmi.

Zajęłam swoje miejsce pośrodku dachu, dokładnie między zwierciadłami.

Z niepokojem zauważyłam, że Nikołaj zaprosił na pokaz kapitana straży pałacowej wraz z generałami i paroma królewskimi doradcami. Miałam nadzieję, że nie oczekują

niczego zbyt dramatycznego. Moja moc najlepiej uwidaczniała się w całkowitej ciemności, a długie dni w okresie *Belianoczi* skutecznie to uniemożliwiały. Zapytałam Davida, czy nie powinniśmy zaplanować demonstracji na późniejszy wieczór, ale tylko pokręcił głową.

– Jeśli to zadziała, widowisko będzie dostatecznie spektakularne. A jeżeli nie zadziała, to widok będzie jeszcze bardziej imponujący. Z racji wybuchu i tak dalej.

– Davidzie, myślę, że właśnie zażartowałeś.

Zmarszczył brwi całkowicie zbity z tropu.

– Serio?

Pod wpływem sugestii Nikołaja David wziął przykład z porządków na *Wołku Wołny* i dawał nam znaki gwizdkiem. Gwizdnął teraz przenikliwie i widzowie cofnęli się pod kopuły, zostawiając nam mnóstwo miejsca. Uniosłam ręce. David znowu zagwizdał. Przywołałam światło.

Wlało się we mnie złotym strumieniem i buchnęło mi z rąk dwoma ciągłymi promieniami, które uderzyły w misy i odbiły się od nich oślepiającym blaskiem. To było imponujące, ale nieszczególnie widowiskowe.

Wtedy David gwizdnął znowu i misy obróciły się lekko. Światło odbiło się od ich zwierciadlanych powierzchni, zwielokrotniając się i skupiając w dwóch oślepiających snopach przeszywających wczesny zmierzch.

Tłum westchnął i zasłonił oczy. Chyba nie musiałam się martwić widowiskowością.

Promienie przecięły powietrze, posyłając fale jasności i promieniując żarem, jakby wypalały samo niebo. David znowu krótko gwizdnął i promienie zlały się w jedno stopione ostrze światła. Nie dało się patrzeć na nie bezpośrednio. Jeśli Cięcie było nożem w moim ręku, to teraz dzierżyłam miecz.

Misy przechyliły się i promień opadł. Widzom zaparło dech w piersiach ze zdumienia, kiedy światło przecięło skraj lasu, ścinając czubki drzew.

Misy przechyliły się jeszcze mocniej. Strumień przypalił brzeg jeziora, a potem samą wodę. Fala pary buchnęła w powietrze ze słyszalnym sykiem i przez chwilę wyglądało to tak, jakby cała powierzchnia jeziora się gotowała.

David gwizdnął spanikowany. Pośpiesznie opuściłam ręce i światło zniknęło.

Podbiegliśmy do krawędzi dachu i spojrzeliśmy na widok rozpościerający się przed nami.

Zupełnie jakby ktoś wziął brzytwę i ściął wierzchołki drzew czystym, skośnym cięciem od szczytu linii drzew do brzegu jeziora. Tam, gdzie promień dotknął ziemi, rysował się rozjarzony rów, który biegł aż do wody.

– To działa – mruknął oszołomiony David. – To naprawdę działa.

Zaległa cisza, a potem Zoya wybuchnęła śmiechem. Dołączył do niej Sergiej, a chwilę później Marie i Nadia. Nagle wszyscy śmialiśmy się i wiwatowaliśmy, nawet humorzasty Tolya, który porwał zamroczonego Davida na ręce. Żołnierze ściskali griszów, królewscy doradcy obejmowali generałów, Nikołaj tańczył na dachu z Pają w goglach, a kapitan straży porwał mnie w przyprawiające o zawrót głowy objęcia.

Wiwatowaliśmy, krzyczeliśmy i podskakiwaliśmy, aż cały pałac się trząsł. Kiedy Zmrocz postanowi zaatakować, *niczewojów* czeka tu prawdziwa niespodzianka.

– Chodźmy to zobaczyć! – krzyknął ktoś i zbiegliśmy po schodach jak dzieci na dźwięk szkolnego dzwonka, chichocząc i odbijając się od ścian.

Przebiegliśmy przez salę pod złotą kopułą, otwarliśmy z impetem drzwi, zbiegliśmy po schodach i wypadliśmy na

zewnątrz. Kiedy wszyscy popędzili nad jezioro, ja zatrzymałam się gwałtownie.

Mal nadchodził ścieżką od strony leśnego tunelu.

– Biegnij przodem – powiedziałam do Nikołaja. – Zaraz was dogonię.

Zbliżając się, Mal wpatrywał się w ścieżkę, żeby nie spojrzeć mi w oczy. Kiedy podszedł, zauważyłam, że ma przekrwione białka i brzydki siniak na policzku.

– Co się stało? – zapytałam, unosząc rękę do jego twarzy.

Uchylił się, zerkając na służących przy drzwiach Małego Pałacu.

– Wpadłem na butelkę *kvasu*. Potrzebujesz czegoś?

– Przegapiłeś pokaz.

– Nie byłem na służbie.

Zignorowałam ból w piersi i kontynuowałam.

– Idziemy nad jezioro. Pójdziesz z nami?

Przez chwilę wydawało mi się, że się waha, ale zaraz pokręcił głową.

– Przyszedłem tylko zabrać trochę pieniędzy. Gramy w karty w Wielkim Pałacu.

Ostrze przekręciło się w mojej piersi.

– Może powinieneś się przebrać – powiedziałam. – Wyglądasz, jakbyś spał w tych rzeczach.

Natychmiast pożałowałam swoich słów, ale Mal najwyraźniej się nie przejął.

– Może spałem. Coś jeszcze?

– Nie.

– *Moi sovereny*i. – Ukłonił się służbiście i wbiegł po schodach, jakby nie mógł się doczekać, kiedy się ode mnie oddali.

Poszłam nieśpiesznie nad jezioro, mając nadzieję, że ból w sercu nieco osłabnie. Moja radość z sukcesu na dachu

zniknęła, zostawiając po sobie pustkę głęboją jak studnia – gdyby ktoś do niej krzyknął, powróciłoby do niego tylko echo.

Nad brzegiem grupa griszów szła wzdłuż rowu, wykrzykując jego rozmiary z rosnącą radością i poczuciem triumfu. Był niemal na dwie stopy szeroki i równie głęboki – bruzda zwęglonej ziemi, która ciągnęła się aż do krawędzi wody. W lesie ścięte czubki drzew zwaliły się w bezładnej plątaninie gałęzi i kawałków kory. Wyciągnęłam rękę i przesunęłam dłonią po jednym z przyciętych pni. Drewno było gładkie, równo przecięte, nadal nieco ciepłe. Zaprószyły się dwa małe pożary, ale akwatycy szybko je ugasili.

Nikołaj rozkazał przynieść jedzenie i szampana nad jezioro. Tam spędziliśmy resztę wieczoru. Generałowie i doradcy oddalili się na spoczynek wcześniej, ale kapitan i część jego straży zostali. Zdjęli kurtki i buty, weszli do jeziora, a wkrótce wszyscy uznali, że nie przejmują się mokrymi ubraniami, i rzucili się do wody, ochlapując się wzajemnie i podtapiając. Potem zorganizowali zawody pływackie do małej wysepki. Nikt się nie zdziwił, gdy wygrał akwatyk niesiony wysoko przez szczęśliwą falę.

Nikołaj i jego szkwalnicy zaproponowali, że przewiozą parę osób niedawno ukończonym statkiem, którego ochrzczono imieniem *Zimorodek*. Początkowo byli nieufni, ale po tym, jak pierwsza grupa odważnych wróciła, wymachując rękami i paplając o prawdziwym locie, wszyscy chcieli spróbować. Przysięgłam sobie, że moje stopy nigdy więcej nie oderwą się od ziemi, ale w końcu poddałam się i dołączyłam do pozostałych.

Może to z powodu szampana, a może po prostu wiedziałam, czego się spodziewać, ale *Zimorodek* robił wrażenie lżejszego i wdzięczniejszego od *Kolibra*. Chociaż kurczowo trzymałam się relingu wokół kokpitu, poczułam, że poprawia mi się humor, gdy wznieśliśmy się gładkim ruchem w powietrze.

Zebrałam się na odwagę i spojrzałam w dół. Pofalowane tereny wokół Wielkiego Pałacu ciągnęły się pod nami poprzecinane białymi żwirowymi ścieżkami. Zobaczyłam dach cieplarni, idealne koło fontanny z dwugłowym orłem, złoty błysk pałacowej bramy. A potem unosiliśmy się nad rezydencjami i długimi, prostymi bulwarami górnego miasta. Ulice były pełne ludzi świętujących *Belianocz*. Widziałam żonglerów i akrobatów na szczudłach na Gerskim Prospekcie, tancerzy wirujących na oświetlonej scenie w jednym z parków. Muzyka nadpływała z łodzi na kanale.

Chciałam zostać w górze na zawsze, otoczona przez wiatr, i patrzeć na maleńki, idealny świat pod nami. Jednakże Nikołaj w końcu obrócił koło sterowe i powróciliśmy nad jezioro, opadając powolnym łukiem.

Zmierzch pociemniał i przybrał barwę głębokiego fioletu. Piekielnicy zapalili ogniska wzdłuż brzegu i gdzieś wśród półmroku ktoś stroił bałałajkę. Z miasta w dole dobiegły wizgi i trzaski fajerwerków.

Siedziałam z Nikołajem na prowizorycznym nabrzeżu nad jeziorem z podwiniętymi nogawkami spodni, zwieszając stopy nad wodą. *Zimorodek* kołysał się obok nas ze zwiniętymi białymi żaglami.

Nikołaj kopnął wodę, wzbijając małą fontannę.

– Misy zwierciadlane wszystko zmieniają – powiedział. – Jeśli zdołasz dostatecznie długo zająć *niczewojów*, będziemy mieli czas, żeby znaleźć i zaatakować Zmrocza.

Położyłam się na pomoście i wyciągnęłam ręce nad głową, sycąc się intensywnym fioletem nocnego nieba. Kiedy obróciłam głowę, dostrzegłam zarys pustego teraz budynku szkoły. Jej okna były ciemne. Chciałabym, żeby uczniowie zobaczyli, co mogą zdziałać zwierciadła, dać im odrobinę nadziei. Perspektywa bitwy nadal była przerażająca, zwłaszcza

kiedy pomyślałam o ludziach, którzy mogą zginąć. Przynajmniej nie siedzieliśmy na pagórku i nie czekaliśmy na śmierć.

– Możemy naprawdę mieć szansę na wygraną – powiedziałam zdumiona.

– Postaraj się, żeby entuzjazm cię nie przytłoczył, ale mam jeszcze inne dobre nowiny.

Jęknęłam. Znałam ten ton głosu.

– Nie mów.

– Vasilij wraca z Carieva.

– Bądź tak miły i utop mnie od razu.

– Żebym cierpiał samotnie? Nic z tego.

– Może z okazji urodzin mógłbyś poprosić, żeby założono mu królewski kaganiec.

– Wtedy nie usłyszelibyśmy tych wszystkich ekscytujących historii na temat letnich aukcji. Na pewno fascynuje cię wyższość ravkańskich metod hodowlanych koni wyścigowych, prawda?

Jęknęłam słabo. Mal miał mieć służbę podczas urodzinowej kolacji Nikołaja następnego wieczoru. Może mogłabym to tak załatwić, żeby Tolya albo Tamar zajęli jego miejsce? W tej chwili wątpiłam, żebym zniosła patrzenie, jak przez cały wieczór stoi z kamienną twarzą wyprostowany na baczność, zwłaszcza podczas paplaniny Vasilija.

– Nie trać ducha – powiedział Nikołaj. – Może znowu ci się oświadczy.

Usiadłam prosto.

– Skąd o tym wiesz?

– O ile pamiętam, na dobrą sprawę zrobiłem to samo. Dziwi mnie tylko, że nie spróbował po raz drugi.

– Najwyraźniej niełatwo jest zostać ze mną sam na sam.

– Wiem. Jak myślisz, dlaczego odprowadzam cię z Wielkiego Pałacu po każdej naradzie?

– Ze względu na moje błyskotliwe towarzystwo? – spytałam z przekąsem rozdrażniona rozczarowaniem, jakie poczułam, słysząc jego słowa. Nikołaj doskonale potrafił sprawić, że zapominałam o tym, że wszystkie jego działania są wyrachowane.

– To także. – Wyjął nogę z wody i przyjrzał się palcom, poruszając nimi. – W końcu znowu zaproponuje ci małżeństwo.

Westchnęłam przesadnie ciężko.

– Jak można odmówić księciu?

– Raz już ci się udało – odpowiedział Nikołaj, nadal przyglądając się stopie. – I jesteś taka pewna, że tego właśnie chcesz?

– Nie możesz pytać poważnie.

Poruszył się skrępowany.

– No wiesz, jest pierwszy w kolejce do tronu, w jego żyłach płynie czysta królewska krew i tak dalej.

– Nie poślubiłabym Vasilija, nawet gdyby miał własnego żarptaka imieniem Ludmiła, i absolutnie w nosie mam jego królewskie pochodzenie. – Zerknęłam na niego. – Mówiłeś, że plotki na temat twojego pochodzenia w ogóle cię nie martwią.

– Możliwe, że nie byłem do końca szczery w tej kwestii.

– Ty? Nie byłeś do końca prawdomówny? Jestem wstrząśnięta, Nikołaju. Wstrząśnięta i przerażona.

Roześmiał się.

– Chyba łatwo powiedzieć, że to nie ma znaczenia, gdy przebywam z dala od dworu, ale najwyraźniej nikt nie pozwala mi o tym zapomnieć, zwłaszcza mój brat. – Wzruszył ramionami. – Zawsze tak było. Na mój temat krążyły plotki, zanim się urodziłem. To dlatego matka nigdy nie nazywa mnie *sobaczką*. Kojarzy jej się to z kundlem.

Serce zacisnęło mi się na te słowa. Kiedy dorastałam, miałam wiele przezwisk.

– Lubię kundle. Mają słodkie, klapnięte uszka.

– Moje uszy są pełne godności.

Przesunęłam palcem po jednej z gładkich desek pomostu.

– To dlatego tak długo cię tu nie było? Dlatego zostałeś Sturmhondem?

– Nie wiem, czy istnieje tylko jeden powód. Chyba nigdy tak naprawdę nie czułem, że tu jest moje miejsce, więc próbowałem znaleźć sobie jakieś inne.

– Ja też nigdy nie czułam, że znalazłam swoje miejsce – przyznałam. Poza tymi chwilami, kiedy byłam z Malem, pomyślałam i zaraz odepchnęłam od siebie tę myśl. Zmarszczyłam brwi. – Wiesz, czego w tobie nie cierpię?

Zamrugał zaskoczony.

– Nie.

– Zawsze mówisz to, co należy.

– A ty tego nie cierpisz?

– Widziałam, jak zmieniasz osobowości. Zawsze jesteś tym, czym inni potrzebują, żebyś był. Może rzeczywiście nigdy nie czułeś, że masz gdzieś swoje miejsce, a może po prostu mówisz tak, żeby biedna, samotna sierota bardziej cię polubiła.

– Czyli lubisz mnie?

Przewróciłam oczami.

– Tak, kiedy akurat nie chcę cię zasztyletować.

– Zawsze to coś.

– Nie, nieprawda.

Odwrócił się do mnie. W półmroku jego piwne oczy wyglądały jak odłamki bursztynu.

– Jestem korsarzem, Alino, biorę, co mogę.

Nagle zauważyłam, że jego ramię opiera się o moje, że jego udo przyciska się do mojego. Powietrze było ciepłe i pachniało

zapachami lata i dymem z palonego drewna.

– Chcę cię pocałować – powiedział.

– Już raz mnie pocałowałeś – odpowiedziałam z nerwowym śmiechem.

Kąciki ust drgnęły mu w uśmieszku.

– Chcę cię znowu pocałować – poprawił się.

– Och – szepnęłam.

Jego usta znajdowały się kilka cali od moich. Serce zabiło mi jak szalone. To Nikołaj, upomniałam się w myślach. Czyste wyrachowanie. Nawet nie myślałam, że chcę, żeby mnie pocałował, ale Mal zranił moją dumę, kiedy mnie odrzucił. Czy nie powiedział, że całował mnóstwo dziewczyn?

– Chcę cię pocałować – powiedział Nikołaj – ale tego nie zrobię. Pocałuję cię dopiero, kiedy będziesz myślała o mnie, a nie próbowała zapomnieć o nim.

Odepchnęłam się do tyłu i poderwałam niezgrabnie zakłopotana i zarumieniona.

– Alino…

– Przynajmniej teraz już wiem, że nie zawsze mówisz to, co należy – wymamrotałam.

Zabrałam swoje buty i uciekłam z pomostu.



Trzymałam się z dala od ognisk griszów, gdy obchodziłam jezioro. Nie chciałam nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać.

Czego się spodziewałam po Nikołaju? Rozrywki? Flirtu? Czegoś, co uwolni moje serce od bólu?

Może po prostu chciałam w małostkowy sposób odegrać się na Malu.

A może tak rozpaczliwie pragnęłam być blisko kogoś, że wystarczyłby mi fałszywy pocałunek niegodnego zaufania księcia.

Myśl o urodzinowej kolacji następnego wieczoru napełniała mnie przerażeniem. Może zdołam w jakiś sposób się wymówić, zastanawiałam się, idąc do pałacu. Mogłabym wysłać miły liścik do Wielkiego Pałacu zapieczętowany woskiem z odciśniętą oficjalną pieczęcią Przywoływaczki Słońca:

Do Ich Wysokości Króla i Królowej Ravki.

Z ogromnym smutkiem muszę wyrazić swój żal i poinformować, że nie będę w stanie wziąć udziału w uroczystościach z okazji urodzin księcia Nikołaja Lancova, wielkiego księcia Udovy.

Zaistniały bowiem pewne niefortunne okoliczności, a mianowicie mój najlepszy przyjaciel nie może znieść mojego widoku, a Wasz syn mnie nie pocałował, chociaż tego chciałam. A może nie chciałam? Możliwe też, że nadal nie jestem pewna, czego chcę, ale istnieje spora szansa, że jeśli będę musiała przesiedzieć tę durną urodzinową kolację, to skończy się na tym, że poryczę się w swój kawałek tortu.

Z najlepszymi życzeniami w tym najradośniejszym z dni,
Alina Starkov, idiotka.

Kiedy dotarłam do komnat Zmrocza, Tamar czytała w westybulu. Podniosła wzrok, gdy weszłam, ale nastrój musiał malować się na mojej twarzy, bo nie odezwała się słowem.

Wiedziałam, że nie zdołam zasnąć, więc usiadłam na łóżku oparta na poduszkach z jedną z książek, które wzięłam z biblioteki – starym przewodnikiem po słynnych zabytkach Ravki. Miałam odrobinę nadziei, że wskaże mi drogę do łuku.

Próbowałam się skupić, ale złapałam się na tym, że czytam to samo zdanie raz po raz. Byłam otępiała od szampana, a stopy cały czas miałam zimne i wilgotne od wody w jeziorze. Mal mógł już wrócić z kart. Gdybym zapukała do jego drzwi i on by otworzył, to co bym powiedziała?

Odrzuciłam książkę na bok. Nie wiedziałam, co powiedzieć Malowi. Ostatnio nigdy nie wiedziałam. Ale może mogłabym zacząć od prawdy: że jestem zagubiona i zdezorientowana, że może wariuję, że czasem sama siebie się boję i że tęsknię za nim tak bardzo, że to przypomina fizyczny ból. Musiałam

przynajmniej spróbować naprawić rozdźwięk między nami, nim naprawdę nie da się już nic z nim zrobić. Bez względu na to, co Mal może pomyśleć o mnie później, nie może być dużo gorzej. Przeżyję kolejne odrzucenie, ale nie zniosę myśli, że nawet nie spróbowałam czegoś naprawić.

Wyjrzałam do westybulu.

– Jest Mal? – zapytałam Tamar.

Pokręciła głową.

Przełknęłam dumę i spytałam:

– Wiesz, dokąd poszedł?

Tamar westchnęła.

– Weź buty. Zabiorę cię do niego.

– Gdzie jest?

– W stajniach.

Zaniepokojona dałam nura z powrotem do sypialni i szybko włożyłam buty. Wyszłam za Tamar z Małego Pałacu i ruszyłam przez trawniki.

– Na pewno chcesz tam iść? – upewniła się Tamar.

Nie odpowiedziałam. Cokolwiek zamierzała mi pokazać, wiedziałam, że to mi się nie spodoba. Mimo to nie chciałam wrócić do pokoju i schować głowy pod kołdrę.

Zeszłyśmy łagodnym stokiem, mijając banię. Konie rżały na wybiegu. W stajniach było ciemno, ale w salach treningowych płonęło światło. Usłyszałam krzyki.

Największa sala treningowa była na dobrą sprawę stodołą z klepiskiem, na której ścianach wisiała wszelka możliwa broń. Zwykle właśnie tu Botkin wymierzał kary griszom i zarządzał ćwiczenia. Jednakże tego wieczoru zebrało się tam mnóstwo ludzi, głównie żołnierzy, paru griszów i nawet służących. Wszyscy krzyczeli i kibicowali, przepychając się, żeby lepiej widzieć to, co się działo pośrodku pomieszczenia.

Przepchałyśmy się z Tamar przez tłum niezauważone. Dostrzegłam dwóch królewskich tropicieli, kilku członków pułku Nikołaja, grupę somatyków i Zoyę, która krzyczała i klaskała w dłonie razem z resztą.

Prawie doszłam do pierwszej linii, kiedy zobaczyłam szkwalnika. Szedł z nagą piersią i uniesionymi pięściami wzdłuż kręgu, jaki utworzyli gapie. Eskil, przypomniałam sobie, jeden z griszów, którzy podróżowali z Fedyorem. Był Fjerdaninem i na takiego wyglądał – niebieskie oczy, włosy tak jasne, że prawie białe, był wysoki i dostatecznie szeroki w ramionach, żeby całkiem zasłonić mi widok.

Jeszcze nie jest za późno, pomyślałam. Jeszcze możesz się odwrócić i udawać, że nigdy tu nie byłaś.

Stałam w miejscu, jakbym zapuściła korzenie. Wiedziałam, co zobaczę, ale mimo to przeżyłam szok, kiedy Eskil odsunął się na bok i pierwszy raz dostrzegłam Mala. Tak jak szkwalnik był rozebrany do pasa, mięśnie piersi miał spocone i brudne. Kostki jego rąk były posiniaczone. Strużka krwi spływała mu po policzku z rozcięcia pod okiem, ale on nie zwracał na to uwagi.

Szkwalnik zaatakował. Mal zablokował pierwszy cios, ale następny trafił go poniżej nerek. Mal jęknął, opuścił łokieć i wymierzył potężny cios w szczękę szkwalnika.

Eskil odskoczył poza zasięg ciosu i przesunął ręką, kreśląc potężny łuk. Spanikowana zdałam sobie sprawę, że używa mocy. Poczułam podmuch wiatru we włosach i w następnej sekundzie wiatr eteryka ściął Mala z nóg. Eskil zamachnął się drugą ręką i ciało Mala skoczyło do góry i walnęło o dach stodoły. Wisiał tam przez chwilę przyszpilony mocą griszy do drewnianych krokwi. Potem Eskil go puścił. Mal spadł na podłogę z taką siłą, że aż zadzwoniły mu kości.

Krzyknęłam, ale ryk tłumu całkowicie to zagłuszył. Jeden z somatyków wrzasnął zachęcająco do Eskila, a drugi krzyczał

do Mala, żeby wstawał.

Przepchnęłam się do przodu. Światło już buchało mi z rąk. Tamar złapała mnie za rękaw.

– On nie chce twojej pomocy.

– Nic mnie to nie obchodzi! – krzyknęłam. – To nie jest uczciwa walka. To jest zakazane!

Griszom nie wolno było posługiwać się mocami w salach treningowych.

– Zasady Botkina nie obowiązują po zmroku. Mal właśnie walczy, a nie trenuje.

Wyrwałam rękę z jej uścisku. Lepszy Mal rozgniewany niż martwy.

Podniósł się na czworaki i próbował wstać. Byłam zdumiona, że jest w stanie ruszać się po ataku szkwalnika. Eskil znowu uniósł ręce. Powietrze wzbiło tuman kurzu. Przywołałam światło, nie przejmując się tym, co Tamar albo Mal mogą na ten temat powiedzieć. Jednakże tym razem Mal przeturlał się, robiąc unik przed podmuchem, i poderwał się na równe nogi z zaskakującą szybkością.

Eskil się skrzywił i rozejrzał, rozważając swoje możliwości. Wiedziałam, o czym myśli. Nie mógł po prostu pójść na całość, nie powalając nas wszystkich razem z częścią stodoły. Czekałam, trzymając słabe światło. Nie wiedziałam, co robić.

Mal ciężko dyszał zgięty wpół, z rękami opartymi na udach. Miał pewnie pęknięte co najmniej jedno żebro. Mógł mówić o szczęściu, że nie złamał kręgosłupa. Siłą woli próbowałam go przekonać, żeby z powrotem padł i już tam został, on jednak zmusił się do wyprostowania i syknął z bólu. Poruszył ramionami, żeby rozluźnić mięśnie, zaklął i splunął krwią. A potem, ku mojej zgrozie, wygiął palce i przywołał do siebie szkwalnika. Tłum zaczął zagrzewać ich do walki.

– Co on wyprawia? – jęknęłam. – W końcu Eskil go zabije.

– Nic mu nie będzie – odpowiedziała Tamar. – Widziałam, jak gorzej obrywał.

– Co?!

– Walczy prawie co wieczór, kiedy jest dostatecznie trzeźwy. Czasem także, kiedy nie jest.

– Walczy z griszami?

Tamar wzruszyła ramionami.

– Jest w tym całkiem niezły.

Czyli to tym zajmował się wieczorami? Przypomniałam sobie wszystkie ranki, kiedy pojawiał się posiniaczony i podrapany. Co próbował udowodnić? Pomyślałam o swoich nieprzemyślanych słowach, kiedy wracaliśmy z przyjęcia z wróżbitami: „Nie chcę brzemienia w postaci armii bezradnych *otkazat´sia*".

Żałowałam, że je wypowiedziałam.

Szkwalnik zamarkował zwód w lewo, a potem uniósł ręce do następnego ataku. Wiatr powiał przez krąg i zobaczyłam, że Mal odrywa się od ziemi. Zazgrzytałam zębami przekonana, że zaraz zobaczę, jak zostaje ciśnięty o ścianę. Jednak w ostatniej sekundzie obrócił się, wyrwał z podmuchu i zaatakował zaskoczonego szkwalnika.

Eskil stęknął głośno, kiedy Mal zacisnął wokół niego ramiona, przyszpilając mu ręce tak, że nie mógł przywołać mocy. Rosły Fjerdanin warknął, napinał mięśnie, szczerząc zęby, i próbował wyrwać się Malowi.

Wiedziałam, że to musiało wiele go kosztować, ale Mal jeszcze mocniej zacisnął ręce. Przesunął się, a potem uderzył czołem w nos przeciwnika. Rozległ przyprawiający o mdłości trzask. Zanim zdążyłam zamrugać, wypuścił Eskila i wymierzył mu grad ciosów w brzuch i boki.

Eskil zgarbił się, próbując się osłonić, z trudem łapiąc oddech, gdy krew mu spływała po otwartych ustach. Mal

obrócił się i brutalnie kopnął w nogi szkwalnika. Eskil padł na kolana, zakołysał się, ale jakimś cudem nie padł.

Mal się cofnął, przyglądając się swojemu dziełu. Tłum wył i tupał, wrzeszczał jak oszalały, ale Mal nie odrywał nieufnego spojrzenia od klęczącego szkwalnika.

Przyjrzał się przeciwnikowi, a potem opuścił pięści.

– Śmiało – powiedział do griszy.

Wyraz jego twarzy sprawił, że przeszły mnie ciarki. Malowały się na niej wyzwanie i ponura satysfakcja. Co widział, kiedy patrzył na klęczącego Eskila?

Oczy Eskila się zaszkliły. Z wysiłkiem uniósł dłonie. Słabiutki zefirek popłynął w stronę Mala. Tłum go wygwizdał.

Mal poddał się powiewowi bryzy, a potem podszedł do szkwalnika. Słaby podmuch Eskila zgasł. Mal położył rękę na jego piersi i pchnął raz, z pogardą.

Eskil się przewrócił. Jego rosłe ciało uderzyło o ziemię. Eskil zwinął się w kłębek, jęcząc.

Gwizdy i radosne krzyki rozlegały się wokół nas. Rozradowany żołnierz złapał Mala za nadgarstek i uniósł jego rękę wysoko i triumfalnie, a pieniądze zaczęły zmieniać właścicieli.

Tłum rzucił się do Mala, unosząc mnie ze sobą. Wszyscy gadali jeden przez drugiego. Ludzie poklepywali go po plecach, wciskali mu pieniądze. A potem pojawiła się przed nim Zoya. Zarzuciła mu ręce na szyję i przycisnęła do jego warg swoje usta. Zauważyłam, że zamarł bez ruchu.

Ryk wypełnił mi uszy, zagłuszając wrzaski tłumu.

Odepchnij ją, błagałam go w myślach. Odepchnij ją.

I przez chwilę myślałam, że to zrobi. Wtedy jednak objął ją i odwzajemnił pocałunek, podczas gdy tłum wiwatował i wył.

Żołądek mi się zacisnął. To było jak fałszywy krok na zamarzniętym strumieniu – trzask lodu, nagły upadek

i świadomość, że w dole nie ma niczego poza ciemną wodą.

Odsunął się od niej, szczerząc zęby w uśmiechu, z nadal zakrwawionym policzkiem, i wtedy napotkał moje spojrzenie. Pobladł.

Zoya spojrzała w tym samym kierunku i uniosła wyzywająco głowę na mój widok.

Odwróciłam się i zaczęłam się przepychać przez tłum. Tamar zaraz znalazła się za mną.

– Alino – powiedziała.

– Zostaw mnie samą.

Oderwałam się od niej. Musiałam wyjść, musiałam oddalić się od wszystkich. Łzy zaczęły mi zamazywać obraz przed oczami. Nie byłam pewna, czy to z powodu pocałunku, czy tego, co widziałam wcześniej, ale nie mogłam ich nikomu pokazać. Przywoływaczka Słońca nie płacze, zwłaszcza z powodu jednego ze swoich strażników, zwykłego *otkazat´sia*.

Zresztą jakie miałam prawo do łez? Przecież omal nie pocałowałam Nikołaja, prawda? Może znalazłabym go teraz i przekonała, żeby mnie pocałował bez względu na to, o kim myślę.

Wypadłam ze stajni w półmrok. Powietrze nadal było ciepłe i gęste. Miałam wrażenie, że nie mam czym oddychać. Odeszłam daleko od dobrze oświetlonej ścieżki przy wybiegu i ruszyłam w stronę osłony brzozowego zagajnika. Ktoś mnie pociągnął za rękę.

– Alino – powiedział Mal.

Strząsnęłam jego rękę i przyśpieszyłam. Teraz już praktycznie biegłam.

– Alino, stój – powiedział, z łatwością dotrzymując mi kroku mimo cięgów, jakie zebrał.

Zignorowałam go i dałam nura w las. Czułam zapach gorących źródeł, które zasilały banię, ostrą woń brzozowych

liści pod stopami. Bolało mnie gardło. Chciałam tylko zostać sama, żeby popłakać się albo zwymiotować. Albo zrobić jedno i drugie.

– Do diabła, Alino, zatrzymasz się wreszcie?

Nie mogłam ulec bólowi, więc uległam złości.

– Jesteś kapitanem mojej straży – powiedziałam, brnąc na oślep między drzewa. – Nie powinieneś wdawać się w bójki jak zwykły prostak!

Mal złapał mnie za rękę i szarpnął tak, że się obróciłam.

– Ja jestem prostakiem – warknął. – Nie żadnym z twoich pielgrzymów, griszów albo wymuskanych psów strażniczych, które warują pod twoimi drzwiami przez całą noc na wypadek gdybyś ich potrzebowała.

– Pewnie, że nie. – Wrzałam z oburzenia. – Masz o wiele lepsze sposoby na wykorzystanie czasu. Na przykład upijanie się i wpychanie Zoi języka do gardła.

– Przynajmniej ona się nie wzdryga, kiedy jej dotykam – warknął. – Nie chcesz mnie, więc co cię obchodzi, że ona mnie chce?

– Nie obchodzi mnie – powiedziałam, a właściwie wyszlochałam.

Mal wypuścił mnie tak nagle, że prawie poleciałam do tyłu. Odsunął się od mnie, wsuwając ręce we włosy. Pod wpływem tego ruchu aż się skrzywił. Obmacał sobie bok. Chciałam wrzasnąć na niego, żeby poszedł poszukać uzdrowiciela. Chciałam przywalić mu pięścią w pęknięte żebro, żeby jeszcze bardziej go zabolało.

– Na wszystkich świętych – zaklął. – Żałuję, że tu przyjechaliśmy.

– No to wyjedźmy – rzuciłam szaleńczo. Wiedziałam, że gadam bez sensu, ale nieszczególnie się tym przejmowałam. – Ucieknijmy dziś w nocy i zapomnijmy o tym miejscu.

Prychnął gorzkim śmiechem.

– Wiesz, jak bardzo tego chcę? Być z tobą, kiedy nie będzie nas dzielić status, mury ani nic innego? Żebyśmy znowu oboje byli zwykłymi ludźmi? – Pokręcił głową. – Ale ty tego nie zrobisz.

– Zrobię – powiedziałam.

Łzy płynęły mi po policzkach.

– Nie oszukuj się. Znalazłabyś sposób, żeby wrócić.

– Nie wiem, jak to naprawić – rozpaczałam.

– Nie możesz tego naprawić! – krzyknął. – Jest, jak jest. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że może tobie jest pisane zostać królową, a mnie pisane jest być nikim?

– To nieprawda.

Podszedł do mnie; konary drzew rzucały o zmierzchu dziwne, ruchome cienie na jego twarz.

– Nie jestem już żołnierzem. Nie jestem księciem i z pewnością nie jestem świętym. Więc kim jestem?

– Ja...

– Kim jestem? – szepnął.

Stał tak blisko mnie. Zapach, który tak dobrze znałam, ciemnozielony zapach łąki, zginął pod wonią potu i krwi.

– Czy jestem twoim strażnikiem? – zapytał.

Powoli przesunął dłonią po mojej ręce, wędrując od ramienia po opuszki palców.

– Przyjacielem?

Lewą dłonią przesunął po mojej drugiej ręce.

– Twoim sługą?

Czułam jego oddech na ustach. Serce dudniło mi w uszach.

– Powiedz mi, czym jestem.

Przycisnął mnie do siebie, chwytając mój nadgarstek.

Kiedy jego palce się zetknęły, poczułam silny wstrząs, aż kolana się pode mną ugięły. Świat się przechylił, a mnie zaparło

dech w piersi.

Mal wypuścił moją rękę, jakby się sparzył. Odsunął się oszołomiony.

– Co to było?

Mrugałam szybko, próbując pozbyć się zawrotów głowy.

– Co to, u diabła, było? – zapytał znowu.

– Nie wiem.

Nadal czułam mrowienie w palcach.

Pozbawiony wesołości uśmiech wykrzywił mu usta.

– Zawsze mieliśmy pod górkę, co?

Podniosłam się nagle rozeźlona.

– Tak, Mal, zawsze. Ze mną nigdy nie będzie łatwo, miło i przyjemnie. Nie mogę tak po prostu opuścić Małego Pałacu. Nie mogę uciec i udawać, że nie jestem tym, kim jestem, bo wtedy wielu ludzi umrze. Nigdy więcej nie będę mogła być po prostu Aliną. Ta dziewczyna przepadła.

– Chcę ją odzyskać – rzucił szorstko.

– To niemożliwe! – wrzasnęłam, nie przejmując się, że ktoś może usłyszeć. – Nawet jeśli odebrałbyś mi obrożę i łuski morskiego bicza, nie zdołasz wykroić ze mnie mocy.

– A gdybym mógł? Pozwoliłabyś? Odrzuciłabyś ją?

– Nigdy.

Prawda tych słów zawisła między nami. Staliśmy w ciemności lasu, a ja poczułam, że odłamek w moim sercu się przesuwa. Wiedziałam, co zostawi po sobie, kiedy już minie ból: samotność, pustkę, głęboką szczelinę, której nic nie zasklepi, rozpaczliwą krawędź otchłani, którą kiedyś dostrzegłam przelotnie w oczach Zmrocza.

– Chodźmy – powiedział w końcu Mal.

– Dokąd?

– Z powrotem do Małego Pałacu. Nie zostawię cię tak po prostu w lesie.

Poszliśmy w milczeniu i weszliśmy do pałacu przez komnaty Zmrocza. Na szczęście westybul był pusty.

Przy drzwiach do swojej sypialni odwróciłam się do Mala.

– Widzę go – powiedziałam. – Widzę Zmrocza. W bibliotece. W kaplicy. Tamtego razu w Fałdzie, kiedy *Koliber* prawie się rozbił. W sypialni tego wieczoru, kiedy chciałeś mnie pocałować.

Mal patrzył na mnie.

– Nie wiem, czy to wizje, czy nawiedzenia. Nie powiedziałam ci, bo pomyślałam, że uznasz, że mi odbija. I ponieważ wydaje mi się, że już trochę się mnie boisz.

Mal otworzył usta, zamknął je i jeszcze raz spróbował coś powiedzieć. Nawet wtedy miałam nadzieję, że zaprzeczy. Zamiast tego odwrócił się do mnie plecami. Przeszedł do kwater dla straży, zatrzymał się tylko po to, żeby wziąć butelkę *kvasu* ze stołu, i cicho zamknął za sobą drzwi.

Przygotowałam się do snu i położyłam w pościeli, ale noc była za ciepła. Skopałam przykrycia w nogi łóżka. Leżałam na plecach, wpatrując się w obsydianową kopułę poznaczoną konstelacjami. Chciałam zacząć dobijać się do drzwi Mala, powiedzieć mu, że jest mi przykro, że narobiłam strasznego bałaganu, że powinniśmy byli wmaszerować do Os Alty pierwszego dnia ręka w rękę. Ale czy ostatecznie to miałoby jakieś znaczenie?

„Nie ma zwykłego życia dla ludzi takich jak ty czy ja”.

Nie ma zwykłego życia, są tylko walka i strach, i tajemnicze wstrząsy, od których chwiejemy się na nogach. Spędziłam tyle lat, marząc o tym, żeby być taką dziewczyną, jakiej Mal mógłby chcieć. Może to już nie było możliwe.

„Nie ma nikogo takiego jak my, Alino. I nigdy nie będzie”.

Kiedy nadeszły łzy, były gorące i gniewne. Wcisnęłam twarz w poduszkę, żeby nikt mnie nie słyszał. Płakałam, a kiedy już

nic we mnie nie zostało, zapadłam w niespokojny sen.

* * *

– Alino.

Obudziłam się, czując delikatny dotyk ust Mala na moich własnych, ledwie wyczuwalne muśnięcie na skroni, powiekach, czole. Światło migoczącej lampy na nocnym stoliku rozbłysło na jego ciemnych włosach, kiedy pochylił się, żeby pocałować mnie w szyję.

Przez chwilę wahałam się skonsternowana, nie do końca obudzona, ale potem objęłam go i przyciągnęłam do siebie. Nie przejmowałam się tym, że się pokłóciliśmy, że pocałował Zoyę, że mnie zostawił, że wszystko wydawało się takie niemożliwe. Jedyne, co się liczyło, to fakt, że zmienił zdanie. Że wrócił, że nie byłam sama.

– Tęskniłam za tobą, Mal – mruknęłam mu do ucha. – Tak bardzo za tobą tęskniłam.

Przesunęłam dłonie po jego plecach i zaplotłam mu je na karku. Pocałował mnie znowu, a ja westchnęłam, czując miły nacisk jego ust. Poczułam, jak jego ciężar przesuwa się po mnie, i powiodłam rękami po twardych mięśniach jego ramion. Jeśli Mal nadal był ze mną, jeżeli nadal potrafił mnie kochać, to wciąż była nadzieja. Serce waliło mi w piersi jak oszalałe, kiedy oblało mnie ciepło. Nie rozlegał się żaden dźwięk poza naszymi oddechami i ruchami naszych ciał. Całował moją szyję, obojczyk, upajał się moją skórą. Zadrżałam i przycisnęłam się do niego mocniej.

Tego właśnie chciałam, prawda? Znaleźć jakiś sposób, żeby uleczyć rozdźwięk między nami? Jednak mimo to ogarnęła mnie panika. Musiałam zobaczyć jego twarz, wiedzieć, że między nami wszystko jest w porządku. Ujęłam jego głowę,

odchyliłam podbródek i kiedy nasze spojrzenia się spotkały, skuliłam się z przerażenia.

Spojrzałam w oczy Mala – znajome niebieskie oczy, które znałam lepiej niż własne. Tyle że one nie były niebieskie. W gasnącym świetle lampy połyskiwały jak szary kwarc.

Uśmiechnął się wtedy zimnym, przebiegłym uśmiechem, jakiego nigdy nie widziałam na jego ustach.

– Ja za tobą też tęskniłem, Alino.

Ten głos. Zimny i gładki jak szkło.

Rysy twarz Mala zlały się w cień i uformowały ponownie w twarz z mgły: bladą, piękną, z gęstą czupryną czarnych włosów i idealną linią żuchwy.

Zmrocz delikatnie położył dłoń na moim policzku.

– Już wkrótce – szepnął.

Krzyknęłam. Rozpadł się w cienie i zniknął.

Wygramoliłam się z łóżka, obejmując się rękami. Miałam dreszcze, cała się trzęsłam z przerażenia i od wspomnienia pożądania. Spodziewałam się, że Tamar albo Tolya wpadną z impetem do sypialni, i już miałam gotowe kłamstwo.

„Koszmar” – zamierzałam powiedzieć.

I słowo to zabrzmiałoby spokojnie, przekonująco mimo kołatania serca w piersi i nowego krzyku, który narastał mi w gardle.

Ale pokój pozostał cichy. Nikt się nie zjawił. Stałam, drżąc w niemal całkowitej ciemności.

Wzięłam jeden płytki, rozdygotany wdech. I jeszcze jeden.

Kiedy stałam już na względnie pewnych nogach, włożyłam szlafrok i wyjrzałam do westybulu. Był pusty.

Zamknęłam drzwi i przycisnęłam się do nich plecami, wpatrując się w pogniecioną pościel. Nie zamierzałam wracać do snu. Możliwe, że już nigdy nie zasnę. Zerknęłam na zegar na półce nad kominkiem. Wschód słońca nadchodził wcześnie

podczas *Belianoczi*, ale minie wiele godzin, zanim pałac się obudzi.

Przekopałam stos ubrań, które zachowałam po podróży na *Wołku Wołny*, i wygrzebałam bury płaszcz i długi szalik. Było za ciepło na obie te rzeczy, ale nic mnie to nie obchodziło. Narzuciłam płaszcz na nocną koszulę, owinęłam szalem głowę i szyję, włożyłam buty.

Przekradłam się przez westybul i zobaczyłam, że drzwi do pokoju straży są zamknięte. Jeśli Mal albo bliźniaki tam byli, to musieli głęboko spać. A może Mal był w jakimś innym miejscu pod kopułami Małego Pałacu, zaplątany w objęciach Zoi. Serce mi się zacisnęło. Wybrałam drzwi po lewej i wyszłam pośpiesznie ciemnymi korytarzami na pogrążone w ciszy tereny pałacowe.



Szłam przez szarówkę, mijając ciche, przykryte mgłą trawniki, zaparowane okna cieplarni. Słychać było tylko cichy zgrzyt moich butów na żwirowej ścieżce. Trwała właśnie poranna dostawa chleba i innych produktów do Wielkiego Pałacu, więc wyszłam za karawaną wozów przez bramę i powędrowałam brukowanymi ulicami górnego miasta. Nadal natykałam się na nielicznych hulaków, którzy rozkoszowali się nocnym półmrokiem. Zobaczyłam dwójkę ludzi w wyjściowych strojach drzemiącą na parkowej ławce. Grupka dziewcząt śmiała się i pluskała w fontannie, podkasawszy sukienki do kolan. Mężczyzna z wieńcem z maków siedział na krawężniku z głową w dłoniach, a dziewczyna w papierowej koronie poklepywała go po ramieniu. Minęłam ich niezauważona – niewidzialna dziewczyna w burym płaszczu.

Wiedziałam, że zachowuję się nierozsądnie. Szpiedzy Apparata albo Zmrocza mogli patrzeć. W każdej chwili mogłam zostać schwytana.

Ale wcale nie byłam pewna, czy ma to dla mnie jeszcze jakieś znaczenie. Musiałam iść przed siebie, napełnić płuca czystym powietrzem, otrząsnąć się z wrażenia dotyku dłoni Zmrocza na skórze.

Dotknęłam blizny na ramieniu. Nawet przez materiał płaszcza czułam wybrzuszenie. Na pokładzie wielorybnika zapytałam Zmrocza, dlaczego pozwolił, żeby jeden z jego potworów mnie ugryzł. Myślałam, że z czystej mściwości, żebym nosiła jego ślad. A może chodziło o coś więcej?

Czy wizje były prawdziwe? Czy on tam był naprawdę, czy tylko przywoływał go mój umysł? Czy choroba tkwiła we mnie i dlatego śniłam coś takiego?

Nie chciałam jednak myśleć. Chciałam tylko iść.

Przekroczyłam kanał. Małe łódki kołysały się na wodzie poniżej. Gdzieś spod mostu dobiegało rzężenie akordeonu.

Minęłam wartownię i wyszłam na wąskie uliczki i chaos miasteczka targowego. Robiło wrażenie jeszcze bardziej zatłoczonego niż wcześniej. Ludzie zwieszali się z ganków i wylewali z werand. Niektórzy grali w karty przy prowizorycznych stolikach ze skrzynek. Inni spali oparci o siebie nawzajem. Kilka osób kołysało się powolnie na werandzie karczmy do muzyki, którą tylko oni słyszeli.

Kiedy doszłam do murów miejskich, nakazałam sobie się zatrzymać, obrócić na pięcie i wracać do domu. Prawie się roześmiałam. Mały Pałac nie był naprawdę domem.

„Nie ma zwykłego życia dla ludzi takich jak ty czy ja”.

Moje życie to będzie lojalność zamiast miłości, hołd lenny zamiast przyjaźni. Będę ważyć każdą decyzję, rozważać każde

działanie, nikomu nie zaufam. To będzie życie obserwowane z dystansu.

Wiedziałam, że powinnam wracać, ale szłam dalej i chwilę potem znalazłam się po drugiej stronie muru. I tak po prosu opuściłam Os Altę.

Miasteczko namiotów się rozrosło. Setki ludzi obozowały poza murami, może tysiące. Nietrudno było znaleźć pielgrzymów. Zaskoczyło mnie, jak bardzo wzrosła ich liczba. Tłoczyli się w pobliżu wielkiego białego namiotu i wszyscy patrzyli na wschód, wyczekując wczesnego świtu.

Dźwięk pojawił się jako narastający szelest szeptów, który brzmiał na wietrze jak trzepot ptasich skrzydeł i zamienił się w niski pomruk, kiedy słońce wynurzyło się nad horyzont i rozpaliło niebo bladym błękitem. Dopiero wtedy zaczęłam rozumieć słowa:

– Sankta. Sankta Alina. Sankta. Sankta Alina.

Pielgrzymi patrzyli na świt, a ja patrzyłam na nich. Nie potrafiłam oderwać się od ich nadziei, ich oczekiwań. Ich twarze – rozradowane, gdy padły na nich pierwsze promienie słońca. Niektórzy zaczęli szlochać.

Pomruk narastał i zwielokrotniał się, unosząc się i opadając, zamieniając się w jęk, od którego dostałam gęsiej skórki na rękach. To był potok przelewający się przez brzegi, pszczeli ul zrzucony z drzewa.

– Sankta. Sankta Alina. Córka Ravki.

Zamknęłam oczy, kiedy słońce padło na moją skórę, i modliłam się, żeby coś poczuć. Cokolwiek.

– Sankta Alina. Córka Keramzinu.

Unieśli ręce do nieba, a ich głosy przybrały na sile, teraz zamieniły się w rozgorączkowany krzyk, wołanie. Stare twarze, młode, chore i słabe, silne i zdrowe. Wszędzie obcy ludzie.

Rozejrzałam się. To nie jest nadzieja, pomyślałam. To szaleństwo. To głód, potrzeba, desperacja. Czułam się, jakbym szła w transie. Dlaczego tu przyszłam? Byłam bardziej samotna wśród tych ludzi niż za pałacowymi murami. Nie mieli mi nic do dania, a ja nie mogłam im niczego zaoferować.

Bolały mnie stopy i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jaka jestem zmęczona. Odwróciłam się i zaczęłam przepychać się z powrotem przez tłum w stronę bram miejskich, w miarę jak zaśpiew zamieniał się w ryk i zgiełk.

– Sankta! – krzyczeli. – *Sol Koroleva*. *Rebe Dva Stolba*.

Córka Dwóch Młynów. Słyszałam to już wcześniej po drodze do Os Alty – dolina przy południowej granicy, nazwana na pamiątkę starodawnych ruin, w której mieściły się maleńkie, nieważne osady ludzkie. Mal też urodził się w tamtej okolicy, ale nigdy nie mieliśmy okazji, żeby tam wrócić. Zresztą po co? Wszelkie resztki rodziny, jakie mogliśmy mieć, dawno zostały pogrzebane albo spalone.

– Sankta Alina.

Pomyślałam znowu o moich nielicznych wspomnieniach sprzed Keramzinu, o misce z pokrojonymi burakami, moich palcach poplamionych nimi na czerwono. Pamiętałam pylistą drogę widzianą z czyichś szerokich ramion, rozkołysane wole ogony, nasze cienie na ziemi. Ręka wskazująca ruiny młynów, dwa wąskie skalne palce zamienione przez wiatr, deszcz i czas we wrzeciona. Reszta to Keramzin. Reszta to Mal.

– Sankta Alina.

Przepychałam się przez masy ciał, ciaśniej owijając szalem uszy, żeby zablokować hałas. Stara pątniczka zatarasowała mi drogę i prawie ją przewróciłam. Wyciągnęłam rękę, żeby ją złapać, a ona uczepiła się mnie, ledwie zachowując równowagę.

– Wybacz mi, *babia* – przeprosiłam grzecznie. Niech nikt nigdy nie powie, że Ana Kuya nie nauczyła nas dobrych manier.

Ostrożnie pomogłam kobiecie stanąć pewnie na nogach. – Nic pani nie jest?

Ona jednak nie patrzyła mi w twarz, ale na moje gardło. Natychmiast sięgnęłam ręką do szyi. Za późno. Szalik już się zsunął.

– Sankta! – zawodziła kobieta. – Sankta! – Padła na kolana i złapała mnie za rękę, przyciskając ją do pomarszczonego policzka. – Sankta Alina!

Nagle wszędzie wokół mnie były ręce łapiące mnie za rękawy, za rąbek płaszcza.

– Proszę – powiedziałam, próbując je odepchnąć.

– Sankta Alina.

Pomruki, szepty, zawodzenie, krzyki. Moje imię stało mi się obce, gdy wypowiadano je jak modlitwę, jak obcą inkantację mającą odpędzać ciemność.

Ludzie tłoczyli się wokół mnie, napierali coraz mocniej, przepychali się między sobą, sięgali, żeby dotknąć moich włosów, skóry. Usłyszałam, że coś pęka, i zdałam sobie sprawę, że to materiał mojego płaszcza.

– Sankta. Sankta Alina.

Ciała napierały coraz mocniej, ludzie pchali się i przepychali, krzyczeli na siebie, każdy chciał dostać się jak najbliżej. Moje stopy straciły kontakt z ziemią. Krzyknęłam, kiedy wyrwano mi pęk włosów z głowy. Rozerwą mnie na strzępy.

I dobrze, pomyślałam nagle zupełnie klarownie. To wszystko mogło się tak łatwo skończyć. Koniec strachu, odpowiedzialności, koszmarów z potrzaskaną piaskołodzią albo dziećmi pożartymi przez Fałdę, koniec wizji. Mogłam uwolnić się od obroży, od obręczy, od miażdżącego ciężaru ich nadziei. Niech mnie rozszarpią.

Zamknęłam oczy. To będzie mój koniec. Mogą mi poświęcić stronę w *Istorii Sanktia* i namalować złotą aureolę wokół mojej

głowy. Alina Przybita, Alina Małostkowa, Alina Szalona, Córka Dva Stolba, rozerwana na strzępy pewnego ranka w cieniu miejskich murów. Mogą sprzedawać moje kości przy drodze.

Ktoś krzyknął. Usłyszałam gniewny okrzyk. Potężne ręce złapały mnie i uniosły w powietrze.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam ponurą twarz Tolyi. Trzymał mnie na rękach.

Obok niego stała Tamar i z uniesionymi rękami obracała się powoli w miejscu.

– Nie zbliżać się! – ostrzegła tłum.

Widziałam, jak niektórzy pielgrzymi mrugają sennie, paru zwyczajnie usiadło. Zwalniała im pracę serca, starając się ich uspokoić, ale było ich zbyt wielu. Jakiś mężczyzna rzucił się do przodu. Tamar błyskawicznie sięgnęła po toporki. Mężczyzna ryknął, kiedy czerwona struga rozkwitła na jego ręku.

– Podejdź bliżej, to ją stracisz – warknęła Tamar.

Twarze pielgrzymów wyrażały szaleństwo.

– Pozwólcie, że pomogę – zaprotestowałam.

Tolya nie zważał na mnie, przepychał się przez tłum. Tamar krążyła wokół niego, poruszając ostrzami, poszerzając ścieżkę dla brata. Pielgrzymi jęczeli i zawodzili, wyciągali ręce, napierali ku mnie.

– Teraz – powiedział Tolya. – Teraz! – powtórzył głośniej.

Zaczął biec. Uderzałam głową o jego pierś, kiedy rzuciliśmy się ku osłonie miejskich murów. Tamar biegła tuż za nami. Strażnicy dostrzegli wrzawę i zaczęli zamykać bramę.

Tolya rzucił się przed siebie, obalając ludzi, którzy znaleźli się na jego drodze, i wpadł przez zwężającą się szczelinę między żelaznymi skrzydłami bramy, a Tamar prześlizgnęła się tuż za nami, na kilka sekund przed tym, jak brama się zatrzasnęła. Po drugiej stronie słyszałam dudnienie ciał

uderzających o bramę, drapiące w nią palce, podniesione i zachłanne głosy. Nadal słyszałam swoje imię. Sankta Alina.

– Coś ty, u diabła, sobie myślała?! – ryknął Tolya, gdy postawił mnie na ziemi.

– Później – ucięła szorstko Tamar.

Strażnicy miejscy piorunowali mnie wzrokiem.

– Zabierzcie ją stąd! – wrzasnął jeden z nich gniewnie. – Będziemy mieli szczęście, jeśli nie wybuchną prawdziwe zamieszki.

Na bliźnięta czekały konie. Tamar zabrała koc z jakiegoś kramu i zarzuciła mi na ramiona. Przytrzymałam go przy szyi, zasłaniając obrożę. Tamar wskoczyła na siodło, a Tolya bezceremonialnie wrzucił mnie za nią.

Odjechaliśmy pośpiesznie i w milczeniu z powrotem do pałacowej bramy. Niepokoje poza murami nie rozprzestrzeniły się jeszcze na miasto, więc tylko parę osób rzuciło nam pytające spojrzenie.

Tamar i Tolya nie odezwali się słowem, ale widziałam, że są wściekli. Mieli do tego pełne prawo. Zachowałam się jak idiotka i teraz mogłam mieć tylko nadzieję, że strażnicy na dole zdołają przywrócić porządek bez sięgania po przemoc.

Jednakże mimo paniki i żalu przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Powtarzałam sobie, że to nonsens, pobożne życzenie, ale nie mogłam się go pozbyć.

Kiedy wróciliśmy do Małego Pałacu, bliźnięta chciały odprowadzić mnie prosto do komnat Zmrocza, ale odmówiłam.

– Teraz już nic mi nie grozi – powiedziałam. – A muszę coś zrobić.

Uparli się, że odprowadzą mnie do biblioteki.

Nie potrzebowałam dużo czasu, żeby znaleźć to, czego potrzebowałam. W końcu byłam kiedyś kartografem.

Wsunęłam książkę pod pachę i wróciłam do siebie z naburmuszonymi strażnikami depczącymi mi po piętach.

Ku mojemu zaskoczeniu Mal czekał w westybulu. Siedział przy stole ze szklanką herbaty.

– Gdzie… – zaczął, ale Tolya poderwał go z krzesła i cisnął nim o ścianę, zanim zdążyłam choćby zamrugać.

– Gdzieś ty był?! – warknął Malowi w twarz.

– Tolya! – krzyknęłam zaniepokojona.

Próbowałam oderwać jego ręce od gardła Mala, ale równie dobrze mogłabym próbować wygiąć stalową sztabę. Odwróciłam się do Tamar, licząc na pomoc, ale ona stała z założonymi na piersi rękami i wyglądała na równie rozgniewaną jak jej brat.

Mal się dusił. Nie przebrał się od wczoraj. Miał zarost na brodzie, a smród krwi i *kvasu* przywarł do niego jak płaszcz.

– Na wszystkich świętych, Tolya! Puścisz go wreszcie?

Przez chwilę Tolya wyglądał, jakby naprawdę zamierzał wydusić z Mala resztki życia, ale w końcu poluzował palce i Mal osunął się po ścianie, kaszląc i łapiąc zachłannie powietrze.

– To była twoja zmiana – zadudnił Tolya, szturchając Mala palcem w pierś. – Powinieneś z nią być.

– Przepraszam – wychrypiał Mal, rozcierając gardło. – Musiałem przysnąć. Byłem tuż…

– Byłeś na dnie butelki – gotował się Tolya. – Czuję, jak cuchniesz.

– Przepraszam – powtórzył żałośnie Mal.

– Przepraszasz?! – Tolya na przemian zaciskał i rozwierał pięści. – Powinienem rozerwać cię na strzępy.

– Możesz później go rozczłonkować – powiedziałam – w tej chwili potrzebuję, żebyś znalazł Nikołaja i kazał mu się ze mną spotkać w sali narad. Ja idę się przebrać.

Przeszłam do swojego pokoju i zamknęłam za sobą drzwi, próbując wziąć się w garść. Na razie tego dnia omal nie zginęłam i być może sprowokowałam zamieszki. Może uda mi się coś podpalić przed śniadaniem.

Obmyłam twarz i włożyłam *keftę*, a potem wyszłam pośpiesznie do sali narad. Mal tam czekał. Siedział zgarbiony na krześle, chociaż go nie zaprosiłam. Przebrał się, ale nadal był rozczochrany. Miał przekrwione oczy i świeże siniaki na twarzy po poprzednim wieczorze. Podniósł wzrok, kiedy weszłam. Nie odezwał się słowem. Czy nadejdzie taka chwila, kiedy jego widok nie będzie sprawiał bólu?

Położyłam atlas na długim stole i podeszłam do starej mapy Ravki, która zajmowała przeciwległą ścianę. Ze wszystkich map w sali narad ta była zdecydowanie najstarsza i najpiękniejsza. Przesunęłam palcem po grzbiecie górskim Sikurzoi, który wyznaczał południową granicę Ravki z Shu Hanem, a potem zjechałam ku pogórzu. Dolina Dva Stolba była za mała, żeby zaznaczyć ją na tej mapie.

– Pamiętasz cokolwiek? – zapytałam Mala, nie patrząc na niego. – Z czasów przed Keramzinem?

Mal był niewiele starszy ode mnie, kiedy trafił do sierocińca. Nadal pamiętałam dzień, w którym przyjechał. Usłyszałam, że zjawi się kolejny uchodźca, i miałam nadzieję, że to będzie dziewczynka, z którą mogłabym się bawić. Zamiast tego dostałam pulchnego, niebieskookiego chłopca, który zrobiłby wszystko, gdyby rzucić mu wyzwanie.

– Nie. – Nadal chrypiał po tym, jak Tolya omal go nie udusił.

– Nic?

– Miewałem sny o kobiecie z długimi złotymi włosami splecionymi w warkocz. Kołysała nim przede mną jak zabawką.

– Twoja matka?

– Matka, ciotka, sąsiadka. Skąd mam wiedzieć? Alino, co się stało...?

– Coś jeszcze?

Przyglądał mi się przez długą chwilę, a potem westchnął i powiedział:

– Za każdym razem, gdy czuję zapach lukrecji, przypominam sobie, jak siedziałam na ganku, a przede mną stało pomalowane na czerwono krzesło. To tyle. Wszystko inne... – Urwał, wzruszając ramionami.

Nie musiał mi tłumaczyć. Wspomnienia to luksus zarezerwowany dla innych dzieci, nie dla sierot z Keramzinu. „Bądźcie wdzięczne. Bądźcie wdzięczne".

– Alino – znowu zaczął Mal – to, co powiedziałaś o Zmroczu...

Niestety w tej samej chwili wszedł Nikołaj. Mimo wczesnej godziny wyglądał w każdym calu jak książę; jego blond włosy lśniły, buty miał wyglansowane. Zauważył siniaki i zarost Mala, uniósł brew i powiedział:

– Pewnie nikt nie zadzwonił po herbatę?

Usiadł i wyprostował długie nogi. Tolya i Tamar zajęli swoje zwyczajowe miejsca, ale poprosiłam, żeby zamknęli drzwi i dołączyli do nas.

Kiedy zebraliśmy się przy stole, powiedziałam:

– Poszłam do pielgrzymów dziś rano.

Nikołaj gwałtownie poderwał głowę. Natychmiast zniknął niefrasobliwy książę.

– Chyba źle cię usłyszałem.

– Nic mi nie jest.

– Niewiele brakowało, żeby zginęła – powiedziała Tamar.

– Ale nie zginęłam.

– Czyś ty kompletnie oszalała? – zapytał Nikołaj. – Ci ludzie to fanatycy. – Odwrócił się do Tamar. – Jak mogłaś pozwolić na coś takiego?

– Nie pozwoliłam.

– Powiedz, że nie poszłaś tam sama – zwrócił się do mnie.

– Nie poszłam.

– Poszła sama.

– Tamar, zamknij się. Nikołaj, powiedziałam ci już, że nic mi nie jest.

– Tylko dzięki temu, że dotarliśmy tam na czas – dodała Tamar.

– Jak tam dotarliście? – zapytał cicho Mal. – Jak ją znaleźliście?

Twarz Tolyi pociemniała, kiedy huknął potężną pięścią w stół.

– Nie powinniśmy musieć jej szukać. Pełniłeś straż.

– Skończ z tym, Tolya – rzuciłam ostro. – Mala nie było tam, gdzie powinien być, a ja jestem w stanie popełnić głupstwo bez niczyjej pomocy.

Odetchnęłam. Mal wyglądał na zrozpaczonego, a Tolya jakby zamierzał roznieść w puch wszystkie meble. Tamar miała kamienną twarz, a Nikołaja jeszcze nigdy nie widziałam tak rozgniewanego. Ale przynajmniej teraz mnie słuchali.

Przesunęłam atlas na środek stołu.

– Pielgrzymi posługują się pewną nazwą – powiedziałam. – Córka Dva Stolba.

– Dwa Młyny? – zapytał Nikołaj.

– Dolina, którą nazwano tak od ruin, które znajdują się u jej wylotu.

Otworzyłam atlas na zaznaczonej przeze mnie wcześniej stronie. Znajdowała się tam szczegółowa mapa południowo-zachodniej granicy.

– Pochodzimy z Malem gdzieś z tych okolic – powiedziałam, przesuwając palcem po krawędzi mapy. – Wzdłuż tego miejsca rozrzucone są różne osiedla.

Odwróciłam stronę, żeby pokazać ilustrację ukazującą drogę prowadzącą do doliny usianej wioskami. Po dwóch stronach drogi stały dwa smukłe wrzecionowate słupy.

– Nie wyglądają imponująco – burknął Tolya.

– Właśnie. To bardzo stare ruiny. Kto wie, jak długo tam stoją i czym kiedyś były? Dolina nazywa się Dwa Młyny, ale może to była część bramy albo akweduktu. – Przesunęłam palcem nad skałami. – Albo łuku.

W sali zapadła nagle cisza. Z łukiem na pierwszym planie i górami w oddali ruiny wyglądały dokładnie tak jak widok za plecami Sankt Ilii w *Istorii Sanktia*. Brakowało tylko żarptaka.

Nikołaj przyciągnął atlas do siebie.

– Czy my widzimy to, co chcemy zobaczyć?

– Możliwe – przyznałam – ale trudno uznać to za zbieg okoliczności.

– Wyślę zwiadowców – zaproponował.

– Nie. Chcę sama tam jechać – powiedziałam.

– Jeśli wyjedziesz teraz, wszystkie twoje wysiłki związane z Drugą Armią pójdą na marne. Ja pojadę. Jeżeli Vasilij może wyrwać się do Carieva, żeby kupić sobie kucyka, to nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, że ja wyrwę się na małe polowanie.

Pokręciłam głową.

– To ja muszę zabić żarptaka.

– Nie wiemy nawet, czy tam jest.

– Dlaczego w ogóle o tym dyskutujemy? – zapytał Mal. – Wszyscy wiemy, że to ja pojadę.

Tamar i Tolya wymieli niespokojne spojrzenia.

Nikołaj odchrząknął.

– Z całym szacunkiem, Orecev, ale nie robisz wrażenia, jakbyś był w najlepszej formie.

– Nic mi nie jest.

– A patrzyłeś ostatnio w lustro?

– Myślę, że ty robisz to za nas dwóch – odgryzł się Mal. Potem potarł zarośniętą twarz. Wyglądał na bardziej zmęczonego niż kiedykolwiek do tej pory. – Jestem za bardzo zmęczony i skacowany, żeby się kłócić. Tylko ja potrafię znaleźć żarptaka. To muszę być ja.

– Pojadę z tobą – zaproponowałam.

– Nie – zaprotestował z zaskakującą siłą. – Ja go znajdę. Złapię. Przywiozę ci go. Ale nie pojedziesz ze mną.

– To zbyt ryzykowne – zaprotestowałam. – Nawet jeśli go złapiesz, jak z nim tu wrócisz?

– Każ któremuś ze swoich fabrykatorów zmajstrować coś dla mnie. Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich. Ty dostaniesz żarptaka, a ja uwolnię się od tego przeklętego miejsca.

– Nie możesz podróżować samotnie. Nie...

– To daj mi Tolyę albo Tamar. Sami będziemy poruszać się szybciej i zwracać na siebie mniej uwagi. – Mal odsunął się z krzesłem od stołu i wstał. – Przemyśl to sobie. Załatw, co trzeba. – Nie patrzył na mnie, kiedy dodał: – Powiedz mi tylko, kiedy mogę wyjechać.

Zanim zdążyłam znowu zaprotestować, wyszedł.

Odwróciłam się, walcząc ze łzami, które groziły popłynięciem. Za plecami słyszałam Nikołaja. Wymruczał jakieś polecenia bliźniętom, które zaraz wyszły.

Przyjrzałam się mapie. Poliznaya, gdzie odbyliśmy służbę wojskową. Ryevost, gdzie zaczęliśmy podróż w głąb Petrazoi. Cybeja, gdzie pierwszy raz mnie pocałował.

Nikołaj położył rękę na moim ramieniu. Nie wiedziałam, czy chcę ją strącić, czy odwrócić się i paść mu w ramiona. Co by wtedy zrobił? Poklepał mnie po plecach? Pocałował? Oświadczyłby się?

– Tak będzie najlepiej, Alino.

Zaśmiałam się gorzko.

– Zauważyłeś kiedyś, że ludzie mówią tak tylko wtedy, kiedy to nie jest prawda?

Zabrał rękę.

– To nie jest miejsce dla niego.

„Jego miejsce jest przy mnie", chciałam krzyknąć, ale wiedziałam, że to nie jest prawda. Pomyślałam o posiniaczonej twarzy Mala, o tym, jak krążył w kółko niczym zwierzę w klatce, jak spluwał krwią i przywoływał Eskila do walki. „Śmiało". Pomyślałam o tym, jak trzymał mnie w ramionach, kiedy płynęliśmy przez Morze Prawdziwe. Mapa zamazała mi się przed oczami, które napełniły się łzami.

– Pozwól mu odejść – powiedział Nikołaj.

– Dokąd? Żeby gonił za mitycznym stworzeniem, które może nawet nie istnieć? Na niewykonalną misję w góry pełne mieszkańców Shu Hanu?

– Alino – odezwał się cicho Nikołaj – to właśnie robią bohaterowie.

– Nie chcę, żeby był bohaterem!

– Mal nie może zmienić tego, kim jest, tak samo jak ty nie potrafisz przestać być griszą.

To było echo słów, które wypowiedziałam raptem parę godzin wcześniej, ale nie chciałam tego słyszeć.

– Nic cię nie obchodzi, co stanie się z Malem – rozzłościłam się. – Chcesz się po prostu go pozbyć.

– Gdybym chciał, żebyś się odkochała, dopilnowałbym, żeby Mal tu został. Pozwoliłbym, żeby topił swoje kłopoty w *kvasie* i zachowywał się jak zraniony dupek. Ale czy naprawdę takiego życia mu życzysz?

Wzięłam rozdrgany wdech. Nie życzyłam mu tego. Mal był tu nieszczęśliwy. Cierpiał od chwili przyjazdu, ale ja nie chciałam tego dostrzec. Pomstowałam na niego, bo chciał, żebym była

czymś, czym nie mogłam być, a ja przez cały czas żądałam tego samego od niego. Otarłam łzy z policzków. Nie było sensu sprzeczać się z Nikołajem. Mal był żołnierzem. Pragnął mieć cel. I oto pojawił się taki cel – o ile tylko pozwolę mu go obrać.

I czemu nie przyznać się do tego? Chociaż protestowałam, rozbrzmiewał we mnie inny głos, chciwy, wstydliwy głód, który domagał się zaspokojenia; który głośno żądał, żeby puścić Mala i dać mu szukać żarptaka; który chciał, żeby sprowadzono mi to stworzenie bez względu na cenę. Powiedziałam Malowi, że dziewczyna, którą znał, przepadła. Lepiej, żeby wyjechał, zanim przekona się, ile prawdy jest w tym stwierdzeniu.

Przesunęłam palcami po ilustracji przedstawiającej Dva Stolba. Dwa Młyny czy coś więcej? Kto mógł to orzec, skoro zachowały się tylko ruiny?

– Wiesz, jaki jest kłopot z bohaterami i świętymi, Nikołaju? – zapytałam, zamykając książkę i ruszając do drzwi. – Zawsze kończą martwi.



Mal unikał mnie przez całe popołudnie, więc byłam zaskoczona, kiedy pojawił się z Tamar, żeby odeskortować mnie na urodzinową kolację Nikołaja. Spodziewałam się, że poprosi Tolyę o zastępstwo. Może próbował nadrobić poprzednią zawaloną służbę.

Całkiem poważnie rozważałam, czy nie wymówić się od kolacji, ale nie potrafiłam wymyślić żadnej sensownej wymówki, a moja nieobecność tylko obraziłaby króla i królową.

Włożyłam lekką *keftę* z lśniących płatów złotego jedwabiu. Górę zdobiły szafiry w głębokim odcieniu błękitu Zakonu Przywoływaczy, które pasowały do klejnotów w moich włosach.

Mal obrzucił mnie spojrzeniem, gdy weszłam do westybulu, a do mnie dotarło, że Zoya wyglądałaby w tych kolorach lepiej. To mnie zmusiło do zastanowienia. Bez względu na jej urodę Zoya nie stanowiła problemu. Mal wyjeżdżał. Pozwalałam mu

na to. Nie mogłam nikogo innego winić za rozdźwięk między nami.

Kolację podano w jednej z urządzonych z przepychem jadalni w Wielkim Pałacu, znanej jako „Gniazdo Orła” z powodu ogromnego fresku na suficie, przedstawiającego dwugłowego orła z koroną, berłem w jednej łapie i pękiem czarnych strzał przewiązanych czerwoną, niebieską i fioletową wstążką w drugiej. Pióra miał z prawdziwego złota i nie mogłam na jego widok nie pomyśleć o żarptaku.

Przy stole tłoczyli się najwyżej postawieni generałowie Pierwszej Armii z żonami, a także najbardziej znaczący wujowie, ciotki i kuzyni z rodu Lancovów. Królowa siedziała przy jednym końcu stołu i wyglądała jak zwiędły kwiat w bladoróżowym jedwabiu. Przy drugim końcu Vasilij siedział obok króla i udawał, że nie zauważa, że jego ojciec pożera wzrokiem żonę jakiegoś oficera. Nikołaj siedział pośrodku stołu, a ja obok niego. Był czarujący jak zawsze.

Poprosił, żeby nie urządzać balu na jego cześć. Uznał, że to nie uchodzi, kiedy tylu uchodźców głoduje za murami miasta. Jednak to była *Belianocz* i para królewska nie potrafiła się powstrzymać. Posiłek składał się z trzynastu dań, w tym całego prosięcia i naturalnej wielkości jelonka odlanego z galarety.

Kiedy nadszedł czas prezentów, ojciec podarował Nikołajowi ogromne jajko pomalowane na jasnoniebiesko. W środku znajdował się kunsztownej roboty miniaturowy statek na morzu z lazurytu. Na maszcie powiewała czerwona bandera z psem Sturmhonda, a malutkie działa strzelały z trzaskiem, wypuszczając maleńkie chmurki białego dymu.

Przez cały posiłek słuchałam rozmów jednym uchem, przyglądając się Malowi. Królewskie straże stały w równych odstępach pod ścianami. Wiedziałam, że Tamar stoi gdzieś za mną, ale Mal znajdował się dokładnie naprzeciwko mnie. Stał

na baczność z rękami za plecami i patrzył przed siebie pustym wzrokiem jak większość anonimowych sług. To była tortura, widzieć go w takim położeniu. Znajdowaliśmy się w odległości dosłownie kilku kroków od siebie, ale czułam, że dzielą nas mile. Czy nie tak to wyglądało od chwili przyjazdu do Os Alty? W mojej piersi pojawił się węzeł, który zaciskał się coraz mocniej za każdym razem, gdy na niego zerkałam. Ogolił się i uczesał. Jego mundur był schludnie wyprasowany. Robił wrażenie zmęczonego i obojętnego, ale znowu wyglądał jak Mal.

Arystokraci wznieśli toast za zdrowie Nikołaja. Generałowie wychwalali jego talenty dowódcze i odwagę. Spodziewałam się, że zobaczę, jak Vasilij szydzi ze wszystkich pochwał, którymi zarzucano brata, ale sprawiał wrażenie szczerze rozradowanego. Twarz miał zaróżowioną od wina, a na jego ustach gościł pełen zadowolenia z siebie uśmieszek. Najwyraźniej wyprawa do Carieva wprawiła go w dobry nastrój.

Zerknęłam znowu na Mala. Nie wiedziałam, czy chcę się rozpłakać, czy wstać i zacząć ciskać naczyniami o ścianę. W sali było za gorąco, a rana w ramieniu zaczęła znowu swędzieć i ciągnąć. Musiałam powstrzymać się przed sięgnięciem do niej, żeby się podrapać.

Świetnie, pomyślałam ponuro. Może znowu zacznę halucynować w środku jadalni i Zmrocz wyjdzie z wazy na zupę.

Nikołaj pochylił się ku mnie i powiedział:

– Wiem, że moje towarzystwo nieszczególnie się liczy, ale czy mogłabyś chociaż spróbować? Wyglądasz, jakbyś miała się rozpłakać.

– Przepraszam – wymamrotałam. – Po prostu...

– Wiem – powiedział i uścisnął mi dłoń pod stołem – ale żelatynowy jelonek oddał życie dla twojej rozrywki.

Spróbowałam się uśmiechnąć i zaczęłam się bardziej starać. Śmiałam się i gawędziłam z pulchnym generałem o czerwonej twarzy, który siedział na prawo ode mnie, i udawałam, że się przejmuję, kiedy młody piegowaty Lancov naprzeciwko mnie głędził o remoncie daczy, którą odziedziczył.

Kiedy podano wielosmakowe lody, Vasilij wstał i uniósł kieliszek szampana.

– Bracie – powiedział – dobrze jest móc wznieść toast za twoje narodziny i świętować z tobą, kiedy tak dużo czasu spędziłeś w dalekich krainach. Oddaję ci honory i piję na twoją cześć. Za twoje zdrowie, braciszku!

– *Ne zalost!* – powtórzyli chórem goście, napili się z kielichów i wrócili do swoich rozmów.

Vasilij jednak jeszcze nie skończył. Popukał w kieliszek widelcem i głośny brzęk zwrócił uwagę gości.

– Dzisiaj – powiedział – mamy więcej powodów do świętowania niż tylko królewskie urodziny mojego brata.

Jakby emfaza, z jaką wypowiedział „królewskie” nie wystarczyła, Vasilij uśmiechnął się z przekąsem. Nikołaj nie przestawał uśmiechać się uprzejmie.

– Jak wszyscy wiecie – mówił dalej Vasilij – sporo podróżowałem w ciągu tych ostatnich tygodni.

– I niewątpliwe sporo wydawałeś. – Generał o czerwonej twarzy zarechotał. – Pewnie niedługo będziesz musiał wybudować sobie nową stajnię.

Vasilij spojrzał na niego lodowato.

– Nie pojechałam do Carieva. Zamiast tego wyruszyłem na północ z misją zatwierdzoną przez mojego drogiego ojca.

Nikołaj zamarł obok mnie.

– Po długich i męczących negocjacjach z przyjemnością oznajmiam, że Fjerda zgodziła się przyłączyć do nas w walce ze Zmroczem. Otrzymamy zarówno żołnierzy, jak i zasoby.

– Naprawdę? – zapytał jeden z arystokratów.

Vasilij nadął się z dumy.

– Owszem. Długo to trwało i wymagało ogromnego wysiłku, ale nasz najzacieklejszy wróg stał się naszym najpotężniejszym sprzymierzeńcem.

Wśród gości rozgorzały podekscytowane rozmowy. Król rozpromienił się i objął starszego syna.

– *Ne Ravka!* – krzyknął, unosząc kieliszek szampana.

– *Ne Ravka!* – zawołali goście.

Zdziwiłam się, widząc, jak Nikołaj marszczy czoło. Powiedział, że brat lubi działać na skróty, i najwyraźniej Vasilij znalazł sobie taki właśnie skrót. Jednakże Nikołaj nie okazałby rozczarowania czy frustracji, to nie było w jego stylu.

– Nadzwyczajne osiągnięcie, bracie. Gratuluję – powiedział i uniósł kieliszek. – Mogę spytać, czego zażądali w zamian za swoje wsparcie?

– Ostro się targowali – powiedział Vasilij, śmiejąc się pobłażliwie – ale nie żądali niczego zbyt uciążliwego. Oczekują dostępu do naszych portów w Ravce Zachodniej i poprosili o pomoc w ochronie południowych szlaków przed nowoziemskimi piratami. Wyobrażam sobie, że możesz w tym pomóc, bracie – powiedział, znowu uśmiechając się ciepło. – Chcieli, żeby otwarto ponownie kilka północnych dróg wyrębowych i kiedy Zmrocz zostanie już pokonany, oczekują pomocy Przywoływaczki Słońca we wspólnym wysiłku zmierzającym do odepchnięcia Fałdy.

Uśmiechnął się do mnie szeroko. Zdenerwowała mnie nieco jego bezczelność, ale to była oczywista i rozsądna prośba

i nawet przywódczyni Drugiej Armii była poddaną króla. Skinęłam głową w godny, jak miałam nadzieję, sposób.

– Które drogi? – zapytał Nikołaj.

Vasilij machnął lekceważąco ręką.

– Gdzieś na południe od Halmhendu, na zachód od wiecznej zmarzliny. Są dostatecznie bronione przez fort w Ulensku, gdyby Fjerdanom strzeliło coś do głowy.

Nikołaj poderwał się, jego krzesło ostro zazgrzytało o parkiet.

– Kiedy zdjąłeś blokady? Od jak dawna drogi są otwarte?

Vasilij wzruszył ramionami.

– A co to za różnica...?

– Od jak dawna?!

Rana w ramieniu mi zapulsowała.

– Nieco ponad tydzień – powiedział Vasilij. – Chyba nie martwisz się, że Fjerdanie zamierzają pomaszerować na nas z Ulenska? Rzeki nie zamarzną jeszcze przez wiele miesięcy, a do tego czasu...

– Czy chociaż przez chwilę zastanowiłeś się, dlaczego zawracają sobie głowę drogami wyrębowymi?

Vasilij machnął ręką, wyrażając swój brak zainteresowania.

– Pewnie dlatego, że potrzebują drewna. Albo może to święte miejsce dla któregoś z ich idiotycznych leśnych duszków.

Wokół stołu rozległy się nerwowe śmiechy.

– Broni ich tylko jeden fort – warknął Nikołaj.

– Bo są za wąskie, żeby przeszły tamtędy jakieś prawdziwe siły.

– Myślisz starymi kategoriami, bracie. Zmrocz nie potrzebuje batalionu piechoty ani ciężkich dział. Potrzebuje tylko swoich griszów i *niczewojów*. Musimy natychmiast ewakuować pałac.

– Nie wygłupiaj się!

– Naszą jedyną przewagą było to, że mogliśmy liczyć na wczesne ostrzeżenie, a zwiadowcy przy tych blokadach byli

naszą pierwszą linią obrony. Mieliśmy oczy, a ty nas oślepiłeś. Zmrocz może znajdować się kilka mil od nas.

Vasilij pokręcił ze smutkiem głową.

– Zachowujesz się idiotycznie.

Nikołaj huknął pięścią w stół. Naczynia podskoczyły z głośnym brzękiem.

– Dlaczego fjerdańska delegacja nie dołączyła do nas, żeby świętować razem z nami? Żeby wznieść toast za ten bezprecedensowy sojusz?

– Przysłali przeprosiny. Nie mogli natychmiast wyruszyć z powodu...

– Nie ma ich, ponieważ zaraz zacznie się tu jatka. Zawarli pakt ze Zmroczem.

– Nasz wywiad umiejscawia go na południu, w Shu Hanie.

– Myślisz, że on nie ma swoich szpiegów? Że nie ma własnych ludzi, którzy pracują wśród naszych? Zastawił pułapkę, którą dostrzegłoby dziecko, a ty wlazłeś prosto w nią.

Vasilij zrobił się fioletowy na twarzy.

– Nikołaju, na pewno... – zaczęła jego matka.

– Fort w Ulensku jest obsadzony przez pełen pułk wojska – wtrącił jeden z generałów.

– Widzisz? – wtrącił Vasilij. – Siejesz panikę w najgorszy możliwy sposób i ja na to nie pozwolę.

– Pułk wojska przeciwko armii *niczewojów?* Wszyscy w tym forcie już nie żyją. Stracili życie z powodu twojej dumy i głupoty.

Vasilij sięgnął do rękojeści szabli.

– Nie pozwalaj sobie, bękarcie.

Królowej aż zaparło dech w piersi.

Nikołaj zaśmiał się chrapliwie.

– Jasne, możesz mnie wyzwać, bracie. Dużo ci to da. Rozejrzyj się. Wszyscy generałowie, wszyscy wyżej postawieni

arystokraci, większość rodu Lancovów i na dodatek Przywoływaczka Słońca. Wszyscy zebrani w jednym miejscu tego samego wieczoru.

Wiele twarzy przy stole nagle pobladło.

– Może – odezwał się piegus naprzeciwko mnie – powinniśmy rozważyć...

– Nie! – krzyknął Vasilij. Warga mu drżała. – To jego małostkowa zazdrość. Nie może znieść tego, że mi się udało. On...

Rozległy się dzwony alarmowe, na początku w oddali, w pobliżu murów miejskich, a potem dołączały kolejne i narastający chór dzwonów poniósł się echem wśród ulic Os Alty, ku górnemu miastu, i przelał się przez mury Wielkiego Pałacu.

– Oddałeś mu Ravkę – powiedział Nikołaj.

Goście wstali, odsuwali się od stołu, przekrzykując się w panice.

Mal natychmiast znalazł się przy mnie z wyciągniętą szablą.

– Musimy dotrzeć do Małego Pałacu – powiedziałam, myśląc o zwierciadlanych misach, które zamontowaliśmy na dachu. – Gdzie Tamar?

Okna eksplodowały.

Posypało się na nas szkło. Uniosłam ręce, żeby osłonić twarz, goście krzyczeli, zbili się w gromadki.

Niczewoje wlali się do sali na skrzydłach jak stopiony cień, wypełniając powietrze owadzim bzyczeniem.

– Zabierzcie króla w bezpieczne miejsce! – krzyknął Nikołaj, dobywając szabli i biegnąc do matki.

Strażnicy pałacowi stali sparaliżowani strachem.

Cień uniósł piegusa i cisnął nim o ścianę. Chłopak ześlizgnął się na ziemię ze złamanym karkiem.

Uniosłam ręce, ale w pokoju było za dużo ludzi, żebym mogła zaryzykować i posłużyć się Cięciem.

Vasilij stał przy stole, a król chował się za nim.

– To twoja robota! – wrzasnął na Nikołaja. – Twoja i tej wiedźmy!

Uniósł wysoko szablę i rzucił się do ataku, rycząc z wściekłości. Mal stanął przede mną, unosząc szablę, żeby zablokować cios. Ale zanim Vasilij zdążył uderzyć, *niczewoj* złapał go i wyrwał mu ze stawu rękę z bronią. Vasilij stał przez chwilę chwiejnie, krew sikała mu z rany, a potem padł bez życia na podłogę.

Królowa zaczęła wrzeszczeć histerycznie. Rzuciła się do przodu, próbując dosięgnąć ciała syna. Poślizgnęła się na krwi, kiedy Nikołaj ją powstrzymał.

– Nie – poprosił, obejmując ją. – Już po nim, *madraja*. On nie żyje.

Kolejne stado *niczewojów* wpadło przez okna, rzucając się do Nikołaja i jego matki.

Musiałam zaryzykować. Uderzyłam światłem w postaci dwóch oślepiających łuków, tnąc jednego potwora za drugim, o mały włos nie trafiając jednego z generałów, który kulił się na podłodze. Ludzie krzyczeli i płakali, kiedy *niczewoje* ich atakowali.

– Do mnie! – krzyknął Nikołaj, zapędzając matkę i ojca do drzwi.

Ruszyliśmy ze strażnikami, wycofując się do korytarza, a potem rzuciliśmy się biegiem.

W Wielkim Pałacu wybuchnął chaos. Spanikowani służący i gwardziści tłoczyli się w korytarzach, niektórzy kierowali się do wyjścia, inni barykadowali się w pokojach. Słyszałam zawodzenie, brzęk tłuczonego szkła. Gdzieś na zewnątrz coś huknęło.

Niech to będą fabrykatorzy, pomyślałam rozpaczliwie.

Wybiegliśmy z Malem z pałacu i zbiegliśmy po marmurowych schodach. Rozległ się zgrzyt wyginanego metalu. Spojrzałam wzdłuż białej żwirowej ścieżki i zdążyłam zobaczyć, jak złota brama Wielkiego Pałacu zostaje zerwana z zawiasów przez wiatr eteryków. Griszowie Zmrocza w barwnych *keftach* wbiegli na pałacowy teren.

Popędziliśmy ścieżką w stronę Małego Pałacu. Nikołaj i jego pałacowi strażnicy biegli za nami, nieco wolniej, ponieważ musieli prowadzić jego słabego ojca.

Przy wejściu do leśnego tunelu król złożył się wpół, dysząc straszliwie, a królowa płakała, trzymając go mocno za rękę.

– Muszę zabrać ich na *Zimorodka* – powiedział Nikołaj.

– Idź okrężną drogą – poradziłam mu. – Zmrocz w pierwszej kolejności pójdzie do Małego Pałacu. Przyjdzie po mnie.

– Alino, jeśli cię złapie...

– Idź. Ratuj ich, ratuj Baghrę. Nie zostawię griszów.

– Zajmę się nimi i wrócę. Obiecuję.

– Dajesz słowo rzezimieszka i pirata?

Dotknął przelotnie mojego policzka.

– Korsarza.

– Biegiem! – krzyknął Mal.

Kiedy pobiegliśmy tunelem, obejrzałam się i zobaczyłam sylwetkę Nikołaja na tle fioletowego zmierzchu. Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś go zobaczę.

* * *

Rana w ramieniu paliła i pulsowała, ponaglając mnie do szybszego biegu. Zastanawiałam się gorączkowo: czy zdążyli zabarykadować się w głównej sali, obsadzić broń na dachu, czy

zdołam dotrzeć do zwierciadeł. Wszystkie nasze plany zniszczyła arogancja Vasilija.

Wypadłam na otwarty teren i zatrzymałam się tak gwałtownie, że żwir trysnął mi spod butów. Nie wiem, czy to rozpęd, czy widok przede mną sprawił, że padłam na kolana.

Mały Pałac był cały spowity kłębiącymi się cieniami. Terkotały i bzyczały, przemykając po ścianach i pikując na dach. Ciała leżały na schodach, na ziemi. Główne drzwi stały otwarte na oścież.

Ścieżka do frontowych schodów była usiana odłamkami potłuczonego lustra. Wielki kawał zwierciadlanej misy Davida leżał potrzaskany na boku, miażdżąc ciało dziewczyny w przekrzywionych goglach. Paja. Dwóch *niczewojów* przykucnęło za misą, wpatrując się w swoje pokawałkowane odbicia.

Zawyłam z czystej wściekłości i posłałam płonący snop światła, paląc ich obu. Światło załamało się na krawędziach zwierciadła, kiedy *niczewoje* zniknęli.

Usłyszałam terkot broni na dachu. Ktoś jeszcze żył. Ktoś nadal walczył. I ocalało jedno zwierciadło. To niewiele, ale tylko tyle nam zostało.

– Tędy – powiedział Mal.

Przebiegliśmy przez trawnik i drzwi, które prowadziły do komnat Zmrocza. U podnóża schodów *niczewoj* rzucił się do nas z wrzaskiem i ściął mnie z nóg. Mal ciął go szablą. *Niczewoj* zafalował i uformował się na nowo.

– Cofnij się! – krzyknęłam.

Mal zrobił unik, a ja uderzyłam żołnierza z cienia Cięciem. Wbiegłam po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Serce waliło mi jak młotem. Mal deptał mi po piętach. Powietrze było gęste od zapachu krwi i terkotu broni, który czuło się aż w kościach.

Kiedy wypadliśmy na dach, usłyszałam, jak ktoś krzyczy:

– Uwaga!

Ledwie zdążyliśmy uskoczyć, kiedy *grenatki* eksplodowały wysoko nad nami, paląc nam powieki światłem i zostawiając dzwonienie w uszach. Somatycy obsługiwali działka Nikołaja, posyłając strumienie kul w kłębowisko cieni, podczas gdy fabrykatorzy dostarczali im amunicji. Ocalałe zwierciadło było otoczone przez uzbrojonych griszów, którzy próbowali nie dopuścić do niego *niczewojów*. Stał tam David, ściskając niezgrabnie karabin, i starał się stawiać opór przeciwnikowi. Cisnęłam światło wysoko w postaci oślepiającej błyskawicy, która przecięła niebo nad nami i dała nam kilka cennych sekund.

– Davidzie!

David zagwizdał przenikliwie, używając gwizdka, który miał na szyi. Nadia spuściła gogle na oczy, a substantyk obsługujący zwierciadło stanął na swoim miejscu. Nie czekałam – uniosłam ręce i posłałam światło w zwierciadło. Rozległ się gwizd. Misa się przechyliła. Czysty, pojedynczy promień światła buchnął od zwierciadlanej powierzchni. Nawet bez drugiej misy przeszył niebo, tnąc *niczewojów*, którzy płonęli i znikali bez śladu.

Promień przejechał po niebie, kreśląc jarzący się łuk, roztapiając przed sobą czarne ciała, przerzedzając hordę, aż znów ujrzeliśmy głęboki zmierzch *Belianoczi*. Griszowie zaczęli wiwatować na widok pierwszych gwiazd i maleńka iskierka nadziei przebiła się przez moją zgrozę.

A potem *niczewoje* się przedarli. Uskakiwali przed promieniem i rzucili się na zwierciadło, które zadygotało na mocowaniach.

Mal natychmiast dopadł jednego z nich, tnąc i dźgając. Grupa griszów próbowała złapać potwora za muskularne nogi, ale on się im wymykał. Potem *niczewoje* zaatakowali ze wszystkich

stron. Widziałam, jak jeden przemknął obok promienia i rzucił się prosto na misę. Lustro się pochyliło. Światło osłabło i zgasło.

– Nadia! – krzyknęłam.

Ona i substantyk w porę odskoczyli od zwierciadła. Przechyliło się ze straszliwym brzękiem tłuczonego szkła, a *niczewoje* ponowili atak.

Ciskałam jednym łukiem światła za drugim.

– Do środka! – krzyknęłam. – Pozamykajcie drzwi!

Griszowie pobiegli, ale nie byli dostatecznie szybcy. Usłyszałam krzyki i mignęła mi przelotnie twarz Fedyora, kiedy został poderwany w powietrze i zrzucony z dachu. Cisnęłam deszczem światła, żeby zapewnić nam osłonę, ale *niczewoje* wciąż atakowali. Gdybyśmy tylko mieli oba zwierciadła! Gdybyśmy tylko mieli trochę więcej czasu!

Mal nagle znowu znalazł się obok mnie. Miał karabin w ręce.

– Nie jest dobrze – powiedział. – Musimy się stąd wynosić.

Skinęłam głową i cofnęliśmy się schodami, kiedy niebo pociemniało od kłębiących się kształtów. Moja stopa natrafiła na coś miękkiego, co leżało za mną. Potknęłam się.

Sergiej kulił się przy kopule. Trzymał Marie w ramionach. Została rozerwana od szyi po pępek.

– Nikt już nie został – szlochał. Łzy płynęły mu po policzkach. – Nikt już nie został.

Kołysał się w tył i w przód, mocno przyciskając Marie. Nie mogłam znieść jej widoku. Głupiutka, rozchichotana Marie o ślicznych, brązowych lokach.

Niczewoje biegli ku nam przez dach jak czarna fala.

– Mal, podnieś go! – krzyknęłam.

Cięłam tłum cieni, który na nas szarżował.

Mal złapał Sergieja i odciągnął go od Marie. Grisza wymachiwał rękami i opierał się, ale zdołaliśmy go wciągnąć do środka i zatrzasnąć za sobą drzwi. Na wpół znieśliśmy, na wpół

ściągnęliśmy go po schodach. Na drugim biegu schodów usłyszeliśmy, jak drzwi na dach zostały wyrwane z impetem. Cięłam wysokim promieniem światła, mając nadzieję, że trafię w coś innego niż tylko schody, i zbiegliśmy po ostatnich stopniach.

Rzuciliśmy się do głównej sali. Drzwi zamknęły się za nami, griszowie przesunęli rygiel na swoje miejsce. Rozległ się głośny huk, a potem kolejny, gdy *niczewoje* próbowali wyważyć drzwi.

– Alina! – krzyknął Mal.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że drugie drzwi zamknięto, ale w środku nadal znajdowali się *niczewoje*. Zoya i brat Nadii cofnęli się pod ścianę i za pomocą wiatru szkwalników ciskali stołami, krzesłami i kawałkami połamanych mebli w atakujące ich stado żołnierzy z cienia.

Uniosłam ręce i światło trysnęło skwierczącymi sznurami, rozdzierając jednego *niczewoja* za drugim, aż wszystkie przepadły. Zoya opuściła ręce i samowar spadł z głośnym brzękiem.

Przy każdych drzwiach słyszeliśmy uderzenia i skrobanie. *Niczewoje* drapali pazurami drewno, próbując dostać się do środka, szukając szczeliny, żeby się przez nią przesączyć. Jednak fabrykatorzy dobrze wykonali swoje zadanie. Uszczelnienia wytrzymają, przynajmniej na razie.

W końcu rozejrzałam się po sali. Cała była zalana krwią. Były nią umazane ściany, kamienna podłoga była od niej mokra. Wszędzie leżały ciała, kupki fioletu, czerwieni i błękitu.

– Są jeszcze inni? – zapytałam.

Nie potrafiłam powstrzymać drżenia głosu.

Oszołomiona Zoya pokręciła głową. Na policzkach miała rozbryzg krwi.

– Jedliśmy kolację – powiedziała. – Usłyszeliśmy dzwony. Nie mieliśmy czasu, żeby zamknąć drzwi. Byli… wszędzie.

Sergiej szlochał cicho. David był blady, ale spokojny. Nadia zdołała dotrzeć do sali. Obejmowała Adrika, który nadal unosił hardo podbródek, ale cały dygotał. Było też trzech piekielników i jeszcze dwóch somatyków – uzdrowiciel i ciałobójca. Tylko tyle ostało się z Drugiej Armii.

– Czy ktoś widział Tolyę i Tamar? – zapytałam.

Nikt ich nie widział. Możliwe, że nie żyją. A może odegrali jakąś rolę w tej katastrofie. Tamar zniknęła z jadalni. Na ile się orientowałam, mogła od początku współpracować ze Zmroczem.

– Może Nikołaj jeszcze nie odleciał – powiedział Mal. – Moglibyśmy spróbować dotrzeć do *Zimorodka*.

Pokręciłam głową. Jeśli Nikołaj nie odleciał, to zginął razem z resztą królewskiej rodziny i najpewniej także Baghrą. Nagle wyobraziłam sobie jego ciało unoszące się twarzą do dołu na powierzchni jeziora obok połamanych desek *Zimorodka*.

Nie. Nie będę tak myśleć. Przypomniałam sobie, co pomyślałam o Nikołaju, kiedy pierwszy raz go spotkałam. Muszę wierzyć, że lis przechera zdoła uciec i z tej pułapki.

– Zmrocz skoncentrował tutaj swoje siły – powiedziałam. – Możemy spróbować uciec do górnego miasta i wywalczyć sobie dalszą drogę.

– W życiu nam się nie uda – lamentował pozbawiony nadziei Sergiej. – Jest ich za dużo.

To była prawda. Wiedzieliśmy, że może do tego dojść, ale zakładaliśmy, że mamy więcej ludzi, i liczyliśmy na ewentualne posiłki z Poliznai.

Gdzieś z oddali dobiegł przewalający się trzask grzmotu.

– Nadchodzi – jęknął jeden z piekielników. – O, święci, nadchodzi.

– Pozabija nas wszystkich – szepnął Sergiej.

– Jeśli będziemy mieli szczęście – odpowiedziała Zoya.

Nie była to najbardziej pomocna uwaga, jaką mogła wypowiedzieć, ale miała rację. Przekonałam się, jak Zmrocz poczyna sobie ze zdrajcami, widząc mroczne głębiny oczu jego własnej matki, i podejrzewałam, że Zoya oraz pozostali zostaną potraktowani znacznie brutalniej.

Zoya próbowała otrzeć krew z twarzy, ale udało jej się tylko rozmazać ją po całym policzku.

– Proponuję spróbować przedostać się do górnego miasta. Wolę zaryzykować z potworami niż siedzieć tu i czekać na Zmrocza.

– Szanse mamy marne – ostrzegłam; nie potrafiłam znieść tego, że nie mogę im dodać nadziei. – Nie jestem dość silna, żeby ich wszystkich powstrzymać.

– *Niczewoje* oznaczają przynajmniej względnie szybki koniec – powiedział David. – Proponuję zginąć w walce.

Wszyscy odwróciliśmy się do niego. Sam robił wrażenie nieco zaskoczonego własnymi słowami. A potem wzruszył ramionami. Spojrzał mi w oczy i dodał:

– Dajmy z siebie wszystko.

Rozejrzałam się po zgromadzonych. Jeden po drugim wszyscy skinęli głowami.

Nabrałam powietrza.

– Davidzie, zostały ci jeszcze jakieś *grenatki*?

Wyjął zza pazuchy *kefty* dwa żelazne cylindry.

– To są ostatnie.

– Wykorzystaj jeden, drugi zostaw w rezerwie. Dam sygnał. Kiedy otworzę drzwi, biegnijcie do pałacowej bramy.

– Zostaję z tobą – powiedział Mal.

Otworzyłam usta, żeby się sprzeciwić, ale wystarczyło, że raz na niego spojrzałam, i zrozumiałam, że nie ma to sensu.

– Nie czekajcie na nas! – krzyknęłam do pozostałych. – Zapewnię wam jak najlepszą osłonę.

Kolejny huk grzmotu przeciął powietrze.

Griszowie wyjęli karabiny z rąk zabitych i zebrali się wokół mnie przy drzwiach.

– W porządku – powiedziałam.

Odwróciłam się i położyłam ręce na rzeźbionych klamkach. Czułam w dłoniach, jak *niczewoje* uderzają ciałami o drzwi. W ranie odezwało się potworne pieczenie.

Skinęłam do Zoi. Rygiel się odsunął.

Otworzyłam szeroko drzwi i krzyknęłam:

– Teraz!

David cisnął bombą rozbłyskową w półmrok, a Zoya uniosła ręce w powietrze i podmuchem wiatru pchnęła cylinder wyżej.

– Padnij! – krzyknął David.

Odwróciliśmy się w stronę bezpiecznej sali, zaciskając powieki i zasłaniając uszy dłońmi, szykując się na wybuch.

Eksplozja zatrzęsła kamienną podłogą pod nami, a oślepiający blask przepalił czerwienią moje zamknięte powieki.

Pobiegliśmy. *Niczewoje* rozproszyli się przestraszeni wybuchem światła i dźwięku, ale już kilka sekund później zawrócili ku nam.

– Biegnijcie! – krzyknęłam.

Uniosłam ręce i przywołałam światło pod postacią ognistych kos, które cięły fioletowe niebo, krojąc jednego *niczewoja* za drugim, a Mal otworzył ogień. Griszowie pobiegli w kierunku leśnego tunelu.

Przywołałam każdą cząstkę mocy jelenia i siły morskiego bicza, wykorzystałam każdą sztuczkę, jakiej nauczyła mnie Baghra. Pociągnęłam światło ku sobie i wyostrzyłam je w palące łuki, które wycinały jarzące się ścieżki w armii z cienia.

Niestety było ich zbyt wielu. Jaką cenę zapłacił Zmrocz za stworzenie takiej rzeszy? *Niczewoje* napierali, ich ciała poruszały się i wirowały jak połyskujące chmury żuków, wyciągali ręce z obnażonymi, ostrymi szponami. Wypchnęli griszów z powrotem z tunelu. Czarne skrzydła biły powietrze, szerokie, wykrzywione dziury ich paszcz już rozwierały się szeroko.

I nagle powietrze ożyło terkotem broni palnej. Żołnierze wylewali się z lasu na lewo ode mnie i strzelali w biegu. Z ust wyrwał im się okrzyk bojowy, od którego dostałam gęsiej skórki na rękach:

– Sankta Alina!

Rzucili się na *niczewojów*, dobywając mieczy i szabel, cięli potwory z przerażającą zaciekłością. Niektórzy byli ubrani jak farmerzy, inni nosili złachmanione mundury Pierwszej Armii, ale wszyscy mieli identyczne tatuaże na twarzach – moje słońce.

Tylko dwoje nie miało tatuaży. Tolya i Tamar, którzy z dzikim wzrokiem prowadzili atak. Ich ostrza błyskały, gdy wykrzykiwali moje imię.



Żołnierze słońca rzucili się na hordę z cienia, tnąc i dźgając szablami, spychając *niczewojów* w tył, podczas gdy strzelcy strzelali raz za razem. Jednakże mimo zaciekłości ich ataku byli tylko ludźmi – ciało i stal przeciwko żywym cieniom. *Niczewoje* zaczęli ich wybijać jednego po drugim.

– Biegnijcie do kaplicy! – krzyknęła Tamar.

Do kaplicy? Zamierzała obrzucić Zmrocza psałterzami?

– Znajdziemy się w pułapce! – odkrzyknął Sergiej, biegnąc ku mnie.

– Już jesteśmy w pułapce – odpowiedział Mal, zakładając karabin na plecy i łapiąc mnie za rękę. – Biegnijmy!

Nie wiedziałam, co o tym myśleć, ale nie mieliśmy dużego wyboru.

– David! – wrzasnęłam. – Druga bomba!

Cisnął nią w kierunku *niczewojów*. Źle wycelował, ale Zoya mu pomogła.

Daliśmy nura do lasu, a żołnierze słońca zabezpieczali nasze tyły. Wybuch wdarł się między drzewa pod postacią białego światła.

W kaplicy zapalono lampy. Drzwi do niej były otwarte. Wpadliśmy do środka, echo naszych kroków odbijało się od ławek i glazurowanej na niebiesko kopuły.

– Dokąd biegniemy?! – krzyknął spanikowany Sergiej.

Już słyszeliśmy owadzie terkotanie i cykanie na zewnątrz. Tolya zatrzasnął drzwi do kaplicy i wsunął na miejsce ciężką drewnianą sztabę. Żołnierze słońca z karabinami w rękach zajęli pozycje przy oknach.

Tamar przeskoczyła nad ławką i przebiegła obok mnie w głąb nawy.

– Chodźcie!

Popatrzyłam na nią skonsternowana. Co niby mieliśmy robić?

Przebiegła obok ołtarza i złapała jeden ze złoconych drewnianych narożników tryptyku. Zaparło mi dech w piersi, gdy uszkodzony wodą panel odchylił się, ukazując czarny wylot przejścia. To w ten sposób żołnierze słońca dostali się na tereny pałacowe. I w taki sposób Apparat uciekł z Wielkiego Pałacu.

– Dokąd prowadzi? – zapytał David.

– A to ma znaczenie? – żachnęła się Zoya.

Budowla zatrzęsła się, kiedy głośny trzask grzmotu rozdarł powietrze. Drzwi kaplicy zostały wysadzone. Podmuch cisnął Tolyą do tyłu i do wnętrza wlała się ciemność.

Zmrocz nadciągnął na fali cienia unoszony przez potwory, które ostrożnie postawiły go na posadzce kaplicy.

– Strzelać! – krzyknęła Tamar.

Rozległy się wystrzały. *Niczewoje* kłębili się i wirowali wokół Zmrocza, przekształcając się i formując na nowo, kiedy kule trafiały w ich ciała, jeden zajmował miejsce drugiego w nieprzerwanej fali cienia. Zmrocz nawet nie zwolnił.

Niczewoje wlewali się do kaplicy. Tolya już wstał i pędził do mnie z wyciągniętymi pistoletami. Tamar i Mal stanęli po obu moich stronach, a griszowie ustawili się za nami. Uniosłam ręce, przywołując światło, szykując się na atak.

– Poddaj się, Alino – powiedział Zmrocz. Jego chłodny głos poniósł się echem w kaplicy, przebijając się przez hałas i chaos. – Poddaj się, to ich oszczędzę.

W odpowiedzi Tamar przesunęła jednym ostrzem toporka o drugie ze straszliwym metalicznym zgrzytem. Żołnierze słońca unieśli karabiny, a ja usłyszałam trzask krzesiwa piekielnika.

– Rozejrzyj się, Alino – powiedział Zmrocz. – Nie możesz wygrać. Możesz tylko patrzeć, jak umierają. Chodź ze mną teraz, a nie zrobię im krzywdy. Ani twoim fanatycznym żołnierzom, ani nawet griszom, którzy mnie zdradzili.

Rozejrzałam się po zgrozie, jaką przedstawiała sobą kaplica. *Niczewoje* kłębili się nad nami, tłocząc się pod kopułą. Zbili się wokół Zmrocza w gęstą chmurę ciał i skrzydeł. Przez okna widziałam następnych, krążących po wieczornym niebie.

Twarze żołnierzy słońca wyrażały determinację, ale ich szeregi zostały znacząco przerzedzone. Jeden miał pryszcze na brodzie. Pod tatuażem nie wyglądał na więcej niż dwanaście lat. Potrzebowali cudu od swojej świętej, a ja nie potrafiłam go dokonać.

Tolya odciągnął kurki pistoletów.

– Poczekaj – powiedziałam.

– Alino – wyszeptała Tamar – nadal możemy cię stąd wydostać.

– Poczekaj – powtórzyłam z naciskiem.

Żołnierze słońca opuścili karabiny. Tamar opuściła toporki na wysokość bioder, ale nadal mocno je ściskała.

– Jakie są twoje warunki? – zapytałam.

Mal zmarszczył brwi. Tolya pokręcił głową. Nic mnie to nie obchodziło. Wiedziałam, że to może być podstęp, ale jeśli istniała jakaś szansa uratowania im życia, to zamierzałam z niej skorzystać.

– Poddaj się – powiedział Zmrocz – a oni odejdą wolno. Mogą schować się do króliczej nory i zniknąć tam na zawsze.

– Wolni? – szepnął Sergiej.

– On kłamie – powiedział Mal. – On zawsze kłamie.

– Nie muszę kłamać – odrzekł Zmrocz. – Alina chce ze mną odejść.

– Nie chce mieć z tobą nic wspólnego – powiedział Mal.

– Tak? – zapytał Zmrocz.

Jego ciemne włosy lśniły w świetle lamp w kaplicy. Przywołanie armii z cienia wiele go kosztowało. Był chudszy, bledszy, ale jakimś cudem wyostrzone rysy czyniły jego twarz jeszcze piękniejszą.

– Ostrzegałem cię, że twój *otkazat´sia* nigdy cię nie zrozumie, Alino. Powiedziałem ci, że zacznie się ciebie bać i pogardzać twoją mocą. Powiedz mi, że się myliłem.

– Myliłeś się – odpowiedział Mal spokojnym głosem, ale w moim sercu odezwały się wątpliwości.

Zmrocz pokręcił głową.

– Nie możesz mnie okłamać. Myślisz, że mógłbym powracać do ciebie raz za razem, gdybyś była mniej samotna? Wzywałaś mnie, a ja odpowiadałem.

Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę.

– Ty... ty tam byłeś?

– W Fałdzie. W pałacu. Ostatniej nocy.

Zarumieniłam się, kiedy przypomniałam sobie jego ciało na moim. Wstyd mnie zalał, ale towarzyszyła mu także obezwładniająca ulga. Nie wyobraziłam sobie tego wszystkiego.

– To niemożliwe – warknął Mal.

– Nie masz pojęcia, co jest dla mnie możliwe, tropicielu.

Zamknęłam oczy.

– Alino...

– Widziałem, czym naprawdę jesteś – powiedział Zmrocz – i nigdy się nie odwróciłem. Nigdy się nie odwrócę. Czy on może powiedzieć to samo?

– Nic o niej nie wiesz – zaprotestował żarliwie Mal.

– Chodź ze mną, a to wszystko się skończy: strach, niepewność, rozlew krwi. Chodź ze mną, Alino. Pozwól im odejść.

– Nie – odpowiedziałam. Jednak nawet gdy kręciłam głową, coś we mnie wołało: „Tak!”.

Zmrocz westchnął i zerknął przez ramię.

– Przyprowadźcie ją – polecił.

Jakaś postać wyszła naprzód, powłócząc nogami, przygarbiona i powolna, jakby każdy krok sprawiał jej ból. Baghra.

Żołądek mi się zacisnął. Dlaczego musiała być taka uparta? Dlaczego nie mogła odlecieć z Nikołajem? Chyba że jemu też się nie udało.

Zmrocz położył rękę na ramieniu Baghry.

– Zostaw ją w spokoju – powiedziałam gniewnie.

– Pokaż im – rozkazał.

Odwinęła szal. Zaparło mi dech w piersi. Usłyszałam, jak ktoś za mną jęknął.

To nie była Baghra. Nie wiedziałam, co to jest. Ugryzienia były wszędzie, wybrzuszone, czarne blizny, poskręcane guzy tkanki, która nigdy się nie zagoi, ani za sprawą griszy, ani

żadnego innego sposobu, charakterystyczne ślady *niczewojów*. A potem dostrzegłam przygaszony płomienny kolor jej włosów, cudowny bur-sztynowy odcień jej jedynego oka.

– Genya – szepnęłam.

Staliśmy w straszliwej ciszy. Zrobiłam jeden krok w jej kierunku. A potem David przepchnął się obok mnie i zbiegł po stopniach ołtarza. Genya odsunęła się od niego, naciągnęła szal, odwróciła ohydną twarz.

David zwolnił. Zawahał się. Delikatnie wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej ramienia. Widziałam, jak drżą jej plecy, i zrozumiałam, że Genya płacze.

Zasłoniłam usta, kiedy szloch wyrwał mi się z gardła.

Widziałam tysiące potworności podczas tego długiego dnia, ale ta mnie załamała. Genya wzdragająca się przed Davidem jak przestraszone zwierzę. Świetlista Genya o alabastrowej skórze i wdzięcznych dłoniach. Zahartowana Genya, która zniosła niezliczone upokorzenia i obelgi, ale zawsze wysoko zadzierała śliczny podbródek. Niemądra Genya, która próbowała być moją przyjaciółką i ośmieliła się okazać mi litość.

David objął ją i powoli poprowadził nawą. Zmrocz ich nie zatrzymywał.

– Prowadzę wojnę, do której mnie zmusiłaś, Alino – powiedział. – Gdybyś przede mną nie uciekła, Druga Armia pozostałaby nietknięta. Ci wszyscy griszowie nadal by żyli. Twój tropiciel żyłby bezpiecznie i szczęśliwie w swoim pułku. Kiedy będzie ci dość? Kiedy pozwolisz mi przestać?

„Nie można ci pomóc. Twoją jedyną nadzieją była ucieczka”.

Baghra miała rację. Byłam głupia, myśląc, że mogę z nim walczyć. Spróbowałam tego i ogromna liczba ludzi straciła życie.

– Opłakujesz ludzi, którzy zginęli w Novokribirsku – mówił dalej Zmrocz – ludzi, którzy zginęli w Fałdzie. A co z tysiącami,

które zginęły wcześniej podczas niekończących się wojen? Co z innymi, umierającymi teraz na odległych ziemiach? Razem możemy położyć temu wszystkiemu kres.

Rozsądne. Logiczne. Chociaż raz dopuściłam do siebie jego słowa. Kres tego wszystkiego.

To koniec, pomyślałam.

Powinnam paść pokonana przez tę myśl, ale zamiast tego wypełniła mnie przedziwna lekkość. Czy jakaś cząstka mnie od początku wiedziała, że tak to się skończy?

W tej samej chwili, w której Zmrocz dotknął mojej ręki w pawilonie griszów dawno temu, zawładnął mną. Ja po prostu nie zdawałam sobie z tego sprawy.

– W porządku – szepnęłam.

– Alino, nie! – zaprotestował żarliwie Mal.

– Wypuścisz ich? Wszystkich? – upewniłam się.

– Potrzebujemy tropiciela – odpowiedział Zmrocz. – Żeby znaleźć żarptaka.

– On odejdzie wolno. Nie możesz mieć nas obojga.

Zmrocz zamarł, a potem skinął głową. Wiedziałam, że pomyślał, że jakoś inaczej dopadnie Mala. Niech sobie w to wierzy. Nigdy na to nie pozwolę.

– Nigdzie się nie wybieram – wycedził Mal przez zaciśnięte zęby.

Odwróciłam się do Tolyi i Tamar.

– Zabierzcie go stąd. Nawet jeśli mielibyście go wynieść.

– Alino...

– Nigdzie nie pójdziemy – odpowiedziała Tamar. – Złożyliśmy przysięgę.

– Pójdziecie.

Tolya pokręcił głową.

– Przysięgliśmy, że będziemy cię chronić za cenę własnego życia. My wszyscy.

Odwróciłam się do zgromadzonych.

– To róbcie, co wam rozkazuję. Tolya Yul-Baatar, Tamar Kir-Baatar, zabierzecie tych ludzi w bezpieczne miejsce. – Przywołałam światło, żeby otoczyło mnie wspaniałą aureolą. Tania sztuczka, ale skuteczna. Nikołaj byłby ze mnie dumny. – Nie zawiedźcie mnie.

Tamar miała łzy w oczach, ale oboje z bratem pochylili głowy.

Mal złapał mnie za ramię i obrócił brutalnie.

– Co ty wyprawiasz?

– Tego właśnie chcę.

Tego potrzebuję, pomyślałam. Czy to ofiara, czy egoizm – to już nie miało znaczenia.

– Nie wierzę ci.

– Nie mogę uciec przed tym, czym jestem, czym się staję. Nie mogę przywrócić Aliny, którą znałeś, ale mogę ci zwrócić wolność.

– Nie możesz... nie możesz wybrać jego.

– Nie mam wyboru. To było nam pisane. – Mówiłam prawdę. Czułam to w obroży, w ciężarze obręczy na nadgarstku. Po raz pierwszy od tygodni czułam się silna.

Pokręcił głową.

– Tak nie może być. – Wyraz jego twarzy prawie mnie pokonał. Był zagubiony, przestraszony jak chłopiec stojący samotnie pośród ruin płonącej wioski. – Alino, proszę – powiedział cicho. – Proszę. To nie może skończyć się w taki sposób.

Położyłam mu rękę na policzku, mając nadzieję, że nadal łączy nas dość, żeby zrozumiał. Wspięłam się na palce i pocałowałam go w bliznę na żuchwie.

– Kochałam cię całe swoje życie, Mal – szepnęłam przez łzy. – To nie koniec naszej historii.

Odsunęłam się, zapamiętując każdy detal jego ukochanej twarzy. A potem odwróciłam się i ruszyłam przez nawę. Kroczyłam pewnie. Mal będzie żył. Odnajdzie cel. Ja musiałam poszukać własnego. Nikołaj obiecał mi szansę ocalenia Ravki, odpokutowania za to, co zrobiłam. Próbował, ale tylko Zmrocz mógł mi ofiarować ten dar.

– Alino! – krzyknął Mal. Słyszałam szamotaninę za plecami i wiedziałam, że Tolya go złapał. – Alino!

Jego głos był zdarty do żywego, jak kawał drewna wyrwany z serca drzewa. Nie odwróciłam się.

Zmrocz stał i czekał. Jego gwardia z cienia unosiła się nad nim i przekształcała.

Bałam się, ale mimo strachu szłam ochoczo.

– Jesteśmy tacy sami – powiedział. – Nie ma nikogo takiego jak my i nigdy nie będzie.

Prawda tych słów dotarła do mnie. „Podobieństwa się przyciągają".

Wyciągnął dłoń i weszłam w jego objęcia.

Położyłam mu dłoń na karku, czując jedwabisty dotyk jego włosów. Wiedziałam, że Mal patrzy. Potrzebowałam, żeby się odwrócił. Żeby odszedł. Odchyliłam twarz ku Zmroczowi.

– Moja moc jest twoją – szepnęłam.

Widziałam radość i triumf w jego oczach, kiedy pochylił się ku mnie, sięgając ku moim ustom. Nasze wargi się spotkały i otworzyło się między nami połączenie. Nie w taki sposób dotykał mnie w wizjach, kiedy przychodził do mnie jako cień. To działo się naprawdę i mogłabym w tym zatonąć.

Moc mnie zalała, moc jelenia, jego silnego serca bijącego w obu naszych ciałach, życia, które Zmrocz odebrał, a które ja próbowałam ocalić. Czułam jednak także moc Zmrocza, moc Czarnego Heretyka, moc Fałdy.

„Podobieństwa się przyciągają”. Wyczułam to, kiedy *Koliber* wkroczył na Niemorze, ale bałam się z tym pogodzić. Tym razem nie walczyłam. Odrzuciłam strach, poczucie winy, wstyd. Istniała we mnie ciemność. Umieścił ją we mnie i nie mogłam dłużej temu zaprzeczać. Volcry, *niczewoje* – to były moje potwory, one wszystkie. I on też był moim potworem.

– Moja moc jest twoją – powtórzyłam.

Objął mnie mocniej.

– A twoja moją – szepnęłam, przyciskając usta do jego warg.

„Moją”. To słowo zawibrowało we mnie, w nas obojgu.

Żołnierze z cienia przekształcali się i brzęczeli jak owady.

Przypomniałam sobie sposób, w jaki to odczuwałam na ośnieżonej polanie, kiedy Zmrocz umieścił obrożę wokół mojej szyi i przejął kontrolę nad moją mocą. Sięgnęłam przez połączenie między nami.

Cofnął się.

– Co ty robisz?

Wiedziałam, dlaczego nigdy nie zamierzał osobiście zabić morskiego bicza, dlaczego nie chciał uformować drugiego połączenia. Bał się.

„Moją”.

Siłą sięgnęłam przez więź, jaka połączyła nas dzięki obroży Morozova, i pochwyciłam moc Zmrocza.

Ciemność wylała się z niego jak czarny atrament płynący z jego dłoni, wydymający się i rozpływający, rozkwitający kształtem *niczewojów*, formujący dłonie, głowy, szpony, skrzydła. Pierwsze z moich plugastw.

Zmrocz próbował mi się wyrwać, ale ja złapałam się go mocniej, przyzywając jego moc, przyzywając ciemność, tak jak on kiedyś posłużył się obrożą, żeby przyzwać moje światło.

Kolejny stwór wyskoczył naprzód, potem następny. Zmrocz krzyknął, kiedy wycisnęłam z niego potwora. Ja też to czułam –

czułam, jak serce mi się zaciska, gdy każdy żołnierz z cienia wyrywał ze mnie kawałeczek, ściągając cenę należną za jego stworzenie.

– Przestań – wychrypiał Zmrocz.

Niczewoje warkotali wokół nas nerwowo, terkotali i buczeli coraz szybciej i szybciej. Tworzyłam jednego ciemnego żołnierza za drugim i moja armia rosła wokół nas.

Zmrocz jęknął. Ja także. Oparliśmy się o siebie, ale ja nadal nie chciałam ustąpić.

– Zabijesz nas oboje! – krzyknął.

– Tak.

Nogi ugięły się pod Zmroczem i padliśmy na kolana.

To nie była Mała Nauka. To była magia, coś pradawnego, tworzenie w sercu świata. To było przerażające i nie miało granic. Nic dziwnego, że Zmrocz pragnął tego coraz więcej.

Ciemność buczała i terkotała jak tysiące szarańczy, żuków, głodnych much, pocierających odnóżami o siebie, uderzających skrzydłami. *Niczewoje* falowali i kształtowali się, furkotali jak oszalali, doprowadzeni do wściekłości i euforii.

Kolejny potwór. I jeszcze jeden. Krew lała się Zmroczowi z nosa. Pomieszczenie jakby się zakołysało i zdałam sobie sprawę, że szarpią mną konwulsje. Umierałam, kawałek po kawałeczku, wraz z każdym potworem, którego uwalniałam na świat.

Jeszcze trochę, pomyślałam. Jeszcze tylko kilku. Tyle, żebym wiedziała, że posłałam go na tamten świat, zanim sama pójdę w jego ślady.

– Alino! – Usłyszałam, jak Mal woła mnie z ogromnej odległości. Szarpał mnie, odciągał.

– Nie! – krzyknęłam. – Daj mi to skończyć.

– Alino!

Mal złapał mnie za nadgarstek i przeszył mnie wstrząs. Przez mgiełkę krwi i cienia dostrzegłam coś pięknego, jakbym zajrzała przez złote drzwi.

Wyrwał mnie z objęć Zmrocza, ale zdążyłam jeszcze wezwać moje dzieci do ostatniego wysiłku: „Zawalcie kaplicę".

Zmrocz osunął się na ziemię. Potwory poderwały się wirującą czarną kolumną wokół niego. A potem uderzyły o ściany kaplicy, wstrząsając maleńkim budynkiem aż po fundamenty.

Mal trzymał mnie na rękach i biegł przez nawę. *Niczewoje* rzucali się na ściany kaplicy. Płaty tynku uderzały o podłogę. Niebieska kopuła zakołysała się, gdy jej podpory zaczęły się walić.

Mal przeskoczył obok ołtarza i rzucił się do ukrytego przejścia. Zapach wilgotnej ziemi i pleśni wypełnił mi nozdrza, mieszając się ze słodkim zapachem kadzidła z kaplicy. Mal biegł, ścigając się z katastrofą, którą zapoczątkowałam.

Gdzieś za nami rozległ się huk, kiedy kaplica runęła, i poniósł się za nami przejściem jak grzmot. Chmura pyłu i szczątków uderzyła nas z siłą fali. Mal poleciał do przodu. Wypadłam mu z rąk i świat zawalił się wokół nas.

* * *

Pierwsze, co usłyszałam, to niski bas głosu Tolyi. Nie mogłam się odezwać, nie mogłam krzyknąć. Czułam tylko ból i nieustępliwy ciężar ziemi. Później dowiedziałam się, że trudzili się przy mnie godzinami, tłocząc powietrze do moich płuc, tamując upływ krwi, starając się naprawić najgorsze złamania.

Moja świadomość przypływała i odpływała. W ustach mi zaschło i tak spuchły, że nie mogłam ich otworzyć. Byłam

przekonana, że ugryzłam się w język.

Słyszałam, jak Tamar wydaje rozkazy.

– Poprowadźcie resztę tunelem w dół. Musimy stąd odejść jak najdalej.

Mal. Był tutaj? Pogrzebany pod gruzami? Nie mogłam pozwolić, żeby go zostawiono. Zmusiłam usta do wypowiedzenia jego imienia.

– Mal.

Czy w ogóle mnie słyszeli? Mój głos był stłumiony i dziwnie brzmiał.

– Cierpi. Możemy ją uśpić? – zapytała Tamar.

– Nie chcę ryzykować, że serce znowu jej się zatrzyma – odpowiedział Tolya.

– Mal – powtórzyłam.

– Zostaw przejście do klasztoru otwarte – powiedziała do kogoś Tamar. – Przy odrobinie szczęścia może pomyśli, że wyszliśmy tamtędy.

Klasztor. Klasztor Sankta Lizabety. Ogrody obok rezydencji Gritzkich. Nie mogłam uporządkować myśli. Próbowałam znowu wypowiedzieć imię Mala, ale nie byłam w stanie zmusić ust do pracy. Ból mnie zalewał. A jeśli go straciłam? Gdybym miała siłę, krzyknęłabym. Dopominałabym się. A tak tylko utonęłam w ciemności.

* * *

Kiedy oprzytomniałam, świat kołysał się pode mną. Przypomniałam sobie przebudzenie na pokładzie statku wielorybniczego i przez jedną przerażającą chwilę myślałam, że może znowu się na nim znalazłam. Otworzyłam oczy i zobaczyłam ziemię i skałę nad sobą. Wędrowaliśmy przez

ogromną jaskinię. Leżałam na jakichś noszach niesiona przez dwóch mężczyzn.

Z trudem zachowywałam przytomność. Przez większość życia czułam się chora i słaba, ale nigdy nie zaznałam podobnego zmęczenia. Byłam pustą skorupą wydrążoną do czysta. Gdyby jakiś wiaterek mógł sięgnąć tak daleko pod ziemię, rozwiałby mnie i nie zostałoby ze mnie nic.

Chociaż każda kość i mięsień wrzeszczały we mnie w proteście, zdołałam obrócić głowę.

Zobaczyłam Mala: leżał na drugich noszach kilka kroków ode mnie. Patrzył tak, jakby czekał, aż się przebudzę. Wyciągnął rękę.

Znalazłam w sobie resztki sił i wyciągnęłam rękę poza nosze. Nasze palce się zetknęły. Usłyszałam szloch i zdałam sobie sprawę, że płaczę. Płakałam z ulgi, że nie będę musiała żyć z brzemieniem jego śmierci. Jednakże pośród wdzięczności poczułam też cierń urazy. Płakałam z wściekłości, że w ogóle będę musiała żyć.

* * *

Przebyliśmy wiele mil, wędrując przejściami tak wąskimi, że musiano spuszczać moje nosze na ziemię i przesuwać je po skale – i przejściami tak wysokimi i szerokimi, że przejechałoby nimi dziesięć fur z sianem. Pod ziemią nie było nocy ani dni.

Mal doszedł do siebie przede mną i kuśtykał teraz obok noszy. Doznał obrażeń, kiedy tunel się zawalił, ale griszowie go uleczyli. Tego, co ja przeszłam, z czym ja się zmierzyłam, nie byli w stanie wyleczyć.

W pewnym momencie zatrzymaliśmy się w jaskini z rzędami ociekających stalaktytów. Usłyszałam, jak jeden z niosących mnie mężczyzn nazywa ją Paszczą Czerwia. Kiedy położyli

nosze, Mal już czekał i z jego pomocą zdołałam usiąść i oprzeć się o ścianę pieczary. Nawet ten wysiłek wystarczył, żeby zakręciło mi się w głowie. Kiedy podsunął mi swój rękaw pod nos, zobaczyłam, że leci mi krew.

– Bardzo jest źle? – zapytałam.

– Bywało lepiej – przyznał. – Pielgrzymi wspomnieli o czymś, co nazywają Białą Katedrą. Myślę, że tam właśnie zmierzamy.

– Zabierają mnie do Apparata.

Rozejrzał się po jaskini.

– W ten sposób uciekł z Wielkiego Pałacu po zamachu stanu. I dzięki temu tak długo unikał pojmania.

– I w ten sposób pojawił się, a potem zniknął podczas przyjęcia z wróżbitami. Rezydencja znajdowała się obok klasztoru pod wezwaniem Sankta Lizabety, pamiętasz? Tamar doprowadziła mnie prosto do niego, a potem pozwoliła mu uciec.

Słyszałam gorycz w swoim słabym głosie.

Powoli mój przyćmiony umysł poskładał wszystko w całość. Tylko Tolya i Tamar wiedzieli o przyjęciu i zaaranżowali moje spotkanie z Apparatem. Już byli pośród pielgrzymów tego ranka, kiedy niemal wywołałam zamieszki. Przyszli popatrzeć na wschód słońca razem z wiernymi. To dzięki temu tak szybko do mnie dotarli. Tamar zniknęła z Gniazda Orła, kiedy zaczęła podejrzewać niebezpieczeństwo. Wiedziałam, że tylko dzięki bliźniętom i ich żołnierzom słońca griszowie przeżyli, ale mimo to ich kłamstwa mnie zraniły.

– Jak się mają pozostali?

Mal obejrzał się na griszów w łachmanach, którzy zbili się w grupkę w cieniach.

– Wiedzą o obręczy – powiedział. – I boją się.

– A o żarptaku?

Pokręcił głową.

– Wątpię.

– Niedługo im powiem.

– Sergiej źle się miewa. Myślę, że nadal jest w szoku. Pozostali jakoś się trzymają.

– Genya?

– Ona i David zostali w tyle. Nie jest w stanie poruszać się zbyt szybko. – Zamilkł na chwilę. – Pielgrzymi nazywają ją *Razruszaja*.

„Zniszczona”.

– Muszę zobaczyć się z Tolyą i Tamar.

– Musisz odpoczywać.

– Teraz. Proszę.

Wstał, ale się zawahał. Kiedy odezwał się znowu, głos miał zbolały.

– Powinnaś była mi powiedzieć, co zamierzasz.

Odwróciłam wzrok. Przepaść między nami wydawała się głębsza niż kiedykolwiek dotąd. Próbowałam cię uwolnić, Mal. Od Zmrocza. Ode mnie.

– Powinieneś był pozwolić mi go zabić. Powinieneś był dać mi umrzeć.

Kiedy usłyszałam, jak oddalają się jego kroki, opuściłam podbródek. Słyszałam swój płytki oddech. Gdy zebrałam siły, żeby podnieść wzrok, Tolya i Tamar klęczeli przede mną z pochylonymi głowami.

– Spójrzcie na mnie – powiedziałam.

Wypełnili polecenie. Tolya miał podwinięte rękawy i widziałam, że jego potężne przedramiona są ozdobione słońcami.

– Dlaczego nie powiedzieliście mi po prostu?

– Nigdy nie pozwoliłabyś nam zbliżyć się do siebie tak bardzo – odpowiedziała Tamar.

Miała rację. Nawet teraz nie byłam pewna, co o nich myśleć.

– Jeśli wierzycie, że jestem świętą, to czemu nie pozwoliliście mi umrzeć w kaplicy? Może moim przeznaczeniem jest męczeństwo?

– Wtedy byś zginęła – odpowiedział bez wahania Tolya. – Nie znaleźlibyśmy cię na czas w gruzach albo nie zdołalibyśmy cię ożywić.

– Pozwoliliście Malowi wrócić po mnie. Mimo przysięgi.

– Wyrwał się – powiedziała Tamar.

Uniosłam brew. Dzień, w którym Mal zdołał wyrwać się Tolyi, był rzeczywiście dniem cudów.

Tolya zwiesił głowę i wzruszył szerokimi ramionami.

– Wybacz – powiedział. – Nie mogłem być tym, który oddzieliłby go od ciebie.

Westchnęłam. Prawdziwy święty wojownik, też mi coś.

– Służycie mi?

– Tak – odpowiedzieli zgodnie.

– Mnie, nie kapłanowi?

– Służymy tobie – potwierdził żarliwie Tolya.

– Przekonamy się – mruknęłam i odprawiłam ich gestem.

Wstali, żeby odejść, ale wtedy ich zatrzymałam.

– Niektórzy z pielgrzymów nazywają Genyę *Razruszaja*. Udzielcie im jednego ostrzeżenia. Jeśli potem ktoś jeszcze raz wypowie to słowo, obetnijcie mu język.

Nawet nie mrugnęli powieką, nie wzdrygnęli się. Ukłonili się tylko i wyszli.

* * *

Biała Katedra okazała się alabastrową jaskinią tak rozległą, że w swoim jarzącym się, jasnym wnętrzu zmieściłaby miasto. Ściany były wilgotne i porośnięte grzybem, solnymi liliami

i muchomorami o kształcie gwiazd. Znajdowała się głęboko pod Ravką, gdzieś na północ od stolicy.

Chciałam spotkać się z kapłanem na stojąco, więc trzymałam się kurczowo ręki Mala, kiedy zaprowadzono nas do niego. Próbowałam ukryć wysiłek, jakiego wymagało ode mnie stanie, a także fakt, że cała się trzęsę.

– Sankta Alina – powiedział Apparat. – Nareszcie do nas przyszłaś.

A potem osunął się na kolana w swoich postrzępionych brązowych szatach. Ucałował moją dłoń, rąbek szaty. Wezwał wiernych; tysiące zebrały się w grocie. Kiedy przemówił, nawet powietrze jakby drżało.

– Powstaniemy, żeby stworzyć nową Ravkę! – ryknął. – Kraj wolny od tyranów i królów! Wysypiemy się z ziemi i przegonimy cienie falą praworządności!

W dole pielgrzymi skandowali:

– Sankta Alina!

W ścianach ze skały wykuto pokoje, komnaty jarzące się bielą i lśniące srebrnymi żyłkami. Mal pomógł mi dotrzeć do moich kwater, zmusił mnie do zjedzenia paru kęsów przetartego grochu i przyniósł dzban świeżej wody, którą napełnił miskę. Lustro osadzono bezpośrednio w skale. Kiedy spojrzałam na swoje odbicie, z piersi wyrwał mi się okrzyk. Ciężki dzban roztrzaskał się o podłogę. Skórę miałam bladą, opiętą ciasno na wystających kościach. Oczy wyglądały jak posiniaczone dziury. Moje włosy całkiem pobielały i wyglądały jak kaskada łamliwego śniegu.

Dotknęłam palcami szkła. Mal spojrzał w oczy mojemu odbiciu.

– Powinienem był cię ostrzec – powiedział.

– Wyglądam jak potwór.

– Bardziej jak chitka.

– Chitki to leśne duszki, co pożerają dzieci.

– Tylko kiedy są głodne.

Próbowałam się uśmiechnąć, chwycić się odrobiny ciepła, jakie pojawiło się między nami, ale zauważyłam, jak daleko ode mnie stoi i jak złożył ręce za plecami niczym strażnik stojący na baczność. Źle zrozumiał błysk łez w moich oczach.

– Dojdziesz do siebie – powiedział. – Gdy zaczniesz korzystać ze swojej mocy.

– Oczywiście – odpowiedziałam, odwracając się od lustra i czując, jak wyczerpanie i ból osiadają mi na kościach.

Zawahałam się, a potem zerknęłam znacząco na ludzi, których Apparat umieścił przy drzwiach mojej komnaty. Mal podszedł bliżej. Chciałam przytulić policzek do jego piersi, poczuć jego objęcia, posłuchać równego, ludzkiego bicia jego serca. Ale tego nie zrobiłam.

Zamiast tego odezwałam się cicho, prawie nie poruszając ustami:

– Próbowałam – szepnęłam. – Coś jest nie tak.

Zmarszczył brwi.

– Nie możesz przywołać mocy? – zapytał z wahaniem.

Czy w jego głosie pojawił się strach? Nadzieja? Troska? Nie potrafiłam powiedzieć. Wyczuwałam tylko jego ostrożność.

– Jestem za słaba. Za daleko pod ziemią. Sama nie wiem.

Patrzyłam na jego twarz, przypominając sobie naszą kłótnię w brzezinach, kiedy zapytał, czy zrezygnowałabym z bycia griszą. Nigdy, odpowiedziałam. Nigdy.

Ogarnęła mnie beznadzieja, gęsta, ciemna i ciężka jak ziemia. Nie chciałam tego mówić, nie chciałam ubrać w słowa strachu, który niosłam ze sobą przez długie, ciemne mile pod ziemią, ale zmusiłam się do ich wypowiedzenia.

– Światło nie przychodzi. Moja moc przepadła.



Dziewczyna znowu śniła o statkach, ale tym razem latających. Miały białe skrzydła z płótna, a za sterem stał lis o cwanych oczach. Czasem lis zamieniał się w księcia, który całował ją w usta i oferował jej zdobioną klejnotami koronę. Kiedy indziej to był czerwony piekielny ogar, który miał pianę na pysku i kłapał zębiskami, prawie łapiąc ją za pięty, gdy uciekała.

Co pewien czas śniła o żarptaku. Łapał ją w ogniste skrzydła i trzymał, a ona płonęła.

Na długo przed nadejściem wieści wiedziała, że Zmrocz przeżył i że znowu zawiodła. Uratowali go jego griszowie i teraz władał Ravką z tronu ukutego w cieniu, otoczony przez swoją potworną hordę. Nie wiedziała, czy był osłabiony z powodu tego, co zrobiła w kaplicy. Był bardzo stary, znał moc znacznie lepiej od niej.

Jego straże składające się z opryczników wkroczyły do klasztorów i kościołów, zrywały kafle i rozkopywały podłogi

w poszukiwaniu Przywoływaczki Słońca. Ogłoszono nagrody, rozesłano groźby i znowu zaczęto polowanie na dziewczynę.

Kapłan przysiągł, że jest bezpieczna w rozległej sieci tuneli, które krzyżowały się pod Ravką jak tajemna mapa. Niektórzy twierdzili, że wykopała je armia wiernych i że wymagało to setek lat pracy kilofami i łopatami. Inni mówili, że to dzieło potwora, ogromnego czerwia, który drążył ziemię, skałę, korzenie i żwir, aż oczyścił podziemne drogi prowadzące do pradawnych świętych miejsc, gdzie nadal wypowiadano na wpół pamiętane modlitwy. Dziewczyna wiedziała tylko, że żadne miejsce nie zapewni jej bezpieczeństwa zbyt długo.

Patrzyła w twarze wyznawców: starych mężczyzn, młodych kobiet, dzieci, żołnierzy, farmerów, skazańców. Widziała tylko trupy, kolejne ciała, które Zmrocz złoży u jej stóp.

Apparat płakał, wykrzykiwał słowa wdzięczności, że Przywoływaczka Słońca nadal żyje, że znowu ją oszczędzono. W jego dzikich czarnych oczach dziewczyna widziała coś innego – martwa męczennica stanowiła mniejszy kłopot niż żywa święta.

Modlitwy wiernych wznosiły się wokół chłopca i dziewczyny, niosły się echem i powielały pod ziemią, odbijając się od wysokich kamiennych ścian Białej Katedry. Apparat powiedział, że to święte miejsce, ich schronienie, azyl, dom.

Chłopiec kręcił głową. Potrafił rozpoznać celę więzienną.

Oczywiście się mylił. Dziewczyna widziała to w sposobie, w jaki Apparat patrzył, gdy usiłowała stanąć o własnych siłach. Słyszała to w każdym słabym uderzeniu serca. To miejsce nie było więzieniem. Było grobem.

Ona jednak spędziła wiele lat jako niewidzialna. Już wcześniej wiodła życie ducha, ukryta przed światem i samą sobą. Lepiej niż ktokolwiek inny rozumiała moc rzeczy dawno pogrzebanych.

Nocami słyszała, jak chłopiec krąży przed jej pokojem, strzegąc jej razem ze złotookimi bliźniętami. Leżała cicho w łóżku, licząc oddechy, sięgając ku powierzchni, szukając światła. Myślała o potrzaskanej piaskołodzi, o Novokribirsku, o czerwonych nazwiskach na krzywej kościelnej ścianie. Pamiętała każde ciało leżące w sali pod złotą kopułą. Rozerwane zwłoki Marie. Fedyora, który kiedyś uratował jej życie. Słyszała pieśni i nawoływania pielgrzymów. Myślała o volcrach i Genyi skulonej w ciemności.

Dotykała obroży na szyi, obręczy na nadgarstku. Tylu ludzi próbowało zrobić z niej królową. A teraz rozumiała, że było jej pisane coś więcej.

Zmrocz powiedział, że jego przeznaczeniem jest rządzić. Przejął tron i część jej samej. I proszę bardzo. Bo czy będzie żywa, czy umarła, powróci, żeby wyrównać z nim rachunki.

Powstanie z martwych.

Podziękowania

Kłopot z podziękowaniami polega na tym, że szybko zamieniają się w długą listę nazwisk, którą można co najwyżej przebiec wzrokiem, ale potrzeba wielu ludzi, żeby stworzyć książkę, i zasługują oni na wdzięczność, więc proszę, wytrzymajcie. (Jeśli podziękowania Wam się znudzą, proponuję je odśpiewać. Znajdźcie jakiegoś przyjaciela, niech Wam akompaniuje. Ja poczekam).

Jako świeżo upieczona pisarka szybko przekonałam się, jak wiele oczekuje się od agenta: musi być dyplomatą, terapeutą, adwokatem i czasem prawdziwym zabijaką. Miałam szczęście, że wszystko to odnalazłam w nadzwyczajnej Joannie Volpe. Ogromnie dziękuję całemu zespołowi z New Leaf Literary and Media, w tym Pouyi Shahbazianowi, Kathleen Ortiz i Danielle Barthel.

Moja redaktorka, Noa Wheeler, ewidentnie jest mistrzynią Małej Nauki. Tu szturchnie, tam popchnie, zada kilka pytań, których nie chcesz słyszeć, i ostatecznie widzisz, jak twoja historia przekształca się w coś o wiele lepszego. To prawie jak magia.

Chcę podziękować wszystkim z Macmillan/Holt Children's. Uwielbiam to szacowne, genialne, nieustępliwe wydawnictwo i jestem dumna, że stanowię jego część. W szczególności dziękuję Jean Feiwel i Laurze Godwin, które raz za razem stawały na głowie dla tego cyklu, zaciekłemu Angusowi Killickowi, wytwornej Elizabeth Fithian, zawsze doskonałej

Allison Verost, wspanialej Molly Brouillette i Jonowi Yagedowi, który nadal jest uosobieniem punk rocka. Ksenia Winnicki pracowała niezmordowanie, żeby dotrzeć do bloggerów. Kate Lied zorganizowała tourneé Fierce Reads. Karen Frangipane i Kathryn Bhirud przygotowały przepiękny zwiastun dla „Cienia i kości" (tak się tworzy historię, synku). Jestem wdzięczna Richowi Deasowi, April Ward, Ashley Halsey, Jen Wang i Keithowi Thompsonowi, którzy zamienili te książki w dzieła sztuki. A także Markowi von Bargen, Vannessie Cronin i wszystkim cudownym ludziom w dziale sprzedaży, którzy pomogli moim książkom dotrzeć do czytelników.

A teraz porozmawiajmy o mojej armii: dzielnej i pięknej Michelle Chihara z thisblueangel.com; Joshui Joy Kamenskym, który dostarczał mi muzykę, dowcip i życzliwość; Morgan Fahey, śmiałej kobiecie, która spełnia śmiałe żądania, a także jest szczodrą czytelniczką i doskonałą *consigliere* w czasach wojny; Sarah Mesle z sunsetandecho.com, która rozumie strukturę, fabułę i serce oraz to, jak to wszystko łączy się ze sobą; Liz Hamilton (zwanej też Zenith Nadir of Darlings Are Dying), która nie ma sobie równych. Gamynne Guillote ożywiła griszów dzięki swojej cierpliwości i niezawodnemu oku. Podziękowania także dla Petera Bibringa, Brandona Harveya, Dana Brauna, Jona Zerolnika, Michaela Pessaha, Heather Repenning, Kurta Mattili, Rico Gagliano, Corey Ellis, Williama Lexnera i Brotherhood Without Banners (w szczególności Andiego i Bena Galushy, Lady Narcissy, Katie Rask, Lee i Rachel Greenberg, Xraya Enforcera, Blackfyre'a, Adama Tesha i Mountain Goat), Ann Kingman z Books on the Nightstand, E. Aarona Wilsona i Laury Recchi, Laurie Wheeler, Viviane Hebel z HebelDesign.com, Davida Petersona, Amana Chaudhary, Tracey Taylor oraz Romiego Cortiera. Ci ludzie wspierali mnie i trylogię griszów na każdym etapie i nie potrafię wyrazić, jak

bardzo ich cenię i uwielbiam. W szczególności pragnę podziękować Rachel Tejadzie, Austinowi Wilkinowi i Rayowi Tejadzie, którzy pomogli mi rozszerzyć świat griszów dzięki swojej nieskończonej pomysłowości i wsparciu.

Pewni geniusze sprawili, że to, co niemożliwe, stało się zaledwie nieprawdopodobne: cudowna Heather Joy Kamensky omówiła ze mną działanie lustrzanych mis Davida, John Williams pomógł mi zbudować *Kolibra*, a Davey Krieger doradzał mi w kwestii budowy statków i w innych morskich sprawach (chociaż najpewniej będzie wstrząśnięty tym, na co pozwoliłam sobie w tej książce).

Dziękuję inspirującym kobietom z Pub(lishing) Crawl, szczególnie Amie Kaufman, Susan Dennard i Sarah J. Maas. A także Jacobowi Cliftonowi, Jenn Rush, Erice O'Rourke, Lii Keyes, Claire Legrand i Annie Banks (jak śmiesz?!), Emmy Laybourne i Apocalypsies. Kilka nadzwyczajnych pisarek wsparło tę trylogię na samym początku i nie szczędząc głosu: Veronica Roth, Cinda Williams Chima, Seanan McGuire, Alyssa Rosenberg i niezrównana Laini Taylor. Wreszcie podziękowania dla mojego zespołu z LA, zwłaszcza dla Jenn Bosworth, Abby McDonald, Gretchen McNeil, Jessiki Brody, Jessiki Morgan, Julii Collard, Sarah Wilson Etienne, Jenn Reese i Kristen Kittscher. Drogie Panie, bez Was dostałabym szału. Dzięki Wam (prawie) nie zwariowałam.

Dedykuję tę książkę mojej matce, która także zasługuje tu na podziękowania. Nie skończyłabym pierwszego szkicu „Oblężenia i nawałnicy", gdyby nie czytała kolejnych stronic, nie zachęcała mnie do pracy i nie podsuwała przekąsek z wodorostów. Jest cudowną mamą i jeszcze lepszą przyjaciółką. Drażliwa. Zrzędliwa. Zuchwała. To są nasze słowa.

Pozostaję wieczną dłużniczką niesamowitych księgarzy, bibliotekarzy i bloggerów, którzy mówili o „Cieniu i kości",

wciskali go przyjaciołom, klientom, nieszczęsnym przechodniom.

I na koniec dziękuję moim cudownym czytelnikom. Dziękuję za wszystkie e-maile, za każdy tweet, każdy gif. Sprawiacie, że każdego dnia czuję wdzięczność.

Dodatkowe podziękowania dla Natalie Sousy i Ellen Dudy za ich cudowną pracę nad nowymi okładkami do tych książek.

Leigh Bardugo opowiada o pracy nad „Oblężeniem i nawałnicą”.

Czy praca nad „Oblężeniem i nawałnicą” jako drugą częścią trylogii różniła się od pisania „Cienia i kości”?

To było o wiele bardziej intensywne przeżycie. Nigdy wcześniej nie pisałam, mając wyznaczony termin, i potwornie bałam się, że nie zdołam go dotrzymać albo że moja redaktorka rzuci jedno spojrzenie na rękopis i krzyknie ze zgrozy. (O ile mi wiadomo, tak właśnie zrobiła). „Oblężenie i nawałnica” sprawiało także wrażenie o wiele bardziej skomplikowanej historii niż „Cień i kość”. Książka jest dłuższa, bardziej zagłębiam się w niej w kwestie polityczne i równowagę sił na świecie, na jej stronach pojawia się zwyczajnie więcej bohaterów. Mimo to nigdy nie zapomnę uczucia spełnienia, kiedy przedstawiłam wstępną wersję. To był dowód na to, że „Cień i kość” to nie był szczęśliwy traf, że zaczęłam coś większego i rzeczywiście jestem w stanie wykonać tę pracę.

Zatwardziali fani często piszą o gatunku, do jakiego należy trylogia „Cienia i kości”. Czy zgadzasz się z czytelnikami, którzy kwalifikują ją do *high fantasy* **albo** *dark fantasy***? Jak sama nazwałabyś ten gatunek?**

Podoba mi się określenie *dark fantasy*, chociaż nie jestem pewna, co znaczy. Osobiście lubię termin „carpunk”. Wymyśliłyśmy go z moją redaktorką dla żartu, ale on naprawdę

oddaje to, o czym jest mój cykl. Kiedy ludzie słyszą określenia typu *high fantasy* albo *epic fantasy*, myślą o światach opartych na średniowiecznej Europie. Jednak trylogia griszów jest inspirowana carską Rosją z początków XIX wieku – szable, muszkiety i samowary zamiast mieczy, kusz i metalowych kufli. Dlatego na razie będę się trzymać carpunku. Albo będę mówić „Faaaantasy!" poruszając znacząco palcami.

Dokonałaś czegoś niesamowitego, tworząc świat wzorowany na Rosji, ale przekształcając go w coś własnego. Czy twoi czytelnicy rozpoznają rosyjskie motywy i wyobrażenia? Dlaczego zdecydowałaś się nasycić Ravkę odniesieniami do rosyjskiej kultury?

Dziękuję! Chciałam zabrać czytelników do nieco innego miejsca, ale mającego oparcie w rzeczywistości. Nawet ludzie, którzy niewiele wiedzą o Rosji, silnie kojarzą pewne obrazy z jej kulturą. Uznałam, że to dobry punkt wyjścia dla wymyślonego świata. Niektórym nie podobał się wybór, którego dokonałam, i muszę to uszanować, ale z drugiej strony to niesamowite dostawać e-maile od fanów z Rosji i Ukrainy, którzy ekscytują się moją książką. Niektórzy czytelnicy mówią mi także, że „Cień i kość" sprawiła, że zainteresowali się rosyjską kulturą. Widziałam posty od nich na temat rosyjskiego folkloru i otrzymywałam prośby o polecenie rosyjskich pisarzy. Pewna dziewczyna poinformowała mnie, że złożyła petycję w szkole o wprowadzenie fakultatywnego języka rosyjskiego. Miło wiedzieć, że doprowadziła ich do tego Ravka.

Jaka scena była najtrudniejsza do napisania w „Oblężeniu i nawałnicy"? A jaka była twoją ulubioną?

Pisanie sceny finałowej walki prawie mnie zabiło. Początkowo była długa na prawie sto stron i musiałam kilka razy pisać ją od nowa, zanim zdałam sobie sprawę, że zwyczajnie za dużo się tam dzieje. Ostatecznie dwie ważne

rzeczy przeniosłam do trzeciego tomu, zatytułowanego „Zniszczenie i odnowa”, i nagle wszystko nabrało sensu.

Jeśli idzie o moją ulubioną scenę, to doskonale pisało mi się scenę kłótni między Sturmhondem, Malem i Aliną, kiedy Sturmhond się oświadcza. Gdybym całymi dniami mogła pisać przekomarzanki pełne emocji, to byłabym naprawdę szczęśliwa.

Najpierw Mal, potem Zmrocz, a teraz Sturmhond – przedstawiłaś czytelnikom prawdziwy wachlarz wspaniałych męskich postaci. Co jest twoją ulubioną cechą charakterystyczną tych mężczyzn? I o kim najchętniej piszesz?

Kompetencja! Wszyscy są dobrzy w tym, co robią. Oczywiście mają też chwile słabości, dzięki czemu ich podróż jest dla mnie ciekawa. Sturmhond jest zdecydowanie najzabawniejszą postacią do opisywania. Większość moich bohaterów zmaga się z tym, kim są, czy poradzą sobie z zadaniem, jakie ich czeka, ale Sturmhond to czysta pewność siebie, całkowita jasność celu.

Zmrocz jest szczególnie skomplikowaną postacią. Wydobywa z Aliny zarówno to, co najlepsze, jak i to, co najgorsze. Myślisz, że Mal działa na nią podobnie?

Ciekawe pytanie. Chyba powiedziałabym, że obaj, Zmrocz i Mal, rzucają wyzwanie Alinie, ale na różne sposoby. I wzajemnie. Obaj zmuszają ją do zakwestionowania tego, kim chce być, i w miarę jak zmieniają się okoliczności, odpowiedź na to pytanie także się przekształca. Ona jednak też w ogromnym stopniu wpływa na nich. Fakt, że człowiek nie dostaje tego, czego chce, bywa dla niego niezwykle pouczającym doświadczeniem.

Mal jest najlepszym przyjacielem Aliny i jej ukochanym. Myślisz, że można przyjaźnić się z kimś, kto cię pociąga,

i nie być z nim w związku? Dociekliwe umysły chcą to wiedzieć!

Ha! Naprawdę myślę, że to zależy od siły przyciągania. Mam przyjaciół, którzy są mili dla oka, i mogę to docenić, nie tracąc dla nich głowy. Istnieje jednak wielka różnica między czymś takim a prawdziwym zadurzeniem. Kiedy serce wchodzi w grę, wszystko jest możliwe. Sama coś takiego przeżyłam i nie mogę powiedzieć, że chciałabym do tego wracać.

Z którym zakonem najbardziej się utożsamiasz: somatykami, eterykami czy materialnikami?

Chciałabym być somatykiem, bo jestem wojownicza i krwiożercza. W głębi ducha jestem pewnie materialnikiem. Czuję się najszczęśliwsza, gdy pracuję w samotności, i jestem zdecydowanie za leniwa, żeby pędzić do walki.

Morze Prawdziwe jest kluczowym miejscem dla akcji „Oblężenia i nawałnicy". Dokształcałaś się na temat podróży morskich przed pisaniem tej książki? A jeśli tak, to w jaki sposób?

Muszę się do czegoś przyznać: nie lubię czytać o żeglarstwie. Jednakże historia przenosi nas na morze, zatem musiałam to zrobić. Uwielbiam czytać o rewolucji amerykańskiej, zaczęłam więc od takich książek jak „Patriot Pirates" i „George Washington's Secret Navy". Odkryłam, że „Pirates & Patriots of the Revolution: An Ilustrated Encyclopedia of Colonial Seamanship" to nieocenione źródło wiedzy, a to z racji klarownych diagramów ożaglowania i rysunków węzłów oraz ilustracji, które przedstawiają wszystko, od worków żeglarskich po gwizdki. Sprzyjało mi także szczęście, bo mam przyjaciół, na których mogę liczyć, takich jak Davey Krieger, prawdziwy specjalista od piratów.

Kiedy mówi się o „Oblężeniu i nawałnicy", często pada zdanie „Ciemność nigdy nie umiera". To naprawdę

przerażające! Jak ta idea znajduje swoje miejsce w książce?

To odnosi się do powrotu Zmrocza i nowego sposobu wykorzystania mocy, jaki odkrył. Chodzi też o to, z czym Alina musi się zmierzyć, kiedy przyjdzie jej się uporać z własną mocą, z tym, co znaczy bycie Przywoływaczką Słońca, z wyborami, jakich dokona pod koniec „Oblężenia i nawałnicy". Nie interesują mnie bohaterowie, którzy są jednowymiarowi – całkiem źli albo całkiem dobrzy. Ludzie nie są tacy. Wszyscy mamy w sobie ciemność, i to nie jest koniecznie coś złego.

W „Oblężeniu i nawałnicy" dowiemy się czegoś więcej na temat volcr, pożerających ludzi potworów, które żyją w Fałdzie. Czy którykolwiek z twoich bohaterów albo potworów nawiedza cię w snach? Czy ktoś z nich pochodzi z twoich snów?

Nie do końca snów. Wychowywali mnie dziadkowie i jeden koniec ich domu był oddzielony od drugiego długim, ciemnym korytarzem. Za każdym razem, gdy musiałam tamtędy przejść, zbierałam się na odwagę, a potem pędziłam na drugi koniec. Zawsze była pewna, że coś znajduje się tuż za mną, gotowe złapać mnie za kostkę albo tył nocnej koszuli. Zapomniałam o tym całkowicie aż do niedawna, a teraz zastanawiam się, czy to nie była moja prywatna Fałda Cienia.

Chciałabym śnić o moim świecie, nawet o tych strasznych miejscach, ale Ravka śniła mi się tylko raz. Odcinek „Chopped" z Food Network rozgrywał się w Fałdzie Cienia, a ja rywalizowałam ze Zmroczem. Obudziłam się, kiedy Ted kazał nam otworzyć nasze koszyki.

Alina jest silną, dzielną postacią, chociaż jej niedoskonałości sprawiają, że pozostaje człowiekiem i łatwo się z nią identyfikować. Które bohaterki w literaturze podziwiałaś?

Uwielbiam Alannę Tamory Pierce. Uwielbiam Aryę Stark George'a R.R. Martina i Brienne z Tarthu. Rozmawiałyśmy niedawno o tym z Veronicą Roth i wyszło to zabawnie, bo kiedy wspomniała o Jane Eyre, ja częściowo dla żartów wykrzyknęłam „Bertha Rochester!". Nie chodzi o to, że podziwiam Berthę... chociaż może w gruncie rzeczy ją podziwiam. Jest szalona, ale też nie zgadza się pozostać niewidzialna. „Chcesz mnie zamknąć na strychu? Znaleźć sobie nieskalaną młodziutką pannę młodą? Dobrze, a ja spalę to miejsce na popiół". Bardzo często w klasycznych powieściach kobiety, które są trudne, wymagające albo chcą czegoś innego, niż świat im oferuje, kończą, popełniając samobójstwo w szlachetny, obrazowy sposób. Bertha przynajmniej narobiła przy okazji trochę szkód.

Kostiumy i kosmetyki mogą być potężnymi narzędziami, jak widzieliśmy, kiedy Alina zgadza się, żeby Genya ją zmieniła tak, by pasowała do griszów. Poza tym, że jesteś pisarką, jesteś także charakteryzatorką. Czy doświadczenia z uprawiania sztuki wizualnej przeniosły się do twojego pisarstwa?

Myślę, że makijaż to jeszcze jeden sposób tworzenia iluzji. Kiedy pracowałam jako charakteryzatorka, bez względu na to, czy tworzyłam coś pięknego, czy groteskowego, wyzwanie polegało na tym, żeby wnieść odrobinę magii do życia i zrobić to tak, żeby dla publiczności wyglądało naturalnie. Bywają dni, kiedy to mi się udaje. Bywają dni, kiedy ponoszę spektakularną klęskę.

Drugie części często są o wiele trudniejsze do napisania niż pierwsze. Z książek, które czytałaś, albo filmów, które widziałaś, co było twoją ulubioną kontynuacją?

Przychodzi mi na myśl „Wampir Lestat" Anne Rice. Ponadto „Pieśń lodu i ognia" George'a R.R. Martina jest chyba moim

ulubionym cyklem, ale nie umiem zdecydować, czy bardziej lubię „Starcie królów” czy też „Nawałnicę mieczy”. Jeśli idzie o filmy, to nie ma tu żadnych wątpliwości. Najlepszą drugą częścią jest bez wątpienia „Imperium kontratakuje”. Ustanowiło standardy, jeśli idzie o dzieła z porywającą akcją, pełne emocji i napięcia.

Gdybyś mogła pisać gdziekolwiek, to gdzie by to było?

Czasem wyobrażam sobie małą chatkę na wybrzeżu, gdzieś, gdzie jest szaro, deszczowo i o brzeg biją fale. Ale marzy mi się także Wenecja we Włoszech. To moje ulubione miasto. Lubię wyobrażać sobie, że mieszkam na poddaszu albo w *palazzo*, najlepiej gdzieś w pobliżu Akademii albo Muzeum Peggy Guggenheim. Pisałabym rano, a popołudniami chodziłabym do muzeów albo odkrywała miasto. A skoro już o tym mowa, Henry Cavill przypadkiem mieszkałby po sąsiedzku i lubiłby wpadać, żeby pogadać o „Grze o tron”.

Jaka informacja na twój temat zaskoczyłaby fanów?

Myślę, że teraz już nie pozostał ani jeden okruch tajemniczości wokół mojej osoby. Sama nie wiem. Myślę, że przy tym, w jaki sposób działają portale społecznościowe, ludzie widzą tylko twoją najlepszą stronę. Nie widzą ponurych albo małostkowych dni. Myślę, że czytelnicy zdziwiliby się, wiedząc, że w gruncie rzeczy jestem dość nieśmiała i zrzędliwa. Mam w sobie sporo z krasnoluda.

Czy zamierzałaś napisać jedną książkę, czy od razu trylogię, gdy zaczęłaś pracę nad „Cieniem i kością”?

„Cień i kość” to moja pierwsza książka i kiedy do niej siadłam, moim celem było jedynie ją ukończyć. Nie myślałam o cyklu. Ale mniej więcej w połowie pracy zdałam sobie sprawę, że ta historia jest większa, niż początkowo myślałam. Skreśliłam planowane pierwotnie zakończenie i zaczęłam robić notatki do drugiej i trzeciej części. Nadal nie wiedziałam, czy

ktokolwiek zechce wydać pierwszą część, nie wspominając o całej trylogii, dlatego starałam się zakończyć „Cień i kość” w sposób, który byłby satysfakcjonujący nawet gdyby reszta historii miała nigdy nie zostać opowiedziana.

Czego możemy się spodziewać po trzeciej części, „Zniszczenie i odnowa”? Tylko nie zdradź szczegółów fabuły!

Prawie nie sposób rozmawiać o tej książce, nie zdradzając za dużo, ale oto co powinniście wiedzieć:

1. Nie wszyscy przeżyją.

2. Ci, którzy przeżyją, przejdą wielką przemianę.

3. Tak, poznacie prawdziwe imię Zmrocza. I wbrew internetowym plotkom nie brzmi ono Hubert.



Sprawdzałaś na listach ofiar?

Rozsądne pytanie, chociaż zawstydza mnie to, z jaką łatwością przechodzi mi przez usta.

Alina kręci głową i zaciska dłonie na brzegu prześcieradła w izbie chorych. Przykro mi, że cierpi, ale wbrew sobie z fascynacją obserwuję emocje malujące się na jej twarzy. Nie nauczyła się jeszcze ukrywać tego, co czuje. Wszystko jest widoczne dla każdego, w dowolnej chwili: szczęście, ulga, strach i – zawsze – zmęczenie, głębokie znużenie, które wszędzie ze sobą nosi. Ten brak ostrożności jest nowością na dworze. Upominam się w myślach, że nie powinnam się gapić.

Podaję jej pióro i papier, żeby napisała imię i nazwisko tropiciela: Malyen Orecev. Znam je już całkiem dobrze. Jest jedyną osobą, do której pisała podczas całego pobytu w Małym Pałacu. Zamiast wysyłać jej listy, służący przynosili je do mnie, a ja przekazywałam je dalej. Nie wiem, czy Zmrocz je czyta, czy zostawia nieotwarte – rosnący stosik w szufladzie biurka.

– Na pewno nic mu nie jest – mówię Alinie, chowając karteczkę do rękawa.

Jej twarz znowu ożywa. Rumieńce na policzkach – wstydzi się, że zapytała. Zaciśnięte usta – mimo to nie traci nadziei. Obserwowanie tego jest niemal bolesne. Myślę, że tak bardzo przywykła do tego, że jest niezauważana, że nie zdaje sobie sprawy, ile okazuje. Muszę powstrzymać chęć doradzenia jej, żeby bardziej uważała. To nie moja rzecz ostrzegać ją, ale najwyraźniej cały czas to robię.

Zanim odejdę, wymuszam na niej pozwolenie usunięcia ciemnych worków pod oczami. Zrzędzi i jęczy, a ja wybucham śmiechem, kiedy ustępuje i rzuca się na poduszki, jakbym uparła się, że przeczytam jej kazanie. Śmieszna dziewczyna.

Moje dłonie wędrują po jej ręce. Może to mój sposób przeproszenia. I naprawdę nie potrafię się powstrzymać. To jak wytarcie smugi ze szkła, włożenie kwiatów do wazonu. Czasem palce dosłownie swędzą mnie, żeby coś w niej poprawić. Poza tym w takich chwilach mogę być jej przyjaciółką. Mogę ignorować kartkę z nazwiskiem Oreceva, która wypala mi dziurę w rękawie.

Ostatecznie zostawiam Alinę, która kłóci się z uzdrowicielem o to, czy może opuścić izbę chorych, i kieruję się do sali narad. Idę okrężną drogą, żeby przejść obok wielkich, prześwietlonych słońcem okien pracowni fabrykatorów. Nie zajrzę do środka, nie dzisiaj, ale pozwolę sobie zerknąć na zgarbione ramiona Davida i jego potargane ciemne włosy. Jestem całkiem pogrążona w snach na jawie, w których David pozwala mi je przyciąć, kiedy wychodzę zza węgła i prawie wpadam na Zoyę.

– Dokąd tak pędzisz? – pyta, pociągając nosem. – Królowa wybiera się na jakieś przyjęcie?

– Prawdę mówiąc, tak – odpowiadam chłodno – ale mam kilka chwil, jeśli chcesz, żebym zajęła się twoimi oczami. Są

okropnie zaczerwienione.

Nadal patrzy wyniośle, ale ramiona jej sztywnieją i musi trochę bardziej się wysilić, żeby zadzierać ten swój idealny nos. Wiem, że nie powinnam się tak rozkoszować jej nieszczęściem. Tak samo nie powinnam brać drugiej bułki co rano na śniadanie, ale czasem trzeba sobie pozwolić na trochę przyjemności. Poza tym Zoya sama ściągnęła na siebie kłopoty.

– Uczulenie na pyłki – mruczy. – W powietrzu unosi się coś nowego, co mnie drażni.

– Fakt – mówię, mijając ją tanecznym krokiem – prawie się tym zadławiłaś.

Nauczyłam się już dawno temu, że nie można pozwalać Zoi, żeby miała ostatnie słowo – trafia bezbłędnie w twoje słabe punkty jak woda w otwory sita.

* * *

Zamierzałam zostawić wiadomość dla Zmrocza u jego strażników, ale spotykam Ivana, który wychodzi z sali narad.

– Wracasz z wizyty u inwalidki? – pyta, kiedy wychodzę razem z nim z Małego Pałacu.

– Daleko jej do tego stanu.

– Ale wygląda na inwalidkę.

– Powinna prowadzić lekcje fechtunku nad jeziorem? Zoya złamała jej dwa żebra.

– Co za szkoda – rzuca przeciągle.

Unoszę brew.

– Tak właśnie uważał Zmrocz. Powiedz mi, proszę, że byłeś tam, kiedy kazał Zoi opuścić Os Altę.

– Owszem.

– No i? – naciskam, kiedy schodzimy ze wzgórza ku brzezinie. Jestem chciwa, ale jak można oczekiwać ode mnie, że oprę się

smakowitej ploteczce?

Ivan wzrusza ramionami.

– Dał jasno do zrozumienia, że ją można zastąpić, a Starkov nie.

Uśmiecham się od ucha do ucha.

– To cię martwi, Ivanie?

– Nie – warczy.

– Uważaj – mówię. – Jak będziesz tak się marszczył, to nawet ja nie naprawię twoich zmarszczek.

To niemożliwe, ale krzywi się jeszcze bardziej i muszę powstrzymać parsknięcie. Ivan idzie dostojnym kroczkiem jak rudzik, cały nadęty z dumy i w czerwonych piórkach. Tak łatwo je stroszy. Wiem, że zazdrości mi każdego słowa i aktu zaufania ze strony Zmrocza, ale mimo to go lubię. Traktuje mnie z pogardą, ale dokładnie taką samą pogardę okazuje wszystkim innym.

Kiedy wchodzimy do brzozowego zagajnika, dostrzegam paru opryczników stojących na straży, prawie ukrytych w mroku między drzewami. Nigdy do nich nie przywykłam. To bractwo samo w sobie. Obowiązuje ich oddzielny kodeks. Nigdy nie zadają się z griszami albo dworzanami.

Wreszcie docieram do bani, Zmrocz właśnie wyszedł z kąpieli i wkłada przez głowę czystą koszulę. Naprawdę jest na co popatrzeć – same smukłe mięśnie i blada skóra zroszona skroploną parą.

Przeczesuje dłonią wilgotne włosy i przywołuje mnie do siebie.

– Jak ona się miewa?

– Lepiej. Prosiła, żeby wypuścić ją z izby chorych.

– Zgadzam się – odpowiada i kiwa głową do Ivana.

Ciałobójca bez słowa znika z powrotem wśród drzew, żeby tego dopilnować.

Zmrocz bierze *keftę* od czekającego obok oprycznika i zarzuca ją na siebie. Zrównuję z nim krok, gdy ruszamy jedną z wąskich ścieżek biegnących przez zagajnik.

– Co jeszcze? – pyta.

– Apparat odwiedził ją zeszłej nocy i bredził na temat świętych i zbawców. Na ile zdołałam poskładać to w całość, to albo próbował ją śmiertelnie przerazić, albo zanudzić na śmierć.

– Możliwe, że będę musiał porozmawiać z kapłanem.

– Powiedziałam jej, że jest niegroźny.

– Całkowicie, ale król go słucha i na razie tylko to się liczy.

Zapada niespokojne milczenie, kiedy wychodzimy spomiędzy drzew na bitą ścieżkę, która prowadzi do sal treningowych i stajni. Zmrocz wie, że mam coś więcej do powiedzenia i nie jestem do tego jeszcze gotowa.

O tej porze dnia jest tu pusto, nie słychać niczego poza rżeniem koni na wybiegach. Zimowe powietrze niesie ciepłe zwierzęce zapachy i słodką woń siana. Marszczę nos. Raptem kilka kroków od Małego Pałacu czuję się tak, jakbym była dosłownie na wsi.

Sześć czarnych koni jest na zachodnim wybiegu – zaprzęga się je do powozu Zmrocza. Kiedy dochodzimy do ogrodzenia, Zmrocz gwiżdże cicho i jeden z koni podchodzi do nas, potrząsając jedwabistą grzywą.

Wysuwam kartkę z rękawa i podaję Zmroczowi.

– Znowu tropiciel – mówi. Nie jest zaskoczony.

– Boi się, że zginął na wojnie, ale nie pojawił się jeszcze w spisach poległych. – Waham się, a potem dodaję: – Myślę, że prawie w równym stopniu boi się, że on żyje i nic mu nie jest, tylko o niej zapomniał.

Zmrocz przygląda się przez chwilę kartce, a potem mi ją oddaje. Głaszcze konia po długim pysku i aksamitnych

chrapach.

– Co powinnam jej powiedzieć?

Zerka na mnie.

– Prawdę. Powiedz jej, gdzie chłopak stacjonuje.

– Alina pomyśli...

– Wiem, co pomyśli, Genyu.

Opieram się plecami o ogrodzenie, gniotąc w dłoni papier, kiedy Zmrocz pomrukuje do konia tak cicho, że nie rozumiem słów.

Nie mogę mu spojrzeć w oczy, ale jakoś zbieram się na odwagę i pytam:

– Ona w ogóle cię obchodzi?

Chwila ciszy, zanim mówi:

– O co tak naprawdę pytasz?

Wzruszam ramionami.

– Lubię ją. Kiedy to się skończy...

– Chcesz wiedzieć, czy ci wybaczy.

Przesuwam palcem po lekko wybrzuszonych literach pisma Aliny, po zręcznych zawijasach i zaokrąglonych liniach. Od dawna nie miałam nikogo, kto byłby tak bliski bycia moją przyjaciółką.

– Może.

– Nie wybaczy.

Przypuszczam, że ma rację. Ja z pewnością nie wybaczyłabym. Nie myślałam jednak, że to będzie aż tyle dla mnie znaczyć.

– Sama zdecyduj – mówi. – Każę przynieść ci jej listy.

– Zachowujesz je?

– Możesz je wysłać. Oddać jej. Zrób, co uważasz za słuszne.

Przyglądam mu się uważnie. Mam wrażenie, że to jakiś podstęp.

– Nie możesz mówić poważnie.

Patrzy na mnie przez ramię, jego szare oczy są zimne.

– Dawne więzi – mówi, poklepuje konia po raz ostatni i odsuwa się od ogrodzenia. – Nic jej nie dają, a tylko wiążą ją z dawno minionym życiem.

Papier zaczyna się strzępić pod moimi palcami.

– Ona cierpi.

Zatrzymuje moje nerwowe wiercenie się jednym muśnięciem dłoni. Jego moc płynie przeze mnie, uspokaja jak stały nurt rzeki. Lepiej nie myśleć, dokąd ten prąd może mnie zanieść.

– Ty też cierpiałaś – mówi.

Zostawia mnie przy wybiegu z nazwiskiem tropiciela zwijającym się i rozwijającym w moich dłoniach.

* * *

Królowa rzeczywiście wybiera się tego wieczoru na przyjęcie. Zdejmuję umazane błotem pantofle i pozbywam się smrodu stajni, zanim do niej pójdę; zastaję ją siedzącą przed toaletką. Pokojówka zajmuje się jej włosami. Był taki czas, kiedy nie pozwoliłaby nikomu poza mną zająć się przygotowaniami.

– Genya robi to lepiej od każdej z was – mówiła, odprawiając służące. – Przynieście nam herbatę i coś słodkiego.

Z przyjemnością widzę, że pokojówka w ogóle sobie nie radzi. Uczesanie jest dość ładne, ale zupełnie nie pasuje do twarzy królowej. Ja umieściłabym szpilki wyżej, zostawiłabym jedno pasmo, żeby zwijało się koło policzka.

– Spóźniłaś się – warczy, kiedy dostrzega mnie w lustrze.

Dygam.

– Proszę o wybaczenie, moja caryco.

Potrzebuję ponad godziny, by skończyć pracę przy twarzy i szyi, a pokojówka już dawno odeszła do innych swoich zajęć. Skóra dziwnie napina się na kościach policzkowych królowej,

a błękit jej oczu za bardzo wpada w odcień indygo, jest zbyt jaskrawy, by wyglądał wiarygodnie. Chciała jednak, żeby odcień pasował do sukni, a ja już dawno przestałam się z nią sprzeczać. Chociaż nadal doprowadza mnie to do szału. Zawsze mnie świerzbią palce. Nie mogę minąć krzywo wiszącego obrazu, żeby go nie poprawić. Królowa zawsze za daleko się zapędza, jeszcze trochę, jeszcze trochę, aż kąt jest całkiem niewłaściwy.

Pomrukuje do siebie, ssąc woskowaty kawałek rachatłukum maczanego w wodzie różanej i grucha do psa na kolanach. Kiedy pochylam się, żeby poprawić kokardy na jej pantoflach, z roztargnieniem kładzie rękę na moim ramieniu, to niemal jak pieszczota, a może drapanie za uchem. Czasem zachowuje się tak, jakby zapomniała, że mnie nienawidzi. Jakbym nadal była dziewczyną, którą ceni, lalką, którą uwielbiała ubierać i popisywać się nią przed przyjaciółkami. Chciałabym powiedzieć, że wzdragałam się przed takim traktowaniem, ale rozkoszowałam się każdą minutą.

Byłam całkiem zwyczajna pośród griszów, ładna dziewczyna z odrobiną talentu. W Wielkim Pałacu mnie hołubiono. Rankiem zjawiałam się z herbatą dla królowej, a ona otwierała szeroko ramiona i wołała:

– Śliczności! – Podbiegałam do niej. – Dokąd dziś pójdziemy na spacer? Zajrzymy do ogrodu czy wybierzemy się do miasta? Poszukamy ci nowej sukni?

Nie zdawałam sobie sprawy, z czego rezygnuję, że rośnie dystans między mną a griszami, że tracę wspólny język z nimi, nie chodząc na te same zajęcia, nie znając właściwych plotek i nie śpiąc pod tym samym dachem. Nie miałam czasu, żeby zastanawiać się nad takimi rzeczami. Królowa karmiła mnie kandyzowanymi śliwkami i wiśniami maczanymi w imbirowym syropie. Malowałyśmy jedwabne wachlarze

i dyskutowałyśmy o powieściach z jej przyjaciółkami. Pozwalała mi decydować, który wiercący się szczeniak będzie jej pieskiem, potem godzinami wybierałyśmy dla niego imię. Nauczyła mnie chodzić, dygać. Łatwo było ją uwielbiać.

Nawet teraz trudno mi nie wrócić do nawyku uwielbiania jej. Jest taka opanowana, taka królewska, stworzenie o nieskończonej gracji. Pomagam jej włożyć jedwabny szal w odcieniu głębokiego fioletu, przy którym jej oczy błyszczą jeszcze mocniej. A potem zajmuję się żyłkami na jej dłoniach.

– Czy moje kostki wyglądają na spuchnięte? – pyta. Palce ma ciężkie od klejnotów, pierścieni z szafirami i szmaragdem Lancovów pomiędzy nimi. – Pierścionki mnie cisną.

– Wyglądają dobrze… – zaczynam.

Marszczy czoło.

– Zaraz je poprawię.

Nie jestem pewna, kiedy sytuacja zaczęła się zmieniać, kiedy zaczęłam się czuć mniej swobodnie w jej towarzystwie. Czułam, jak się ode mnie oddala, ale nie wiedziałam, co zrobiłam nie tak ani jak to powstrzymać. Wiedziałam tylko, że muszę ciężej pracować, żeby skłonić ją do uśmiechu, że moja obecność jakby sprawiała jej mniejszą przyjemność.

Pamiętam dzień, gdy pracowałam nad jej twarzą, usuwając delikatne zmarszczki, które zaczęły się pojawiać na jej czole.

Kiedy skończyłam, zerknęła do zwierciadła.

– Nadal widzę zmarszczkę.

– To będzie źle wyglądać, jeśli poprawię mocniej.

Uderzyła mnie raz, ale mocno w kostki dłoni złotą rączką szczotki do włosów.

– Nikogo nie oszukasz – warknęła. – Nie pozwolę, żebyś sprawiła, że będę wyglądała jak stara wiedźma.

Cofnęłam się zdumiona, ściskając obolałą rękę. Jednakże zdusiłam łzy konsternacji i zrobiłam, co kazała, nadal mając

nadzieję, że cokolwiek popsułam, da się to naprawić.

Zdarzały się potem dobre dni, ale częściej ignorowała mnie całkowicie albo ciągnęła mnie za włosy tak mocno, że łzy stawały mi w oczach. Ściskała mój podbródek i mruczała „Śliczności", ale to już nie brzmiało jak komplement.

Tego wieczoru jednakże miała dobry nastrój. Przycięłam nitkę u jej rękawa, wygładziłam tren sukni. Z jasnymi włosami lśniącymi w świetle lamp wyglądała jak pozłocony wizerunek świętej.

– Wasza Wysokość powinna wpiąć lilię we włosy – sugeruję, myśląc o grzebieniu z niebieskiego szkła, który pomogłam kiedyś przygotować dla niej w pracowni fabrykatorów.

Zerka na mnie i przez krótką chwilę myślę, że widzę ciepło w jej spojrzeniu. Ale to musi być jakieś złudzenie wywołane światłem lamp, bo w następnej sekundzie śmieje się szorstko i mówi:

– Tę staroć? Już dawno wyszła z mody.

Wiem, że ma nadzieję mnie zranić, ale dziewczyna, która wzdrygała się z powodu jej przytyków, to przeszłość.

– Wasza Wysokość ma oczywiście rację – mówię i kłaniam się nisko.

Królowa macha gładką, białą dłonią.

– Na pewno jesteś potrzebna gdzie indziej.

Mówi to takim tonem, jakby w ogóle w to nie wierzyła.

* * *

Kiedy wreszcie wracam do swojej komnaty, lampy już zapalono i ogień płonie wesoło na kominku. Jedna ze służących wrzuciła do niego pachnącą wiązkę szałwii. Rozumieją, co to znaczy służyć królowi. A może tak samo wyglądałoby to z każdym

Lancovem. Poznałam następcę tronu, Vasilija. Ma słaby podbródek ojca i wilgotną dolną wargę. Wzdrygam się.

Gdybym mogła zażyczyć sobie czegokolwiek na świecie, nie byłyby to ani klejnoty, ani powóz, ani pałac nad jeziorami. Oczywiście chciałabym znowu być prawdziwym griszą, ale poza tym wystarczyłby mi zamek w drzwiach do sypialni.

Dzwonię po kolację, zsuwam swoją jedwabną *keftę* w odcieniu kości i wkładam koszulę nocną. Dopiero wtedy zauważam hebanowe pudełko leżące na pluszowych poduszkach na ławeczce przy oknie. To prosty przedmiot i kompletnie nie na miejscu pośród spienionych białych koronek i złotych zdobień w tym pokoju. Jego elegancja wynika z perfekcji kątów, braku widocznych łączeń, gładkości przywodzącej na myśl szkło i wysokim połysku. Nie nosi jego symbolu. Nie musi. Nie muszę unosić błyszczącego wieka, żeby wiedzieć, co znajduje się w środku.

Obmywam twarz, rozpuszczam włosy, zrzucam satynowe pantofle, żeby czuć żłobienia chłodnej drewnianej podłogi pod stopami. Przez cały ten czas pudełko czai się poza moim polem widzenia jak błyszczący czarny żuk.

Zjawia się taca z kolacją: tarta z truflami i serem, duszona w winie przepiórka o chrupkiej skórce, ryba gotowana w maśle. Jedzenie jest ciężkie, ale jak zwykle nie sprawia mi to kłopotu. Bez względu na troski zawsze mam apetyt.

Po skończeniu posiłku zapalam lampy w garderobie. Moje *kefty* wiszą pod jedną ścianą – wełniana na zimę i jedwabna na lato, suto marszczona satyna i aksamit na te rzadkie okazje, kiedy zostaję zaproszona na przyjęcia. Są tam dwie półki zawalone rzadko noszonymi spodniami i bluzkami oraz rządek prostych sukienek uszytych dla mnie, ponieważ królowa nie pochwala noszenia przez kobiety spodni.

Resztę garderoby zamieniłam we własny mały warsztat, wypełniony wszystkim, czego mogę potrzebować do pracy: buteleczkami z barwnikami, arkuszami płatków złota, zwitkami miedzi, puszkami z pokruszonym karminem, słoikami z marynowanymi jagodami. Okropnie cuchną po otwarciu, ale zachowały kolor. Są tu także inne buteleczki, pełne bardziej niebezpiecznych substancji, które ukryłam w głębi półki. W szczególności po jedną z nich lubię sięgać, kiedy dzień był długi. Przygotowałam ją sama i uwielbiam jej ciepły złocisty kolor, słodki cynamonowy zapach. Nazywam ją *Dekora Nevicz*. Ozdobne Ostrze.

Mimo mojego ekwipunku w garderobie jest mnóstwo miejsca. Kiedy wypadłam z łask królowej, przestały się pojawiać nowe suknie. Wyrosłam z warstw falbanek i bufiastych rękawów i musiałam się garbić, żeby ukryć, jak ciasny stał się stan sukni i że jej rant sięga mi już powyżej kostek. Efekt był niemal nieprzyzwoity.

I potem pewnego ranka odkryłam, że dziecinne suknie zniknęły i *kefta*, najcenniejsza poza amplifikatorem rzecz dla griszy, wisi na moich drzwiach. Była biała. Biała i złota. To była liberia.

Powiedziałam sobie, że to nic nie znaczy. To tylko kolor. Zmusiłam się do włożenia jej. Upięłam włosy i wysoko uniosłam głowę. Wyglądałam pięknie. We wszystkim wyglądałam pięknie. Poza tym nie miałam niczego innego, co mogłabym nosić.

Jednakże myliłam się. Kolor znaczył wszystko. To był sygnał dla dwórek królowej, że nie muszą mnie witać ani zauważać, gdy wchodzę do pokoju. To była niezatarta linia między mną a pozostałymi griszami. To był sygnał dla króla, że może pójść za mną do moich komnat i przycisnąć mnie do ściany, że może mnie używać. Nie było sensu krzyczeć.

Skończyły się już dobre dni, nie było słodyczy ani wycieczek, tylko długie godziny nudy, czekania na wezwanie królowej, obaw przed cichymi krokami króla za drzwiami. Pewnego wieczoru przed przyjęciem zostałam wezwana do przebieralni królowej. Przyciemniłam jej rzęsy czarnym orzechem, zabarwiłam usta peoniami, które hodowano dla mnie w cieplarniach griszów. Pracowałam w milczeniu, nie odzywałam się słowem, miałam spuszczony wzrok. Miałam tego wieczoru występować w jej świcie i zadbałam, żeby upiąć włosy w prosty sposób. Pewnie mogłam postarać się brzydko wyglądać i sprawić jej przyjemność, ale pewna cząstka mnie nie pozwoliła mi na to.

Tego wieczoru królowa nosiła bladozieloną suknię, ciemniejszą przy krawędzi jak świeże liście. Kiedy zapinałam perłowe guziki na jej plecach, powiedziała:

– Brak wdzięczności nie przystoi służącej. Powinnaś nosić klejnoty, które daje ci mój mąż.

Zrozumiałam wtedy. Przejrzałam na oczy. Ona wiedziała, że do tego dojdzie. Może od pierwszego dnia, kiedy sprowadziła mnie z Małego Pałacu. Znała go i wiedziała, kim on jest, ale to mnie miała za złe. Stałam sparaliżowana, miotana dwoma przeciwnymi wiatrami. Chciałam paść na kolana i schować twarz w sukni na jej kolanach, płakać i błagać o ochronę. Chciałam stłuc lustro, którego tak się bała, i pociąć jej twarz na kawałeczki, napchać jej szkła do ust i kazać przełknąć każdy raniący odłamek mojego cierpienia i wstydu.

Zamiast tego poszłam do Zmrocza. Nie wiem, gdzie znalazłam śmiałość. Kiedy biegłam przez tereny pałacowe, głos w mojej głowie mówił mi, że jestem głupia, upierał się, że Zmrocz nigdy nie udzieli mi audiencji, że powinnam zawrócić i zapomnieć o tym szalonym pomyśle. Nie mogłam jednak znieść myśli o powrocie do królowej, żeby przez cały wieczór

wbijać paznokcie w dłonie, wąchać jej perfumy i odliczać w kółko guziki na jej zielonej jak liście sukni, w której występowała tego wieczoru. Ta myśl napędzała mnie przez całą drogę do Małego Pałacu.

Nie chciałam napotkać griszów w głównej sali, więc posłużyłam się wejściem, które prowadziło bezpośrednio do sali narad. Kiedy tylko przekazałam swoją prośbę pełniącemu straż oprycznikowi, pożałowałam tego. Zmrocz oddał mnie królowej. Teraz odeśle mnie z powrotem, a może nawet zrobi coś gorszego.

Jednakże oprycznik wrócił i po prostu wskazał gestem, żebym poszła za nim korytarzem. Kiedy stanęłam w sali narad, właśnie wychodziła z niej grupa griszów – Ivan i kilku wysoko postawionych eteryków i ciałobójców, których nie znałam.

Kazałam sobie zachować godność. Przedstawię swoją sprawę spokojnie. Kiedy jednak Ivan zamknął drzwi, rozpłakałam się. Zmrocz mógł mnie zbesztać albo odwrócić się ode mnie, on jednak mnie objął i posadził przy stole. Nalał mi szklankę wody i poczekał, aż uspokoję się na tyle, żeby wypić łyczek.

– Nie pozwól, żeby cię upokorzyli – powiedział cicho.

Przygotowałam całą przemowę, setkę spraw, o których chciałam powiedzieć, ale wszystko uciekło mi z głowy i wypaliłam z pierwszą rzeczą, jak przyszła mi na myśl:

– Nie chcę już tego nosić – powiedziałam prosząco. – To strój służącej.

– To mundur żołnierza.

Pokręciłam głową, dławiąc szloch. Pochylił się ku mnie i otarł mi łzy z policzka rękawem swojej *kefty*.

– Jeśli mi powiesz, że nie możesz tego znieść, odeślę cię stąd i nigdy więcej nie będziesz nosić tych barw ani chodzić korytarzami Wielkiego Pałacu. Będziesz bezpieczna, obiecuję ci to.

Spojrzałam na niego, nie do końca wierząc własnym uszom.

– Bezpieczna?

– Bezpieczna. Ale mogę cię też zapewnić, że jesteś żołnierzem. Możesz być jednym z największych moich żołnierzy. Jeśli zostaniesz, jeśli to zniesiesz, pewnego dnia zrozumiesz. – Uniósł mi podbródek palcem. – Wiesz, że król zranił się kiedyś własną szablą?

Parsknęłam śmiechem.

– Naprawdę?

Zmrocz skinął głową, a na jego ustach igrał ledwie widoczny uśmieszek.

– Ciągle ją nosi, oczywiście tylko na pokaz. Zapomina, że to nie zabawka, ale broń. – Spoważniał. – Mogę ci zapewnić bezpieczeństwo albo obiecać, że zobaczysz, jak po tysiąckroć zostaną opłacone twoje cierpienia. – Otarł mi kciukiem zabłąkaną łzę pod okiem. – Decyzja należy do ciebie.

* * *

Tamten wybór był trudny, ale ten okazał się łatwy.

Wyrównuję szeregi buteleczek i zatrzaskuję drzwi do garderoby. Podchodzę do okna. Kiedy przyciskam twarz do szyby, dostrzegam latarnie płonące na terenach pałacowych i prawie słyszę muzykę z sal balowych, wysokie zawodzenie skrzypiec. Gdybym mogła spojrzeć poza drzewa, poprzez ciemność, dostrzegłabym leśny tunel, a za nim łagodny stok i złote kopuły Małego Pałacu.

Myślę o zbyt chudych palcach Aliny ściskających brzeg prześcieradła, o nadziei, której nie potrafiła ukryć na bladej, wyrazistej twarzy, gdy pisała nazwisko tropiciela.

Otwieram czarne drewniane pudełko i wrzucam listy do ognia, jeden po drugim. To boli, ale jakoś to zniosę. Ponieważ

jestem lalką, służącą. Bo jestem ślicznotką i żołnierzem zarazem.